ELIZA ORZESZKOWA

Meir Ezofowicz

wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



ELIZA ORZESZKOWA

Meir Ezofowicz

TOM PIERWSZY

Wszystkim ziomkom moim z dobrą wiarą i wolą pragnącym światła i pokoju, bez względu na to, gdzie i jak oddają oni cześć Bogu — powieść tę poświęcam.

AUTORKA

WSTĘP

U szczytów cywilizacji zbiegają się i zgodnie łączą się ze sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa. Wygładza ona chropowatości zewnętrzne i ścina wewnętrzne wybujałości, dozwala przyrodzonym cechom plemion różnych rozwijać się obok siebie we wzajemnym poszanowaniu, same nawet religijne wierzenia oczyszcza z narośli wytworzonych przez zmienne czasy, a sprowadzając je do najprostszego ich wyrazu, sprawia, iż spotykają się one ze sobą bez wstrętów i szkód.

Inaczej dzieje się w głębokościach, w społecznych dolinach, nad którymi nie świeci słońce wiedzy. Tam ludzie są jeszcze dziś takimi, jakimi byli w odległych stuleciach. Czas, kopiąc mogiły przodkom ich, nie zagrzebał wraz z nimi form i treści, które, wciąż odradzając się, tworzą pośród zdumionych społeczeństw niepojęte już im anachronizmy. Tam istnieją odrębności, ostrymi kantami odpychające wszystko, co nie jest nimi, czołgają się nędze fizyczne i moralne, z imienia nawet nieznane tym, którzy stanęli u szczytów. Tam są zbiorowiska ciemnych postaci odskakujące od jasnego tła reszty świata w mętnych zarysach sfinksów strzegących grobów i szeroko rozkładają się skamieniałości wiar, uczuć i obyczajów, istnieniem swym zdające się świadczyć o tym, że geniusze wielu stuleci jednocześnie nad światem panować mogą.

Patrycjat i plebs, przeistaczając z upływem czasu naturę swą i rację swego bytu, zamienili dziś dawne swe role. Pierwszy stał się obrońcą i krzewicielem równości, drugi uparcie trwa przy wyróżnieniach i odrębnościach. I jeżeli niegdyś przemoc i uciski przybywały od tych, którzy stali wysoko, ku tym, którzy w prochu i pokorze roili się na głębokościach, teraz z głębokości podnoszą się niezdrowe wyziewy te i ciężkie kamienie obrazy, które zatruwają życie i utrudniają drogi wybrańcom cywilizacji.

Nieszczęsne i unieszczęśliwiające doliny takie, otoczone i z resztą świata rozdzielone grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności, istnieją w społeczeństwie izraelskim również jak w innych, więcej nawet niż w innych. Zbyt przedłużone istnienie ich wynikiem jest wielu przyczyn dziejowych i cech plemiennych. Dziś są one zjawiskami wabiącymi ku sobie wzrok myśliciela i artysty niezmiernym wpływem, który wywierają dokoła, i niepospolitością kolorytu swego, na który składają się mroki tajemnicze i przerzynające je jaskrawe ognie.

A jednak — któż bada je i zna? Ci nawet, których jedność krwi i tradycji pociągać by powinna ku miejscom tym zagubionym w ciemnościach, nie posyłają ku nim malarzy ani apostołów, nie zawsze nawet wierzyć chcą w ich istnienie.

Jakże, na przykład, zdziwionym byłoby towarzystwo izraelskie zgromadzone w największym z miast krajowych, złożone z panów wykształconych, uczonych, oddających się zawodom stojącym na czele umysłowości ludzkiej, i pań, które we wdzięku, wykwintności, dowcipie nie ustępują częstokroć najwydatniejszym postaciom kobiecym innych społeczeństw — jakże zdziwionym byłoby towarzystwo to ubrane w czarne fraki i jedwabne suknie, gdyby ktokolwiek opowiadać mu zaczął nagle o tym, co to jest Szybów i co się dzieje w Szybowie!

Szybów? Na jakiej planecie znajduje się miejsce to? A jeżeli na naszej, jaka je zamieszkuje ludność, z białych, czarnych czy brązowych ludzi złożona?

Otóż, czytelnicy, podejmuję się zaznajomić was z tą głęboką, bardzo głęboką doliną społeczną, która nosi tylko co wymienioną nazwę. Niedawno odegrał się w niej dramat ciekawy, godzien życzliwego spojrzenia waszego, silnego uderzenia serca i długiej, smętnej chwili zadumy. Że jednak dla pełnego uwydatnienia faktów i postaci należy ukazać je na tle, śród którego powstały one i rozwinęły się i w którego głębokich perspektywach mieszczą się żywioły będące przyczyną ich bytu, pozwólcie, abym przed odsłonięciem

zasłony ukrywającej pierwsze sceny dramatu opowiedziała wam w krótkich rysach zawartą *historię małego miasteczka*.

*

Daleko, daleko od tej gałęzi kolei żelaznych, która przerzyna białoruskie strony, daleko nawet od przebiegającej je spławnej rzeki Dźwiny, w jednym z najustronniejszych zakątków, jakie dotąd jeszcze istnieć mogą w Europie, pośród gładkich, cichych, rozległych równin, na zbiegu dwóch szerokich piaszczystych dróg, które wywijając się spod skłonów bladego nieba znikają w głębiach czarnego lasu — szarzeje gromada kilkuset domostw mniejszych i większych, tak ściśle zbliżonych ku sobie, że patrząc na nie można by rzec, iż były one kiedyś w wielkiej jakiejś trwodze i zbiegły się tak ku sobie, aby we skupionej gromadce móc łatwiej zamieniać się szeptami i łzami.

Jest to Szybów, miasteczko zamieszkiwane przez izraelską ludność wyłączniej jeszcze niż wiele innych miejsc podobnych, całkiem prawie wyłącznie, bo z wyjątkiem jednej tylko uliczki znajdującej się na samym skraju miasteczka, przy której w kilku chatach i dworkach mieszka kilkudziesięciu bardzo ubogich mieszczan i bardzo cichych, starych emerytów.

Jedyna też to jest uliczka, śród której panuje cisza i w lecie kwitną skromne kwiaty. Gdzie indziej nie ma kwiatów, ale panuje wielki i nieustanny gwar. Gwarzą tam ludzie i ruszają się nieustannie, zapobiegliwie, namiętnie we wnętrzach domostw i na ciasnych, błotnistych przejściach noszących nazwę ulic, i na okrągłym, dość obszernym rynku pośrodku miasteczka umieszczonym, dokoła którego otwierają się niskie drzwiczki cuchnących kramików, na których po cotygodniowych targach sprowadzających okoliczną ludność pozostaje niezmierzona i nieprzebrana ilość błota i śmiecia, nad którym na koniec panuje wysoki, ciemny, dziwnego kształtu dom modlitwy.

Budowa ta jest jednym z rzadkich już okazów architektoniki izraelskiej. Malarz i archeolog mogą zatrzymywać na niej wzrok swój z jednostajną ciekawością. Od pierwszego zaraz rzutu oka poznać można, że jest to świątynia, jakkolwiek pozór jej czyni ją niepodobną do wszystkich innych świątyń. Cztery jej grube, wysokie, ciężkie ściany zarysowują monotonne linie ogromnego czworokąta i mają ciemną, brunatną barwę przyoblekającą ją piętnem powagi, starości i smutku. Stare też to są, odwieczne ściany niezawodnie, bo podłużnymi pasy porasta je tu i ówdzie zielonawy mech. U góry, wysoko, przerzyna je szereg długich, wąskich, głęboko osadzonych okien, przypominających kształtem swym strzelnice warownych murów; powyżej zaś całą budowę okrywa dach, którego trzy ciężkie, wzajem na siebie opadające piętra podobne wydają się do trzech brunatnych, omszonych, olbrzymich grzybów.

Wszystko, co tylko pokaźniejszy posiada pozór i do ogólnego użytku służy, skupia się tu i chroni pod osłoną brunatnych ścian świątyni i grzybiastego jej dachu. Tu, dokoła obszernych dziedzińców, stoją przyszkółki, chedery[1], miejsca zgromadzeń zwierzchności kahalnej; tu przysiadł niziuchny, czarny domek o dwóch okienkach, istna lepianka, którą od kilku już wieków i wielu pokoleń zamieszkują rabini[2] ze słynnej w gminie i daleko poza gminą rodziny Todrosów pochodzący; tu na koniec panuje zawsze czystość wzorowa, a choć gdzie indziej, w jesiennych szczególnie i wiosennych porach, ludzie topią się niemal w błocie i zakopują w śmieciu, podwórze szkolne okrywają zawsze suche i białe kamienie; źdźbła słomy nawet trudno by na nich dopatrzeć, bo jeśli i znajdzie się kiedy jakie, wnet podnosi je ręka przechodnia dbałego o piękność miejsc ścielących się do stóp świątyni.

Jakie znaczenie Szybów posiada dla ludności izraelskiej zamieszkałej w stronach białoruskich, a nawet dalej jeszcze, na szerokich przestrzeniach Litwy, wnieść można z kłopotliwego dość wydarzenia, które spotkało szlachcica pewnego, więcej wesołego niż mą-

[1] *cheder* (z hebr. dosł: pokój, izba) — religijna elementarna szkoła żydowska; daw. uczęszczali tam chłopcy od 5 (lub niekiedy już od 3 roku życia) do bar micwy (tj. urządzanej w dniu 13. urodzin uroczystości osiągnięcia pełnoletności), ucząc się języka hebrajskiego, modlitw oraz tłumaczenia *Tory* i *Talmudu*; obecnie rodzaj szkółki niedzielnej również dla dziewcząt.

[2] *rabin* (z hebr.: mistrz) — duchowny w judaizmie; odpowiedzialny wobec władz przywódca gminy żydowskiej, zajmujący się orzecznictwem w sprawach rytualnych, interpretacją prawa żydowskiego oraz nadzorem nad nauczaniem.

drego, w rozmowie z pewnym Żydkiem-faktorem pokornym, więcej jednak dowcipnym niż pokornym.

Żydek-faktor stał u drzwi gabinetu pańskiego, pochylony nieco ku pańskiemu obliczu, uśmiechniony[3], gotów zawsze do sprężystego poskoku w celu usłużenia panu i do dowcipnego słówka w celu obudzenia dobrego jego humoru.

Pan był w dobrym humorze i żartował z Żydka.

— Chaimku — mówił — czy byłeś ty w Krakowie?

— Nie byłem, jaśnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się.

— Chaimku, czy byłeś ty w Rzymie?

— Nie byłem, jaśnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się powtórnie, ale zarazem o dwa kroki bliżej pana przystąpił. Na ustach zaigrał mu jeden z tych uśmiechów właściwych ludziom jego plemienia, sprytnych, przebiegłych, o których powiedzieć na pewno nie można, czy pokora w nich maluje się albo tajemny tryumf, pochlebstwo albo szyderstwo.

— Przepraszam jasnego pana — rzekł z cicha — czy jasny pan był w Szybowie?

Szybów odległym był od miejsca, na którym toczyła się rozmowa, o jakich mil dwadzieścia.

Szlachcic odpowiedział:

— Nie byłem.

— A co teraz będzie? — ciszej jeszcze szepnął Chaimek.

Podanie zamilcza o tym, co na kłopotliwe pytanie to odpowiedział wesoły szlachcic, ale z posłużenia się Szybowem jako argumentem odpierającym ubliżające twierdzenia, a raczej wywzajemniającym się za nie, wnieść można, iż dla Chaimka Szybów był tym, czym dla szlachcica były Kraków i Rzym, więc miejscem skupiającym w sobie i przedstawiającym cywilne i religijne powagi.

Gdyby ktokolwiek zapytał był podówczas Żydka-faktora, dlaczego tak wysokie znaczenie przywiązuje do mieściny małej, zapadłej wśród głuchych równin, wymieniłby on prawdopodobnie dwa tylko nazwiska będące nazwiskami dwóch rodów od wieków w Szybowie zamieszkałych: Ezofowiczów i Todrosów. Pomiędzy dwoma rodami tymi taka zachodziła różnica i taki wytworzył się podział, że Ezofowiczowie przedstawiali sobą do wysokiego stopnia spotęgowany żywioł świeckich świetności, jako to: licznego rozrodzenia się i zestosunkowania, bogactwa i bystrej zręczności w robieniu interesów i powiększaniu majątku — Todrosowie zaś przedstawicielami byli żywiołu duchownego: pobożności, religijnej uczoności, surowej aż do ascetyzmu czystości życia.

Być może nawet, iż Chaimek zapytany o przyczynę znaczenia przywiązywanego do małej mieściny zapomniałby o wymienieniu Ezofowiczów; jakkolwiek bowiem bogactwem i wpływami rodu tego chlubili się Izraelici wszyscy na wiele dziesiątków mil dokoła niby jedną ze swych chwał narodowych, blask ten, czysto światowy, bladł przy promieniach duchowej świętości, którymi otoczonym było od niezmiernie dawna imię Todrosów.

Todrosowie uważanymi byli od dawien dawna przez całą ludność izraelską Białoruś i Litwę zamieszkującą za skończony wzór i nienaruszoną arkę prawowierności religijnej. Czy było tak w istocie? Znajdowali się tu i ówdzie uczeni talmudyści[4], którzy na wzmiankę o talmudycznej prawowierności Todrosów uśmiechali się jakoś dziwnie i gdy się zeszli z sobą, smutnie coś o niej szeptali. Wiele, wiele do myślenia dawała uczonym talmudystom owa sławiona prawowierność talmudyczna Todrosów. Stanowili oni przecież ogromną mniejszość; kilku ich było zaledwie lub kilkunastu wątpiących wobec wierzących tłumów. Tłumy wierzyły, wielbiły i do Szybowa dążyły, jako do miejsca uświęconego, z pokłonem, po naukę, radę, pociechy i leki.

Nie zawsze przecież Szybów posiadał taką sławę prawowierności. Owszem, pierwszymi założycielami jego byli odszczepieńcy, przedstawiciele w Izraelu ducha opozycji

[3]*uśmiechniony* (daw.) — dziś: uśmiechnięty.

[4]*talmudysta* — znawca *Talmudu*, czyli praw i przepisów religijnych stanowiących komentarz do biblijnego Pięcioksięgu; człowiek ściśle przestrzegający tych przepisów; przen.: formalista.

i rozbioru, karaici[5]. Niegdyś, bardzo dawno temu, nawrócili oni byli na wiarę swą możny lud zamieszkujący płynącą winem i złotem ziemię Chersonesu[6] i stali się jej królami. Potem ze wspomnieniami królowania tego, z jedyną religijną i prawodawczą księgą swą, *Biblią*, powędrowali w świat podwójni wygnańcy Palestyny i Krymu, a mała cząstka ich, sprowadzona na Litwę przez w. księcia litewskiego Witolda, posunęła się aż na Białoruś i tam osiadła w gromadce domków i lepianek, którą nazwano Szybowem.

Natenczas w piątkowe i sobotnie wieczory panowała w miasteczku głucha cisza i ciemność, karaici bowiem wbrew talmudystom nie spotykali świętego dnia sabatu światłem rzęsistym, gwarnym weselem i obfitymi ucztami, ale witali go ciemnością, milczeniem, smutkiem i rozmyślaniem nad upadkiem świątyni chwały i mocy ojczystej. Wtedy z czarnych wnętrzy domostw, zza małych mętnych okienek, wypływały na zewnątrz przyciszone, przeciągłe, śpiewne i żałośliwe dźwięki, którymi ojcowie opowiadali dzieciom swym o prorokach, którzy nad rzekami Babilonu tłukli harfy swe i ucinali palce u rąk, aby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu w niewoli o błogosławionej krainie Chawili[7], kędyś na południu Arabii położonej, w której dziesięć pokoleń izraelskich mieszkało w swobodzie, szczęściu i pokoju, nie znając, co to kłótnia albo miecz, o świętej rzece Sabationu[8], kryjącej izraelskich tułaczy przed oczami ich wrogów.

Przyszła jednak pora, w której tu i ówdzie w piątkowe wieczory okienka domków błyskać poczęły światłami i rzucać na zewnątrz gwar głośnych rozmów i chóralnych modlitw. Rabbanici[9] przybywali. Czciciele talmudycznych powag, przedstawiciele ślepej wiary w podania ustne zebrane i przekazane przez kohenów[10], tanaitów[11] i gaonów[12] nachodzili i wypierali z siedlisk garstkę kacerzy-rozbitków. Pod wpływem najścia tego gmina karaicka topniała z wolna; ostatni cios zadał jej mąż znany w dziejach Izraelitów polskich, Michał Ezofowicz, Senior.

Pierwszy to był Ezofowicz, którego imię wyłoniło się z cieniów niewiadomości. Rodzina jego, niezmiernie dawno w Polsce osiadła, jedną z tych była, które za królów Jagiellonów pod wpływem praw i zwyczajów wytworzonych niezwykle wysokim na one czasy stanem oświaty w Polsce, życzliwymi węzły połączyły się z miejscową ludnością. Seniorem, czyli starszym nad Żydami wszystkimi i Litwę, i Białoruś zamieszkującymi, mianował go król Zygmunt I dyplomem, którego ustęp główny brzmiał, jak następuje:

> „My, Zygmunt, z Bożej łaski itd., wiadomo czynimy wszystkim Żydom zamieszkałym w państwie, Ojczyźnie naszej… Zważywszy na wierne ku nam usługi Żyda Michała Ezofowicza[13], i bacząc, abyście w sprawach waszych

---

[5]*karaici* a. *karaimi* — grupa etniczna i religijna, wyznająca *karaimizm*, tj. odłam judaizmu powstały w 767 r. n.e. w oparciu o nauki rabina Anana ben Dawida z Basry, odrzucający *Talmud* oraz interpretujący w sposób bardziej rygorystyczny *Biblię*.

[6]*Chersones* a. *Chersonez* — staroż. gr. nazwa Półwyspu Krymskiego; także jedno z miast na Krymie (później. ros. Korsuń).

[7]*Chawila* — nazwa biblijnej szczęśliwej, dostatniej krainy położonej w bezpośredniej bliskości raju (por. *Księga Rodzaju*, 2, 10–12: „Z Edenu zaś wypływała rzeka, (…) dając początek czterem rzekom. (…) Piszon; jest to ta, która okrąża cały kraj Chawila, gdzie się znajduje złoto. A złoto owej krainy jest znakomite; tam jest także wonna żywica i kamień czerwony".

[8]*Sabation* (właśc. Sambation) — w literaturze rabinicznej legendarna rzeka w dalekich krainach, której przypisywano magiczną właściwość: płynęła gwałtownie, tocząc kamienie, ale tylko przez sześć dni w tygodniu, respektując sobotni świąteczny odpoczynek, kiedy wyznawcy judaizmu nie mogą podróżować (w ten sposób pisał o jednej z rzek w Judei Pliniusz Starszy); w czasie powrotu Żydów z niewoli babilońskiej za rzeką Sambation miało schronić się 10 zaginionych plemion (tj. pokoleń, rodów) Izraela; na poszukiwanie rzeki wyruszył w poł. XII w. średniowieczny podróżnik Benjamin z Tudeli (tj. Nawarry); stawiając sobie za zadanie policzenie rozproszonej populacji Żydów na świecie, przemierzał tereny Europy, Palestyny, Arabii i Persji.

[9]*rabbanici* — zwolennicy rabinów; stosowane w XIX w. określenie Żydów kierujących się w kwestiach wiary i obyczajów prawem pisanym (w *Torze* i *Talmudzie*) oraz jego ustnym wykładem przez uczonych rabinów.

[10]*kohen* (hebr.) — kapłan wywodzący się z rodu Aarona (brata Mojżesza), z pokolenia Lewiego; funkcja dziedziczona z ojca na syna.

[11]*tanaici* (z hebr.) — tytuł nauczycieli wykładowców w okresie między 10 a 220 r. n.e. (głównie w Jerozolimie), zajmujących się studiowaniem i komentowaniem *Tory*, z ich komentarzy powstała *Miszna* (część *Talmudu*); tanaici byli następcami *zugot*, tj. pary uczonych i żydowskich przywódców duchowych między I w. p.n.e. a I w. n.e., z których jeden, noszący tytuł *nasi* czyli książę, był przewodniczącym Sanhedrynu, a drugi jego zastępcą (*aw bet din*).

[12]*gaon* — człowiek obdarzony dużą wiedzą, geniusz.

[13]*Ezofowicz, Michał* (właśc. Ezofowicz-Rabinkowicz, Michael, zm. ok. 1529) — kupiec, bankier, dzierżawca, administrator ceł i senior (przełożony z nadania króla) Żydów litewskich; syn Józefa (Ezafa) Rabczyka (stąd

z Nami w niczym nie doznawali przeszkody i opóźnienia, według sprawiedliwości stanowimy: aby Michał Ezofowicz wszystkie wasze sprawy przy Nas załatwiał i był nad wami wszystkimi starszym, a wy macie za jego pośrednictwem do Nas się udawać i być jemu we wszystkim uległymi. Będzie on was sądzić i rządzić wami według zwyczaju waszego prawa, i winnych karać z przyzwoleniem Naszym, każdego według zasługi...".

Z kilku wzmianek, które czyni o nim historia, łatwo poznać w Seniorze człowieka silnej i sprężystej woli. W pewną siebie dłoń ujął on powierzone mu nad współwyznawcami rządy, a na tych, którzy poddać się im nie chcieli, na karaitów mianowicie, rzucił klątwę wyłączającą ich spośród społeczeństwa izraelskiego i odbierającą im prawo do współplemiennej pomocy i przyjaźni.

Pod uderzeniem ciosu tego egzystencja dawnych mieszkańców Szybowa, dość smutna, uboga i bezczynna przedtem, ostatecznemu uległa rozprzężeniu. Potomkowie chazarskich[14] władców, kacerze, stanowiący, jak zwykle bywa, śród społeczeństwa swego ogromną mniejszość i będący dlań przedmiotem niechęci i wstrętu, znękani i biedni, z upartym swym a wyłącznym przywiązaniem do *Biblii* w sercu, ze swymi poetycznymi legendami na ustach, opuścili miejsce, które im dało chwilowy przytułek. Rozeszli się w świat szeroki i nieprzyjazny, za cały ślad dwuwiekowego pobytu swego w szarej gromadce domostw rzuconej śród białoruskich rozłogów pozostawiając kilka rodzin wytrwalszych, namiętniej przywiązanych do starych grobów, które schroniły kości ich ojców, i do wzgórza usianego gruzami świątyni ich, obalonej przez zwycięskich rabbanitów.

Rabbanici zajęli Szybów w posiadanie zupełne i, co prawda, czynnością swą, zapobiegliwością, ścisłą spójnością działań swych, które źródło siły swej czerpały z bezprzykładnej niemal wzajemnej pomocy, zamienili szarą mieścinę z miejsca ciszy, smutku i ubóstwa w miejsce ruchu, gwaru, zachodu i bogactw.

W ogóle zresztą dobrze się działo w czasach onych Żydom poddanym władzy Seniora. Oprócz materialnych powodzeń świtać dla nich zaczęła nadzieja wydźwignięcia się z umysłowej ciemnoty i ze społecznego poniżenia. Senior posiadać musiał umysł bystry i jasny, skoro zza wiekowych uprzedzeń i przesądów dojrzeć potrafił ducha czasu i potrzeby ludu swego. Nie przez fanatyzm religijny zapewne, ale dla czysto administracyjnych lub i szerzej społecznych celów odrzucił on był karaitów od Izraelowego łona, jakkolwiek bowiem rabbanitą był, więc obowiązanym do bezwzględnej czci i wiary względem religijnych powag, skeptycyzm, najlepsza ta, a może i jedyna droga ku mądrości, nawiedzał niekiedy umysł jego. W jednym z podań swych do króla, odpierając zarzuty, które czyniono sprawiedliwości dokonywanych przezeń sądów, smutnie i nieco ironicznie pisał on:

„Księgi nasze różnie i różnie nakazują; nie wiemy często, jak postąpić, kiedy Gamaliel tak, a Eliezer inaczej rozkazują. W Babilonie jedna, w Je-

również inne formy nazwiska: Rabiczkowicz, Rebiczkowicz), pochodził z Brześcia Litewskiego. Został mianowany przez króla Zygmunta I Starego faktorem i administratorem komór celnych wosku i soli w Brześciu n. Bugiem, później także komór celnych na Wołyniu i Podlasiu. Stopniowo Ezofowicz zmonopolizował eksploatację dochodów celnych niemal z całego Wielkiego Księstwa Litewskiego; jako bankier przyczynił się do ożywienia stosunków gospodarczych na Litwie. W 1514 król mianował go seniorem Żydów litewskich, tzw. egzaktorem generalnym, uprawnionym do ściągania podatków i sprawowania władzy sądowniczej; gminy żydowskie nie zaakceptowały jego władzy; podczas hołdu pruskiego 10 IV 1525 w Krakowie król pasował go na rycerza, obdarzył dziedzicznym szlachectwem oraz herbem Leliwa (jedyny w daw. Polsce przypadek nobilitacji Żyda, który pozostał wierny judaizmowi).

[14]*chazarski* — od nazwy Chazarów, potomków koczowniczego ludu przybyłego z głębi Azji i zamieszkującego w VI w. n.e. ziemie położone na północ od Morza Czarnego i Kaspijskiego (step pontyjsko-kaspijski), zajmującego się pasterstwem i handlem, ale nie gardzącego również wypadami łupieskimi; ich państwo, Kaganat Chazarski, zamieszkiwali również Alanowie, Goci, Bułgarzy, Madziarowie, Pieczyngowie, Rusowie i in., panowała tu tolerancja religijna i wielowyznaniowość; na początku IX w. władca (kagan) oraz możnowładcy z jego otoczenia przyjęli judaizm, mając na celu centralizację władzy i ujednolicenie państwa, jednakże wywołało to bunt arystokracji w prowincjach oddalonych od stolicy (Itil, położonej w pobliżu dzisiejszego Astrachania) oraz wieloletnie walki na tle polityczno-religijnym, które wykorzystały sąsiednie plemiona i państwa; ostatecznie Chazarowie zostali pokonani przez książąt kijowskich Światosława i Włodzimierza Wielkiego, ich miasta zostały zburzone, a oni sami ulegli rozproszeniu; za spadkobierców tradycji kulturalnej Chazarów uważają się Karaici (a. Karaimi), jednakże o ile teza o ciągłości etnicznej między Chazarami a Żydami krymskimi pozostaje niezakwestionowana, o tyle pod względem religijnym zachodzi zasadnicza różnica: Chazarowie wyznawali judaizm rabiniczny, zantagonizowany z judaizmem karaimskim (a. karaicki), odrzucającym *Talmud*.

rozolimie druga jest prawda[15]. My słuchamy drugiego Mojżesza[16], a nowi nazywają go kacerzem. Zachęcam ja uczonych do pisania takich mądrych rzeczy, aby rozumni i głupi słuchać ich mogli".

Była to właśnie pora, w której na Zachodzie wśród Izraelitów osiadłych w Hiszpanii i Francji podniósł się wielki spór o to, czy nauka świecka wzbronioną lub dozwoloną ma być wyznawcom *Biblii* i *Talmudu*[17]. Zdania ważyły się, lecz długo ważyć się nie mogły, gdyż stronnicy bezwarunkowego wyłączenia się Izraela spośród umysłowych prac i dążeń ludzkości stanowili większość ogromną. Na społeczeństwo każde nachodzą niekiedy chwile takiego zapadania w ciemność. Zdarza się to wtedy najczęściej, gdy żywotność i energia narodu zmęczoną uczuje się długim pasmem dokonanych wysileń i przetrwanych męczarni, osłabioną potokami wylanej krwi. Żydzi zachodni po kilku stuleciach istnienia w trwodze, tułactwie, we krwi i ogniu przebywali w wieku XVI chwilę taką. Dalekimi już były od nich czasy te, w których z łona ich powstawali sławni doktorowie umiejętności świeckich, miłowani przez ludy, poważani przez samych królów; daleką od nich, zapomnianą już, wzgardzoną była szeroka i wysoka myśl Majmonidesa, który oddając należną cześć izraelskiemu prawodawcy, wielbił też greckich mędrców, który naukę biblijną i talmudyczną oprzeć i utrwalić usiłował na podstawach matematycznych i astronomicznych prawd, otwarcie wyznawał pragnienie zawarcia dwu tysięcy pięciuset arkuszy *Talmudu* w jednym chociażby, byle jasnym jak dzień rozdziale, który mniemań nierozsądnych religijnymi nawet nie usprawiedliwiając wierzeniami, utrzymywał, że „oczy umieszczonymi są z przodu głowy człowieka, nie zaś z tyłu dlatego, aby wolno mu było patrzeć przed siebie". I przepowiadał, „że świat cały napełni się kiedyś wiedzą, tak jak wodą napełnionymi są otchłanie morza".

Cztery wieki minęło, odkąd zniknęła z powierzchni świata poważna, słodka, wysoce sympatyczna postać izraelskiego myśliciela, który zresztą był jednym z największych w ogóle myślicieli średnich wieków. Olbrzyma z orlim wzrokiem i płomiennym sercem zastąpiły karły o piersi zmęczonej i przesyconej goryczą, o spojrzeniu spoglądającym na świat mętnie, ciasno, podejrzliwie.

„Strzeż się mądrości greckiej — wołał do syna swego Józef Ezobi — albowiem podobną ona jest do sodomskiej winnicy lejącej w głowę człowieka pijaństwo i grzech". „Obcy ludzie wciskają się w bramy Syjonu!" — wyrzekł Abba-Mazi na wieść o żydowskiej młodzieży uczącej się u innowierczych mistrzów. A wszyscy społem, rabini i naczelnicy gmin żydowskich na Zachodzie, wydają rozkaz, ażeby nikt przed skończeniem trzydziestu lat życia nie imał się zajęć około nauki świeckiej. „Ten tylko bowiem — powiadają — który napełnił już umysł swój *Biblią* i *Talmudem*, posiada prawo ogrzewania się przy obcych płomieniach".

„Rabbi! — odpowiadali na to śmielsi nieco, lubo[18] niemniej poddający się kornie rozporządzeniu duchowych zwierzchników swych — a jakoż będziemy badali wiedzę świecką po trzydziestu latach naszego życia, skoro do czasu tego umysły nasze stępieją, pamięć umęczy się i nie będziemy już mieli ochoty i siły młodości?"

Stało się przecież tak, jak nakazanym było. Umysły ich stępiły się, pamięć zmęczona omdlała, opadły z nich siły i chęci młodości. Grób Majmonidesa, milczący i nieruchomy, stał pośród morza ciemności, które rozlało się na lud, przez niego wiedziony ku światłu. Na pamięć jego rzucono klątwę, a zuchwała ręka starła mu z grobowca napis pełny wdzięczności i chwały, zastępując go słowami suchymi i okrutnymi jak ciemnota i fanatyzm:

„Tu spoczywa Mojżesz Majmonides, wyklęty kacerz".

Też spory w tymże samym czasie powstały i wśród Izraelitów w Polsce osiadłych, tylko że nie tyle znużeni udręczeniami, których doświadczyli nieskończenie mniej niż współbracia ich na Zachodzie, swobodniejsi, pewniejsi praw swych do bytu i przyszłości, mniej namiętny wstręt okazywali oni do „obcych płomieni".

---

[15] *W Babilonie jedna, w Jerozolimie druga jest prawda* — dwa wydania *Talmudu*, babilońskie i jerozolimskie, niezupełnie ze sobą zgodne. [przypis autorski]

[16] *drugiego Mojżesza* — Majmonidesa. [przypis autorski]

[17] *Talmud* — obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijnego pobiblijnego dorobku judaizmu; składa się z *Miszny* i *Gemary*.

[18] *lubo* (daw.) — chociaż.

Owszem, utworzyło się śród nich dość liczne stronnictwo, które wielkim głosem wołało o naukę świecką, o pobratanie się z resztą ludzkości w umysłowych trudach i dążeniach. Jednym z ludzi stojących na czele stronnictwa tego był Senior litewski, Ezofowicz. Za jego to przeważnie staraniem wydaną została przez synod żydowski w czasie tym zgromadzony odezwa do wszystkich Żydów polskich, której główny ustęp brzmiał, jak następuje:

> „Jehowa ma liczne sefiroty, Adam miał różne doskonałości wypływy. Izraelita też na jednej nauce (religijnej) przestawać nie powinien. Pierwsza jest święta nauka, ale dlatego inne nie opuszczają się. Najlepszy jest owoc rajskie jabłko, ale dlatego czyliż nie mamy mniej smacznego jeść jabłka?... Byli Żydzi u królów na dworze, Mardochej był uczonym, Ester była mądrą, Nehemiasz był radcą perskim — i lud wybawili z niewoli. Uczcie się, bądźcie użytecznymi królowi i panom, a będą was szanować. Ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, tyle jest Żydów na świecie; ale nie świecą oni jako gwiazdy, lecz każdy ich depcze jako piasek... Jednak rzuca wiatr nasiona różnych drzew i nikt się nie pyta, skąd najpyszniejsze drzewo ma pochód[19]. Czemuż by i z nas cedr libański miasto[20] tarniny powstać nie mógł?"

Mąż, pod którego natchnieniem napisaną została odezwa wzywająca Żydów polskich, aby obracali się twarzami w stronę, z której nadchodziły światła przyszłości, spotkał się oko w oko z człowiekiem zapatrzonym w przeszłość i w ciemność.

Był nim świeżo przybyły z Hiszpanii do Polski, a w Szybowie osiadły Nehemiasz Todros, potomek owego słynnego Todrosa Abulaffi Haleviego, który przez czas jakiś słynąc z talmudycznej mądrości swej i prawowierności, dał się potem uwieść ponurym tajemnicom kabalistyki i wspierając ją powagą swą, przyczynił się znacznie do wytworzenia w Izraelu jednego z najsroższych obłędów, jakiemu duch narodu ulec może. Wieść niesie, że tenże Nehemiasz Todros, noszący tytuł książęcy *nassi*, pierwszy przywiózł do Polski księgę *Zohar*[21], zawierającą w sobie wykład, a raczej kwintesencję zgubnej doktryny, i że odtąd właśnie datuje się w Polsce zmieszanie nauk talmudycznych z kabalistyką, które coraz ogólniej i szkodliwiej działać miało na umysły i życie polskich Żydów. Historia milczy o rozterkach i walkach wznieconych innowacją tą wśród ludu, który już, już wybić się miał z ogarniających go długo ciemności, ale podania świętobliwie przechowywane w łonach rodzin opowiadają, iż w walce, która długo i zawzięcie toczyła się pomiędzy Michałem Ezofowiczem, Żydem z dawna polskim, a Nehemiaszem Todrosem, hiszpańskim przybyszem, pierwszy zwyciężonym został. Strawiony zgryzotą, którą sprawiał mu widok ludu jego zwracającego się na drogi błędne, gnębiony intrygami wzniecanymi przeciw niemu przez posępnego przeciwnika, umarł on w sile lat i wieku. Imię jego przechowywanym było w rodzie Ezofowiczów z pokolenia na pokolenie. Wszyscy oni szczycili się wspomnieniem tym, jakkolwiek z upływem czasu coraz mniej rozumieli istotne jego znaczenie.

Od czasu to owego datuje się wielka powaga duchowa Todrosów i stopniowe umniejszanie się wpływów moralnych wywieranych przez Ezofowiczów. Ci ostatni, wyparci przez pierwszych z dziedziny szerokich społecznych działań, wszystkie zdolności swe zwrócili na pole starań i zabiegów mających na celu dobra materialne. Spławne rzeki okrywały się rokrocznie statkami będącymi ich własnością, a wiozącymi ku dalekim portom ogromne zasoby przeróżnych przedmiotów handlu; dom ich stojący wśród lichej mieściny stawał się coraz bardziej głównym ogniskiem krajowego kredytu i przemysłu; ku nim, jak ku nowoczesnym Rotszyldom, zwracali się wszyscy ci, którzy dla powodzenia zamiarów swych i przedsiębierstw[22] potrzebowali złotej podpory. Ezofowicze dumni byli zdobytą potęgą kruszcu i przestali całkiem troszczyć się o inną, o tę potęgę wpływów na ducha i los narodu, którą posiadał pradziad ich, a którą na zawsze, zda się, wydarli im z rąk

[19]*pochód* — tu: pochodzenie, rodowód.

[20]*miasto* (daw.) — tu: zamiast.

[21]*Zohar* (z hebr.: blask) — kabalistyczny komentarz do *Tory*, *Pieśni nad Pieśniami* i *Księgi Rut* powstały w XIII w., ale posiadający wcześniejsze fragmenty; w księdze *Zohar* rozważana jest natura Boga, początek i struktura świata, jak również natura człowieka.

[22]*przedsiębierstw* (daw.) — dziś popr. forma D. lm: przedsiębiorstw.

Todrosowie, ci Todrosowie, którzy ubodzy wiecznie, nędzarze niemal, zamieszkujący lichą chatkę u stóp świątyni przysiadłą, gardzący wszystkim, co miało pozór wykwintu, piękna, a choćby wygody, słynęli przecież szeroko na wsze strony kraju i pociągali ku sobie najpobożniejsze westchnienia, najgorętsze marzenia i tęsknoty ludu swego. I raz tylko w ciągu dwóch wieków jeden jeszcze Ezofowicz pokusił się nie już tylko o materialne, ale i moralne dostojeństwo.

Zdarzyło się to u końca zeszłego stulecia. W Warszawie zasiadał wielki Sejm Czteroletni. Odgłosy toczonych tam obrad doszły aż do białoruskiej mieściny. Ludność zamieszkująca ją ciekawie nadstawiła ucha, słuchała, czekała. Z ust do ust biegła wieść nabrzmiała nadzieją i trwogą: radzą tam i o Żydach!

— Co tam o nas gadają? Co tam o nas piszą? — zadawali sobie wzajem pytania długobrodzi przechodnie ciasnych uliczek Szybowa, ubrani w długie chałaty i w wielkie, futrzane czapki. Ciekawość wzrastała z dniem każdym tak bardzo, że aż powstrzymywała w sposób zupełnie niezwykły ruch pieniężnych i handlowych interesów. Niektórzy puszczali się nawet w daleką i trudną podróż do Warszawy, aby znaleźć się bliżej źródła, z którego wychodziły wiadomości, a znalazłszy się tam, przesyłali współbraciom pozostałym w białoruskiej mieścinie długie listy, zmięte i wyplamione dzienniki, kartki powydzierane z rozlicznych broszur i książek.

Spomiędzy tych wszystkich, którzy pozostali w miasteczku, najpilniej i najniespokojniej nadstawiali ucha dwaj ludzie: Nochim Todros, rabin, i Hersz Józefowicz, bogaty kupiec.

Stosunek wzajemny tych dwóch ludzi zawierał w sobie głuchą, tajemnie wrzącą niechęć. Nie lubili się. Na pozór zostawali ze sobą w zgodzie, ale przy każdej ważniejszej sposobności wychodził na jaw i burzliwie nieraz wybuchał antagonizm zachodzący pomiędzy prawnukiem Michała Seniora, Majmonidesowego ucznia, a potomkiem Nehemiasza Todrosa, fanatyka kabalisty.

Raz na koniec przybyła z Warszawy do Szybowa kartka papieru zżółkłego i zmiętego w długiej podróży, a na niej wypisanymi były następujące wyrazy:

> „Wszelkie różnice w ubiorze, języku i obyczajach pomiędzy Żydami a miejscową ludnością zachodzące znieść. Wszystko, co się religii tyczy, pozostawić nietykalnym. Sekty nawet tolerować, jeżeli te nie będą wpływać szkodliwie na moralność. Żadnego Żyda, zanim dojdzie dwudziestu lat życia, do chrztu nie przyjmować. Prawo do nabywania gruntów Żydom udzielić, a nawet tych, którzy by się rolnictwem zatrudniać chcieli, na pięć lat od podatków uwolnić i inwentarzem rolnym obdarzyć. Wzbronić zawierania małżeństw przed rokiem dwudziestym dla mężczyzn, a osiemnastym dla kobiet".

Kartkę tę noszono po ulicach, placach i domach, czytano po setne razy, powiewano nią w powietrzu niby chorągwią triumfu lub żałoby dopóty, aż w tych tysiącach rąk niecierpliwych i drżących rozpadła się ona w drobne szmatki, ulotniła się w żółtawy pył i — zniknęła.

Zdania jednak o tym, co przeczytanym zostało, ludność Szybowa nie wyrażała zrazu. Część jej, znacznie mniejsza, pytające spojrzenia zwróciła ku Herszowi, inna, ogromnie większa, badała twarz reba[23] Nochima.

Reb Nochim wyszedł przed próg swej lepianki i chude ręce swe w znak grozy i rozpaczy wznosząc nad głowę okrytą siwymi włosy, zawołał po razy kilka:

— *Asybe*! *Asybe*! *Dajge*!

— Nieszczęście! nieszczęście! biada! — powtórzył za nim tłum zalegający w dniu owym podwórzec świątyni. Ale w tej samej chwili Hersz Ezofowicz stojący u samych drzwi domu modlitwy założył białą rękę za szeroki pas atłasowego chałata, drugą powiódł po śniadej, rudawej bródce, podniósł wysoko głowę okrytą cenną bobrową czapką i nie mniej donośnie od rabina, innym tylko wcale głosem zawołał:

---

[23]*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp.; u Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią; młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego.

— *Ofenung*! *Ofenung*! *Frajd*!

— Nadzieja! Nadzieja! Radość! — nieśmiało trochę, z cicha i z ukośnym na rabina wejrzeniem powtórzyła za nim nieliczna gromadka jego przyjaciół.

Ale stary rabin słuch miał dobry. Usłyszał. Biała broda jego zatrzęsła się, czarne oczy rzuciły w stronę Hersza wejrzenie pełne błyskawic.

— Rozkażą nam brody golić i krótkie suknie nosić — zawołał żałośnie i gniewnie.

— Rozum nasz uczynią dłuższym i serca w piersiach naszych rozszerzą — odpowiedział mu od drzwi świątyni doniosły głos Hersza.

— Zaprzęgą nas do pługów i każą nam uprawiać krainę wygnania! — krzyczał reb Nochim.

— Otworzą przed nami skarby ziemi i rozkażą jej, aby ojczyzną nam była! — wołał Hersz.

— Zabronią nam koszery[24] zachowywać i z Izraela uczynią lud chazarników[25]!

— Dla dzieci naszych szkoły pobudują i z Izraela uczynią cedr libański miasto[26] tarniny!

— Twarze synów naszych brodami porosną, zanim wolno im będzie żony pojąć sobie!

— Kiedy pojmą oni swe żony, rozum w ich głowach i siła w ich rękach będą już wyrosłe!

— Rozkażą nam grzać się przy obcych płomieniach i pić z sodomskiej winnicy!

— Przybliżą do nas Jobel-ha-Gadol, święto radości, w którym jagnię bezpiecznie spoczywać będzie obok tygrysa!

— Herszu Ezofowiczu! Herszu Ezofowiczu! Przez usta twoje mówi dusza pradziada twego, który wszystkich Żydów zaprowadzić chciał do cudzych płomieni!

— Reb Nochim! Reb Nochim! Przez oczy twoje patrzy dusza twego pradziada, który wszystkich Żydów zatopił w wielkich ciemnościach!

Tak wśród ogólnej głębokiej ciszy tłumu, z dala od siebie stojąc, rozmawiali ze sobą dwaj ci ludzie. Głos Nochima stawał się coraz cieńszy i ostrzejszy, Hersza brzmiał coraz silniejszymi, głębszymi tony. Żółte policzki starego rabina okryły się plamami ceglastych rumieńców, twarz młodego kupca zbladła. Rabin trząsł nad głową wyschłymi dłońmi, rzucał postać w tył i naprzód, a srebrna broda jego rozwiała mu się na oba ramiona; kupiec stał prosto i nieruchomo, w szarych oczach jego błyskało gniewne szyderstwo, a ręka za pasem tkwiąca odbijała białością od głębokiej czerni atłasu.

Parę tysięcy oczu szybkimi spojrzeniami biegało od twarzy jednego z dwóch przywódców ludu ku twarzy drugiego, parę tysięcy ust drżało, lecz — milczało.

Na koniec rozszedł się po podwórzu świątyni przeszywający powietrze, ostry, przeciągły krzyk reb Nochima:

— *Asybe! Asybe! Dajge!* — jęczał starzec z łkającą piersią i załamanymi nad głową rękami.

— *Ofenung! Ofenung! Frajd!* — podnosząc w górę białą rękę i głosem radością brzmiącym wykrzyknął Hersz.

Tłum milczał jeszcze chwilę i stał nieruchomy, potem głowy jego pochylać się zaczęły ku sobie na kształt fal kołysanych w przeciwne strony i na kształt wód szemrzących szemrać poczęły usta, aż nagle parę tysięcy rąk podniosło się w górę z gestem trwogi i bólu i parę tysięcy piersi wydało chóralny ogromny okrzyk.

— *Asybe! Asybe! Dajge!*

Reb Nochim zwyciężył.

Hersz powiódł okiem dokoła. Stronnicy jego otaczali go ściśnionym[27] kołem. Nie powtarzali wprawdzie okrzyków tłumu, ale — milczeli. Pospuszczali głowy i nieśmiałe wzroki utkwili w ziemi.

Po ustach Hersza przeleciał uśmiech wzgardliwy i kiedy lud tłumną, jęczącą falą cisnął się do świątyni, kiedy reb Nochim, biegnąc na czele jego, potrząsał wciąż nad siwą głową

[24]*koszer*, *koszerny* (z hebr. dosł.: właściwy) — określenie rodzajów pokarmów dozwolonych do spożycia przez prawo żydowskie (*halachę*) oraz warunków, w jakich powinny być przechowywane i spożywane; zasady te wywodzą się z *Tory*, zostały uściślone w *Talmudzie*.

[25]*chazarnik* — tu: odstępca, nieczysty; jedzący wieprzowinę.

[26]*miasto* (daw.) — tu: zamiast.

[27]*ściśniony* — dziś popr.: ściśnięty.

żółtymi rękami i przed progiem świątyni jeszcze rozpoczynał wielkim głosem modlitwę odmawianą w godzinę niebezpieczeństwa, kiedy na koniec brunatne ściany domu modlitwy rozbrzmiały ogromnym, łkającym krzykiem: „Boże, ratuj naród Twój! Zbaw od zguby ostatki Izraela!" — młody kupiec stał długo nieruchomy, z głęboką zadumą w ziemię wpatrzony, potem wolnym krokiem przeszedł obszerny rynek miasteczka i zniknął w głębi stojącego przy nim obszernego i pokaźnego domu.

Dom był to najobszerniejszy i najpokaźniejszy z całego miasteczka, nowy jeszcze zupełnie, bo przez Hersza samego zbudowany, żółtymi ścianami i jasnymi oknami błyszczący. We wnętrzu jego, w izbie dużej, na bardzo prostym drewnianym sprzęcie Hersz przesiedział długo z chmurnym wzrokiem i z czołem w dłoniach ukrytym. Podniósł potem głowę i zawołał:

— Frejda! Frejda!

Na wołanie to otworzyły się drzwi sąsiedniej izby i w złotym oświetleniu ogniska szeroko tam płonącego ukazała się w progu młoda, wysmukła kobieta. Na głowie miała ona wielki biały zawój, biały fartuch spadał od szyi jej, zdobnej w kilka sznurów pereł, aż ku dołowi kwiecistej spódnicy. Ogromne, czarne oczy jej świeciły wesoło i płomiennie pośród ściągłej[28], łagodnej twarzy. Stanęła naprzeciw męża i zapytywała go wzrokiem tylko.

Hersz wskazał jej oczami ławę, na której też wnet usiadła.

— Frejdo! — zaczął — czy ty słyszała o tym, co u nas działo się w miasteczku?

— Słyszałam — odpowiedziała z cicha — brat mój, Joze, zachodził do mnie i mówił, że ty bardzo kłócił się dziś z reb Nachimem.

— On chce mnie zjeść, tak jak pradziad jego zjadł mego pradziada.

W czarnych oczach Frejdy odmalowała się trwoga.

— Hersz! — zawołała. — Ty z nim nie kłóć się! On wielki i święty! Za nim wszyscy będą.

— Nu — po chwili milczenia odpowiedział z uśmiechem mąż — już ty nie lękaj się! Teraz już inne czasy idą! On mnie nic nie zrobi. A ja nie mogę zamykać moich ust, kiedy moje serce głośno krzyczy na mnie, żebym ja gadał! I ja nie mogę patrzeć na to, jak ten człowiek mówi, że to, co dobre jest, złe jest, a głupi naród patrzy jemu w oczy i krzyczy potem to, co i on, choć nic nie rozumie. Nu! A skąd on ma co rozumieć? Czy Todrosy uczyli jego kiedy rozpoznawać złe od dobrego i to, co było, z tym, co będzie?

Po chwilowym milczeniu Hersz zaczął znowu:

— Frejda!

— Co, Herszu?

— Czy ty nie zapomniałaś jeszcze tego, co ja tobie opowiadałem o Michale Seniorze?

Kobieta splotła nabożnie ręce.

— Na co ja miałam zapominać! — zawołała. — Ty mnie piękne historie o nim opowiadał!

— To był wielki, bardzo wielki człowiek! Todrosy go zjedli. Żeby go oni nie zjedli, on by wielkie rzeczy dla Żydów zrobił. Ale to nic. Ja jego zapytam się, jak on chciał robić; to on mnie nauczy — i ja zrobię!

Frejda zbladła.

— A jak ty jego zapytasz się — szepnęła z trwogą — kiedy on już dawno nie żyje!

Tajemniczy uśmiech przeleciał po cienkich wargach kupca.

— Już ja wiem jak! Czasem Pan Bóg tak daje, że i ci, którzy dawno nie żyją, gadać mogą i uczyć prawnuków swoich.

— Frejda! — zaczął po chwili — Czy ty wiesz, co Michał Senior robił, jak poczuł, że Todrosy zjedzą go i że on umrze wprzód, nim inne czasy przyjdą?

— Nu, co on robił?

— On zamknął się w izbie sam jeden i długo tam siedział, nic nie jedząc i nic nie pijąc, i nie śpiąc i — tylko pisał. A co on pisał? Tego jeszcze nikt nie dowiedział się, bo on pisanie swoje gdzieś schował bardzo głęboko; a kiedy jemu już źle przyszło i on poczuł, że będzie po nim, to on swoim synom powiedział: „Ja napisał wszystko, co ja wiedział i co ja czuł, i co ja zrobić myślał, ale pisanie moje schowałem przed wami, bo

[28] *ściągła* — dziś: pociągła (twarz).

teraz takie czasy przyszły, że ono na nic się nie przyda. Todrosy panują i długo panować będą, i tak zrobią, że ani wy, ani wasze dzieci i wnuki pisania mego zobaczyć nie zechcą; a żeby i zobaczyli, toby rozszarpali je i wiatrom dali na zniszczenie, i mówiliby, że Michał Senior był *kofrim* (niedowiarek), i wyklęliby go tak, jak wyklęli drugiego Mojżesza. Ale przyjdzie znów czas taki, że praprawnuk mój będzie bardzo chciał pisanie moje mieć, żeby u niego zapytać się, co myśleć i jak robić, żeby Żydów z niewoli Todrosów wybawić i ich do tego słońca zaprowadzić, przy którym grzeją się inne narody. Ten praprawnuk mój, co tego bardzo zechce, pisanie moje znajdzie, a wy tylko wszyscy mówcie w godzinę śmierci waszej najstarszym synom waszym, że ono jest i że w nim bardzo mądre rzeczy napisane stoją. I nich tak będzie z pokolenia na pokolenie. Ja wam tak rozkazuję. Pamiętajcie posłuszni być temu, którego dusza zasłużyła sobie na to, ażeby być nieśmiertelną[29]!".

Hersz skończył mówić. Frejda siedziała nieruchoma, wpatrzona w twarz męża wzrokiem pełnym ciekawości.

— Ty tego pisma będziesz szukał? — zapytała z cicha.

— Ja jego będę szukał — powtórzył mąż — i ja je znajdę, bo ja jestem ten praprawnuk, o którym mówił Michał Senior, kiedy umierał. Ja pisanie to znajdę. Ty, Frejda, szukać mi pomagaj!

Kobieta stanęła wyprostowana, rozpromieniona radością.

— Ty dobry jesteś, Hersz! — zawołała z głębi piersi. — Ty dobry jesteś, że mnie, kobietę, do takich ważnych interesów i do takich wielkich myśli przypuszczasz!

— A czemu bym ja ciebie przypuszczać do nich nie miał? Czy ty domu mego źle pilnujesz albo dzieci moje źle hodujesz? Ty wszystko dobrze robisz, Frejda, i twoja dusza taka sama piękna jak twoje oczy!

Szkarłatnym płomieniem oblała się biała twarz młodej Izraelitki. Spuściła oczy, ale koralowe usta jej szeptały z cicha niedosłyszalne wyrazy jakieś — miłości czy dziękczynienia.

Hersz wstał.

— Gdzie my pisania tego szukać będziem? — zaczął w zamyśleniu.

— Gdzie? — powtórzyła kobieta.

— Frejda — mówił mąż — Michał Senior pisania swego schować nie mógł w ziemi, bo on wiedział, że gdyby je schował w ziemi, robaki by go zjedli albo zamieniłoby się ono w proch. Czy te pisanie jest w ziemi?

— Nie — odpowiedziała kobieta — jego w ziemi nie ma!

— I w ściany on go schować nie mógł, bo on wiedział, że one spróchnieją prędko i ich zrzucą, ażeby nowe postawić. Ja te nowe ściany sam stawił i w starych ścianach szukał bardzo, ale pisania w nich żadnego nie było.

— Nie było! — z żalem ozwała się Frejda.

— I w dachu on go schować nie mógł, bo on wiedział, że dach zgnije i że jego rozrzucą, żeby nowy zrobić. Jak ja urodził się, to już na starym domu naszym był dziesiąty może dach, ale mnie zdaje się, że pisania tego w dachu żadnym nie było.

— Nie było! — przywtórzyła kobieta.

— To gdzie ono może być?

Zamyślili się oboje. Nagle po długiej chwili kobieta zawołała:

— Hersz! Ja już wiem! Te pisanie jest tam!

Mąż podniósł głowę. Kobieta wyciągniętym palcem wskazywała wielką, oszkloną szafę stojącą w rogu izby i napełnioną od góry do dołu wielkimi księgami w szarej, opylonej oprawie.

— Tam? — zapytał Hersz wahającym się głosem.

— Tam — stanowczo powtórzyła kobieta. — Czy ty mnie nie mówił, że to książki Michała Seniora i że je tu wszyscy Ezofowicze na pamiątkę po nim chowali, ale że ich nikt nigdy nie czytał, bo takich książek Todrosy czytać nie pozwalają!

Hersz powiódł dłonią po czole, kobieta mówiła dalej:

[29]*którego dusza zasłużyła sobie na to, ażeby być nieśmiertelną* — doktryna Mojżesza Majmonidesa o nieśmiertelności duszy ludzkiej, według której człowiek każdy kształceniem umysłu swego i doskonałością moralną nieśmiertelność sobie zdobywać musiał, a karą złych czynów jego miało być nicestwo. [przypis autorski]

— Michał Senior mądry był człowiek i przed oczami jego widna była przyszłość. On wiedział, że tych książek długo nikt czytać nie będzie i że ten tylko, kto czytać ich zechce, będzie tym praprawnukiem jego, co innych czasów doczeka i pisanie jego znajdzie!

— Frejda! Frejda! — zawołał Hersz. — Ty jesteś mądra kobieta.

Pod śnieżnym zawojem czarne oczy kobiece skromnie spuściły się ku ziemi.

— Herszu! Ja pójdę, zobaczę dzieci nasze i zakołyszę najmłodsze, które zapłakało. Rozdam robotę sługom naszym i zgasić każę ognisko, potem przyjdę tu pomagać tobie w robocie twojej.

— Przyjdź! — rzekł Hersz, a gdy kobieta odchodziła do izby, w której gwarzyły głosy dzieci i domowników, wiódł za nią wzrokiem i półgłosem mówił:

— „Mądra żona droższą jest nad złoto i perły. Przy niej serce męża spokojne"!

Wróciła po chwili, zasunęła rygle u drzwi i z cicha zapytała męża:

— A gdzie klucz?

Hersz znalazł klucz od szafy pradziada, otworzył ją i zaczęli oboje zdejmować z półek wielkie księgi. Kładli je potem na ziemi, przysiadali nad nimi i powoli, z uwagą nadzwyczajną, odwracali jedną po drugiej karty zżółkłe od wielkiej starości. Chmury pyłu podnosiły się ze stosów papieru nietkniętych przez wieki ręką niczyją, osiadały na śnieżnym zawoju Frejdy i szarą warstwą przysypywały złotawe włosy Hersza. Oni jednak pracowali niezmordowanie, a z tak uroczystym wyrazem na twarzach, że mogło się zdawać, iż rozkopywali grób pradziada, aby wydobyć zeń zagrzebane z nim razem wielkie jego myśli.

Dzień już miał się ku końcowi, kiedy nareszcie z piersi Hersza wydobył się krzyk podobny do tego, jakim ludzie witają szczęście i zwycięstwo. Frejda nic nie rzekła, tylko z ziemi powstała i splecione ręce wyciągnęła wysoko nad głowę dziękczynnym ruchem.

Potem widziano Hersza modlącego się długo i żarliwie przed oknem, z którego widać było wschodzące na niebo pierwsze gwiazdy nocy. Potem przez noc całą w oknie tym światło nie gasło, a przy stole, z głową na obu dłoniach wspartą, Hersz wczytywał się w żółte jakieś, wielkie, rozwarte przed nim arkusze. O świcie zaś, zaledwie wschodni kraniec nieba płonąć począł różowymi barwami, wyszedł on przed próg domostwa swego ubrany w płaszcz podróżny i wielką swą czapkę bobrową, usiadł na wóz usłany słomą i odjechał. Odjeżdżając był tak zamyślony, że ani dzieci swych, ani domowników tłoczących się w sieni domu nie żegnał, tylko głową skinął ku Frejdzie, która stała na ganku w białym zawoju swym zróżowionym od świateł jutrzenki i czarnymi oczami pełnymi smutku i dumy zarazem ścigała długo odjeżdżającego męża.

Kiedy potem Frejda wróciła do wnętrza domu i zamyślona stanęła u rozpalonego przez sługi kuchennego ogniska, przybiegł do niej najstarszy syn jej, kilkoletni Saul, i zapytał:

— Dokąd tate pojechał?

— Tate — odpowiedziała kobieta — pojechał daleko, za góry i lasy…

— A po co on tam pojechał? — dopytywało się dziecię.

— On tam pojechał, ażeby wielkie rzeczy robić! — odparła matka.

Mały Saul myślał długo, potem wspinając się ku szyi matczynej, tak aby dosięgnąć zdobiących ją pereł, zapytał jeszcze:

— Czy tate dużo złota stamtąd przywiezie?

Frejda uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Czuła ona zapewne, wiedziała, że są na ziemi rzeczy ważniejsze i droższe nad złoto, lecz dla określenia rzeczy tych synowi umiejętności i słów jej zabrakło.

Dokąd Hersz pojechał? Za góry, za lasy, za rzeki… W daleką stronę kraju, kędy wśród bagnistych równin i czarnych borów Pińszczyzny mieszkał wymowny poplecznik sprawy równouprawnienia i cywilizacji Żydów polskich, poseł sejmowy, Butrymowicz. Szlachcic, karmazyn[30] to był i — myśliciel. Widział jasno i daleko, nietajnymi mu były, tajne dla innych, związki, czynniki i konieczności dziejowe.

Kiedy Hersz, wprowadzony do wnętrza szlacheckiego dworu, stanął przed poważnym obliczem mądrego posła, pokłonił mu się nisko i w sposób następujący mowę swą zaczął:

[30]*karmazyn* — zamożny szlachcic, magnat; od karmazynowego, tj. intensywnie czerwonego koloru szaty wierzchniej, żupana a. kontusza, której noszenie było prawnie dozwolone tylko wysokim urzędnikom państwowym i dostojnikom; poślednia szlachta nosiła szare żupany i stąd określana była mianem „szlachty szaraczkowej".

— Jestem Hersz Józefowicz, kupiec z Szybowa, praprawnuk Michała Ezofowicza, co nad wszystkimi Żydami starszym był i nazywał się według rozkazu samego króla Seniorem. Przyjechałem ja z daleka. A po co ja tu przyjechałem? Po to, żeby zobaczyć wielkiego posła i pogadać z wielkim autorem, z którego słów upadł na oczy moje i twarz blask taki jasny, jak od promieni słońca. Blask ten jest bardzo wielki, ale mnie nie oślepił, bo jak roślinka ziemska okręca się koło gałęzi wysokiego dębu, tak ja chcę, żeby myśl moja okręciła się około twojej wielkiej myśli i żeby one obie rozpostarły się nad ludźmi jako tęcza, po której nie będzie już na świecie kłótni ani ciemności!

Kiedy na przemowę tę poseł odpowiedział uprzejmie i zachęcająco, Hersz ciągnął dalej:

— Jasny pan to powiedział, że trzeba zrobić wieczną zgodę pomiędzy dwoma narodami, które na jednej ziemi toczą ze sobą wojnę?...

— Powiedziałem to — przytwierdził poseł.

— Jasny pan to powiedział, że Żyd, porównany z chrześcijaninem we wszystkim, nigdy szkodliwym nie będzie?

— Powiedziałem to.

— Jasny pan to powiedział, że Żydów ma za obywateli polskich i że trzeba, ażeby oni dzieci swoje do świeckich szkół posyłali i żeby oni mieli prawo ziemię kupować, i żeby między nimi skasowane były różne rzeczy, które ani dobre są, ani rozumne?

— Powiedziałem to — powtórzył poseł.

Wtedy wysoki, okazałej postaci Żyd, z dumnym czołem i rozumnym wejrzeniem, pochylił się szybko i zanim poseł miał czas obejrzeć się i obronić, rękę jego do ust swych przycisnął.

— Ja tu przybysz — rzekł z cicha — gość w tym kraju, młodszy brat...

Wyprostował się potem i sięgnąwszy do kieszeni atłasowego ubrania, wydobył z niej zwój zżółkłego papieru.

— Ot, co ja panu przywiozłem — rzekł — to droższe dla mnie jak wszystkie złoto, perły i diamenty...

— Cóż to jest? — zapytał poseł.

Hersz uroczystym tonem odpowiedział:

— To testament przodka mego, Michała Ezofowicza Seniora.

Przez całą noc siedzieli we dwóch i przy świetle świec woskowych czytali. Potem przestali czytać, a zaczęli rozmawiać. Rozmawiali z cicha, z blisko ku sobie pochylonymi głowami, z twarzami pałającymi. Potem, przy świetle dnia już, powstali obaj, razem, jednocześnie wyciągnęli ku sobie dłonie i spoili je w silnym uścisku.

O czym przez całą noc czytali, o czym mówili, co uradzili, jakie uczucia zapału i nadziei połączyły ich ręce uściśnieniem przymierza? Nikt nie dowiedział się nigdy. Zapadło to w tę ciemną noc tajemnic dziejowych, na dnie której skryło się przed nami wiele słonecznych pragnień i myśli. Przeciwności je tam strąciły. Skryły się one, lecz nie przepadły, bo gdy zapytujemy siebie nieraz: skąd błyskawice te myśli i pragnień, których nikt wprzódy nie znał? — nie wiemy, że źródłem ich bywają często chwile, których na kartach żadnych nie zapisał żaden kronikarz...

Nazajutrz przed ganek szlacheckiego dworu zajechała sześciokonna karoca. Wsiadł do niej dziedzic dworu wraz z izraelskim gościem swym i pociągnęli w drogę daleką — do stolicy kraju.

Z Warszawy Hersz wrócił do Szybowa po paru miesiącach. Wróciwszy ruszał się po miasteczku i okolicy żwawo i gorliwie, mówił, opowiadał, tłumaczył, przekonywał, jednał stronników dla przygotowujących się zmian i przekształceń we wszechstronnym życiu jego ludu. Potem wyjeżdżał znowu, wracał i wyjeżdżał... Trwało tak lat parę.

Nagle Hersz z podróży jednej, ostatniej wrócił zmieniony bardzo, z mętnym wzrokiem i z czołem zoranym troską. Wszedł do domu swego, ciężko opuścił się na ławę i podparłszy głowę ręką, głośno wzdychał.

Frejda stała przed nim zasmucona, niespokojna, lecz cicha i cierpliwa. Pytać nie śmiała. Oczekiwała spojrzenia i zwierzenia męża. Podniósł na koniec wzrok mętny, smutny i wymówił:

— Wszystko przepadło!

— Dlaczego przepadło? — z cicha szepnęła Frejda.

Hersz uczynił ręką gest oznaczający upadanie czegoś wielkiego.

— Kiedy budowa jaka rozpada się w kawałki — rzekł — tym, którzy w niej mieszkają, belki padają na głowy i pył zasypuje oczy…

— To prawda! — potwierdziła kobieta.

— Jedna wielka budowa rozpadła się… Belki pospadały na wszystkie wielkie żądania i wielkie prace nasze, a proch przysypał je… na długo!

Wstał potem, spojrzał na Frejdę oczami, w których wielkie łzy stały, i rzekł:

— Trzeba schować testament Seniora, bo on znów na nic się teraz nie przyda… Chodź, Frejda, schowamy go bardzo głęboko… Może go prawnuk jaki nasz szukać będzie i znajdzie…

Od tego dnia Hersz starzał się widocznie. Oczy jego gasły, plecy garbiły się. Siadywał często na ławie godzinami całymi, przechylając postać całą z boku na bok, wzdychając głośno i z cicha powtarzając:

— *Asybe! Asybe! Asybe! Dajge!* Nieszczęście! Nieszczęście! Nieszczęście! Biada!

Dokoła smutnego człowieka tego cicho i troskliwie krążyła smukła postać niewieścia w kwiecistej sukni i białym zawoju. Czarne oczy jej często napełniały się łzami, a krok był tak ostrożnym i lekkim, że perły nawet zdobiące jej szyję nie przerwały nigdy zadumy jego najlżejszym dzwonieniem. Niekiedy Frejda ze zdumieniem patrzała na męża. Smutek jego zasmucał ją, ale nie rozumiała go dobrze. Nad czymże biadał? Bogactwa jego nie umniejszyły się, dzieci wzrastały zdrowo, wszystko było jak przedtem, jak przed dniem owej wielkiej kłótni z reb Nochimem i wynalezienia owych starych, zżółkłych papierów! Nie rozumiała dobrze kobieta, kochająca i roztropna, lecz cały świat swój widząca w czterech ścianach swego domu, że duch męża jej porwany został w krąg wielkich idei i upodobał sobie w płomiennym tym świecie, a wygnany zeń siłą wrogich wypadków uleczyć się nie mógł z tęsknoty i żalu po nim. Nie wiedziała ona, że są na ziemi tęsknoty i żale nietyczące się ani rodziców, ani dzieci, ni żony, ni majątku, ni domu własnego i że z takich tęsknot i żalów duchowi ludzkiemu, który zaznał ich raz, uleczyć się najtrudniej…

W czarnej lepiance reb Nochima tymczasem rozlegały się z kolei wykrzyki radości.

— *Frajd! Frajd! Frajd!* — wołał do ludu stary rabin, dowiedziawszy się, że „wszystko przepadło", że zatem ci, którzy mieli rozkazywać Żydom, aby brody golili i krótkie suknie nosili, krajowym językiem mówili i w szkołach krajowych się uczyli, roli się imali i w dziecinnym wieku małżeństw nie zawierali — rozkazywać już prawa nie mają.

— *Frajd! Frajd! Frajd!* Zbawione są brody i długie chałaty; zbawione kahały[31], chajrymy, koszery, zbawione od zetknięcia się z nauką Edomu święte księgi *Miszny*, *Gemary* i *Zohar*! Zbawionymi od ciągnięcia pługu dłonie wybranego ludu! Zbawionym więc od zagłady lud Izraela!

Radował się Todros i do radowania się wzywał wierzącą w mądrość jego i świętość swą trzodę. Tryumfował, ale chciał tryumfować bardziej jeszcze. Zniszczyć Ezofowiczów znaczyłoby to zniszczyć prąd dążący w przyszłość i walczący z tym, który usiłował wciąż zamienić lud w skamieniałość przeszłości. Któż wie, co stać się może kiedyś? czy z przeklętego rodu tego nie powstanie kiedy człowiek dość mocny, aby zniszczyć całą długowiekową robotę Todrosów? Wszak gdyby wypadki przyjęły były inny obrót, dokonałby już tego Hersz sam wraz z swymi możnymi przyjaciółmi, edomitami!

Na Hersza Ezofowicza, jak niegdyś na przodka jego, Michała, posypały się ze stron wszystkich oskarżenia, niechęci, przeciwności wszelkiego rodzaju. W domu modlitwy wykrzykiwano nań głośno, że sabatów nie strzeże, że z gojami[32] się przyjaźni i do stołu z nimi zasiadając, trefne mięso spożywa, że w zajściach interesowych sądów żydowskich unika, a do krajowych się udaje; że rozporządzeń kahalnej zwierzchności nie słucha i nieraz nawet głośno przyganiać im śmie, że cadyka[33] nie szanuje, reb Nochimowi należnej czci nie oddając…

---

[31]*kahał* — gmina żydowska; również: zarząd gminy, do którego zadań należało zajmowanie się w odniesieniu do społeczności żydowskiej administracją, pobieraniem podatków, sprawami kultu, edukacją i sądownictwem.

[32]*goj* (hebr. dosł.: naród) — termin pojawiający się wielokrotnie w *Torze* na określenie rozmaitych nieżydowskich narodów; nie-Żyd.

[33]*cadyk* (z hebr. dosł.: sprawiedliwy) — Żydzi zazwyczaj nazywają tak słynnych rabinów, uczonych, bogobojnych mężów słynących ze sprawiedliwości, dobroci i pobożności; także: charyzmatyczny przywódca duchowy chasydów; zwolennicy chasydów wierzyli m.in. w moc czynienia cudów przez cadyków.

Dumnie bronił się Hersz, odpierając niektóre czynione mu zarzuty, do innych przyznając się, lecz usprawiedliwiając je pobudkami, których przecież ani lud, ani przodownicy jego za słuszne uznać nie chcieli.

Trwało tak dość długo, w końcu trwać przestało. Umilkły obwinienia, zniknęły intrygi; umilkł bo też i zniknął moralnie ten, kto był ich przedmiotem. Zestarzały przedwcześnie, zgorzkniały, zmęczony jałowymi walkami Hersz zamknął się szczelnie w obrębie prywatnego życia, zajmował się znowu handlem i różnymi interesami, które jednak nie szły mu tak dobrze, jak innym, bo nie posiadał, tak jak inni, sympatii i pomocy swych współbraci. Co czuł, o czym myślał w tych ostatnich latach życia swego, nikt nie wiedział, bo nie zwierzał się z tym nikomu. Przed śmiercią tylko miał on z Frejdą długą rozmowę. Dzieci jego były jeszcze zbyt małe, aby powierzyć im mógł tajemnicę zawiedzionych pragnień swych, zmarnowanych starań i stłumionych bólów. Przekazywał ją im przez usta swej żony. Ale czy Frejda zrozumiała i zapamiętała słowa konającego męża? Czy chciała i potrafiła powtórzyć je potomkom jego? Nie wiadomo. Co pewna, to że ona jedna pozostała w posiadaniu wiadomości o miejscu, w którym ukryty został testament Seniora, owo pisanie odwieczne będące dziedzictwem nie tylko rodu Ezofowiczów, ale całego izraelskiego ludu, dziedzictwo nieznane i zapoznawane, lecz w którym — kto wie? — mieściły się może skarby stokroć większe niż te, które napełniały spichrze i skrzynie bogatej kupieckiej rodziny.

Ostatnie żądania i myśli Seniora spały więc kędyś w ukryciu, czekając znowu śmiałej i wiedzy chciwej ręki jakiego prawnuka, która by przebudzić je i na jaw wydobyć zapragnęła, a w miasteczku tymczasem po śmierci Hersza nie pozostał już ani jeden duch tęskniący za światłością, ani jedno serce, które by uderzało dla czegoś więcej jak dla własnej żony, własnych dzieci i własnego przede wszystkim majątku.

Gwarno tam stało się od zabiegów i starań mających za cel jedyny pieniężne zdobycze, ciemno od mistycznych trwóg i rojeń, ciężko i duszno od nieubłaganej, drobiazgowej, bezdusznej prawowierności.

W oczach jednowiernego plebsu w kraju całym ludność Szybowa uchodziła za potężną materialnie i moralnie, mądrą, przeprawowierną, świętą niemal…

Sądy kryminalne krajowe rekrutowały spośród niej ogromny corocznie procent winowajców: fałszerzy, kontrabandzistów, podpalaczy, oszustów…

Nad całą tą głęboką, zapadłą doliną społeczną zawisła chmura złożona z najciemniejszych żywiołów, jakie istnieją w ludzkości, a jakimi są: cześć dla litery, z której duch umknął, kazuistyka sroga, gruba niewiedza, podejrzliwe i nienawistne obwarowanie się przeciw wszystkiemu, co płynęło z szerokich, słonecznych, lecz „cudzych" światów.

I

Było to przed trzema laty.

Wilgotne mgły podnosiły się z błotnistych ulic miasteczka i ciemnym czyniły przezroczysty gdzie indziej zmierzch gwiaździstego wieczora. Marcowe powiewy wraz z wonią świeżo zoranych gruntów leciały nad niskimi dachami, lecz nie mogły rozegnać mętnych i dusznych par kłębiących się u drzwi i okien domostw.

Pomimo jednak mgły i wyziewów, które je napełniały, miasteczko miało pozór wesoły i świąteczny. Zza szarych, kłębistych zasłon tysiące okien błyskało oświetleniem rzęsistym, a zza oświetlonych okien wydobywały się na zewnątrz odgłosy gwarnych rozmów lub zbiorowych modłów. Ktokolwiek by przechodząc ulicami zajrzał z kolei przez to i owo okno do wnętrza tego i owego domostwa, ujrzałby wszędzie wesołe rodzinne sceny. Pośrodku izb mniejszych lub większych rozpościerały się długie stoły świątecznie nakryte i zastawione, dokoła nich krzątały się kobiety w barwistych czepcach, przynosząc, ustawiając i z uśmiechami na twarzach podziwiając umieszczone na stołach dzieła rąk własnych; brodaci mężowie trzymający w ramionach małe dzieci przykładali usta swe do ich pulchnych policzków lub z głośnym cmokaniem podrzucali je aż pod niskie sufity ku wielkiej uciesze doroślejszych i dorosłych członków rodziny; inni zasiadali na ławach w licznej gromadce i z żywymi gestami gwarzyli o sprawach minionego tygodnia; inni

jeszcze, okryci miękkimi fałdami białych tałesów[34], stali twarzami zwróceni ku ścianom, a szybkimi ruchy podając postacie swe w tył i naprzód, żarliwą modlitwą gotowali się na spotkanie świętego dnia sabatu[35].

Był to albowiem wieczór piątkowy.

I jedno tylko znajdowało się miejsce w całym miasteczku, w którym panowały ciemność, pustka i cisza. Była nim mała, szara chatka, pochyłą, niziuchną ścianą przylepiona jakby do niezbyt wysokiego wzgórza, które wznosiło się z jednej strony miasteczka i stanowiło naokół, pośród ogromnej równiny, jedyną wypukłość gruntu. Wzgórze to zresztą nie było naturalnym. Podanie niosło, iż usypali je tu niegdyś dłońmi własnymi karaici i wznieśli na nim swoją świątynię. Dziś świątyni kacerskiej nie było już ani śladu; wzgórze, nagie i piaszczyste, osłaniało od wichrów i śnieżnych zamieci małą tylko lepiankę, która też kornie jakby i wdzięcznie tuliła się do stóp jego. Nad dachem jej, na pochyłości wzgórza rosła wielka grusza dzika. W gałęziach jej wiatr z cicha szumiał i migotało kilka małych gwiazd. Znaczna przestrzeń gruntów pustych albo pod uprawę jarzyn zaoranych rozdzielała miejsce to z miasteczkiem. Cisza nad nimi panowała głęboka i leciały tylko niewyraźne, przytłumione echa dalekiego gwaru; po czarnych w zmierzchu zagonach czołgały się i ciężko ku chatce płynęły wydobywające się z uliczek miasteczka grube szlaki pary i mgły.

Wnętrze chatki zza dwóch malutkich okienek, sklejonych z drobnych, różnokształtnych szkiełek, ukazywało się czarne jak przepaść, a w czarnym wnętrzu tym brzmiał i na zewnątrz zeń wychodził zgrzybiały, trzęsący się, lecz dość donośny głos męski:

— Za dalekimi morzami, za wysokimi górami — mówił spośród grubych ciemności głos ten — płynie rzeka Sabation... Nie wodą ona płynie, nie mlekiem i nie miodem! Płynie ona żwirem żółtym i wielkimi kamieniami...

Chrypiący, trzęsący się, zgrzybiały głos umilkł i w czarnej otchłani widnej zza dwóch małych okienek przez chwilę panowało głębokie milczenie. Przerwały je tym razem dźwięki zupełnie inne:

— Zejde! mów dalej!

Wyrazy te wymówionymi zostały głosem dziewiczym, dziecinnym prawie, lubo[36] przeciągłym i zamyślonym.

Zejde (dziadek) zapytał:

— A czy oni jeszcze nie idą?

— Nie słychać! — odparł bliżej okna odzywający się głos dziewczęcy.

W głębi czarnej otchłani zaczęło się znowu chrypiące i drżące opowiadanie:

— Za świętą rzeką Sabationu mieszkają cztery pokolenia... cztery pokolenia izraelskie: Gad, Asur, Dan i Neftali... Te pokolenia uciekły tam od strachów i ucisków wielkich, a Jehowa... niech będzie pochwalone święte imię Jego... schował ich przed nieprzyjaciołami[37] rzeką ze żwiru i kamieni.... A ten żwir tak wysoko podnosi się jak bałwany wielkiego morza, a te kamienie tak huczą i szumią jak wielki las, kiedy nim wielkie burze kołyszą... A jak przychodzi dzień sabatu...

Tu nagle urwał się znowu głos zgrzybiały, a po krótkiej chwili zapytał ciszej:

— Czy oni jeszcze nie idą?

Długo nie było odpowiedzi. Mogło się zdawać, że druga istota znajdująca się w czarnym wnętrzu lepianki przed daniem odpowiedzi nadstawiała ucha, słuchała.

— Idą! — wymówiła na koniec.

W głębi czarnego wnętrza rozległ się przyciszony, przewlekły jęk:

— Aj! aj! aj! waj! aj! waj! aj! waj!

— Zejde! Mów dalej! — rzekł bliżej okna głos dziewczęcy, tak samo czysty i dźwięczny jak wprzódy, mniej tylko dziecięcy w tej chwili, silniejszy.

---

[34]*tałes* (jid.) a. *talit* (hebr.) — szal modlitewny; prostokątna chusta nakładana na głowę bądź ramiona w czasie modlitwy przez wyznawców judaizmu; przeważnie biała z czarnymi a. granatowymi pasami oraz z frędzlami (*cicit* a. *cyces*) na rogach.

[35]*szabat*, *szabas*, a. *sabat* (z hebr.: odpoczynek) — w tradycji judaistycznej i chrześcijańskiej siódmy, ostatni dzień tygodnia, obchodzony jako święty na pamiątkę ukończenia tworzenia Świata przez Boga (Rdz 2,2–3); sobota.

[36]*lubo* (daw.) — chociaż.

[37]*nieprzyjaciołami* — dziś popr. forma: nieprzyjaciółmi.

Zejde nie mówił dalej.

Od strony miasteczka ku lepiance przypartej do wzgórza leciał i zbliżał się wciąż wrzask dziwny. Złożony on był z biegu kilkudziesięciu par nóg ludzkich, z piskliwych krzyków i srebrnych, zanoszących się śmiechów dziecinnych. Wkrótce na pustej przestrzeni ukazał się w zmierzchu wielki punkt ruchomy, toczący się jakby po powierzchni czarnych gruntów. Wkrótce punkt ten znalazł się tuż obok lepianki, rozproszył się na kilkadziesiąt drobnych cząstek, które wszystkie z krzykiem, piskiem, śmiechem i wrzaskiem nieopisanym rzuciły się do ścian pochyłych i niskich okienek.

Były to dzieci, chłopcy różnego wieku. Najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście, najmłodszy — pięć. Ubioru ich w ciemności dojrzeć nie było podobna, ale spod małych czapek albo wielkich splątanych włosów oczy ich połyskiwały blaskiem namiętnej swawoli i innych jeszcze, może żywo rozbudzonych uczuć.

— *Gut Abend! Karaite!* — wrzasnęła jednogłośnie zgraja ta, stukając pięściami w drzwi z wewnątrz zaryglowane i wstrząsając ramami okien, w których słabej oprawie dzwonić poczęły drobne szyby.

— A czemu ty światła w sabat nie zapalasz? A czemu ty jak diabeł w czarnej norze siedzisz? *Kofrim, iberwerfer*! Niedowiarku! Odszczepieńcze! — krzyczeli starsi.

— *Aliejdyk giejer! Oreman! Miszugener*! Hultaj! żebrak! wariat! — z całej piersi swej wrzeszczeli młodsi.

Łajania, śmiechy i trzęsienie drzwiami i oknami wzmagały się z każdą chwilą, gdy we wnętrzu lepianki ozwał się znowu głos dziewczęcy, spokojny jak wprzódy i dźwięczny, ale tak silny, że przebił sobą kipiącą dokoła wrzawę.

— Zejde! Mów dalej!

— Aj, aj! aj waj! — odpowiedział z głębi głos zgrzybiały. — Jak ja będę mówić, kiedy oni tak krzyczą! Tak krzyczą! I tak łają!

— Zejde! Mów dalej!

Tym razem głos dziewczyny brzmiał niemal rozkazująco. Nie był już wcale dziecinnym. Czuć w nim było ból, wzgardę i walkę o zachowanie spokoju.

Jak smutny śpiew wmieszany w ryk i wycie wzburzonych żywiołów, tak w dziką wrzawę dziecięcej tłuszczy, łającej, miauczącej, wyjącej i śmiejącej się, wmieszały się drżące, jękliwe słowa:

— A w święty dzień sabatu Jehowa, niech będzie pochwalone święte imię Jego, daje spoczynek świętej rzece Sabation... Żwir przestaje płynąć jak wielkie bałwany i kamienie nie huczą jak las... tylko znad rzeki, co leży i nie rusza się, powstaje wielka mgła, taka wielka, że aż wysokich obłoków dostaje, i chowa znów przed nieprzyjaciołami cztery pokolenia izraelskie: Gad, Asur, Dan i Neftali...

Niestety! Dokoła lepianki z pochyłymi ścianami i czarnym jak otchłań wnętrzem nie płynęła święta rzeka Sabationu i ani bałwaniącym się żwirem, ani wysoką mgłą nie zasłaniała mieszkańców jej przed nieprzyjaciółmi!

Nieprzyjaciele ci byli mali, ale było ich wielu. Z ostatecznym wysileniem złośliwej swawoli kilkunastu z nich targnęło ramami lichych okienek, kilka szybek dźwięknęło silniej i rozleciało się w kawałki. Chóralny krzyk tryumfu rozległ się daleko po polu z jednej strony, a pustych gruntach z innej. Przez pozostałe po szybach otwory posypały się do wnętrza chatki grudki ziemi i drobne kamyki.

Głos zgrzybiały, bardziej jeszcze usunięty w głąb, jakby istota ludzka, do której należał, tuliła się gdzieś w najdalszym kącie, trzęsąc się i chrypiąc coraz bardziej krzyczał:

— Aj waj, aj waj! Jehowa! Jehowa!

Głos dziewiczy, dźwięczny zawsze, powtarzał nieustannie:

— Zejde, sza! Zejde, nie krzycz! Zejde, nie lękaj się!

Nagle z tyłu dziecięcej zgrai uczepionej do ścian, drzwi i okien lepianki ktoś donośnie i nakazująco zawołał:

— *Sztyl, bube*[38]! A co to wy wyrabiacie tutaj, niegodziwe bachory! Precz!

Dzieci umilkły nagle i odpadać zaczęły jedne po drugich od belek, klamek i ram.

Człowiek, który donośnym i rozkazującym dźwiękiem głosu swego sprawił to uciszenie się, wysoką miał i kształtną postawę. Długie ubranie jego obcisłe było i dostatnio

[38]*Sztyl, bube* (jid.) — cicho, chłopcze (tu: chłopcy).

obłożone futrem. Twarz jego w zmroku wydawała się białą, a oczy połyskiwały tak ogniście, jak młode tylko oczy połyskiwać mogą.

— Nu, a co wy tu wyrabiacie? — powtórzył głosem gniewnym i stanowczym. — Czy tu, w tej chacie, wilki mieszkają, żeby tak na nich krzyczeć i łajać, i okna im tłuc?

Chłopcy milczeli zrazu i skupili się w jedną ścisłą gromadkę. Po chwili wszakże jeden z nich, najwyższy wzrostem i najśmielszy znać także, sarknął:

— A czemu oni w szabas światła nie zapalają?

— A co wam do tego? — rzekł przybyły.

— Nu, a co tobie do tego? — bronił się krnąbrny chłopiec. — My tu co tydzień przychodzim i tak samo robim… To i co?

— Ja wiem, że wy co tydzień tak robicie… to ja i pilnował, żeby was kiedy tu złapać… ot i dopilnował… Nu, *gej*[39] do domów! Żywo!

— A czemu ty, Meir, sam do swego domu nie idziesz? Twoja bobe i twój zejde dawno już rybę i łokszynę[40] bez ciebie jedzą… Czemu ty nas stąd pędzasz, a sam sabatu nie pilnujesz?

Oczy młodego mężczyzny ogniściej jeszcze zapłonęły. Uderzył nogą o ziemię i takim gniewnym głosem krzyknął, że młodsze dzieci rozbiegły się wnet w różne strony i tylko najstarszy chłopak, w znak jakby wzgardy dla otrzymywanych przestróg i połajań, pochwycił grudkę błotnistej ziemi i podnosząc z zamachem rękę cisnąć ją miał do wnętrza chaty.

Ale dwie silne dłonie pochwyciły go za rękę i za kołnierz od spencerka[41].

— Chodź! — rzekł młody przybyły. — Już ja ciebie sam do domu odprowadzić muszę.

Chłopiec wrzasnął zrazu i targnął się. Ale trzymała go dłoń silna i silny, spokojny już głos nakazał mu milczenie. Umilkł i trzymany wciąż za odzież pochylił głowę.

Dokoła chatki było już cicho zupełnie. Z głębi ciemnego wnętrza wychodziły ciężkie, chrapliwe westchnienia bardzo starej piersi jakiejś, a u samego już okienka o kilku stłuczonych szybkach zabrzmiał stłumiony głos dziewczęcy:

— Dziękuję!

— Nie ma za co — odpowiedział młody mężczyzna i oddalił się, wiodąc z sobą swego małego więźnia.

Więzień i karciciel przebyli w milczeniu parę uliczek miasteczka i wszedłszy na plac środkowy, zmierzali ku jednemu z umieszczonych przy nim domostw.

Domostwo to było niskie, długie, zaopatrzone w podjazd oparty na drewnianych słupach i w głęboką sień przez całą długość domu ciągnącą się, których istnienie z daleka już zapowiadało tak zwany dom zajezdny. Toteż okna umieszczone z jednej strony budowli, a należące do izb przeznaczonych dla podróżnych gości ciemne były zupełnie. W innych za to, w tych, które znajdowały się tuż naprzeciw mizernych, źle pobielonych słupów podjazdowych i o pół łokcia zaledwie wzniesione były nad ziemią przysypaną grubą warstwą siana, słomy i wszelkiego rodzaju śmiecia — mętnie zza brudnych szyb połyskiwały sabatowe światła.

Zajezdny dom ten był własnością Jankla Kamionkera, męża zajmującego wysoki urząd w zarządzie kahalnym, a wśród ludności izraelskiej miasteczka i okolic wysoko poważanego dla wielkiej nabożności swej, uczoności i nie mniejszej też umiejętności, z jaką wiódł on interesy swe i powiększał swój majątek.

Młody mężczyzna wraz z dzieckiem, które wiódł za rękę i które zresztą nie tylko nie zdawało się zmartwione swym położeniem, ale owszem, podskakiwało idąc co kilka kroków i nuciło sobie swobodnie — przebył miękki od śmiecia i elastycznie pod stopami uginający się grunt, wśród słupów podjazdowych i okien oświetlonych położony, wszedł do głębokiej sieni, w której ciemnych zapadłościach koń jakiś uderzał kopytem o ziemię i krowa jakaś zapewne głośno przeżuwała, omackiem wynalazł drzwi, ku którym wstępowało się po trzech spróchniałych, chwiejących się wschodkach[42], i na wpół je otworzywszy, wepchnął przywiedzionego malca do wnętrza mieszkania.

[39]*gej* (jid.) — idź, idźcie.
[40]*łokszyna* — łazanki; rodzaj makaronu podawanego w szabas.
[41]*spencerek* (daw.) — kurtka.
[42]*wschodki* (daw.) — dziś: schodki.

Uczyniwszy to, nie cofnął się jednak, ale wsunąwszy głowę przez na wpół otwarte drzwi, zawołał:

— Rebe Jankiel! Ja tobie Mendla przyprowadził. Połaj go albo i ukarz swoją ojcowską ręką. On włóczy się w ciemnościach po miasteczku i na niewinnych ludzi napada!

Przemowa ta, donośnym głosem wypowiedziana, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Z wnętrza mieszkania wychodziło tylko na zewnątrz nieustające i zawodzące mruczenie półgłosem i żarliwie modlącego się człowieka.

Przez drzwi, które młody człowiek trzymał wciąż na wpół otwartymi, widać było izbę dość dużą, o ścianach bardzo brudnych i ogromnym piecowisku, czarnym od pyłu i sadzy. Pośrodku izby stał długi stół nakryty płótnem wątpliwej czystości, lecz rzęsiście oświetlony siedmiu płomykami świec, palącymi się w zawieszonym u sufitu świeczniku.

Uczta sobotnia jeszcze się była nie rozpoczęła, bo jakkolwiek z dalszego wnętrza mieszkania dochodził wielki gwar głosów kobiecych i dziecinnych, znamionujący liczną rodzinę, w izbie z piecowiskiem i długim stołem nikogo nie było prócz człowieka, który stał w kącie izby, plecami zwrócony do drzwi od sieni, a twarzą do ściany. Człowiek ten był średniego wzrostu, bardzo chudy i nadzwyczaj giętki. Wyrażenie stał niedobrze określa położenie jego postaci, na które wszakże odpowiedniego wyrażenia znaleźć by trudno. Nie chodził on wprawdzie i nie skakał, a jednak w ustawicznym i gwałtownym zostawał ruchu. Głowę swą, okrytą silnie rudymi włosy, rzucał on w tył i naprzód, pochylał giętką i cienką swą postać aż prawie do samej ziemi i odrzucał ją znów w tył z nadzwyczajną szybkością. Od gwałtownych ruchów tych szeroko rozwiewały się białe fałdy tałesu, którym był okryty, trzęsły się i rozwiewały długie przewiązki ściskające rękę jego nieco powyżej pięści, trzęsła się i za ramiona rozwiewała się długa, gęsta, ruda broda, opadała mu prawie na czoło tefila[43] spoczywająca, a raczej podskakująca na jego głowie. Z gwałtownymi ruchami tymi zgadzały się też odgłosy wychodzące z ust jego i piersi, to szemrzące z cicha, to wybuchające namiętnymi krzyki[44], to wylewające się przeciągłym, żałosnym, zawodzącym śpiewaniem.

Młody człowiek stojący u progu dość długo patrzał na postać tę modlącą się tak całą duszą albo raczej całym swym ciałem. Czekał widocznie przerwy w modlitwie lub jej końca. Wiadomym jednak było powszechnie, że długo czekać by musiał ten, ktokolwiek chciałby widzieć reba Jankiela kończącego modły swe, gdy raz modlić się on zaczął. Oczekującemu na to w tej chwili młodemu człowiekowi na sercu znać leżała złośliwa swawola małego Mendla. Był on może zresztą z natury już swej niecierpliwym i porywczym.

— Rebe Jankiel! — rzekł głośno po dość długiej chwili. — Twój syn włóczy się po nocach i na niewinnych ludzi napada!

Nie było odpowiedzi.

— Rebe Jankiel, twój syn łaje niewinnych ludzi bardzo brzydkimi wyrazami!

Rebe Jankiel modlił się wciąż z jednakową gorliwością.

— Rebe Jankiel! Twój syn biednym ludziom biedne, małe ich szyby po nocach tłucze!

Rebe Jankiel przewrócił kilka kart dużej księgi, którą trzymał w obu rękach, i śpiewnie, tryumfująco rozgłośnie zawiódł[45]:

— Śpiewajcie Panu pieśń coraz nową, albowiem On stworzył wszystkie cuda! Śpiewajcie! Grajcie! Na arfach grajcie z głośnym przyśpiewywaniem! W trąby i rogi dzwońcie przed Królem, Panem!...

Ostatnim wyrazom towarzyszyło zamknięcie się drzwi od sieni. Młody człowiek szybko zbiegł z kołyszących się pod stopami jego schodków i opuściwszy ciemną, ogromną sień, brnął znowu po wyściełającym podjazd śmiecisku. Kiedy mijał ostatnie z oświetlonych okien, do uszu jego doszedł śpiew półgłosem nucony. Zatrzymał się, i każdy na miejscu jego znajdując się uczyniłby to samo. Śpiew to był męski, młody, czysty jak dźwięk pereł, miękki jak szmer skargi, nabrzmiały prośbą, smutkiem i tęsknotą.

— Eliezer! — szepnął przechodzień i stanął u niskiego okna.

[43]*tefila* (właśc. *tefilin*) — dosłownie: modlitwy; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy-przepisy (cytaty z *Biblii*), które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie; jedno pudełko przytwierdza się rzemykiem do lewego przedramienia (obok serca), a drugie do czoła (do myśli); inaczej też: *filakteria*.

[44]*namiętnymi krzyki* (daw.) — dziś popr. forma N.lm: namiętnymi krzykami.

[45]*zawieść* — tu: zaśpiewać; por. zawodzić.

Okno to miało szyby czystsze daleko jak te, które znajdowały się w innych oknach — zupełnie nawet czyste. Widać było przez nie malutką izdebkę, w której prócz łóżka, stołu i szafy z księgami nic więcej nie było. Na stole paliła się mała, żółta świeczka, a przy nim łokciami o stół wsparty i z głową w dłoniach siedział młody, dwudziestoletni chłopak z nadzwyczaj białą, ściągłą[46], łagodną twarzą. Na twarzy tej nie było śladu rumieńca, ale wydatne usta jego, wolne od wszelkiego zarostu, posiadały koralową barwę. Z ust tych wychodził ów śpiew prześliczny, który zwrócić by mógł na siebie zachwyconą uwagę największego choćby z mistrzów muzyki.

Nie dziw też! Eliezer, syn Jankla, był kantorem gminy szybowskiej, piewcą ludu i Jehowy.

— Eliezer! — powtórzył się za oknem szept miękki i przyjazny.

Śpiewak szept ten usłyszeć musiał, bo szyby w oknie były pojedyncze, a on blisko nich siedział; podniósł też powieki i zwrócił ku oknu źrenice błękitne, omglone, łagodne i smutne. Nie przerwał jednak śpiewu swego, ale owszem, podniósł w górę obie dłonie białe jak alabaster i w ekstatycznej postawie tej, z zachwyconym wyrazem twarzy zanucił głośniej:

— Ludu mój! Zrzuć z siebie kurzawę dróg ciężkich! Powstań i przywdziej szatę piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

Stojący u okna młody człowiek nie wzywał już więcej po imieniu piewcy modlącego się za lud swój. Odszedł on, z ostrożnym uszanowaniem tłumiąc odgłos swych kroków, a idąc pustym, ciemnym placem ku znajdującemu się nie opodal wielkiemu, rzęsiście oświetlonemu domowi, spoglądał na kilka gwiazd blado zza wilgotnej, dusznej mgły nad placem świecących i z cicha, w głębokiej jakby zadumie nucił:

— Pośpiesz! ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

II

Wielki, rzęsiście oświetlony dom stojący naprzeciw brunatnej świątyni i całą szerokością placu z nią rozdzielony był tym samym, który zbudował był Hersz Ezofowicz i w którym żył on z piękną żoną swą, Frejdą. Stuletnie ściany jego, od dawna już poczerniałe od słót i kurzawy, stały jednak prosto i wysokością swą górowały nad wszystkimi innymi w całym miasteczku.

Od godziny już we wnętrzu domu tego, w izbie dużej i ostawionej staroświeckimi, niezmiernie prostymi ławami i stołami, rozpoczął się już był obchód spotykania świętego dnia sabatu.

Spomiędzy kilkudziesięciu osób różnej płci, które przybywały stopniowo i napełniały izbę, powstał gospodarz domu i naczelnik rodziny, Saul Ezofowicz, syn Hersza, i przybliżył się do ogromnego stołu, nad którym wisiały dwa ciężkie, szczerosrebrne, siedmioramienne świeczniki. Starzec ten, z którego pochylonej nieco, lubo[47] barczystej postaci, zoranej twarzy i brody białej jak mleko odgadnąć można było osiemdziesiąt z górą lat wieku, wziął z ręki najstarszego z synów swoich, siwego też męża, płomyk migocący na długim drągu i podnosząc go ku świecom umieszczonym w świecznikach, suchym od starości, lecz silnym jeszcze głosem zawołał:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie światła, któryś oświecił nas przykazaniami Twoimi i rozkazał nam zapalać światła w dzień sabatu!

Zaledwie to wymówił, w świecznikach zapłonęło kilkanaście jasnych świateł, a kilkadziesiąt piersi wybuchnęło zbiorowym okrzykiem:

— Pójdźmy! Pójdźmy spotykać oblubienicę! Z witaniem dobę sabatu spotkajmy!

...Zapłoń! zapłoń, światło królewskie! Z gruzów swych powstań, stolico! Dosyć ci mieszkać w dolinie płaczu!

...Ludu mój! Strząśnij z siebie kurzawę dróg ciężkich! Przyodziej się szatą piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Boże ojców naszych!

...Pójdźmy! Pójdźmy spotykać oblubienicę! Z witaniem dobę sabatu spotkajmy!

[46] *ściągła* — dziś: pociągła (twarz).
[47] *lubo* (daw.) — chociaż.

Długi, śpiewny, gorący gwar modlitw, które następowały jedna po drugiej, napełniał wielką izbę i wezbranymi falami rozchodził się poza okna, daleko po obszernym, ciemnym i pustym placu.

Dosłyszał go już z dala młody człowiek w zamyśleniu plac przebywający i przyśpieszył kroku. Kiedy przeszedłszy ganek, wzniesiony nad ziemię kilku wschodami, i długą wąską sień, rozdzielającą dom na dwie połowy, otworzył drzwi od izby, która płonęła cała od świateł — modlitwy zamieniły się już w niej na rozmowy, a zgromadzone towarzystwo ze śladami jeszcze uroczystego nastroju ducha na twarzach, lecz i z wesołymi już uśmiechami stało przy ławach i stołkach otaczających stół długi, z wielką obfitością zastawiony.

Towarzystwo to składało się z różnych postaci i fizjonomii. Byli tam dwaj synowie Saula wraz z ojcem swym mieszkający, Rafał i Abram, siwiejący już, czarnoocy, o surowych i zamyślonych twarzach mężowie, i zięć jego, jasnowłosy, blady, z łagodnym okiem Ber; były córki, synowie i wnuczki gospodarza domu, niewiasty dojrzałe, z okazałymi kibiciami i wysokimi czepcami na starannie uczesanych perukach, lub młode dziewczęta o śniadych licach i ogromnych warkoczach, spod których błyskały młode oczy rozweselone świętem i świątecznym strojem. Kilku młodych bardzo mężczyzn do rodziny należących i kilkanaścioro dzieci najróżniejszego wieku otaczało niższy koniec stołu; u miejsca najpokaźniejszego stał stary Saul i z wyrazem oczekiwania na twarzy spoglądał na drzwi wiodące do dalszych izb domostwa. Po chwili we drzwiach tych zjawiły się dwie kobiece postaci, od jednej z których posypały się i zaiskrzyły tęczowe, olśniewające niemal blaski.

Była to kobieta bardzo, bardzo stara, wysoka jednak i bynajmniej nie zgarbiona, owszem, trzymająca się prosto i wyglądająca silnie. Głowę jej otaczał zawój barwisty, którego końce spięte były nad czołem ogromną klamrą z diamentów. Diamentowe spięcie zamykało naszyjnik, który z mnóstwa sznurów ogromnych pereł złożony opadał na pierś jej aż po związanie śnieżnego fartucha okrywającego z przodu kwiecistą, szeleszczącą ciężkim jedwabiem spódnicę. Diamentowe też kolce, tak długie, że aż dotykały ramion kobiety, a tak ciężkie, że przytrzymywać je trzeba było nićmi uczepionymi do jej zawoju, mieniły się i migotały blaskami brylantów, szmaragdów, rubinów i za każdym poruszeniem z dźwięcznym szmerem uderzały o perły i połyskujący zza nich gruby, złoty łańcuch.

Podobną ilością kosztownych i świetnych ozdób jaśnieć mogą tylko książęce niewiasty na balach albo — święte relikwie w świątyniach. Stuletnia ta izraelska niewiasta, przybrana we wszystkie kosztowności od wieków nabywane i zgromadzone w jej domu, była znać dla wszystkich ludzi tych, pośród których teraz wchodziła, wysoką cześć budzącą relikwią rodzinną.

Kiedy prowadzona przez jedną z prawnuczek swoich, dziewczynę o smagłej twarzy i kruczym warkoczu, stanęła na progu izby, wszystkie oczy zwróciły się ku niej, wszystkie usta uśmiechnęły się i zaszemrały:

— *Bobe*! — albo: — *Elte Bobe*! Babka! Prababka!

Większość osób wymówiła wyraz ostatni, albowiem więcej tu było prawnuków i praprawnuków jej niż wnuków. Jeden tylko gospodarz domu i naczelnik rodziny całej rzekł do niej z cicha:

— Mame!

Dziwnie słodko jakoś i uroczyście zarazem zabrzmiał wyraz ten, dziecięcym ustom zwykły, w zwiędłych żółtych wargach Saula, poruszających się wśród białego jak mleko zarostu. Pod białymi też jak mleko włosami, okrytymi aksamitną jarmułką, wygładziło się też przy wymawianiu wyrazu tego zorane czoło jego.

Lecz gdzież podziały się smagłe, gładkie lica, czarne, ogniste oczy i smukła kibić Frejdy, cichej, roztropnej, pracowitej żony i powiernicy Hersza Ezofowicza? Przeżyła już ona je od dawna, tak jak przeżyła męża, pana i zarazem przyjaciela swego. Z upływem czasu kibić jej, cienka niegdyś i wysmukła, rozrosła się i przybrała kształt pnia, który wypuścił z siebie wiele silnych i urodzajnych gałęzi. Twarz jej pokrytą była teraz takim mnóstwem drobniutkich zmarszczek, że śród nich ani najmniejszego gładkiego miejsca wynaleźć nie byłoby podobna; oczy zmniejszyły się, zapadły i spoglądały zza pomarszczonej, z rzęs ogołoconej powieki spłowiałą, bladozłotawą źrenicą. Ale na twarzy tej, zmiętej w dłoni czasu, rozlewał się spokój niezmącony i słodki. Małe, złotawe źrenice spoglądały dokoła z uśmiechającą się ciszą ducha usypiającego wśród błogich dlań szmerów; cichy uśmiech

Starość, Kobieta

słodkiego usypiania okrążał żółte, zaledwie widne wargi, które od dawna już milknąć poczęły, otwierając się coraz rzadziej dla wymówienia coraz krótszych wyrazów.

Teraz, ramieniem ubranym w biały, bufiasty rękaw otaczając szyję hożej i silnej dziewczyny, stanęła ona przy rodzinnym stole i, zza mrużącej się od rzęsistych światełek powieki powiódłszy spojrzeniem po wszystkich otaczających twarzach, wymówiła głośnym szeptem:

— *Wo ist Meir*[48]?

Prababka przemówiła.

Zgromadzenie całe poruszyło się od słów jej niby drzewa od powiewu wiatru. Mężczyźni, kobiety i dzieci oglądali się jedni na drugich i po wielkiej izbie rozszedł się szept gromadny:

— *Wo ist Meir*?

Wśród wielkiej ilości zebranych tu członków rodziny nieobecność jednego z nich zauważoną dotąd nie została.

Stary Saul nie powtórzył pytania matki, ale czoło jego zmarszczyło się bardziej jeszcze, a oczy z surowym i gniewnym nieco wyrazem patrzały na drzwi od sieni.

Drzwi te otworzyły się w tej samej chwili. Do izby wszedł wysoki i kształtny mężczyzna w długim ubraniu przybranym u szyi i piersi kosztownym futrem. Wszedł, zamknął drzwi za sobą i stanął tuż u progu, onieśmielony jakby czy zawstydzony. Spostrzegł, że spóźnił się, że wspólne rodzinne modlitwy odmówionymi zostały bez niego, że oczy dziada jego, Saula, dwóch stryjów jego i kilku starszych kobiet spotkały go wejrzeniem surowego wyrzutu i badawczego pytania.

Tylko złotawe źrenice prababki nie błysnęły na widok wchodzącego gniewem ni niepokojem. Owszem, powiększyły się one i zajaśniały radością. Zmarszczone powieki jej nawet drżeć i mrużyć się przestały, a żółte, wąskie wargi poruszyły się i wymówiły takim, jak wprzódy, szeptem głośnym, choć bezdźwięcznym:

— *Ejnykłchen*! *Kleiniskind*! Wnuczku! Dzieciątko!

Na dźwięk szeptu tego brzmiącego radością i pieszczotą zamknęły się usta Saula, które otwierały się już były dla wymówienia surowych słów zapytania lub wyrzutu, spuściły się ku stołowi pytające i gniewne oczy dwóch synów jego. Spóźnionego przybysza powitało tylko ogólne milczenie, które jednak przerwała znowu prababka, powtarzając raz jeszcze:

— *Kleiniskind*!

Saul wyciągnął ręce nad stołem i półgłosem podał obecnym motyw modlitwy odmawianej przed ucztą sobotnią.

— Błogosławionym niech będzie Pan… — zaczął.

— Błogosławionym niech będzie… — rozszedł się po izbie gwar przytłumiony i wszyscy stali przez minut kilka dokoła stołu, modlitwą poświęcając znajdujące się na nim potrawy i napoje.

Przybyły młody człowiek nie połączył się jednak z chórem ogólnym, lecz usunąwszy się w głąb izby odmawiał opuszczone przez się dnia tego modlitwy sobotniego kiduszu[49]. Czyniąc to, nie dokonywał ciałem swym żadnych poruszeń, ręce spokojne miał skrzyżowane na piersi, a wzrok nieruchomo utkwiony w okno, za którym wisiała głęboka ciemność wieczoru.

Rysy twarzy jego, ściągłe[50] i łagodnie zarysowane, okryte były bladością właściwą naturom nerwowym i namiętnym. Bujne, ciemnopłowe włosy ze złotymi odbłyskami opadały mu na białe czoło, spod którego oczy, głęboko osadzone, z wielką, szarą, błyszczącą źrenicą, patrzały wejrzeniem zamyślonym i trochę smutnym. W całym zresztą wyrazie twarzy młodego człowieka tego mieszały się ze sobą cechy chmurnego prawie smutku i dziecięcej nieledwie nieśmiałości. Czoło i oczy jego zdradzały tajemną myśl jakąś dolegliwą, niespokojną i niemal gniewną, ale cienkie usta posiadały zarys miękkiej czułości

[48]*Wo ist Meir* (jid.) — gdzie jest Meir.

[49]*kidusz* — dosł.: poświęcenie, uświęcenie; tak nazywa się błogosławieństwo odmawiane nad chlebem oraz kielichem wina w wigilię sobót i świąt oraz w dni sobotnie i świąteczne tuż po nabożeństwie przedpołudniowym; na rozpoczęcie *szabatu* odmawia się *kidusz* po zapadnięciu zmroku w piątek, a następnie rano w *szabat*; między tymi modlitwami należy zachować post.

[50]*ściągły* — dziś: pociągły.

i zaledwie dostrzegalnie drżały od chwili do chwili pod wpływem jakby tajemnie doznawanej obawy. Zwierzchnią wargę i krańce policzków okrywał mu gęsty puch złotawy, objawiający, iż dosięgnął on lat dziewiętnastu lub dwudziestu wieku, więc pory życia, która dla wcześnie dojrzewających mężów izraelskiego plemienia uważaną bywa za porę pozwalającą już, a nawet zmuszającą niejako do zajęcia się na własną rękę rodzinnymi i życiowymi sprawami.

Kiedy młody człowiek ukończył swe modlitwy i zbliżył się do stołu, aby zająć przy nim zwykłe swe miejsce, spośród zgromadzonych odezwał się głos chrapliwy nieco i zanoszący się w taki sposób, jakby mówiący człowiek każdy wyraz swój nie wymawiał, lecz wyśpiewywał:

— A gdzie ty, Meir, był dziś tak długo? Co ty tak późno robił w mieście, kiedy już sabat rozpoczął się i nikomu nic robić nie wolno? Dlaczego ty dziś sobotniego Kiduszu z całą swoją familią nie odprawił? Czemu u ciebie czoło takie blade i oczy takie smutne, kiedy dziś sabat, wesoły dzień, w niebie cała niebieska familia cieszy się, a na ziemi wszyscy pobożni ludzie cieszyć się powinni i dusze swoje utrzymywać w wielkiej radości?

Wszystko to wypowiedzianym zostało przez człowieka dziwnie wyglądającego. Był to człowieczek raczej mały, chudy, suchy, z wielką głową jeżącą się twardymi, ciemnymi włosy, z twarzą ciemną, okrągłą, opatrzoną wielkim, splątanym zarostem, wielką brodą zdradzającą śmiertelny wstręt do grzebienia i szczotki i okrągłymi oczami, które zza wypukłej powieki ruszały się z szybkością nieporównaną, rzucając dokoła przelotne, ostre błyski. Chudość i suchość ciała człowieczka tego uwydatnionymi były strojem dziwniej jeszcze niż on sam wyglądającym. Był to też strój prostoty niezwykłej, bo składający się z jednej koszuli tylko, a raczej z woru, który zszyty z szarego, szorstkiego płótna, u szyi i w pasie grubym sznurem z konopi przewiązany, opadał aż do ziemi i na wpół przykrywał ciemne, bose zupełnie nogi.

Kim był człowiek ten w stroju ascety, z oczami fanatyka, a z ustami pełnymi wyrazu mistycznego, głębokiego, pijanego niemal rozradowania? Był to reb Mosze, mełamed, czyli nauczyciel religii i hebrajskiego języka, doskonały pobożny; w wichry, słoty, mrozy i upały jednostajnie bosonogi, w płócienny swój wór przyodziany, na wzór ptaków niebieskich żyjący nie wiedzieć czym — ziarnem jakimś chyba tu i ówdzie rzuconym; prawe oko zresztą i prawa ręka wielkiego rabina szybowskiego, Izaaka Todrosa, i pierwszy po rabinie tym przedmiot czci i podziwu dla gminy całej.

Usłyszawszy tłumnie wychodzące z ust mełameda, a ku niemu zwrócone pytania, Meir Ezofowicz, prawnuk Hersza, a wnuk starego Saula, nie usiadł jeszcze przy stole, ale wyprostowany, ze spuszczonym ku ziemi wzrokiem, głosem przytłumionym widoczną nieśmiałością odpowiedział:

— Rebe! Ja nie był tam, gdzie weselą się albo dobre interesy robią. Ja był tam, gdzie ciemno i gdzie w ciemnościach bardzo biedni ludzie siedzą i płaczą...

— Nu! — zawołał mełamed. — A gdzie to dziś smutno być może? Dziś sabat, wszędzie światło i wesoło... gdzie dziś może być ciemno?

Kilku starszych członków rodziny podniosło głowy i chóralnie powtórzyło zapytanie:

— Gdzie dziś może być ciemno?

I wnet potem chóralne znowu wybuchnęło pytanie:

— Gdzie ty był Meir?

Meir nie odpowiadał. Na twarzy jego, o spuszczonych powiekach, malowały się nieśmiałość i wewnętrzne wahanie.

Nagle jedna z dziewcząt siedzących u niższego końca stołu, ta sama, która przed chwilą wprowadziła była do rodzinnego koła starą prababkę, dziewczyna ze smagłą twarzą i czarnym, figlarnym okiem, zawołała, wesoło uderzając w dłonie:

— Ja wiem, gdzie dziś jest ciemno!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej i wszystkie usta zapytały:

— Gdzie?

Pod wpływem ściągniętej na siebie powszechnej uwagi Lija zarumieniła się i ciszej już, z niejakim zawstydzeniem rzekła:

— W chacie Abla karaima, tej, co tam przy karaickim pagórku stoi.

— Meir! Czy ty był u karaimów?

Pytanie to wymówionym zostało przez kilkanaście głosów, spośród których wyróżniał się wszakże wszystkie inne przenosząc piskliwy, ostry głos mełameda.

Na onieśmieloną dotychczas twarz młodego człowieka wybijać się począł wyraz przykrego i gniewnego nieco rozdrażnienia.

— Ja u nich nie był — odpowiedział głośniej już nieco niż wprzódy — ale ja ich od wielkiej napaści obronił.

— Od napaści? Od jakiej napaści? A kto na nich napadał? — drwiącym tonem zapytał mełamed.

Tym razem Meir podniósł powieki i błyszczące źrenice utkwił w twarzy pytającego.

— Reb Mosze! — rzekł. — Ty wiesz, kto na nich napadał. Napadali na nich twoi uczniowie... Oni tak co piątku robią... a dlaczego oni nie mają tak robić, kiedy wiedzą...

Zatrzymał się i spuścił znowu oczy. Obawa i gniewne uczucie walczyły w nim widocznie.

— Nu! Co oni wiedzą! Dlaczego ty, Meir, nie skończył? Co oni wiedzą? — śmiał się reb Mosze.

— Wiedzą, że ty, rebe Mosze, pochwalisz ich za to...

Mełamed przypodniósł się na krześle, oczy jego zaiskrzyły się i szeroko rozwarły. Wyciągnął ciemną, chudą rękę i chciał coś mówić, ale nie dopuścił go tym razem do słowa silny już i dźwięczny głos młodego człowieka.

— Reb Mosze — mówił Meir, pochylając nieco przed mełamedem głowę, która widocznie z trudnością podawała się kornym pokłonom — reb Mosze, ja szanuję ciebie... ty mię uczył... ja ciebie nie pytam, dlaczego ty swoim uczniom nie zabronisz biednym ludziom w ciemnościach gwałty wyrządzać... ale ja sam na te gwałty patrzeć nie mogę... mnie serce boli, jak na nie patrzę, bo do głowy mi myśl przychodzi, że z takich złych dzieci będą źli ludzie i że kiedy one teraz trzęsą biedną chatę starca i kamienie na niego przez okna rzucają, to potem będą domy podpalać i ludzi zabijać! Oni by dziś tę biedną chatę rozwalili i tych biednych ludzi pozabijali, żebym ja tam nie przyszedł i nie obronił... Ale ja przyszedł i obronił...

Przy ostatnich wyrazach Meir usiadł za stołem na przeznaczonym dla siebie miejscu. Nie było już na twarzy jego obawy ni nieśmiałości. Głęboko znać czuł słuszność swej sprawy, bo śmiałym wzrokiem spojrzał dokoła i tylko usta jego zadrgały w sposób właściwy naturom świeżym i wrażliwym. W tejże jednak chwili stary Saul i dwaj synowie jego podnieśli ręce w górę i jednogłośnie wymówili:

— Sabat!

Głosy ich były uroczyste, a wzroki, które na Meira zwracali, surowe i niemal gniewne.

— Sabat! Sabat! — podskakując na krześle swym i szeroko rozrzucając rękami podchwycił i krzyczał mełamed. — Ty, Meir, w święty wieczór sabatu, zamiast Kidusz odmawiać i ducha swego wielką radością napełniać, i oddawać jego w ręce anioła Matatrona, co pokolenia Jakuba przed Bogiem broni, ażeby on go oddał w ręce Sar-ha-Olama, co jest aniołem nad aniołami i książęciem świata, ażeby Sar-ha-Olam oddał go dziesięciu sefirotom, co takie wielkie siły są, że cały świat stworzyły, ażeby przez te dziesięć sefirotów duch twój dostał się aż do tego wielkiego tronu, na którym siedzi sam En-Sof, i z nim pocałunkiem miłości złączył się, ty, Meir, zamiast to wszystko robić, chodził bronić jakichś ludzi od jakichś napaści, domu ich pilnował i życia ich strzegł! Meir! Meir! Ty sabat naruszył! Tobie trzeba iść do szkoły i przed całym ludem oskarżyć się głośno, że ty wielkie grzechy i wielkie zgorszenia wyrabiasz!

Przemowa ta mełameda wywarła na zgromadzeniu całym silne wrażenie. Saul i synowie jego wyglądali groźnie, kobiety zdumione były i przerażone; w czarnych oczach Lii, która pierwsza zdradziła tajemnicę stryjecznego brata, kręciły się nawet łzy. I tylko zięć Saula, łagodny, błękitnooki Ber, spoglądał na oskarżonego ze smutnym jakby współczuciem, a kilku młodych ludzi, rówieśników Meira lub młodszych od niego, patrzyli w twarz jego jak w tęczę, z ciekawością i niepokojem przyjaznym.

Meir odpowiedział drżącym trochę głosem:

— W świętych księgach naszych, rebe Mosze, w *Torze* ani w *Misznie*, nie ma nic o sefirotach ani o En-Sofie. Ale tam za to wyraźnie stoi, że *Jehowa*, choć sabat święcić rozkazał, pozwolił jednak, aby dwudziestu ludzi naruszyło go dla ratowania jednego człowieka.

Samo już odpowiadanie mełamedowi, doskonałemu pobożnemu i prawej ręce rabina Todrosa, było zuchwałością niesłychaną i zdumiewającą. Cóż dopiero, gdy w odpowiadaniu tym mieściło się niewyraźne chociażby zaprzeczenie sądom jego! Toteż wypukłe oczy mełameda zaledwie nie wystąpiły ze swych zagłębień, tak roztworzyły się szeroko i tak rozjątrzonym spojrzeniem okryły pobladłą nieco wśród utarczki twarz Meira.

— Karaimy! — krzyczał, miotając się na swym stołku i rękami chwytając się brody swej i włosów. — Ty karaimów ratował! Odszczepieńców! Niedowiarków! Wyklętych! Na co ich ratować? Dlaczego oni w sabaty świateł nie zapalają i w ciemnościach siedzą? Dlaczego oni zwierzęta i ptaki, co do jedzenia służą, nie z przodu, ale z tyłu szyi zarzynają? Dlaczego oni *Miszny*[51], *Gemary*[52] i *Zoharu* nie znają?

Zachłysnął się z uniesienia wielkiego i umilkł, a w przerwie tej ozwał się czysty i dźwięczny głos Meira:

— Rebe! Oni są bardzo biedni!

— En-Sof mściwy jest i nieubłagany!

— Oni cierpią wielkie prześladowania od ludzi!

— Niepojęty ich prześladuje — krzyczał rebe.

— Przedwieczny prześladować nie każe. Rabbi Huna powiedział: „Jeżeli prześladujący sprawiedliwym nawet jest, a prześladowany złoczyńcą, Przedwieczny ujmuje się za prześladowanym".

Reb Mosze płomienne miał rumieńce na ciemnych policzkach. Oczy jego zdawały się zjadać i pożerać bladą twarz młodzieńca o pałającym, śmiałym już teraz wejrzeniu i ustach drżących mnóstwem niedopowiedzianych, przemocą w piersi stłumionych wyrazów.

Zebranie całe miało pozór zdumienia, przerażenia, smutku. Sprzeczka podobna z mełamedem jednym wydawała się grzechem, innym wstydem, innym jeszcze niebezpieczeństwem dla zuchwałego młodzieńca lub i dla jego całej rodziny.

Toteż Saul spod siwych swych brwi najeżonych wlepił groźne wejrzenie w twarz wnuka i przeciągle ku niemu syknął:

— Szaaa!

Meir pochylił przed dziadem głowę w znak pokory i poddania się, a jeden z synów Saula dla złagodzenia gniewu reb Mosza, a zapewne też i dla własnego zbudowania, zapytał go, jakie różnice zachodzą pomiędzy powagą i świętością ksiąg talmudycznych i *Zoharu*, księgi *Kabały*[53], i czy doskonały pobożny zajmować się powinien badaniem pierwszych raczej czy drugich.

Wysłuchawszy zapytania tego, mełamed obu łokciami szeroko rozparł się na stole, oczy swe nieruchomo i z wyrazem głębokiego namysłu utkwił w przeciwległej ścianie i z wolna, uroczystym głosem mówić zaczął:

— Simon ben Jochai[54], wielki rabbi, co żył okropnie dawno temu i wiedział wszystko, co w niebie i na ziemi dzieje się, powiedział: „*Talmud* — to nikczemna niewolnica, a *Kabała* — to wielka Królowa". Czym *Talmud* napełniony? On napełniony bardzo małymi, podrzędnymi rzeczami. On uczy, co czyste jest, a co nieczyste, a co pozwolone, a co niepozwolone, co skromne, a co nieskromne. A czym *Zohar*, księga blasku, księga *Kabały*, napełniony? On napełniony wielką nauką: czym jest Bóg i jego sefiroty. On ich wszystkich imiona zna i naucza, co oni robią i jak oni świat budują. W nim napisane, że Bóg nazywa się En-Sof, a drugie jego imię — Notarikon, a trzecie jego imię — Gematria, a czwarte jego imię — Zirufi. A sefiroty, co są wielkimi niebieskimi siłami, nazywają się: źródło człowiecze, narzeczona, biała głowa, wielka twarz, mała twarz, lustro, piętro niebieskie, piętro ziemskie, lilia i ogród jabłeczny. A Izrael nazywa się Matrona, a Bóg dla Izraela nazywa się Ojciec. Bóg, En-Sof, nie stworzył świata, tylko stworzył jego siły

[51]*Miszna* a. *Miszne* — zbiór praw i opinii halachicznych (63 traktaty zawierające uporządkowane treściowo przepisy prawa religijnego i świeckiego) skodyfikowanych przez rabbiego Judę ha-Nasiego w II w. n.e w języku hebrajskim, starsza część *Talmudu*; do niej odnoszą się komentarze *Gemary*.

[52]*Gemara* — zbiór prac uczonych żyd. zwanych *amoraitami*, kontynuatorów *tannaitów*; amoraici działali między 219 a 500 r. n.e., zajmując się objaśnianiem *Miszny* w dwóch ośrodkach: w Erec Jisrael i Babilonii; powstała zatem wersja *Gemary* babilońska i jerozolimska; dziś obowiązujący jest *Talmud* babiloński.

[53]*Kabała* — mistyczne księgi żydowskie: *Zohar* (tj. Blask) i *Tefer jeciva* (tj. Księga Stworzenia), oraz *Echachaim* (tj. Drzewo Życia).

[54]*Szymon (Simon) ben Jochaj* — mędrzec *Miszny*, II w. n.e., mistyk; przypisywano mu autorstwo podstawowej księgi kabalistycznej *Zohar*.

niebieskie, sefiroty. Pierwszy sefirot urodził siłę boską, drugi wszystkich aniołów i *Torę* (*Biblię*), z trzeciego wyszli prorocy. Czwarty sefirot urodził z siebie boską miłość, a piąty boską sprawiedliwość, a szósty taką siłę, co wszystko rwie, drze i niszczy. Z siódmego sefirota urodziła się piękność, z ósmego wspaniałość, z dziewiątego przedwieczna przyczyna, a z dziesiątego — takie oko, co nad Izraelem ciągle czuwa i za nim po wszystkich drogach jego chodzi i nóg jego strzeże, ażeby nie zraniły się, a głów — aby na nie wielkie nieszczęścia nie spadały. Tego wszystkiego uczy *Zohar*, księga *Kabały*, i ona jeszcze uczy, skąd te sefiroty wzięły się i jak one rozdzielają się, i jak z liter, które składają ich imiona, i z tych, które imiona Boga składają, wszystkie tajemnice świata odgadywać. I to jest wielka nauka, pierwsza nauka dla każdego Izraelity. Wiem ja, że wielu Izraelitów mówi, że *Talmud* ważniejszy, ale oni wszyscy, co tak mówią, głupi są i nie wiedzą o tym, że póty ziemia trząść się będzie od wielkich boleści i póty Bóg i Izrael, Ojciec i Matrona, nie połączą się pocałunkiem miłości, dopóki niewolnica nie ustąpi przed królową, *Talmud* przed *Kabałą*. A kiedy ta pora przyjdzie? Ona wyjdzie wtedy, jak na świecie zjawi się Mesjasz. Wtedy będzie dla wszystkich ludzi pobożnych i uczonych Jobel-ha-Gadol, wielkie święto radości! Wtedy Pan Bóg każe ugotować rybę Lewiatan, co taka wielka jest, że na niej cały świat stoi, a wszyscy do wielkiej uczty usiądą i rybę tę jeść będą, pobożni i uczeni od głowy, a lud prosty i nieuczony od ogona!...

Skończył mełamed, odetchnął głęboko po długim mówieniu i spuściwszy wzrok ku stołowi, spadł nagle z mistycznych wysokości ku ziemskim realnościom. Na talerzu bowiem przed nim woniała pieprzem i korzeniami różnymi część wybornej ryby, nie Lewiatana jeszcze wprawdzie, ale zawsze smacznego wielce jakiegoś mieszkańca wód. Mełamed zaś w ascetyczny sposób całe życie swe pędząc, uczty sobotnie lubił i obficie ich używał, przekonanym był bowiem, że utrzymywanie ciała i ducha swego we wszechstronnej radości obowiązkiem było do dnia sabatu przywiązanym jak długie i żarliwe modły. Z resztą więc mistycznej ekstazy w okrągłych oczach i z błogim uśmiechem na ustach począł ciemnymi rękami rozrywać i do ust nosić podany mu przysmak. Zgromadzenie przecież całe długo jeszcze po umilknięciu jego — milczało. Mądra przemowa jego sprawiła na wszystkich prawie obecnych silne wrażenie. Stary Saul słuchał jej z wyrazem głębokiego uszanowania na twarzy. Grube zmarszczki okrywające jego czoło drgnęły kilka razy pod wpływem jakby tajemniczej, nerwowej trwogi. Synowie jego utkwili w stół zamyślone oczy i w skupieniu ducha rozważali mądre nauki reb Mosza, mimo woli może i z pewnością z szacunkiem dla nich nieograniczonym szukając w mrocznych tych przepaściach rozbujałej fantazji ludzkiej przewodniego promyka, który by je widniejszymi nieco uczynił. Kobiety posplatały pobożnym gestem dłonie na piersiach, przechylały w znak podziwu głowy swe z jednej strony na drugą i usmiechnionymi od zachwytu usty szeptały cichuteńko:

— Nauczny człowiek! Mądry człowiek! Doskonały pobożny! Prawdziwy uczeń wielkiego rabbi Izaaka!

Ktokolwiek by jednak badał w tej chwili uważnie fizjonomie osób stół obsiadujących, spostrzec by musiał dwa spojrzenia, które szybkie jak błyskawice, niedostrzegalne wszystkim obecnym, strzeliły wzajem ku sobie w czasie przemowy mełameda. Spojrzenia to były Bera i Meira. Pierwszy rzucił ku drugiemu smutnym wzrokiem, drugi odbłysnął mu oczami pełnymi powściąganego gniewu i szyderstwa. Kiedy mełamed mówił o rybie Lewiatanie, tak wielkiej, że cały świat stoi na niej, a którą w dzień Mesjaszowy uczeni spożywać będą od głowy, a nieuczeni od ogona — po cienkich, inteligentnych wargach Meira przemknął uśmiech. Był to uśmiech podobny do sztyletu. Ukłuł on z pewnością boleśnie tego, na czyich ustach się ukazał, zdawało się też, iż rad by był ukłuć i tego, kto go wywołał. Ber na uśmiech ten odpowiedział westchnieniem. Ale dostrzegli go trzej czy czterej młodzi ludzie, którzy naprzeciw Meira siedząc, często nań z wyrazem pytania w oczach spoglądali; spostrzegli go i po twarzach ich przebiegły jak odblaski lub echa Meirowego uśmiechu... Po chwilowej ciszy przerywanej tylko dzwonieniem noży o talerze i głośnym poruszaniem się szczęk mełameda stary Saul głos zabrał:

— Wielkie to są rzeczy, mądre i bardzo straszne rzeczy, o których nam reb Mosze, niech dzięki jemu będą, opowiedział. Słuchajcie ich, dzieci, wnuki i prawnuki moje, i napełniajcie nimi głowy wasze jako winem, które rodzi życie, a zabija grzech, szanujcie uczonych mężów, którzy wielką mądrością swoją utrzymują chwałę i moc Izraela, bo

napisane stoi, że „uczeni są fundamentem świata". Kto szanuje ich i o mądre rzeczy, które oni wiedzą, często ich zapytuje, temu przebaczone będą wszystkie grzechy jego życia. A kto z nas grzechów nie ma? Kto nie zatrzęsie się ze strachu, kiedy umierać będzie i przypomni sobie wszystko, co on przez całe życie złego zrobił?

Tu urwał się nagle suchy, stary głos Saula, lekkie drgnienie przebiegło po całym ciele jego, a siwe, gęste brwi zsunęły się i zjeżyły. Miał wtedy pozór człowieka przejętego tajemną trwogą. Czyliżby w pamięci jego istniały dokuczliwe wspomnienia popełnionych kiedyś grzechów, które odkupić pragnął zatapianiem się w mistycznej nauce i czcią dla jej mistrzów? Reb Mosze podniósł twarz znad talerza i ustami pełnymi jadła, które spożywał, wybełkotał:

— Dobre czyny człowieka sprowadzają na niego nieprzerwany potok łaski i przebaczenia. One otwierają przed nim tajemnice nieba i ziemi i dusze jego zanoszą pomiędzy sefiroty!

Pełne czci i skupienia ducha milczenie odpowiedziało słowom tym pełnym obietnic, lecz po kilku sekundach przerwał je, u niższego końca stołu brzmiący, dźwięczny głos młodzieńczy:

— Reb Mosze! A co nazywa się dobrym czynem? Co czynić trzeba, aby duszę od grzechu wybawić i ściągnąć na siebie wielki strumień łaski? — głośno zapytał Meir.

Mełamed podniósł wzrok na pytającego. Spojrzenia ich spotkały się znowu ze sobą. Bure oczy mełameda zaiskrzyły się gniewnie i groźnie; po szarych, przezroczystych źrenicach młodzieńca przelatywały srebrne błyski tajonych jakby uśmiechów.

— Ty, Meir, uczniem moim był i o takie rzeczy pytać się teraz możesz! Czy ja wam nie mówił i nie powtarzał tysiące tysięcy razy, że najlepszym uczynkiem człowieka jest zagłębianie się w świętej nauce? Kto robi to, temu wszystko przebaczonym będzie, a kto tego nie robi, ten przeklętym zostanie i od łona Izraela i od świata czystych duchów odepchniętym, choćby ręce jego i serce czyste były jako śnieg i choćby on pierś sobie rozdarł, aby ciałem swoim głodnych nakarmić, a krwią swoją napoić tych, którzy pragną...

Wymówiwszy to, zwrócił się do Saula i ciemnym palcem swym wskazując Meira, rzekł:

— On nic nie umie i nie wie! On zapomniał już wszystkiego, czego ja jego nauczył!

Starzec pochylił nieco przed mełamedem zbrużdżone swe czoło i pojednawczym głosem rzekł:

— Przebacz jemu, rebe, to jeszcze dziecko! Jak jemu rozum do głowy przyjdzie, on pozna, że usta jego były bardzo zuchwałe, kiedy on śmiał sprzeciwiać się tobie, i on będzie z pewnością taki nauczny i taki pobożny, jak byli wszyscy ludzie z familii naszej...

Wyprostował się, duma zaświeciła mu w przymglonych od starości oczach.

— Słuchajcie mię, dzieci, wnuki i prawnuki moje! — wyrzekł. — Familia nasza, familia Ezofowiczów, to nie byle jaka familia. My, dziękować Bogu, niech pochwalonym będzie święte imię Jego, wielkie bogactwa mamy w skrzyniach i w spichrzach, i na wicinach[55] naszych, ale większe jeszcze są te bogactwa, które my mamy w przeszłości familii naszej. Prapradziad nasz był Seniorem, starszym nad wszystkimi Żydami, co w kraju tym mieszkali, i bardzo ulubionym od samego króla, a tate mój, Hersz, wielki Hersz, miał przyjaźnie z największymi purycami[56] i oni go do swoich karet sadzali, i dla wielkiej mądrości jego wozili go do króla i do sejmu, co wtedy w Warszawie siedział...

Umilkł starzec na chwilę i rozjaśnionymi dumą i tryumfem oczami spoglądał dokoła. Zgromadzenie całe utkwiło weń oczy jak w tęczę; mełamed schmurzył się i z wolna popijał wino ze sporego kielicha, a stara, drzemiąca już prababka obudziła się nagle i zza mrużących się powiek błyskając złotawą źrenicą, głośnym swym, bezdźwięcznym szeptem zawołała:

— Hersz! Mój Hersz! Mój Hersz!

Po chwili Saul mówić zaczął znowu:

— W naszej familii jest jeden wielki skarb, taki skarb, jakiego nie ma w całym Izraelu. A skarb ten to długie pisanie, które zostawił pradziad nasz, Michał Senior, i w którym bardzo wielkie i mądre rzeczy napisane stoją... Tam napisane stoi, jak człowiek robić

[55] *wicina* — statek rzeczny używany daw. na Litwie do spławiania towarów.
[56] *puryc* (jid.) — bogacz, magnat, pan na włościach.

powinien i jak Izrael cały robić powinien, ażeby bardzo bogatym i bardzo potężnym zostać, wszystkich nieprzyjaciół swoich zwyciężyć i na ich miejscu na tronie całego świata zasiąść. Żeby my te mądre pisanie mieli, tobyśmy bardzo szczęśliwi byli, w tym tylko bieda, że nie wiadomo, gdzie to pisanie jest...

Od czasu jak Saul mówić począł o mądrym pisaniu dziada swego, pomiędzy patrzącymi na niego kilkudziesięciu parami oczu dwie pary źrenic zaiskrzyły się namiętnym, ale całkiem sprzecznym uczuciem. Były to oczy mełameda, który chichotał z cicha i zjadliwie, i Meira, który wyprostował się na swym siedzeniu i z palącą ciekawością wpatrywał się w twarz opowiadającego.

— Pisanie to — mówił dalej Saul — dwieście lat leżało schowane i nikt jego nie tknął. A kiedy dwieście lat skończyło się, znalazł je tate mój, Hersz. Gdzie on je znalazł, tego nikt nie wie, tylko jedna ta stara prababka...

Tu palcem wskazał na matkę swą i dokończył:

— I ona jedna wie, gdzie on te pisanie znowu schował, ale ona tego nikomu jeszcze nie powiedziała...

— A dlaczego ona tego nikomu nie powiedziała? — chichocząc wciąż zjadliwie i z cicha zapytał mełamed.

Saul odpowiedział smutnym głosem:

— Reb Nochim Todros, niech błogosławioną będzie pamięć jego, mówić jej o tym zabronił.

— A dlaczego wy, reb Saulu, nie szukaliście sami pisania tego?

Saul jeszcze smutniej odrzekł:

— Reb Baruch Todros, syn reb Nochima, i reb Izaak, niech sto lat żyje, syn reb Barucha, szukać mi go zabronili!

— I niech nikt go nigdy nie szuka! — wykrzyknął z całej siły swej mełamed, podnosząc wysoko rękę uzbrojoną w widelec. — Niech nikt nigdy nie szuka pisania tego, bo ono pełne jest wielkiego bluźnierstwa i plugastwa! Rebe Saulu, zakaż ty dzieciom, wnukom i prawnukom swoim, aby pisania tego nie szukali, a jeżeli je znajdą, ażeby je ogniu na pożarcie dali! Bo kto pisanie to znajdzie i głośno ludowi przeczyta, na tego padnie *chajrym* i on wyrzuconym będzie z łona Izraelowego. Tak mówili reb Nochim i reb Baruch, niech błogosławioną będzie pamięć ich, tak mówi reb Izaak, niech sto lat żyje! W pisaniu tym klątwa jest i wielkie nieszczęście dla tego, kto je znajdzie!

Głębokie milczenie nastąpiło po słowach tych z nadzwyczajnym uniesieniem przez mełameda wymówionych, a wśród milczenia tego dało się słyszeć długie, drżące, namiętne westchnienie. Wszyscy obejrzeli się wkoło siebie, chcąc dowiedzieć się, czyja pierś wydała z siebie ten szmer rozrywającego jakiegoś pragnienia, lecz nikt nie dowiedział się o tym. Ujrzano tylko Meira, jak w wyprostowanej postawie, z pobladłą twarzą, gorejącymi oczami wpatrywał się w twarz prababki. Ona odczuwając jakby ten przeszywający ją wzrok ulubionego dziecięcia, podniosła zmarszczone powieki i wymówiła:

— Meir?

— Bobe? — odparł wezwany głosem nabrzmiałym miękką pieszczotą.

— *Kleiniskind*! — szepnęła prababka i uśmiechając się błogo, usnęła znowu.

Uczta sobotnia bliską była końca, gdy u stołu zaszedł wypadek, który dziwnym wielce wydać by się musiał wszelkiemu obcemu oku, ale dla zgromadzonych tu osób stanowił zupełnie zwykły i powszedni widok.

Reb Mosze, którego ciemne policzki pałały od kilku kielichów wina gościnnie mu przez gospodarzy podawanych, porwał się nagle ze stołka swego i kilku szerokimi susami, z głośnym okrzykiem i z twarzą ku sufitowi wzniesioną, wyskoczył na środek izby.

— Sabat! Sabat! Sabat! — krzyczał, gwałtownymi ruchy trzęsąc głową i ramionami. — Frajd! Frajd! Frajd! — powtarzał. — Cała niebieska familia raduje się i tańczy w niebie! Dawid tańczył i skakał przed arką przymierza[57]. Dlaczegóżby doskonały pobożny tańcem i skakaniem serca swego rozradować nie miał?

Tańczył i skakał, wzdłuż i w poprzek przebiegał szerokimi kroki pustą przestrzeń znajdującą się dokoła stołu, przysiadał do ziemi i nagle zrywając się podskakiwał wysoko,

[57] *Arka Przymierza* (*Aron Hakodesz*) — skrzynia, w której przechowywano tablice dziesięciu przykazań otrzymane na górze Synaj podczas wędrówki do ziemi obiecanej; późn. szafa ołtarzowa we wschodniej ścianie bożnicy, gdzie przechowywane są zwoje *Tory*.

wyciągniętymi w górę rękami dotykając niemal belek sufitu. Policzki jego pałały, oczy płonęły namiętną ekstazą, bose nogi z głuchym łoskotem uderzały o podłogę, a zza szorstkiego płótna długiej koszuli widać było, jak konwulsyjne drgania przebiegały wszystkie członki jego ciała.

— *Sabat*! *Sabat*! *Frajd*! *Frajd*! — rzucał okrzyki z dyszącej gwałtownie piersi i coraz szerszymi susy przebiegał izbę, coraz niżej ku ziemi pochylał się, a potem coraz więcej wyprężał w górę ramiona i twarz ku sufitowi podnosił. Coraz też ciężej i głośniej ciężkie, nagie stopy jego, plączące się w wąskiej pochwie płóciennej, opadały na drżącą pod nimi podłogę.

Dla wszelkiego obcego oka ciekawym byłby widok uczuć, które odbijały się na twarzach ludzi obecnych temu ekstatycznemu tańcowi. Stary Saul i dwaj synowie jego spoglądali na tańczącego z nadzwyczajną powagą i uwagą. Najlżejsze drgnienie uśmiechu nie poruszyło ich ustami. Zdawać by się mogło, że na szalone skoki mełameda patrzali oni, jak wierzący zwykli patrzeć na dokonywanie mistycznego, lecz świętego obrządku. Wprawdzie w przyćmionym latami, lecz mądrym jeszcze oku Saula migotały od czasu do czasu światełka jakieś do tajonych, przykrych uśmiechów szyderstwa podobne, lecz nikt ich dostrzec nie mógł, bo starzec przykrywał na wpół źrenice swe zżółkłymi powieki. Ber z płowymi włosy i głębokim wejrzeniem siedział wyprostowany i poważny także, lecz czoło jego zmarszczyło się w sposób niemal bolesny, a oczy tkwiły w ziemi. Meir na obu dłoniach wsparł głowę i zdawać się mogło, że nie słyszał i nie widział lub usiłował nie słyszeć i nie widzieć tego, co działo się dokoła. Kobiety za to dziwowały się wielce tańcowi reb Mosza, kołysały postacie swe w takt wybijany przez bose stopy jego, cmokały zachwyconymi usty i oczami dawały sobie wzajem znaki podziwu i uwielbienia. Przy niższym końcu stołu, tam gdzie siedzieli najmłodsi chłopcy i młode, hoże dziewczyny, słychać było cichutki szmer przemocą tłumionych w piersi chichotów…

Zmęczył się na koniec reb Mosze, wyczerpały się siły jego, drgające od uniesienia i zapału ciało jego runęło ciężko na ziemię u podnóża wielkiego pieca z zielonych cegieł. Przypodniósł się jednak po chwili, odetchnął ciężko, zaśmiał się głośno i rękawem szarej, szorstkiej swej koszuli ocierać począł pot bujnymi kroplami opływający mu szkarłatem zaszłe czoło i policzki.

Wtedy powstała od stołu Sara, najstarsza córka Saula, i poczęła wszystkim obecnym podawać do umycia rąk pełen wody srebrny dzbanek i srebrną miednicę. Szepcząc dziękczynne modlitwy, obecni ręce swe oblewali wodą i ocierali je ręcznikiem wiszącym na ramieniu Sary, białym jak śnieg i w hafty zdobnym. Uczta sobotnia skończoną była.

W kilka minut potem sprzątniętymi zostały ze stołu okrywające go srebrne naczynia. Towarzystwo całe podzieliwszy się na kilka grup oddzielnych napełniło izbę gwarem głośnych i ożywionych rozmów.

Meir, który przez kilka chwil stał samotnie u okna, z zamyśleniem wpatrując się w ciemności wieczoru, zbliżył się do najpoważniejszej wiekiem grupy, która zgromadziła się dokoła najparadniejszego w izbie miejsca przyozdobionego staroświecką kanapą z wielką, żółtą poręczą. Tu Abram i Rafał, synowie Saula, i Ber, zięć jego, zdawali sprawę ojcu z interesów w ciągu tygodnia dokonanych, zapytywali go o rady i prosili o pomoc. Tu brzmiały nazwy cyfr przerozmaitych przy wyliczaniu nabytych beczek zboża i zapłaconych za nie pieniędzy, poruszały się szybko palce kilku par rąk. Tu przy wzmiankach o zagranicznych portach i panujących w nich cenach zboża i drzewa zapalały się oczy uczuciem nadziei, obawy i — żądzy zysku. Stary Saul wyglądał tak, jakby teraz dopiero znalazł się we właściwym sobie żywiole. Jakkolwiek wysokie i mądre nauki mistycznych mędrców gminy obudzały w nim cześć i trwogę, a raczej cześć z trwogi wypływającą, interesy świeckie zdawały się być umysłowi jego bardziej bliskimi, żywotnymi i znanymi. W oku jego, które rozbłysło bystrą i ożywioną myślą, nie było już znać starości i tylko białe włosy jego i biała długa broda czyniły go podobnym do patriarchy i dostojnika rozdzielającego pomiędzy członków rodziny swej rady, pochwały i sądy.

Meir stał przez kilka minut przy gromadce ludzi tych rozprawiających o handlu, zarobkach i stratach z wyrazem twarzy zupełnie obojętnym. Znać było, że w sprawach podobnych nie brał on jeszcze nigdy osobistego udziału i że świeżej natury jego nie dotknęła jeszcze i nie napoczęła gryząca gorączka zysku. Z niejakim zdziwieniem popatrzał on na flegmatycznego Bera, który zdawał się być w tej chwili przemienionym w innego

człowieka. Opowiadając teściowi o sprawach swych i zamiarach handlowych i przekładając mu konieczną potrzebę, w jakiej zostawał, zaciągnięcia u braci swej żony znacznej pożyczki, stał się on wymownym, ruchliwym, zapalczywym niemal. Oczy jego płonęły, usta poruszały się z niezmierną szybkością, ręce drżały.

Meir dotknął dłonią ramienia Bera, jakby chcąc przekonać się, że był to ten sam człowiek, który przy wieczerzy w czasie mistycznych rozpraw mełameda postawę miał i fizjonomię apatyczną aż do senności i martwoty, potem oddalił się i stanął przy grupie innej.

W grupie tej, zebranej u końca drugiego stołu zasłanego jeszcze białym obrusem, panował mełamed. Otaczało go osób kilkanaście, a on, jak zwykle obu łokciami rozpierając się na stole, uroczyście i wśród skupionej uwagi słuchaczów prawił:

— Wszystko, co jest na świecie, każdy człowiek i każde zwierzę, i każda trawa, i każdy kamień korzenie swe mają wysoko, w kraju tym, gdzie mieszkają duchy. I dlatego cały świat jest jak drzewo ogromne, którego korzenie znajdują się pomiędzy duchami. I jest on jak ogromny łańcuch, którego ostatnie koła wiszą tam, gdzie mieszkają duchy. I jest on jak ogromne morze, które nigdy nie wysycha, bo leci weń nieprzebrany strumień duchów i ciągle je napełnia...

Meir odszedł od grupy słuchającej mełameda i zbliżył się ku oknu. Tam dwaj młodzi ludzie z czołami w dłoniach, z głębokim zamyśleniem rozprawiali o tym, gdzie i jak napisane stoi, że człowiek, który w noc świąteczną idąc cienia swego nie ujrzy, w tym samym roku umrze...

Meir obejrzał się dokoła. W przyległej izbie starsze niewiasty zebrawszy się skupionym kółkiem toczyły głośną rozmowę o gospodarstwie swym i wielkim rozumie swoich małych dzieci; młode dziewczęta, przysiadłszy w kąciku nisko przy ziemi, szeptały pomiędzy sobą, rozplatały długie warkocze swe, chichotały i nuciły z cicha.

Z twarzy Meira widać było, że nie czuł się on pociąganym do żadnej z licznych jednak gromadek ludzkich dom napełniających. Znajdował się pomiędzy swoimi, pomiędzy tymi, którzy najbliżsi mu byli krwią i sercem, a jednak... Można by rzec, iż znajdował się na pustyni, tak samotnie stanął na środku izby i takim smutnym, znudzonym okiem powiódł dokoła. Wkrótce nie było go już w izbie. Zstępował ze wschodów gankowych i przez plac ciemny skierowywał się ku długiemu, niskiemu domostwu reba Jankiela...

*

Po rzęsiście oświetlonych, obszernych, czystych i ludnych izbach domu dziada jego mieszkanie reb Jankla, właściciela największej w Szybowie oberży, handlarza gorzałką i urzędnika kahału, wydać się musiało Meirowi ciasnym, ciemnym, brudnym i smutnym.

W czasie gdy tam uczta sobotnia zaledwie przed chwilą ukończoną została, tu od dawna już sprzątnięto z rodzinnego stołu wieczerzę, która krótko trwała, bo była szczupłą i odbywała się w postnym milczeniu, przerywanym tylko gderliwym swarzeniem i złośliwymi ucinkami ojca rodziny. Wiadomym było zresztą powszechnie, że reb Jankiel skąpym był, wielkie pieniądze zbierał, a o porządki i wygody domowe mało dbał, bo sam w domu przebywał bardzo rzadko, trudniąc się dzierżawieniem gorzelni i karczem po wsiach sąsiednich, a do miasteczka zaglądając wtedy tylko, gdy wymagały tego religijne obchody albo kahalne interesy. Żona jego, Jenta, i dwie dorastające jej córki trudniły się gospodarstwem zajezdnego domu, nie zasiadały nigdy do wspólnego stołu z męskimi członkami rodziny, pełniły funkcje i zajmowały stanowisko pierwszych służebnic domu.

Przyjazne gwarne pogadanki, które napełniały ściany Ezofowiczów, tu znanymi nie były. Dostatek ukazywał się wtedy tylko, gdy jeb Jankiel przyjmował dostojnych gości jakich: świętego rabina, którego był ulubieńcem, kahalnych swych kolegów lub bogatych kupców. Czystość i wesołość nie ukazywały się tu nigdy.

W pierwszej izbie, do której wszedł Meir przez drzwi otwierające się do przepaścistej, ciemnej sieni, dopalał się na stole jeden tylko ogarek żółtej świeczki tkwiący w otłuszczonym mosiężnym lichtarzu. Zapach jadła tylko co sprzątniętego ze stołu mieszał się tu ze stęchlizną brudnych ścian i tłuszczowymi wyziewami okopconego komina. Cicho tu było i pusto zupełnie. W drugiej za to izbie, w której żadne już nie paliło się światełko, rozlegało się głośne chrapanie pana domu zasypiającego już snem twardym. W trzeciej,

małej i tak zastawionej łóżkami i kuframi, że zaledwie wyminąć je było podobna, przy chwiejnym światełku lampki płonącej na piecu obwieszonym suszącymi się szmatami, Meir ujrzał niewyraźną wśród mroku postać niewieścią, która kołysząc nogą kolebkę, cichym nuceniem usypiała dziecię z cicha, też płaczące. Powitał ją przechodzący skłonieniem głowy i przyjaznym słowem. Pozdrowiła go wzajemnie i wśród miarowego stuku kolebki, jak też chrapania kilku śpiących w izbie osób nuciła dalej.

Za niskimi drzwiczkami słychać było stłumiony gwar kilku rozmawiających męskich głosów. Meir otworzył drzwiczki te i znalazł się w izdebce Eliezera, kantora o białej twarzy i cudownym głosie.

Eliezer nie był sam jeden. Wraz z nim przy stole, na którym paliła się żółta świeczka, siedziało kilku młodych ludzi, którzy należeli do rodziny Ezofowiczów i wraz z Meirem jedli dnia tego wieczerzę. Meir odetchnął szerzej, dlatego może, iż w izdebce kantora mniej duszne i cuchnące jak[58] w innych częściach mieszkania tego panowało powietrze albo że znalazł się wśród twarzy, na które patrzeć lubił i które też na widok jego oświeciły się przyjaznymi uśmiechy[59].

Eliezer podniósł turkusowe swe oczy na twarz przybyłego, gdy ten w milczeniu zajął miejsce przy stole.

— Meir! — rzekł miękkim głosem.

— A co? — zapytał gość.

— Ty dziś nie miał cierpliwości i niepotrzebne rzeczy mełamedowi gadał! Mnie o tym oni już opowiedzieli.

Wskazał na obecnych młodych chłopców. Meir przenikliwy i drwiący nieco wzrok utkwił w białej twarzy piewcy[60].

— Czy ty, Eliezerze, naprawdę mówisz, że te rzeczy, które ja dziś mełamedowi powiedziałem, niepotrzebne były i złe? — zapytał z wolna.

Kantor pochylił głowę.

— One były dobre — rzekł — ale ty ich nie powinieneś mówić, bo na ciebie za to wielkie nieprzyjemności mogą spaść.

Zaśmiał się młody człowiek z przymusem jakoś i smutnie.

— Nu! — rzekł z determinacją. — Niech spadają! Ja dłużej już wytrzymywać nie mogę i milcząc patrzeć i słuchać, jak oni wszystkim nam zawrót w głowach robią…

— Dziecko! Dziecko! A co ty na to poradzisz? — ozwał się za rozmawiającymi głos przeciągły i leniwy.

Obejrzeli się. Był to flegmatyczny Ber, który wszedł przez niskie drzwiczki, starannie zamknął je za sobą i odpowiedziawszy w powyższy sposób na porywczy wykrzyk młodzieńca, położył się z twarzą ku sufitowi wzniesioną na łóżku Eliezera. Obecni zwykli znać byli widywać go pomiędzy sobą, nie okazali bowiem na widok jego najmniejszego niezadowolenia ani zmieszania, owszem, rozmowa toczyła się dalej. Jeden z młodych chłopców, krewnych Meira, na wpół z powątpiewaniem i śmiechem, na wpół z obawą i przejęciem się, zaczął powtarzać kantorowi słowa mełameda o En-Sofie i sefirotach, o dniu Mesjaszowym i ogromnej rybie, Lewiatanie. Drugi zapytał Eliezera, co myśli on o tym, że dość jest zagłębiać się w naukę *Miszny*[61] i *Zoharu*, aby wszystkie występki swe mieć odpuszczone.

Eliezer słuchał w milczeniu i z pochyloną twarzą. Długo nie odpowiadał, potem podniósł z wolna głowę i rzekł:

— Czytajcie *Torę*! Tam napisane stoi: jeden jest Bóg! Jehowa! Nie znajduje On zadowolenia swego w ofiarach waszych, śpiewach i kadzidłach, ale żąda od was, abyście miłowali prawdę, bronili uciśnionych, nauczali ciemnych i leczyli chorych, bo te są pierwsze powinności wasze!

Dwaj młodzi ludzie szeroko roztworzyli oczy.

— Nu! — zawołali jednogłośnie — czy mełamed nieprawdę mówił?

---

[58]*mniej (…) jak* — dziś popr.: mniej niż.

[59]*przyjaznymi uśmiechy* — dziś popr. forma N.lm: przyjaznymi uśmiechami.

[60]*piewca* — tu: śpiewak.

[61]*Miszna* a. *Miszne* — zbiór praw i opinii halachicznych (63 traktaty zawierające uporządkowane treściowo przepisy prawa religijnego i świeckiego) skodyfikowanych przez rabbiego Judę ha-Nasiego w II w. n.e w języku hebrajskim, starsza część *Talmudu*; do niej odnoszą się komentarze *Gemary*.

Eliezer milczał znowu długo. Widać było, że rad by był nie odpowiadać. Ale młode, niecierpliwe ręce szarpały go za rękaw odzieży, domagając się odpowiedzi.

— Nieprawdę! — odrzekł na koniec nieśmiałymi usty.

W tej chwili Meir położył mu dłoń na ramieniu.

— Eliezer! — rzekł. — Ty mnie tak samo powiedział dwa lata temu, kiedy z wielkiego miasta, gdzie ciebie śpiewać uczyli, wróciłeś. Ty wtedy otworzyłeś oczy moje, co same już zaczynały szukać światła, i nauczyłeś mię, że my nie jesteśmy prawdziwi Izraelici, że wiara nasza nie jest już tą wiarą, którą nam dano na górze Synaj, że judaizm zmącił się i zabrudził jak woda, kiedy w nią garść błota rzucą, i że od tego błota poczerniały głowy nasze i serca. Ty mnie to powiedziałeś, Eliezerze, i ja przejrzałem. Od tego czasu ja kocham ciebie jak brata, który dopomógł mi wyjść z ciemnicy, ale od tego czasu także ja czuję na sercu wielką ciężkość i wielką tęsknotę...

— Eliezer uczył ciebie, Meirze, i Eliezer milczy... A ty, uczeń jego, gadać zaczynasz — ozwał się głos Bera, w którego leniwych dźwiękach przebrzmiewało szyderstwo.

— Żebym ja umiał gadać! — zawołał młody człowiek z roziskrzonym okiem. — I żebym ja wiedział, co i jak robić!

I po chwili dodał ciszej:

— Ale ja ani gadać, ani robić nie umiem... Ja prosty, ciemny Żyd! Mam tylko w sercu wielką nienawiść dla tych, co oszukują, i wielką miłość dla oszukiwanych...

— I wielką zuchwałość! — wtrącił niedbale wyciągnięty wciąż na łóżku Ber.

— Zuchwałości ja dotąd nie miał, ale... ale żebym tylko wiedział, co zrobić, tobym ją miał!

Przez kilka chwil panowało milczenie. Przerwał je Meir.

— Ty szczęśliwy jesteś, Eliezerze!

— A czemu ja szczęśliwy?

— Na szerokim świecie byłeś, rozumne rzeczy widziałeś, mądrych ludzi słuchałeś... Aj, aj! Żeby to mnie na szeroki świat!...

— Eliezer! Opowiedz nam co o szerokim świecie! — ozwali się dwaj młodzi chłopcy. W oczach ich wlepionych w twarz kantora malowała się ciekawość i dziwna tęsknota.

Eliezer jedynym był śród młodzieży szybowskiej młodzieńcem, który widział „świat szeroki". Zawdzięczał to cudownemu głosowi swemu, dla ukształcenia którego wysłano go na naukę do wielkiego miasta. Wszystko, co miał on do opowiedzenia, opowiedział był już współtowarzyszom swym od dawna. Zasób to zresztą nie byt wielki. Ale oni słuchaliby go chętnie co dzień, gdyby co dzień jedno i to samo opowiadać im on chciał. Jak wygląda wielkie miasto? Jakie tam wysokie domy stoją i piękne pojazdy po ulicach jeżdżą? Jacy ludzie bogaci, grzeczni i uczeni w domach tych mieszkają i ilu pomiędzy nimi znajduje się Izraelitów, którzy moc pieniędzy, piękne pokoje, bogate suknie i wielki szacunek u ludzi mają? A dlaczego wszyscy ich szanują? Czy dlatego, że oni bogaci? Nie, bo i w Szybowie bogaci kupcy są, a purycе wtedy tylko szacunek im okazują, kiedy potrzebują ich pieniędzy, a kiedy nie potrzebują, to bardzo brzydko i ze wzgardą do nich i o nich mówią. Ich szanują dlatego, że oni wiele uczyli się i umieją, ale nie tylko *Miszny* i *Gemary* uczyli się, ale różnych innych bardzo pięknych i potrzebnych nauk. A dlaczego w Szybowie nie ma szkoły takiej, która by nauk tych uczyła, i dlaczego rabin Izaak i reb Mosze mówią, że te nauki to sodomska winnica i cudze płomienie i że każdy prawy Izraelita uciekać od nich powinien?

— Eliezer! Jak to tam wielkie wozy bez koni po świecie chodzą i kto je tak mądrze wymyślił?

— Eliezer! Czy tam wszyscy Izraelici koszery zachowują?

— Eliezer! Co tam mówią o naszych rabinach Todrosach?

— Źle mówią.

Wielkie zdziwienie! Izraelici sami na szerokim świecie źle mówią o Todrosach i w En-Sofa ani w sefirotów, ani w całą *Kabałę* nie wierzą?

— A co oni mówią o *Talmudzie*?

— Oni o *Talmudzie* mówią, że to piękna i mądra księga jest przez mądrych i świętych ludzi napisana, tylko że ją skrócić trzeba i wiele z niej powyrzucać, bo teraz czasy nastały inne i to, co było kiedyś potrzebne, teraz jest już szkodliwe.

Wielkie znowu zdziwienie! *Talmud* trzeba skrócić, bo *Gemary* trudno bardzo uczyć się i ona pamięć i rozum u dzieci zabija.

Prawda! Pytający pamiętają sami, jak im trudno było uczyć się *Gemary* i jak mełamed bił ich srodze za to, że ona im do głowy wchodzić nie chciała, i jak oni od tego słabli na pamięci i rozumie, a mały Lejbele, syn biednego krawca, został nawet od tego na zawsze głupim i chorym!

A kto to kiedyś skrócił *Talmud* i uczynił go łatwiejszym do nauczenia się?

— Skrócił go wielki i święty mędrzec, Mojżesz Majmonides[62], którego potem rabini wyklęli.

Rabini wyklęli wielkiego i świętego mędrca? Rabini więc mogą być źli i niesprawiedliwi i nie zawsze wierzyć trzeba w to, co oni mówią!

— A co napisał więcej Mojżesz Majmonides?

— On napisał jeszcze *More Nebuchim*, przewodnik dla zbłąkanych... mądrą i piękną książkę, którą czytając chce się człowiekowi płakać z czułości i śmiać się z radości!

— A masz ty tę książkę, Eliezer?

— Mam!

— A skąd ty ją masz?

— Dał mi ją jeden Izraelita, który tam w wielkim mieście jest wielkim adwokatem.

— Eliezer, przeczytaj nam co z tej książki!

W taki to sposób naiwnym umysłom tym, mimowiednie tęskniącym za słońcem wiedzy i szerokim łonem całej ludzkości, objawiał się cząstkowo i chaotycznie świat wirujących po szerokich przestworzach zjawisk i myśli. Nie wyrabiały się z tego stałe przekonania żadne, nie wysnuwała się jasno przewodnia nić innego, lepszego życia, ale w sumienia wchodziły wątpliwości, w piersi pragnienia, młode oczy przesłaniały się smutkiem myśli poczynającej czuć swe kajdany.

Późno już było, gdy po długiej rozmowie młodzieńcy powstali z siedzeń swych i stanęli naprzeciw siebie z pobladłymi twarzami i gorejącym wzrokiem. Po chwilowym milczeniu Meir ozwał się:

— Eliezerze! Czy my nigdy wielkim głosem nie krzykniem do ludu, aby rozejrzał się i przejrzał? Czy my zawsze gnić będziemy jak robaki przysypane ziemią i patrzeć, jak lud cały dusi się i gnije?

Eliezer spuścił ku ziemi łzawe swe oczy, wzniósł w górę białe ręce i harmonijnym głosem swym wyrzekł:

— Ja za lud mój co dzień śpiewam i płaczę przed Panem!

Meir uczynił gest niecierpliwości, a w tejże chwili Ber, podnosząc się ciężko z łóżka, zaśmiał się grubym, posępnym śmiechem.

— Śpiewaj i płacz! — rzekł do Eliezera — ciebie twój srogi ojciec takim wielkim strachem napełnił, że ty nic innego zrobić nigdy nie będziesz mógł...

Potem położył dłoń na ramieniu Meira i dodał:

— Ten tylko zuchwały jest i przeciwko wodzie popłynie. Ale woda mocniejsza od człowieka. Gdzie ona jego zaniesie?

Opuszczając mieszkanie Jankla, Meir zobaczył znowu w jednej z izb tę samą, co wprzódy, postać niewieścią siedzącą nad kolebką uśpionego dziecka. Pochyliła się ona tylko i obu łokciami o brzeg kolebki wsparta drzemała. Światełko lampki płonącej na piecu padało teraz wprost na nią, oświecało szafirowy, podarty kaftan, który okrywał plecy jej i piersi, nie okrywając ramion, ociągniętych rękawami grubej koszuli. Na głowie miała ona jeszcze czepiec świąteczny z wielkim, zmiętym kwiatem, którego czerwona barwa dziwnie odbijała przy zżółkłej, pomarszczonej skórze niskiego czoła i zwiędłych policzków. Niestara to jeszcze była niewiasta, ale spracowana, sterana, znękana. Jedno na nią spojrzenie wystarczało, aby przekonać się, iż życie jej upływało śród trudów i upokorzeń i że nie odświeżyła go nigdy żadna kropla domowego szczęścia. Patrząc na nią, łatwo

Kobieta, Żona, Praca

[62]*Majmonides* a. *Rambam* (1138–1204) — skrót imienia rabi Mosze Ben Majmona, średniowiecznego filozofa racjonalisty oraz wybitnego lekarza, autora *More Newuchim* (a. *Mojre Nebuchim*, tj. *Przewodnik błądzących*), religijno-filozoficznego dzieła napisanego w języku arabskim; Majmonides urodził się w Kordobie, a zmarł w Kairze, pozostawał pod wpływem ówczesnej kultury i filozofii arabskiej, a więc neoplatonizmu i przede wszystkim arystotelizmu, który zaszczepił ponownie w myśli europejskiej filozoficznej, zainspirowawszy m.in. Tomasza z Akwinu.

też było zgadnąć, iż nie dożyje ona, jak Frejda, żona heretyka Hersza, stuletniej rocznicy swych urodzin i że nie będzie z wolna i słodko usypiać do snu wiecznego wśród błogiego sercu jej gwaru licznych wnuków i prawnuków. Jenta, żona pobożnego reb Jankla, była duchem zabitym w zmordowanym ciele...

Kiedy kroki odchodzących gości, mieszając się czas jakiś z chrapaniem kilku osób głęboko uśpionych, umilkły, Eliezer stanął w niskich drzwiach swej izdebki i przez kilka sekund spoglądał z dala na drzemiącą matkę.

— Mame! — ozwał się z cicha. — Czemu ty się spać nie położysz? Mała Chajka zasnęła dawno i płakać już nie będzie. Połóż się i ty, mame... spocznij.

Szept syna dosięgnął drzemiącej głowy Jenty. Podniosła powieki, zwróciła wzrok mętny ku wysmukłemu młodzieńcowi, którego delikatna twarz świeciła śród zmroku bielą alabastru i — o dziwy! — małe, mrużące się jej oczy mrużyć się przestały, a z bezbarwnych źrenic wymknęło się światełko radości.

— Eliezer! Chodź tu! — szepnęła.

Młodzieniec zbliżył się i usiadł na krawędzi łóżka.

— Jak ja mogę zasnąć? — szeptały doń żółte, zwiędłe wargi kobiece — kiedy moja głowa taka biedna! Chajka chora i co moment zapłakać może, a jak ona zapłacze głośno, Jankiel obudzi się i w wielką złość wpadnie.

— Śpij, mame! — odszepnął syn. — A ja tu posiedzę i Chajkę kołysać będę...

Żółta, pomarszczona twarz, z wielką, czerwoną różą nad czołem, pochyliła się i spoczęła nie na wysoko usłanych, brudną bielizną okrytych poduszkach, ale na kolanach siedzącego obok młodzieńca.

Eliezer wsparł ramię o krawędź kolebki, czoło złożył na dłoni i dumał. Niekiedy poruszał nogą bieguny kolebki i z cicha nucił.

— Oj! Biedna, biedna moja głowa! — szeptała przez sen drzemiąca na kolanach syna żółta twarz kobieca.

— Biedna głowa twoja, o Izraelu! — w zadumie szeptały różowe usta czuwającego nad kolebką młodzieńca.

*

Kiedy tak działo się w mieszkaniu reb Jankla, mała i zwinna postać ludzka mknęła w ciemnościach przez obszerny podwórzec szkolny ku stojącej przy nim niskiej chatce rabina Izaaka Todrosa i zniknęła za niskimi drzwiami jej, które zamknęły się za nią z głośnym skrzypnięciem.

Skrzypnięciu temu odpowiedział z wnętrza chatki głos męski o czystym, lecz niskim, basowym brzmieniu:

— Czy to ty, Mosze?

— Ja, *nassi*[63]! Sługa twój wierny! Nędzny podnóżek stóp twoich! Niech sen twój nawiedzają aniołowie pokoju! Niech każde tchnienie ust twoich wonne będzie i przyjemne tobie, jako oliwa zaprawiona mirrą! A kiedy ty spać będziesz, niech dusza twoja kąpie się z wielką rozkoszą w strumieniu duchów.

Basowy głos wychodzący z wnętrza ciemnej izby znajdującej się za malutką, również czarną sionką zapytał:

— A gdzie ty tak długo był, Mosze?

Człowiek znajdujący się w sionce odpowiedział:

— Ja wieczerzę sobotnią jadł w domostwie Ezofowiczów. U Ezofowiczów święcą sabaty ze wspaniałością wielką i ja do nich na sobotnie wieczerze często chodzę, ażeby duszę swoją w wielkiej wesołości utrzymywać!

— Ty dobrze robisz, Mosze, że w sabat duszę swoją w radości utrzymujesz. A co tam u nich słychać?

— Źle słychać, nassi! Między różami i liliami lęgnie się tam bardzo brzydki robak!

[63]*nassi* a. *nasi* (hebr.: książę) — jeden z pary *zugot*, tj. uczonych i żydowskich przywódców duchowych między I w. p.n.e. a I w. n.e.; *nasi* był przewodniczącym Sanhedrynu (tj. Wielkiej Rady, najwyższej instytucji sądowniczej i religijnej staroż. Izraela), drugi z pary mędrców był jego zastępcą (*aw bet din*) i przewodniczącym Izby Sądowej.

— Jaki to robak?

— Robak taki, co świętą wiarę naszą gryzie i z Izraela zrobić może lud gojów i chazarników!

— A w czyim sercu lęgnie się ten brzydki robak?

— On lęgnie się w sercu Meira Ezofowicza, wnuka bogatego Saula.

— Mosze! Czy ty zobaczył robaka tego własnymi oczami i posłyszał go własnymi uszami? Mów, Mosze! Na mojej głowie leży wielki ciężar wszystkich dusz, co są w tej gminie, i ona o wszystkim wiedzieć powinna.

W sionce panowało przez chwilę milczenie. Człowiek, który tam wśród głębokich ciemności siedział w skurczonej postawie u zamkniętych drzwi świętego rabina, zbierał znać myśli swe i wspomnienia. Po chwili chrapliwym swym i śpiewnie zanoszącym się głosem mówić zaczął:

— Ja na własne oczy widziałem i na własne uszy słyszałem. Meir Ezofowicz nie odprawiał dziś sobotniego Kiduszu z całą familią swoją i przyszedł do domu wtedy, kiedy sabat dawno już był zaczął się. Ja jego zapytałem się, co on robił, a on mnie powiedział, że bronił od wielkich napaści chatę Abla karaima i wnuczki jego, Gołdy...

Umilkł. Basowy głos we wnętrzu zamkniętej izby wymówił:

— On bronił odszczepieńców i naruszył sabat!

— On w święty dzień sabatu duszy swojej w radości nie utrzymuje. Smutny przyszedł i smutny przez całą wieczerzę był. A dlaczego on smutny? Bo dusza jego rwie się do gojów i do ich nauki...

— Niech wyklętą będzie nauka ta! Niech Izrael ucieka od niej i niech nie przebaczy jej Pan! — wymówił za drzwiami głos basowy.

— On mówił, że w świętych księgach Izraela nie ma nic napisanego o En-Sofie ani o sefirotach i że Przedwieczny odszczepieńców prześladować nie każe...

Basowy głos wyrzekł:

— Obrzydliwości leją się z ust młodzieńca tego. W ciało jego przeszła dusza pradziada jego, Hersza Ezofowicza.

— Nassi! — głośniej niż dotąd zawołał Mosze.

Niewyraźne mruknięcie za drzwiami zachęciło go do dalszego mówienia:

— On szukać będzie pisania Michała Ezofowicza Seniora, ja to z oczów jego widział, i on pisanie to znajdzie! A jak on je znajdzie i ludowi głośno przeczyta, zbuntuje się przeciw twoim naukom duch Izraela!

Długie po słowach tych panowało milczenie, aż głos basowy ozwał się znowu:

— Kiedy on pisanie to znajdzie, spocznie na głowie jego ciężka prawica Pana i w proch ją rozsypie... Mosze! A co on po wieczerzy robił?

— On poszedł do domu reb Jankiela i z kantorem Eliezerem długo rozmawiał: ja przechodził tamtędy i przez okno widział.

— Mosze! A kto był tam więcej?

— Byli tam Chaim i Mendel, co oni z Ezofowiczami w pokrewieństwie są, i Ber, zięć Saula...

— A co oni pomiędzy sobą mówili?

— Nassi! Dusza moja weszła w ucho moje, kiedy ja pod ich oknem stał... Oni bardzo narzekali, że ich w wielkiej ciemności trzymają i że prawdziwa wiara Izraela zbrudziła się jak woda, kiedy w nią kto rzuci garść błota... Ale Eliezer mówił, że on na to wielkie skargi przed Pana zanosi śpiewając i płacząc, a Meir mówił, że śpiewać i płakać nie dość, ale trzeba do ludu wielkim głosem krzyknąć i zrobić coś, ażeby on inny był, jak jest...

— Pokolenie jaszczurcze... — mruknął głos z głębi chaty.

— Kto jest pokoleniem jaszczurzym, nassi? — pokornie zapytał Mosze.

Po chwilowym milczeniu odpowiedziano w ciemnościach:

— Ród Ezofowiczów!

III

Parę miesięcy minęło. Ciepły dzień majowy kończył się wieczorem wonnym i pogodnym.

Niewiele przed zachodem słońca brzegiem wąskiej uliczki, najuboższymi spomiędzy wszystkich domostwami ostawionej, postępowały z wolna dwie istoty. Jedną z nich była

koza biała jak śnieg, drugą — dziewczyna wysmukła i chuda. Koza szła naprzód, podskakiwała co chwila, aby uczepić się gałęzi drzew rosnących tu i ówdzie. Wydawała się zwinną, swawolną i szczęśliwą. Idąca za nią dziewczyna poważaną była i zamyśloną. Wiek jej trudno by było określić. Mogła mieć lat trzynaście albo siedemnaście. Jakkolwiek bowiem wysoką była, kształty ciała jej, drobne, suche, z powstrzymanym może rozrostem, wydawały się dziecinnymi. Ale chód jej i wyraz twarzy posiadały powagę i smutek wczesnej dojrzałości. Na pierwszy rzut oka wydawała się brzydką. Nie przyozdabiał ją wcale, wdzięków jej, jeżeli miała jakie, nie uwydatniał strój ubogi, złożony ze spłowiałej perkalikowej sukni, spod której wąskich fałd ukazywały się stopy na wpół tylko okryte obuwiem grubym i płytkim, a której stanik luźny i obwisły krył się u szyi pod kilku sznurami drobnych, w różne kształty połamanych korali. Od czerwoności jedynej tej zbytkownej ozdoby jej stroju żywo odbijała głęboka śniadość okrywająca chude i zapadłe nieco jej policzki; pod gęstymi brwiami wielkie, głęboko osadzone oczy patrzały czarną jak aksamit źrenicą, a nad wąskim, ciemnym czołem wiły się splątanymi kędziory włosy hebanowej czarności.

W całej postaci dziecka tego czy tej kobiety było coś dumnego i dzikiego zarazem. Szła wyprostowana, poważna, zamyślonym wzrokiem śmiało patrząca kędyś w dal — lecz przy każdym żywszym usłyszanym szmerze ludzkich głosów przystawała i przycisnąwszy się do płotu albo ściany spuszczała oczy, nie trwożnie, posępnie raczej i niechętnie, tak jakby wszelkie spotkanie się z ludźmi przykrym jej być musiało. Jedna tylko biała koza nie sprawiała jej obecnością swą żadnej przykrości. Owszem, wiodła ona za nią od chwili do chwili bacznym wejrzeniem, a gdy zwinne stworzenie oddalało się od niej zbytecznie, przywoływała je ku sobie przyciszonymi, krótkimi wykrzyki[64]. Wzajemnie koza rozumiała ją znać dobrze i wołaniu jej posłuszna wracała ku niej z pytającym jakby beczeniem. U końca ciasnej, biednej uliczki błysnęła świeża, majowa, rosą operlona i słońcem pozłocona zieloność. Była to łączka niewielka, tuż za miasteczkiem leżąca, z jednej strony otoczona gęstym brzozowym gajem, z drugiej otwierająca się na ogromne rozłogi pól, za którymi w głębokiej dali siniał długi pas wielkich borów.

Na widok łączki dziewczyna nie przyśpieszyła jednak kroku, owszem, zwolniła go, a po chwili przywoławszy ku sobie kozę swą i ręką ująwszy jeden z małych jej rożków stanęła. Stanęła i patrzała na ruchliwą scenę, która odbywała się na łączce i od której dolatywał uszu jej gwar zmieszany z dziecięcych śmiechów, krzyków i ze zwierzęcych beczeń. Zrazu scena ta wydawała się tylko tłumnym i chaotycznym migotaniem po zielonym tle stworzeń mlecznej białości i pstrokatych postaci dziecinnych. Po dłuższym dopiero patrzeniu rozeznać można było kilkanaście małych dziewcząt spędzających z pastwiska kilkadziesiąt kóz.

Dziewczęta były swawolne i śpieszyły się do domów. Kozy były uparte i chciały pozostać na łące. Pomiędzy jednymi i drugimi zawiązywały się uporne[65] walki, w których zwierzęta odnosiły nad dziećmi najczęstsze zwycięstwa. Wymykały się one z rąk przewodniczek swych i w zwinnych podskokach biegły ku porastającym gdzieniegdzie łąkę krzaczastym leszczynom. Dziewczęta goniły je, a dogoniwszy i pochwyciwszy obu rękami długie pasma szorstkiej ich sierści nie wiedziały, co czynić dalej. Jedne przyzywały na pomoc towarzyszki swe, również jak one zajęte i zakłopotane, inne zabiegały drogę nieposłusznym pupilom i gdy już znajdowały się naprzeciw nich, wyciągały przed siebie oba ramiona obrończym gestem, inne jeszcze topiły obie ręce w kędziorach swych włosów i wydawały rozgłośne krzyki rozpaczy albo upadały na ziemię i tarzając się po miękkiej murawie zanosiły się swawolnymi śmiechy. Krzyki te, śmiechy i wołania połączone z przeciągłym beczeniem kóz pochwytywały powiewy ciepłych wiatrów lecące nad łąką i niosły je pomiędzy posępne uliczki miasteczka, na szerokie, złote błonia, w dalekie głębie gaju. W pozłoconym też powietrzu migotały i przelatywały krzyżując się ze sobą nagie, drobne stopy depczące zieloną trawę, małe głowy okryte włosami wszech odcieni, od czarności hebanu do czerwoności miedzi i bladej żółtości lnu.

Wysmukła, poważna dziewczyna, przebywająca wraz ze swawolną, lecz posłuszną kozą swą ciasną uliczkę ku łące wiodącą, stojąc przypatrywała się ruchliwej i gwarnej scenie wzrokiem obojętnym. Znać było, że nie nęciła ją tam wesołość ani pociągała ciekawość.

[64] *krótkimi wykrzyki* — dziś popr. forma N.lm: (…) wykrzykami (a. okrzykami).
[65] *uporny* — dziś: uporczywy.

Jak wprzódy szła, tak teraz stała spokojnie i poważnie. Zdawała się czekać czegoś, zniknięcia może z zielonego kawałka gruntu migocących tam głów i brzmiących krzyków dziecinnych.

Krzyki te zlały się po chwili w jeden chóralny okrzyk. Zwiastował on radość i tryumf powszechny. Po długich walkach, gonitwach i wysileniach kozy opanowanymi na koniec zostały, ani jedna z nich nie pozostała już przy ponętnych im krzakach leszczyny, lecz wszystkie znalazły się w mocy swych przewodniczek, które teraz już w jedną spójną zebrały się gromadkę. Jedne z nich wiodły uparte i do buntu zawsze gotowe stworzenia za krótkie ich różki, ciągnąc je z całej siły za sobą i przechylając głowy ich aż prawie do ziemi, inne obu ramionami objąwszy ich szyje biegły wraz z nimi krokiem podskakującym i śpiesznym, inne jeszcze, najśmielsze i najsilniejsze, dosiadły niskich ich grzbietów i unoszone przez osobliwych wierzchowców tych, ścieśnionymi pięściami trzymające się najdłuższych pasem ich sierści, pełnym kłusem leciały ku miasteczku. Cała kawalkada ta, tłumna i głośna, wcisnęła się w jedną z szerszych ulic miasteczka i zniknęła w kłębach kurzawy.

Zielona łączka była teraz pustą i cichą, lekki wiatr tylko szemrał w gałęziach brzóz i leszczyny, a od zachodzącego słońca spuszczał się na nią przezroczysty obłok różowy.

Śniada dziewczyna uwolniła z objęcia szyję swej kozy, śpieszniejszym niż wprzódy postąpiła krokiem i po chwili znalazła się na skraju łączki.

Tu jednak stanęła i wzrok utkwiła w punkt jeden z nagłym jakby osłupieniem radości. Punktem tym był gruby pień brzozowy obalony przez wichry i u samego podnóża gaju leżący, a na którym z dużą księgą na kolanach rozwartą siedział młody mężczyzna.

Osłupienie dziewczyny krótko trwało. Z oczami utkwionymi w schyloną nad księgą twarz młodzieńca, prosta i lekka, przeszła ona całą szerokość łąki, a stanąwszy tuż przy pniu, na którym on siedział, pochyliła się, rękę jego w swe ciemne dłonie pochwyciła i do ust swych ją poniosła.

Zatopiony w czytaniu młody człowiek podniósł szybko głowę, zdumionym wzrokiem okrył twarz dziewczyny, cofnął szybko rękę swą z jej uścisku i spłonął cały gorącym rumieńcem.

— Ty mnie nie znasz? — wyrzekła dziewczyna stłumionym nieco, ale nie drżącym bynajmniej głosem.

— Nie — odpowiedział młody człowiek.

— A skąd możesz mię znać? Ale ja znam ciebie. Jesteś Meirem Ezofowiczem, wnukiem bogatego Saula. Widuję cię często, jak siedzisz na ganku pięknego domu swego albo jak z tą książką przechodzisz koło karaimskiego wzgórza.

Wszystko to wymówiła głosem pewnym, z wyprostowaną swą i poważną postawą. Na twarzy jej nie ukazał się najlżejszy wyraz zmieszania ni nieśmiałości, nie wybił się na nią najsłabszy cień rumieńca. Tylko czarne źrenice jej powiększyły się jakby i zapłonęły gorącym blaskiem, a blade, poważne usta przybrały zarys łagodny i miękki.

— A któż ty jesteś? — zapytał z cicha Meir.

— Jestem Gołda, wnuczka Abla karaima, pogardzanego i prześladowanego przez wszystkich twoich...

Teraz dopiero głos jej drgnął i ozwało się w nim parę brzmień posępnych.

— Wszyscy twoi pogardzają i prześladują Abla karaima i wnuczkę jego, Gołdę, a ty ich bronisz. Ja tobie dawno podziękować chciałam.

Meir spuścił powieki. Białe czoło jego okrywała wciąż różowa barwa rumieńca.

— Żyjcie w pokoju, ty i dziad twój, Abel — wymówił z cicha — i niech nad biednym domem waszym rozpostrze się prawica Przedwiecznego, który kocha i broni tych, co cierpią...

— Dziękuję tobie za dobre słowa twoje — cicho już szepnęła dziewczyna; zarazem osunęła się na trawę u nóg młodzieńca i podnosząc nieco splecione ręce szeptała dalej:

— Ty, Meir, dobry jesteś, rozumny i piękny. Imię twoje znaczy „światłość" i mnie przed oczami robiło się światło, ile razy ja zobaczyłam ciebie. Ja dawno chciałam ciebie znaleźć i porozmawiać z tobą, i powiedzieć, że ja chcę przez całe życie moje do ostatniego dnia o tobie myśleć... Ja tobie chciałam powiedzieć, że choć ty wnuk bogatego kupca, a ja

wnuczka biednego karaima, co koszyki plecie, my jednacy w oczach Pana Przedwiecznego i mnie wolno na ciebie oczy podnieść i na twoją światłość patrząc, być szczęśliwą!...

I wyglądała w istocie szczęśliwą. Śniade, zapadłe policzki jej teraz dopiero opłynęły łuną płomiennego rumieńca, wargi purpurą zaszły i drgały, a w czarnych oczach wzniesionych ku twarzy młodzieńca i napełnionych uwielbieniem namiętnym stały dwie srebrne łzy.

Meir słuchał ją ze spuszczonym wzrokiem, a gdy umilkła, podniósł powieki, patrzał na nią przez chwilę i szepnął z cicha:

— Jaka ty wdzięczna jesteś, Gołdo, i... piękna!

Po raz pierwszy w ciągu rozmowy swej z Meirem Gołda oczy spuściła i machinalnie zgarniać poczęła ku sobie wysokie trawy o puszystych kiściach rosnące dokoła.

Meir patrzył na nią długo w milczeniu. Przedziwna niewinność serca objawiała się w zawstydzeniu, które mu wciąż rumieńcami okrywało czoło, i w nieśmiałej radości, od której zdwojonym blaskiem świeciły szare źrenice jego kłoniące się wciąż ku ziemi.

— Usiądź tu przy mnie — rzekł na koniec cichym głosem.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i usiadła na wskazanym jej miejscu. Odzyskała już całą śmiałość swą i powagę. Milcząc patrzała na młodzieńca, który nie patrzał na nią.

Milczeli długo. Milczenie też panowało dokoła, tylko nad głowami ich szemrały z cicha wysmukłe brzozy, a wkoło pobliskiej sadzawki porosłej łozą błotne ptactwo ozywało się rzadkim, krótkim krakaniem i gwizdem.

Meir, patrząc wciąż na ścielące się u stóp jego gęste trawy, przemówił pierwszy:

— Dlaczego tak późno wypędzasz kozę swą na pastwisko?

Gołda odpowiedziała:

— Bo nie chcę przychodzić wtedy, kiedy są tu ze swymi kozami inne dziewczęta.

— Czy i one prześladują cię także?

— Śmieją się ze mnie, gdy mię zobaczą, przezywają mię różnymi brzydkimi nazwiskami i odpędzają mię od siebie, żebym blisko nich nie była.

Meir podniósł na dziewczynę wzrok, w którym malowała się litość.

— Czy ty, Gołda, boisz się tych dziewcząt?

Gołda poważnie w znak przeczenia wstrząsnęła głową.

— Ja ze strachem razem wyrosłam — odpowiedziała — on mój brat i z nim oswoiłam się. Ale kiedy do domu powracam, stary zejde pyta się: „Czy ty tam kogo spotkałaś? Czy tobie kto co złego nie zrobił?". Ja przed nim kłamać nie mogę, a jak powiem prawdę, stary zejde smuci się bardzo i płacze...

— Czy zejde cię sam wyhodował?

Twierdząco skinęła głową.

— Tate mój umarł i mame moje umarła, kiedy ja jeszcze od ziemi nie odrosłam tyle nawet, co ten maleńki krzaczek. Zejde innych dzieci nie miał, wziął mię do siebie i hodował, i kołysał mnie, kiedy ja chora byłam, i nosił po chacie w rękach swoich, i bardzo całował. A jak ja wyrastałam, prząść mię nauczył i czytać w *Biblii*, i wszystkie piękne historie znać, co je karaimi przynieśli sobie z dalekiego świata... Zejde dobry jest, zejde kochany i taki stary, taki stary... i taki biedny... Włosy jego jak śnieg od starości, a oczy od płaczu jak korale... Ja często u nóg jego leżę i kiedy on koszyki plecie, głowę moją u niego na kolanach trzymam, a on swoją starą ręką, co bardzo trzęsie się, po włosach mię gładzi, wzdycha i mówi: „*Josejme*! *Josejme*! (sierota)".

Mówiąc to, siedziała w pochylonej nieco postawie, z łokciem opartym o kolano, a policzkiem ukrytym w dłoni; kołysała się z lekka i nieruchomym wzrokiem patrzała w dal.

Meir patrzał teraz w twarz jej jak w tęczę, a gdy wymówiła ostatni wyraz, miękkim, litością nabrzmiałym głosem powtórzył za nią:

— *Josejme*!

W tejże chwili o kilkadziesiąt kroków za nimi w gęstwinie gaju ozwało się po kilka razy beczenie kozy. Meir obejrzał się.

— Czy twoja koza nie zabłądzi w lesie? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała spokojnie dziewczyna — ona daleko ode mnie nie pójdzie, a jak ją zawołam, wróci do mnie. To moja siostra.

— Strach twój brat, a koza twoja siostra! — z uśmiechem rzekł młody człowiek.

Dziewczyna zwróciła z wolna głowę w stronę gaju i wydała parę krótkich, urywanych okrzyków. Natychmiast w gęstwinie zaszumiał bieg szybki i pomiędzy zielonymi splotami brzozowych gałęzi stanęło mlecznobiałe, o długiej sierści stworzenie. Stanęło i patrzało na siedzącą obok siebie parę ludzi czarnymi oczami.

— Chodź tu! — zawołała Gołda.

Koza zbliżyła się i stanęła tuż przed nią. Ciemna, pomarańczowa aż prawie ręka Gołdy przesunęła się po wyciągniętej jej szyi, pogładził ją też uśmiechając się Meir. Koza wydała krótki wykrzyk, poskoczyła i w mgnieniu oka zawiesiła się na gałęzi rozrosłej leszczyny.

— Jaka ona posłuszna! — rzekł Meir.

— Ona mię bardzo kocha — poważnie odpowiedziała Gołda — jak zejde mnie, tak ja ją wyhodowałam. Ona była maleńkim koźlęciem, kiedy zejde przyniósł ją raz do domu i mnie darował, i ja ją potem na rękach moich nosiłam, i z rąk moich karmiłam; a kiedy ona była chora, śpiewałam nad nią tak, jak zejde śpiewał kiedyś nade mną.

Mówiąc to, uśmiechała się, miała pozór dziecka i nie wyglądała na więcej jak na lat czternaście.

— A chciałabyś ty mieć znowu małe koźlątko? — zapytał Meir.

— Czemu nie? — odpowiedziała — chciałabym bardzo. Jak zejde kiedy dużo koszyków sprzeda, a ja dużo wełny naprzędę... kupim sobie znów na targu takie białe koźlątko...

— A dla kogóż ty wełnę przędziesz?

— Są takie dobre kobiety, co mi ją dają. Hana, żona Witebskiego, i ciotka twoja, Meir, Sara, żona Bera, dają mi prząść wełnę, a potem płacą mi miedzianymi, czasem i srebrnymi pieniędzmi...

— To ty, Gołdo, przychodzisz czasem do naszego domu brać wełnę do przędzenia od Sary, żony Bera?

— Przychodzę!

— A czemu ja ciebie nigdy nie widziałem?

— Bo oni mnie pod wielkim sekretem wołają i robotę dają. Ber i żona jego, Sara, są bardzo litościwi ludzie, ale nie chcą, żeby kto dowiedział się, że oni *zejdę* i mnie znają i nam pomagają. Ja do nich przychodzę wtedy, kiedy nikogo w domu nie ma, chyba jedna Lijka, twoja siostra stryjeczna, Meir, i zawsze tak idę, żeby mię czarny człowiek nie zobaczył...

— Jaki czarny człowiek? Kto to ten czarny człowiek? — z zadziwieniem zapytał Meir.

— Rabbi Izaak Todros! — bardzo cichym, tajemniczym szeptem odpowiedziała Gołda.

Na dźwięk wymówionego przez Gołdę imienia twarz Meira, rozpromieniona wprzódy, litościwa na wpół, a na wpół zapłoniona wzruszeniem, nerwowo drgnęła. Umilkł nagle i wpatrzył się w daleki punkt przestrzeni oczami, w których zagrały posępne światła. Zamyślił się tak głęboko, aż mu głęboka zmarszczka powstała na białym czole. Zdawało się, iż zapomniał nagle o tym, iż nie był sam jeden.

— Meir! — ozwał się tuż przy ramieniu jego szept łagodny. — O czym ty tak zamyślił się i czemu oczy twoje zrobiły się takie smutne? Imię twoje znaczy „światłość". Czy tobie nie świeci zawsze słońce pociech i radości?

Młody człowiek, nie zmieniając kierunku spojrzenia, w zadumie wstrząsnął powoli głową.

— Nie! — odszepnął. — Na moim sercu leży wielki smutek!

Dziewczyna pochyliła się ku niemu blisko.

— Meir! — zawołała. — A skąd u ciebie ten smutek na sercu?

Milczał chwilę, potem odpowiedział z wolna:

— Stąd, że u nas czarni ludzie są i że u nas wszędzie tak czarno... tak czarno...

Dziewczyna spuściła czoło na dłoń i jak smutne echo powtórzyła:

— Oj, czarno!

Meir zamyślonymi oczami patrzał wciąż w dal, w stronę, kędy długi szlak lasu rozdzielał złotą równinę z liliowym skłonem nieba.

— Gołda! — ozwał się półgłosem.

— Co, Meir?

— Czy ty nigdy nie chciałaś wiedzieć i widzieć, co tam, za tym lasem gęstym i wysokim dzieje się daleko... daleko, na szerokim świecie?

Dziewczyna milczała. Z postawy jej pochylonej ku młodzieńcowi i oczu jej szeroko rozwartych, płomiennych poznać można było, że kiedy patrzała na niego, nic już więcej na całym szerokim świecie widzieć ni wiedzieć nie chciała.

Ale Meir mówił dalej:

— Ja bym od ptaka skrzydeł sobie pożyczył, aby tam, za ten las, daleko polecieć...

— Czy tobie piękny dom bogatego Saula niemiły? Czy tobie niemiłe twarze braci, krewnych i przyjaciół twoich, że ty byś od nich skrzydłami ptaka odlecieć chciał? — z tłumionym uniesieniem żalu czy przestrachu szepnęła dziewczyna.

— Miły mi dom dziada mego, Saula — odszepnęły usta zadumanego młodzieńca — i miłe mi twarze wszystkich braci i krewnych moich... Ale ja bym chciał za ten las polecieć, ażeby wszystko widzieć i wszystko wiedzieć, i bardzo mądrym stać się, a potem tu powrócić i wszystkim tym, co w ciemnicy siedzą i w kajdanach chodzą, powiedzieć, jak oni mają zrobić, żeby z ciemnicy wyjść i kajdany swoje z siebie otrząsnąć.

— I ja bardzo ciekawy — mówił dalej po chwili milczenia — ja bym chciał wiedzieć, jakim sposobem gwiazdy po niebie chodzą i trawy z ziemi wyrastają... jak wszystkie narody na ziemi żyją i jakie są rozumne i święte ich księgi i ja bym chciał wszystkie rozumne księgi te przeczytać i z nich nauczyć się myśli bożej i doli ludzkiej, ażeby dusza moja stała się tak pełną wiedzy, jak pełną wody jest wielka przepaść morza... Ja taki ciekawy... ja tak bym chciał...

Urwał nagle, bo westchnienie wybuchające z głębin piersi ognistej, rozebranej niewysłowioną tęsknotą i nienasyconym pragnieniem, głos mu przerwało.

Po chwili milczenia dodał ciszej:

— Ja bym chciał być taki szczęśliwy, jak był rabbi Akiba...

— A kto to taki był rabbi Akiba? — nieśmiało zapytała Gołda.

Zadumane oczy Meira rozświeciły się i błysnęły.

— To był wielki człowiek, Gołdo! Ja jego historię często sobie czytam i teraz ją czytałem, kiedy ty przyszłaś do mnie...

— I ja dużo pięknych historii wiem — rzekła Gołda — one w mojej duszy wyrastają jak czerwone i pachnące róże! Daj ty mi, Meir, jeszcze jedną różę taką; niech ona przede mną świeci, kiedy ja na ciebie patrzeć nie będę mogła...

Spojrzenia ich spotkały się. Miękki uśmiech okrążył usta Meira.

— Umiesz po hebrajsku? — zapytał.

Śpiesznie skinęła głową w znak twierdzenia.

— Umiem, zejde nauczył...

Meir odwrócił parę kart wielkiej księgi, która na kolanach jego leżała, i głośno czytać zaczął:

„Kolba Sabua był człowiek bogaty. Pałace u niego były wysokie jak góry, a suknie jego od złota błyszczały, a w jego ogrodach rosły cedry pachnące i palmy z szerokimi liściami i kwitły wonne róże Saronu.

Ale piękniejszą od pałaców wysokich, od cedrów pachnących i pąsowych róż, piękniejszą od wszystkich dziewic w Izraelu była córka jego, młoda Rachela.

Kolba Sabua miał tyle trzód, ile gwiazd jest na niebie, a trzody te pasał młodzieniec ubogi, co wzrost miał wysoki jako cedr młody, a twarz bladą i smutną, jak u człowieka bywa, który duszę swoją z ciemnicy wybawić chce, a nie może.

Młodzieniec ten nazywał się Józef Akiba i mieszkał na wysokiej górze, po której pasły się trzody pana jego.

I zdarzyło się raz, że piękna Rachela przyszła do ojca swego, upadła przed nim na ziemię, nogi jego całowała, bardzo płakała i mówiła: «Ja chcę pójść za Akibą i mieszkać w tej niskiej czarnej chatce, co stoi tam na wierzchołku góry i w której on mieszka!».

Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Wielkim on uniósł się gniewem na córkę swoją, piękną Rachelę, i zakazał jej myśleć o młodym pasterzu.

Ale piękna Rachela wyszła z wysokiego pałacu, nic nie zabrawszy z sobą prócz czarnych oczów swoich, które jak wielkie brylanty błyszczały łzami, i czarnych swych włosów, co podnosiły się nad jej czołem jak wielka korona. I poszła na wysoką górę, do czarnej chatki weszła i powiedziała: «Akibo! Oto żona twoja do domu twego wchodzi!».

Akiba był w wielkiej radości, wypił z oczu Racheli jej łzy brylantowe, a potem bardzo piękne rzeczy zaczął jej mówić. Mądre słowa jak miód lały się z ust jego, a ona słuchała i szczęśliwą była, i powiedziała: «Akibo! Ty będziesz wielką gwiazdą, co nad drogami Izraela zaświeci!».

Kolba Sabua był człowiek dumny i twardego serca. Nie posłał on córce swej na wysoką górę żadnej żywności ani żadnej sukni i mówił: «Niechaj głód pozna i zobaczy nędzę».

Piękna Rachela poznała głód i zobaczyła nędzę. Był taki dzień, że nie miała ona czego włożyć w usta Akiby i zamyśliła się bardzo nad tym, że mąż jej głodny.

Akiba mówił: «Nic to, że ja głodny!» i zaczął jej znowu mądre rzeczy opowiadać, ale ona wstała, z wielkiej góry zbiegła, do miasta weszła i zawołała: «Kto mi da miarkę jagły za tę czarną koronę, co ją na głowie noszę?». I dali jej miarkę jagły, a czarną koronę, co piękniejsza była jak brylanty i perły, z czoła jej zdjęli.

Wróciła na górę, do małej chatki weszła i powiedziała: «Akibo! Usta twoje mam już czym nakarmić, ale dusza twoja głodna i pokarmu dla niej ja nie dostanę! Idź ty w świat i karm duszę swoją wielką mądrością, co z ust uczonych płynie. Ja tu zostanę, przed progiem domu twego usiądę, prząść wełnę i pasać trzody będę, i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz jak słońce, które powraca na niebo, aby ciemności nocy rozpędzić».

Akiba poszedł…”.

Tu głos czytającego urwał się i oczy jego opuściły karty książki, tuż bowiem przy jego ramieniu ozwał się zdziwiony jakby i pytający szept:

— Akiba poszedł?

Wymówiła to Gołda z szeroko roztwartymi oczami i oddechem zapartym w piersi.

— Akiba poszedł! — powtórzył Meir i znowu czytać począł:

„Piękna Rachela przed progiem domu jego usiadła, wełnę przędła, trzodę pasła i na drogę patrzała, którą powrócić on miał, jasny cały od wielkiej mądrości.

Siedem lat przeszło. I był wieczór taki, w którym miesiąc leje na ziemię morze srebrnej światłości, a drzewa i trawy stoją cicho i nie ruszają się, jakby wionął na nie duch Przedwiecznego, co światu niesie pokój i ciszę.

Tego wieczora zza wysokiej góry wyszedł człowiek wysoki i blady. Nogi jego trzęsły się jako liście, gdy nimi wiatr miota, a ręce podnosiły się do nieba. A kiedy on zobaczył małą, biedną chatkę, łzy wielkim strumieniem puściły się mu z oczu, bo był to Akiba, mąż pięknej Racheli.

Akiba stanął przy oknie chatki swojej, które otwarte było, i słuchał, jacy tam w niej ludzie gadali.

Gadała tam żona jego, Rachela, z bratem swoim, którego ojciec jej przysłał do niej. «Powróć do domu Kolby Sabuy» mówił jej brat, a ona odpowiedziała: «Czekam tu na Akibę i domu jego strzegę». Brat mówił: «Akiba nie wróci już nigdy. On porzucił ciebie i wielki wstyd tobie zrobił». Ale ona odpowiedziała: «Akiba mię nie porzucił. Ja jego sama posłałam do źródła mądrości, ażeby on z niego pił». «On ze źródła mądrości pije, a ty kąpiesz się we łzach i ciało twoje wysycha do nędzy!» «Niech oczy moje ze łzami wypłyną i niech ciało moje zje nędza, ja domu męża mego strzec będę. I żeby teraz stanął przede mną ten, dla którego miłość w sercu moim czuję, i powiedział: Rachelo! wróciłem do ciebie, abyś nie płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem! — powiedziałabym jemu: Idź i pij więcej».

Blady podróżny, co stał pod oknem, które otwarte było, jak posłyszał to, co mówiła Rachela, zbladł jeszcze więcej, zatrząsł się bardzo, odszedł od małej chatki swojej i wrócił tam, skąd był przyszedł.

Znowu przeszło lat siedem. I nadszedł dzień taki, w którym słońce leje na ziemię potoki złotych jasności, a drzewa szumią i kwiaty kwitną, i ptaki śpiewają, i ludzie śmieją się, jakby powiał na nich duch Przedwiecznego, który niesie światu życie i radość.

Na drodze, co wysoką górą podnosiła się do niskiej chaty pasterza, szumiała wielka gromada ludzi. Pośrodku niej szedł człowiek wysoki; twarz jego jaśniała jako słońce wielką mądrością, a z ust jego padały słowa słodkie jak miód, a wonne jak mirra. Lud kłaniał się przed nim nisko, słowa jego chciwymi uszami chwytał i z wielką dla niego miłością wołał: «O rabbi!».

Ale przez gromadę ludu przeleciała kobieta i upadłszy na ziemię, objęła kolana mistrza. Wrzeciono ona w ręku swym trzymała, łachmany ją okrywały, twarz jej była chuda, bo

przez lat czternaście zjadała ją nędza, i oczy głęboko schowane, bo przez lat czternaście wypływały łzami.

«Idź precz, żebraczko!» — krzyknął lud na kobietę; ale mistrz podniósł ją z ziemi i do piersi swej mocno przycisnął, bo był to Józef Akiba, a kobieta była żoną jego, Rachelą.

«Oto zdrój, co smutne serce me poił nadzieją, kiedy głowa moja w tęsknocie i pracy wielkiej nurzała się w źródle mądrości».

Tak mistrz do ludu powiedział i chciał na głowę Racheli włożyć koronę ze złota i pereł. «Ty Rachelo — rzekł — zdjęłaś kiedyś z głowy twojej piękny swój warkocz, aby głodne usta moje nakarmić, ja teraz czoło twoje przyozdobię bogatym wieńcem!»

Ale ona zatrzymała ramię jego i podnosząc nań oczy, które znowu piękne stały się jak przed wielu laty, rzekła: «Rabbi, chwała twoja jest moją koroną!»".

Skończył czytać młody człowiek i powolne spojrzenie zwrócił na siedzącą obok niego dziewczynę.

Gołda miała twarz całą w płomieniu i w łzach.

— Piękna historia? — zapytał Meir.

— Aj, aj! Jaka piękna! — odpowiedziała i z policzkiem opartym na dłoni kołysała przez chwilę wysmukłą swą kibić w rozmarzeniu jakby lub zachwyceniu. Nagle łzy oschły na oczach jej, pobladła i wyprostowała się.

— Meir — zawołała — żebyś ty był Akibą, a ja córką bogatego Kolby Sabuy, jak bym dla ciebie to samo zrobiła, co piękna Rachela!

Powolnym gestem ujęła w obie ręce pyszny warkocz hebanowej czarności, który niedbale zwisał jej na plecy, i okręcając go wkoło głowy rzekła:

— I ja mam taką samą, jak Rachela, czarną koronę!

Potem podniosła na Meira źrenice swe głębokie i płomienne i śmiało, poważnie, bez uśmiechu, rumieńca i uniesienia rzekła:

— Ja bym dla ciebie, Meir, i oczy moje z głowy mojej wyjęła! A na co by mi oczy, kiedy bym na ciebie patrzeć nie mogła?

Gwałtowny rumieniec wytrysnął na twarz młodzieńca, ale nie był to już wstyd, było to wzruszenie. Dziewczyna ta była tak naiwna, tak dzika i zarazem tak piękna w swym ogromnym, potarganym warkoczu nad czołem i z namiętnymi słowami na śmiałych, poważnych ustach.

— Gołda! — rzekł Meir. — Ja przyjdę kiedy do waszego domu i starego dziada twego nawiedzę!

— Przyjdź! — odpowiedziała. — Z tobą razem przyjdzie do domu naszego wielka światłość!

Słońce zaszło już było prawie za wysoki obłok z purpury i fioletu. Mała sadzawka zza splotów wysokich łóz świeciła z dala liliową szybą. W stronę tę upadło spojrzenie Gołdy i zatrzymało się na wodzie i wzrastającej dokoła niej zieloności.

— Czego ty, Gołdo, tak patrzysz na tę sadzawkę? — zapytał Meir, który wzroku swego od twarzy jej oderwać już nie mógł.

— Ja bym chciała gałęzi tych, co tam rosną, dużo naścinać — odpowiedziała.

— A na co tobie te gałęzie? Co ty z nich robić będziesz?

— Ja bym ich do domu zaniosła. Zejde z nich kosze i kobiałki robi, a potem je na targu chłopom sprzedaje i za to chleb, a czasem i ryby trochę kupuje. Teraz już dawno zejde nie ma z czego koszów robić i bardzo smuci się…

— Dlaczegóż ty ich sobie nie weźmiesz, kiedy one tobie potrzebne?

— Mnie brać ich nie wolno…

— Czemu nie wolno? Wszystkim z całego miasteczka wolno paść tu trzody i ścinać gałęzie. Ta łąka i ten gaj do szybowskiej gminy należą.

— To co, że należą? Mnie nie wolno. My w *Talmud* nie wierzym, w sobotę świateł nie palim… nam nic nie wolno!

Meir podniósł się z siedzenia nagłym ruchem.

— Chodź! — rzekł do Gołdy. — Naścinaj sobie gałęzi tych, wiele[66] zechcesz; ja będę przy tobie stał… i już ty niczego się nie bój!

[66]*wiele* (daw., gw.) — tu: ile.

Twarz Gołdy zajaśniała radością. Wzięła z rąk Meira składany nóż, który on jej podał, i pobiegła ku sadzawce. Teraz, gdy czuła się bezpieczną pod osłoną silnego a drogiego jej ramienia, gdy uśmiechnęła się jej nadzieja sprawienia radości staremu dziadkowi, ruchy jej utraciły powagę, która dawała jej pozór dojrzałej kobiety. Biegła oglądając się wciąż na Meira, który szedł za nią, i wołając kozy swej, która biegła ku niej z przeciwległego krańca łąki.

Stanęli nad wodą. Najgęstsze łozy rosły w wodzie już, o kilka kroków od mokrego brzegu. W mgnieniu oka Gołda zrzuciła ze stóp swych płytkie swe obuwie i zakładając nieco długą swą suknię za przewiązanie fartucha, aby uczynić ją krótszą, wbiegła do wody. Meir został na brzegu i patrzał na dziewczynę, która podnosząc ramiona ciemnymi rękami ścinała szybko giętkie gałęzie. Śmiała się przy tym; usta jej, roztwierając się w uśmiechu, ukazywały rząd zębów białych jak perły, blaski jaskrawych obłoków oblewały ciemną twarz jej różową łuną i złociły owiniętą wkoło jej czoła czarną koronę.

Meir nie spuszczał z niej wzroku i uśmiechał się także. W pobliżu biała koza stanęła też w zielonych krzakach i wyciągając szyję, patrzała na panią swą, stąpającą po liliowej wodzie. Nagle Gołda wydała głośny okrzyk i pochyliła się.

— A co tam? — zapytał Meir.

Z zielonej gęstwiny, w której skryła się całkiem postać dziewczęcia, ozwał się głos wesoły:

— Tu, Meir, piękne kwiaty są!

— A jakie to kwiaty?

Wysmukła kibić wychyliła się na wpół z zieleni, wygięła się ku brzegowi i wyciągając szczupłe ramię, podawała stojącemu u brzegu mężczyźnie szerokolistną, żółtą lilię wodną.

Meir pochylił się nieco, aby dosięgnąć podawanego mu kwiatu, lecz nagle ramię Gołdy drgnęło, różowa twarz jej pobladła, oczy jej otworzyły się szeroko z uczuciem grozy.

— Czarny człowiek! — szepnęła, zarazem upuściła do wody lilię i z cichym krzykiem trwogi zanurzyła się całkiem w nadwodnej zieleni.

Meir obejrzał się. O kilkanaście kroków za nimi wychodził z gęstwiny gaju i szybko przesuwał się łąką człowiek dziwnej postaci. Był to człowiek średniego wzrostu, bardzo chudy, z bardzo ciemną twarzą, z czarnymi, siwiejącymi już nieco włosy[67] i z czarną, siwiejącą brodą opadającą mu do pasa. Ubrany był w długą, wąską suknię z grubego, wyszarzałego sukna; szyja jego, naga i żółta, wychylała się zza roztwartej, grubej koszuli. Trzymał się bardzo pochyło i szedł bardzo prędko. Kroki jego nie czyniły żadnego szelestu, bo na nogach miał płytkie, znoszone obuwie. W obu rękach niósł ogromną wiąź różnobarwnych ziół dzikich, nad głową jego i za nim leciała gromada ptaków, które znały go znać dobrze, bo niekiedy na czarnych włosach jego lub zgarbionych plecach siadać próbowały.

Kiedy człowiek ten, nie patrząc na Meira, mijał go o kilka kroków, młodzieniec machinalnie pochylił głowę nisko w znak pokory i czci. Wnet przecież podniósł ją. Twarz jego była bladą, brwi ściągnęły się z tłumioną boleścią. Posępnym wzrokiem powiódł za przygarbioną postacią cicho mknącą przez łąkę — i zza zaciśniętych od gniewu czy bólu zębów wymówił:

— Rabbi Izaak Todros!

IV

Rabbi Izaak Todros nosił na powierzchowności swej, a może i w duchowym swym ustroju, wybitne ślady kilkowiekowego przebywania przodków jego w palącym klimacie Hiszpanii.

Tułaczy lud, zdumiewająco wytrwały w zachowywaniu cech wyróżniających go spośród plemion innych, siłą niezwalczonych wpływów przyrody zaczerpnął tu i ówdzie coś z widnokręgów różnych, po których rozsiewała go dola wygnańcza.

Istnieją tu śród ogólnych podobieństw różnice ważne: ludzie względnie niedawno przybyli z Południa lub Wschodu i ci, nad którymi od wieków rozciąga się niebo blade i wieją mroźne wichry, duchy powolne i namiętne, mistyczne i zatopione w rzeczywistości, włosy czarne jak najczarniejsze pióra krucze i oczy błękitne jak barwa pogodnych obłoków,

[67]*z siwiejącymi (…) włosy* — dziś popr. forma N.lm: (...) włosami.

czoła białe i śniade, organizmy silne, hartowne i ciała chude, suche, nerwowe, drgające namiętnością, napojone marzeniem, trawione fantazją.

Najśniadszą spośród śniadych twarzy, najczarniejsze z najczarniejszych włosy i oczy, najnamiętniejszego i najbardziej marzeniem rozebranego ducha spośród wszystkich ognistych, bezładnych duchów posiadał Izaak Todros.

Jakie właściwie stanowisko zajmował on w swej gminie i na czym wspierało się ono? Kapłanem nie był; rabini kapłanami nie są, a żaden naród może tak dalekim nie jest z natury swej, jak izraelski, od teokratycznych rządów i czci. Administratorem gminy swej nie był także, sprawami cywilnymi jej bowiem trudnili się urzędnicy kahału, rabini zaś posiadają w składzie kahału jedyną rolę strażników religii, przepisów jej i obrządków. Posiadał on przecież wyższe nad wymienione powyżej godności. Pochodził ze starożytnego książęcego rodu, pomiędzy przodkami swymi liczył wielu mędrców dawnych a niedawnych[68] świątobliwych i czczonych rabinów; był doskonałym pobożnym, więc cadykiem i chachamem[69], ascetą, cudotwórcą niemal, a także głęboko, niezmiernie uczonym.

To ostatnie stosowało się do uczoności religijnej tylko, ale była też to w oczach gminy szybowskiej uczoność jedyna. Uczoność ta obejmowała sobą nieporównaną znajomość ksiąg świętych: *Tory*, czyli *Biblii*, najmniej, *Talmudu* więcej, najwięcej *Kabały*.

Izaak Todros był najbieglejszym kabalistą czasów najnowszych i stanowiło to kamień węgielny, na którym wspierała się budowa jego wielkości.

Ktoś zaznajomiony choć trochę z rzeczami dotyczącymi wiary izraelskiego plebsu przypuści zapewne, że ludność szybowska była odłamem licznej a posępnej sekty chasydów[70], która na czele wszystkich nauk duchownych i świeckich stawia *Kabałę*.

Nie, mieszkańcy Szybowa nie uważali się za odszczepieńców, owszem, szczycili się tym, iż są prawowiernymi talmudystami i rabbanitami. Ale należeli oni do tych, licznych zresztą w najniższych warstwach społecznych, talmudystów, którzy do *Tory* i *Talmudu* przyłączyli *Kabałę*, uznali ją za księgę świętą i rozmiłowali się w niej z namiętnością usuwającą w cień dwie księgi pierwsze.

Zresztą przeleciał też nad ludnością szybowską i chasydyzm, zetknął się z nią z bliska i pozostawił śród niej liczne ślady. Znaczna część ludności tej była w istocie chasydzką, nie wiedząc o tym sama, a wieść niosła, że dziad Izaaka Todrosa, ów reb Nochim, który to staczał walki o idee z Herszem Ezofowiczem, był czas jakiś uczniem Beszta[71], założyciela dziwnej tej sekty, widywał go często i jakkolwiek nie przyłączył się do niej całkiem, wniósł w gminę, której duchowym przewodnikiem był, wiele z zasadniczych jej pierwiastków.

Głównymi pierwiastkami tymi są: nieograniczona cześć dla Kabały, bałwochwalcze niemal wielbienie cadyków i wstręt nabożny, głęboki, niezłomny ku edomitom (obcym narodom) i ich naukom.

Pierwiastki te zwiększały się i rozrastały coraz za sprawą syna Nochimowego, Borucha, a wnuk jego, Izaak, ujął w dłonie dostojeństwo przez przodków dzierżone w czasie ich najszerszego rozkwitu.

Religia więc szybowskich mieszkańców nie była mozaizmem[72] ani talmudyzmem, ani chasydyzmem, ale chaotycznym pomieszaniem wszystkiego tego, pomieszaniem, które panowało na przestrzeni wielu dziesiątków mil dokoła Szybowa, a najwyższy wyraz swój znajdowało w osobie szybowskiego rabina.

Rabbi Izaak miał ciemne czoło, zorane całe głębokimi bruzdy, które powstały na nim wtedy, gdy myślą wytężoną przenikać on usiłował tajemnice nieba i ziemi za pomocą

---

[68]*dawnych a niedawnych* — tu: „a" w funkcji spójnika łącznego (równorzędnego znaczeniowo „i").

[69]*chacham* (hebr.) — mędrzec.

[70]*chasydzi* — spolszczone hebr. *chasidim*, dosł.: pobożni; nazwa zwolenników *chasydyzmu*, ruchu mistyczno-religijnego, który powstał w Polsce w drugiej poł. XVIII w., a którego założycielem był rabi Israel Baal Szem Tow (1700–1760) z Podola; chasydyzm przeciwstawiał się rabinicznemu judaizmowi, kładąc nacisk na osobistą modlitwę; mistyczne zjednoczenie z Bogiem miały zapewnić ekstatyczne śpiewy i tańce.

[71]*Beszt* — skrót od imienia twórcy chasydyzmu, rabiego Israela Baal Szem Tow (tzn. dosł.: Mistrz Dobrego Imienia a. Mąż Dobrej Sławy).

[72]*mozaizm* — określenie judaizmu używane gł. w zach. chrześcijaństwie, nazwa utworzona od imienia Mojżesza, pierwotnego prawodawcy judaizmu; niektórzy historycy (m.in. Feliks Koneczny) używali nazwy mozaizm na określenie pierwotnej wersji religii żydowskiej, opartej na *Biblii* (*Torze*) i różnej od judaizmu opartego na *Talmudzie*, ukształtowanego wg tej wykładni dopiero w pierwszych wiekach naszej ery i w opozycji do chrześcijaństwa.

odpowiedniego układania liter składających imiona Boga i aniołów. Miał on też w czarnych jak węgle swych oczach błyski ponure lub zachwycone, lecz zawsze namiętne, które rozpaliły się przy rozpamiętywaniu niezmiernej grozy i nieporównanych rozkoszy nadprzyrodzonego świata. Plecy jego przygarbione były od pochylania się nad księgami, ręce drżące od nieustannych wzruszeń umysłu bojującego z widmami, ciało wyschłe i policzki głęboko wklęsłe od udręczeń ducha i umartwień ciała.

Celibat, post i bezsenne noce wypisanymi były na ciemnej powierzchowności człowieka tego, zarówno jak mistyczna ekstaza, tajemna groza i przebaczenia nieznająca nienawiść dla wszystkiego, co żyło, wierzyło, pragnęło inaczej niż on.

Za młodu żonatym był, a raczej ożeniono go wtedy jeszcze, gdy najmniejszy włosek dojrzałości męskiej nie ukazywał się na policzkach jego. Wkrótce rozwiódł się z żoną, która krzątaniem się swym mąciła mu nabożne skupienia lub uniesienia ducha; troje dzieci jego wzrastało w domu brata jego, a on sam, pustelnik w niskiej swej czarnej chatce, żył całym wyprężonym do ostatnich granic życiem fantazji, namiętnych modłów i przepaścistych mistycznych rozmyślań.

Pod względem cielesnym żył on darami, które przysyłali mu żarliwi czciciele jego. Dary to zresztą powszednie były i drobne. Wielkich, kosztownych podarków rabbi Izaak nie przyjmował ani nawet zapłaty żadnej nie brał za udzielanie przybywającym doń wiernym rad, leków i przepowiedni.

Ale codziennie przed wschodem słońca przez dziedziniec szkolny przesuwała się nieśmiała postać jakaś i na ławce drewnianej stojącej u okna chaty stawiała bez szelestu żadnego gliniane naczynia napełnione jadłem i kromki chleba lub świątecznego ciasta.

Rabbi w porze tej odmawiał zwykle poranne modlitwy, albowiem była to pora, w której barwę białą od bladobłękitnej rozróżnić już można, w której zatem prawowierny Izraelita wszelki poranne szemy[73] i tefile odmawiać powinien.

Potem otwierał okno i spod żółtych powiek długo źrenicą ognistą, pływającą po zaczerwienionych od trudu białkach ocznych, patrzał na różowe blaski jutrzenki. Tam, w stronie tej był Wschód daleki, Jeruzalem, niewidzialne już gruzy Salomonowej świątyni, Palestyna płacząca po synach swych i więdnące od smutku palmy Syjonu.

Niekiedy ogień płonący w oczach rabina gasł w łzie, która spływając chłodziła spalone od pożarów wewnętrznych jego policzki... Chłodziły je też czasem wiatry mroźne i wilgotne mgły, ale Izaak Todros przez mgły i tumany deszczowe lub śnieżne długo zawsze co ranek patrzał ku Wschodowi...

Potem pochylał się i brał z ławy przygotowane dlań przez pobożną rękę pożywienie. Nie spożywał go nigdy całkiem, bo chleb i ciasto łamał w drobne okruchy i pełnymi garściami rzucał je ptakom, których gromady wielkie zlatywały wtedy z sąsiednich dachów, z ulic, zewsząd, aby przezroczystą zasłoną ruchliwych skrzydeł przysłonić małe, otwarte okienko. Niektóre z nich porywały okruchy i odnosiły je do gniazd swych z radosnym szczebiotem, inne nasyciwszy się wlatywały w okienko i obsiadały gromadnie czarne i przygarbione ramiona karmiciela swego. Pod niską strzechą chatki gnieżdżące się licznie jaskółki wychylały się też z gniazd i spuszczając ku niemu dzioby swe, patrzały nań śmiałymi oczami. Wtedy ciemna twarz rabina stawała się trochę mniej ciemną i czasem, rzadko kiedy przecież, uśmiech łagodny igrał po wargach jego zaciśniętych i gęstymi włosami obrosłych.

Ptaki znały go dobrze i z bliska, nie tylko te, które zamieszkiwały miasteczko, ale i te także, których pełen był gęsty gaj brzozowy.

Izaak Todros wychodził często do gaju i zagłębiał się niekiedy aż w sąsiadujące z nim ogromne puszcze sosnowe. Co czynił tam? Karmił ptaki, które spostrzegłszy go zlatywały się wnet ze stron wszystkich i towarzyszyły mu przez cały ciąg jego przechadzki; modlił się wielkim głosem nieraz, podskakując wysoko nad ziemię, podnosząc w górę trzęsące się ręce i odgłosami namiętnych krzyków swych wywołując chóry leśnych ech; szukał na koniec różnych traw i ziół dzikich, które zrywał ogromnymi więziami i do małej swej chaty z sobą unosił. Rośliny te posiadały lecznicze własności, których znajomość spadała w rodzinie Todrosów z ojca na syna. Byli oni wszyscy z rodzaju pierwotnych lekarzy tych,

[73]*szema* — wyznanie wiary zawarte w codziennych porannych i wieczornych modlitwach (por. hebr. *Szema Izrael*: Słuchaj, Izraelu).

których pełnymi były wieki średnie i którzy sztukę leczenia cierpień cielesnych otrzymywali nie od akademii żadnej, ale z rąk dzikiej natury, badanej fantastyczną i ciekawą więcej niż umiejętną myślą. Jeden zresztą z dalekich przodków Izaaka Todrosa słynnym był niegdyś w Hiszpanii lekarzem, wtedy gdy w niedoli izraelskiego ludu zaszedł był krótki przestanek jakiś i gdy wolno im było wraz z innymi narody czerpać wszechstronne życiowe pokarmy ze źródeł wszelkich. Przestanek to był krótki, po którym zniknęli ze świata sławni i istotnie uczeni izraelscy lekarze, ale ten z nich, który nosił imię Todrosa Haleviego, przekazał wiadomości swe synom swoim i powędrowały one potem z pokolenia w pokolenie, przeinaczając się w różne sposoby, strojąc się w liczne fantastyczne szaty, układając się w dziwne, cudowne legendy, których bohaterami były skromne rośliny te ze skromnymi barwy a przejmującą wonią, po których deptały wzgardliwie stopy leśnych przechodniów.

Izaak Todros wyszukiwał pilnie i skrzętnie zbierał drogocenne te przedmioty starej wiedzy i długich podań swych rodzinnych, unosił je ze sobą i wróciwszy do niskiej lepianki swej rozkładał je cienkimi warstwami na brudnej podłodze ciasnej izby, aby rzadkie tu i ubogie promienie słońca, padając na nie, przenikały je na wskroś dobroczynną swą siłą.

Zawsze też, a w letniej i jesiennej porze najczęściej, atmosfera małej izdebki rabina przejęta była cała silnymi i dusznymi woniami suszących się ziół i kwiatów dzikich. Blade barwy uwiędłych roślin smętnie jaśniały na otaczającym tle ścian szarych od pyłu, przez dziesiątki lat gromadzącego się w grube warstwy, i wśród śmiecia zalegającego kąty i przysypującego grubo podłogę wyglądały jak tęskne, z zielonych rajów porwane diamenty.

Izdebka to zresztą była przypominająca surowe cele pustelników i anachoretów[74]. Nic w niej nie było prócz niskiego, twardego łoża, białego stołu umieszczonego przy jednym z okienek, paru stołków drewnianych i kilku mocnych desek wpojonych w ścianę i napełnionych księgami. Śród ksiąg tych znajdowało się dwanaście tomów ogromnej wielkości odwiecznym drukiem napełnionych i w zżółkły pargamin oprawnych. Był to Talmud. Powyżej leżały: *Ozar-ha-kabod*, dzieło skreślone przez jednego z przodków Izaaka, przez owego Todrosa Haleviego, który pierwszym talmudystą był w *Kabałę* wierzącym; *Toldot Adam*, epopeja opiewająca dzieje pierwszego człowieka i wygnańca; *Sefer Jecira* (Księga Stworzenia), apokaliptyczny obraz powstania świata; *Kaarat Kezef*, w którym Ezobi przestrzega Izraelitów przed zgubnymi wpływy wszelkiej świeckiej nauki; *Sziur Koma*, plastyczny opis Boga oświecający czytelników o fizycznej Jego postaci, olbrzymich rozmiarach głowy, nóg, rąk i szczególniej brody Bożej, posiadającej, wedle twórcy dzieła tego, dziesięć tysięcy pięćset parasangów[75] długości. Ale na najwyższym miejscu złożona i częstym używaniem zniszczona najbardziej znajdowała się tam *Księga Blasku*, *Zohar*, najobszerniejsza i najgłębsza zarazem rozprawa o Chochma-Nistarze (Kabale), którą w imieniu żyjącego przed wielu wiekami rabina Szymona ben Jochai wydał w wieku XIII Mojżesz z Leonu.

Takim był księgozbiór Izaaka Todrosa, nad którym spędzał on bezsenne noce, czerpiąc zeń wielką uczoność i mądrość swoją, trawiąc nad nim wszystkie siły swego ciała. Z niego to ulatującą wonią upajał on ducha swego mistycznymi wzruszeniami i gorzkim, ostrym jadem bezbrzeżnych wstrętów dla wszystkiego, co obcym było lub niechętnym zawierającemu się w nim światu, pełnemu nadprzyrodzonych blasków i ciemności. Nad nim to przesiadywał on noce, nie tylko powszednie i zwykłe, ale nawet świąteczne. Tylko że w świąteczne noce nie bywał sam jeden, lecz przy nogach jego siadywał uczeń i ulubieniec jego, reb Mosze, mełamed, ażeby ucinać, gdy zajdzie tego potrzeba, czarny knot żółtej łojówki. Pobożnemu bowiem, który w noc świąteczną czyta święte księgi, objaśniać świecy nie wolno i trzeba, ażeby podówczas znajdowała się obok niego uważna zastępcza ręka. Czytywał więc cadyk w noce świąteczne *Sziur Komę* i *Zohar*, a siedzący obok niego mały człowieczek w grubej koszuli podnosił się od chwili do chwili z niskiego siedzenia swego, ożywiał ciemniejący płomyk żółtej świecy i okrągłe oczy swe w twarz mistrza wpijał, czekając lada chwila, że kreślone, ustawiane i przestawiane ręką jego litery imion

[74]*anachoreta* — pustelnik.

[75]*parasang* a. *parasanga* — staroż. perska miara odległości, przyjęta także w staroż. Grecji, licząca 30 stadionów, tj. ok. 5,5 km; mila perska.

boskich, Notarikon i Gematria, ułożą słowo, które wielkich cudów dokonywać będzie i odkryje przed ludźmi wszystkie tajemnice nieba i ziemi.

Mełamed zresztą, który także w wieku dojrzałym rozwiódł się z żoną swą, zaślubioną we wczesnej młodości, aby móc pędzić ascetyczne, przez *Kabałę* wychwalane życie, przepędzał w towarzystwie i na usługach wielkiego rabina cały czas wolny od nauczycielskich zajęć w chederze.

I teraz także Izaak Todros, wracając wnet po zachodzie słońca do domu swego z wielką więzią dzikich roślin w dłoniach, znalazł wiernego czciciela swego siedzącego w kącie ciemnej sionki. W skurczonej postawie siedząc, opierał on twarz na obu dłoniach i pogrążał się w rozmyślaniach głębokich.

— Mosze! — ozwał się rabin szybko i cicho, przesuwając się przez sionkę.

— Co rozkażesz, nassi? — pokornym głosem zapytał Mosze.

— Idź, Mosze, zaraz do starego Saula i powiedz jemu, że rabin Izaak Todros jutro domostwo jego odwiedzi!

Skurczona i szarzejąca w ciemnym kącie postać porwała się jak sprężyną z ziemi poruszona i bosymi stopami pomknęła szybko przez plac ku wysokiemu domostwu Saula. Tu wpadłszy na ganek i przebiegłszy długi korytarz, mełamed otworzył na wpół drzwi i wchylając głowę do obszernej izby, zawołał donośnym i tryumfalnym głosem:

— Rebe Saul! Ciebie wielkie szczęście i wielki honor spotyka! Rabbi Izaak Todros, doskonały pobożny i pierwszy mędrzec świata, jutro dom twój nawiedzi!

Z głębi obszernej bawialnej izby bogatego kupca suchy od starości, lecz silny głos odpowiedział:

— Ja, Saul Ezofowicz, dzieci, wnuki i prawnuki moje czekać będziemy jutro nawiedzin rabbi Izaaka z wielką radością i z wielkim pragnieniem w sercu. Niech sto lat żyje!

— Niech sto lat żyje! — powtórzyła wychylająca się przez drzwi twarz ciemna z okrągłymi oczami i zniknęła.

Drzwi zamknęły się. Stary Saul siedział na kanapie i czytał *Zohar*, którego jednak głębokich objawień pomimo największych wysileń objąć nie mógł umysł jego, do świeckich interesów przywykły. Zbrużdżone czoło jego chmurnym nagle stało się i niepokój zamigotał mu w oczach. Zwrócił się ku najstarszemu z synów swych, Rafałowi, który przy stole pobliskim siedząc, spisywał w rachunkowej książce cyfry kosztów i zysków miesiąca, i zapytał:

— Czego on tu przyjdzie?

Rafał wzruszył ramionami w znak niewiadomości.

— Czy on do nas przyczepkę jaką ma? — zapytał znowu starzec.

Rafał podnosząc twarz znad rachunkowej książki odpowiedział:

— Ma.

Saul drgnął.

— Nu! — zawołał. — A co to za przyczepka może być? Czy kto z naszej familii zgrzeszył?

Rafał rzucił krótko:

— Meir!

Twarze ojca i syna stały się smutnymi i niespokojnymi. Izaak Todros nawiedzał zwyczajnie członków gminy swej bardzo rzadko i wtedy tylko, gdy szło o ważne jakieś religijne sprawy lub przekroczenia. A i te jeszcze nawiedziny rzadkie spotykały najbogatszych tylko, najdostojniejszych i najwpływowszych członków gminy. Biedny, szary lud oblegał sam lepiankę rabina i na każde skinienie jego przylatywał z niewysłowioną radością lub trwogą.

*

Rabin Izaak Todros ascetą był i mamoną gardził. Zaszczytów jednak wszelkich i oznak czci, którymi go otaczano, nie odrzucał i wtajemniczeni w głębsze myśli jego i uczucia wiedzieli o tym, iż lubił je nawet bardzo, a nawet dopominałby się o nie stanowczo, gdyby ktokolwiek pomyślał kiedy o odmówieniu mu ich lub umniejszeniu. Dlatego cały lud ubogi i wszyscy, którzy mu się szczególniej przypodobać pragnęli, dawali mu tytuł książęcy, mówiąc do niego nassi, dlatego też wszelkie przejście jego przez miasteczko,

będące zawsze dla ludności ewenementem o tyle ciekawym, o ile uroczystym, otaczane było pewnym, dość poważnym ceremoniałem.

Parę godzin jeszcze brakowało do południa, gdy Saul Ezofowicz, stojąc u okna bawialnej izby, zaniepokojonym nieco wzrokiem i spod zjeżonych brwi spoglądał na orszak z wolna przez plac sunący. Spoglądali też nań członkowie rodziny jego, synowie, synowe, córka, zięć i najstarsze z wnuków, świątecznie przybrani, z uroczystymi twarzami, zebrani tu dla powitania w progach domu swego najwyższej dostojności gminy.

Przez plac od szkolnego dziedzińca ku domostwu Ezofowiczów sunęła gromadka ludzi czarno ubranych. Pośrodku z postacią jak zwykle podaną naprzód, w wyszarzanym odzieniu swym i z grubą koszulą odkrywającą całkiem długą, żółtą szyję, szedł Izaak Todros zwykłym swym, prędkim, cichym krokiem. Z dwóch stron jego postępowali dwaj urzędnicy kahału: mały i giętki rebe Jankiel, ze swą białą, piegami okrytą twarzą i rudą jak ogień brodą, i Dawid Kalman, jeden z dostojników miasteczka, morejne, bogaty handlarz bydłem, wysoki, wyprostowany, poważny, biały, z rękami w kieszeniach atłasowego chałatu, z uśmiechem słodkiej błogości na pulchnych wargach. Za trzema ludźmi tymi i po obu ich stronach cisnęło się jeszcze kilkanaście głów, mniej lub więcej nisko lub wysoko trzymających się, i twarzy, mniej lub więcej uśmiechniętych i kornych. Całe towarzystwo to wyprzedzał reb Mosze w sposób taki, że twarzą zwrócony był ku twarzy rabina, a plecami ku celowi wycieczki. Nie szedł więc, ale cofał się, przy czym podskakiwał, w ręce klaskał, ku ziemi nisko się pochylał, o nierówności gruntu zaczepiał nagie swe stopy, potykał się, skakał znowu, twarz ku obłokom podnosił i wydawał urywane krzyki radości. W pewnej na koniec odległości postępowała za orszakiem grupa złożona z kilkudziesięciu dzieci różnego wieku, które przypatrywały się orszakowi z zaciekawieniem nadzwyczajnym, a widząc taniec i skoki mełameda, poczęły go naśladować, skacząc także, gestykulując, padając na ziemię, klaszcząc w ręce i napełniając powietrze wrzaskiem nieopisanym.

Po chwili otwarły się z łoskotem drzwi bawialnej izby Ezofowiczów i wpadł przez nie mełamed, zaczerwieniony, zziajany, potem oblany i nadzwyczaj radością rozpromieniony. Cieszył się szczerze, rozgłośnie, namiętnie. Z czego? Biedny mełamed!

— Rebe Saul! — zawołał ochrypłym od krzyczenia głosem. — Spotykaj wielkie szczęście i wielki honor, które do ciebie przychodzą!

Z twarzy Saula odgadnąć można było, że tajemny niepokój walczył w nim z istotnie uczuwaną radością. Ale co się tyczy rodziny jego, której członkowie poprzyciskali się do ścian i sprzętów, ta cieszyła się już widocznie i bardzo, promieniała chlubą i uczuwaną błogością, z wyjątkiem Bera, niemego, leniwego, apatycznego, jak zwykle bywał, gdy nie szło mu o interesy handlowe i pieniężne. Stary Saul stanął przed samym progiem bawialnej swej izby, na ganku zaś rebe Jankiel i morejne Kalman ujęli rabina pod obie ręce, podnieśli prawie nad ziemię suchą jego postać i przeniósłszy ją przez korytarz i próg naprzeciw Saula postawili. Po czym ukłonili się nisko, opuścili dom i na ganku usiedli, oczekując chwili, w której wracającemu orszakowi towarzyszyć mieli.

Saul tymczasem pochylił przed gościem swym siwą, poważną swą głowę. Naśladowały go wszystkie osoby otaczające dokoła ściany izby.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — wymówił.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia... — powtarzać zaczął za Saulem chór głosów męskich i żeńskich. Ale w tejże chwili Izaak Todros podniósł nieco w górę wskazujący palec, strzelił dokoła pałającą swą źrenicą i syknął:

— Szaaa!

W izbie zrobiła się cisza grobowa.

Palec gościa zatoczył szerokie koło, wskazując tym cały szereg postaci stojących pod ścianami.

— *Weg*! (precz) — zawołał podniesionym głosem.

W izbie zaszeleściły suknie i szybkie stąpania, zamigotały zmartwione i przelęknione twarze; tłocząc się wcisnęli się wszyscy obecni w drzwi prowadzące do wnętrza mieszkania i zniknęli.

W pustej zupełnie izbie pozostali tylko dwaj ludzie: srebrnowłosy, barczysty patriarcha i suchy, ognistooki mędrzec.

Kiedy mędrzec krótkim rozkazem i nakazującym gestem odpędzał od obliczności swej rodzinę jego, synów siwiejących, córki poważne i urodziwe dziewice, siwe brwi Saula drgnęły i zjeżyły się znowu na chwilę. Zawrzała znać w nim duma rodowa i ojcowska.

— Rabbi! — rzekł przyciszonym nieco głosem i z mniej niskim niż wprzódy ukłonem. — Racz zająć pod dachem moim miejsce, które ci się najwygodniejszym wydaje.

Nie udzielił gościowi książęcego tytułu. Nie nazwał go *nassi*!

Rabbi Izaak chmurnie nań spojrzał, przesunął się przez izbę i usiadł na kanapie z wysoką, żółtą poręczą.

Nie był w tej chwili przygarbionym. Owszem, usiadł prosto i sztywnie, ze wzrokiem wlepionym nieruchomo w twarz starca, który zajął miejsce naprzeciw.

— Ja ich wypędził! — rzekł wskazując na drzwi, przez które wypłynęła z izby gromadka rodzinna. — Na co ty ich tu zebrał? Ja chcę z tobą tylko pogadać!

Saul milczał.

— Ja tobie nowinę przynoszę — wyrzucił znowu rabin prędko i chmurnie. — Wnuk twój, Meir, nieczystą ma duszę. On *kofrim*! (niedowiarek).

Saul milczał jeszcze, tylko zmarszczone jego powieki drgały nerwowo nad spłowiałą od lat źrenicą.

— On *kofrim*! — głośniej powtórzył rabin. — On brzydkie słowa na religię naszą wymawia, mędrców nie szanuje, sabaty narusza i z odszczepieńcami przyjaźnie trzyma!

— Rabbi! — zaczął Saul.

— Ty słuchaj, kiedy ja mówię! — wpadł mu w mowę rabin.

Zacisnęły się wargi starca, tak że zniknęły całkiem wśród mlecznego zarostu.

— Ja przyszedł tobie powiedzieć — zaczął znowu Todros — że ty wnuka swego źle trzymasz, że to twoja wina jest, kiedy on taki. Czemu ty jego nie pozwalał mełamedowi ćwiczyć i bić, kiedy on do chederu chodził, *Gemary* uczyć się nie chciał, a z gadania mełameda śmiał się czasem i innych do śmiechu kusił? Czemu ty jego posyłał do edomity, co tam pomiędzy ogrodami mieszka, żeby on jego uczył czytania i pisania w języku gojów i innych jeszcze edomickich obrzydliwości? Czemu ty jego nie skarcił swoją ojcowską ręką wtedy, kiedy on sabat naruszył i przy twoim stole mełamedowi sprzeciwiał się? Czemu ty duszę jego grzeszną twoją miłością psujesz, do świętych nauk go nie skłaniasz i na wszystkie jego obrzydliwości patrzysz tak, jakbyś ślepym był?

Zmęczył się rabbi długim mówieniem i sapiąc odpoczywał.

Wtedy stary Saul przyciszonym i drżącym nieco głosem mówić zaczął:

— Rabbi! Niech serce twoje rozgniewane na mnie nie będzie. Ja inaczej robić nie mógł, jak robił. Dziecko te to syn syna mego, najmłodszego spomiędzy wszystkich dzieci moich, którego mi Pan w starości już mojej dał i który bardzo prędko z oczów moich zniknął. Po śmierci ojca jego i matki jego ja te[76] dziecko do domu swego wziął i chciał, żeby ono nigdy nie przypomniało sobie, że jest sierotą. Ja wdowcem już wtedy byłem i sam jego na ręku swoim hodowałem. I hodowała go także stara prababka jego, która by duszę swoją przed Panem położyła, żeby tylko dla duszy jego szczęście kupić. On w koronie jej głowy pierwszym brylantem jest, a teraz usta jej nie otwierają się już z wielkiej starości dla nikogo, tylko dla niego. Oto, rabbi, wszystkie przyczyny są, dla których ja jemu pozwalał więcej jak[77] innym dzieciom moim i słabszą ręką jego trzymał, dla których bolała mnie bardzo dusza, kiedy mełamed w chederze łajał jego i bił, tak jak inne dzieci. Ja wtedy zgrzeszył, do chederu jak szalony wpadł, mełamedowi brzydkich słów nagadał i chłopca z sobą zabrał. Ja zgrzeszył, rabbi, bo mełamed jest mądry i święty człowiek, ale niechaj grzech ten zniknie z oczu twoich, rabbi, kiedy ty pomyślisz sobie o tym, że ja na te sińce, co na ciele swoim nosił syn syna mego, patrzeć nie mogłem i milczeć! Kiedy sińce te nosili na sobie dzieci syna mego, Rafała, i syna mego, Abrama, ja milczałem, bo ojcowie ich żyli, dziękować Bogu, i sami za dziećmi swymi patrzali; ale jak ja zobaczył ich na plecach i na ramionach sieroty — rabbi! — ja zapłakał, krzyknął wielkim głosem i zgrzeszył!

— Nie jeden to grzech twój! — wyrzekł rabbi, który mowy Saula wysłuchał z nieruchomą surowością i powagą sędziego. — A po co ty jego do edomity na naukę posyłał?

---

[76] *te dziecko* — popr. to dziecko.

[77] *więcej jak innym* — dziś popr.: więcej niż.

— Rabbi! — odparł Saul. — A jakże by on potem dał sobie rady na świecie, gdyby nie rozumiał mowy, którą wszyscy ludzie w tym kraju gadają, i nazwiska swego podpisać nie umiał na kontrakcie ani na wekslu żadnym? Synowie moi, rabbi, i starsze wnuki moje wielkie interesy prowadzą, i on prowadzić je będzie, jak tylko ożeni się... Całe dziedzictwo ojca jego do niego należy. On będzie bogaty i z wielkimi purycami trzeba jemu będzie rozmawiać. A jakże by on z nimi rozmawiał, żebym ja jego do edomity na naukę nie posyłał?

— Niech przepadnie Edom z plugawą nauką swoją i niech nie przebaczy mu Pan! — mruknął rabin, po chwili zaś dodał: — A dlaczego ty syna syna swego uczonym nie zrobił, tylko na kupca go kierował?

— Rabbi! — odparł Saul. — Familia Ezofowiczów jest familią kupiecką. My kupcy z ojca na syna i taki jest u nas obyczaj.

Mówiąc to podniósł nieco głowę kornie dotąd pochyloną. Przy wspomnieniu o rodzie swym uczuł się dumnym i śmielszym. Ale nic dorównać nie może wzgardzie i szyderstwu, jakimi syknęły usta rabina, gdy wymówił on za Saulem:

— Familia Ezofowiczów!

— Familia Ezofowiczów — powtórzył głośniej — była zawsze ziarnkiem pieprzu na podniebieniu Izraela...

Saul podniósł nagle głowę.

— Rabbi! — zawołał. — W niej były brylanty, na które patrząc edomici sami w poszanowaniu mieć zaczynali cały Izrael...

Drgnęła i zakipiała pomiędzy dwoma ludźmi tymi stara nienawiść wzajemna Ezofowiczów i Todrosów.

— W waszej familii — mówił rabin — jest jedna brzydka dusza, która chodzi od jednego do drugiego Ezofowicza i oczyścić się nie może. Bo tak napisane jest: Wszystkie dusze, które z sefirotów wypłynęły, jak krople wody wypływają z pochylonej butelki, odbywają *ibur-gilgul*, podróż po ciałach, z jednego do drugiego przechodząc, aż oczyszczą się ze wszystkich grzechów i nazad do sefirotów powrócą. Kiedy człowiek pobożny i świątobliwy jest, dusza jego powraca do sefirotów, a kiedy ona tam powróci, to na jej miejsce inna dusza idzie na świat i ciało sobie bierze. I póty bieda, smutek, boleści i grzechy mieszkać na ziemi będą, póki wszystkie dusze od sefirotów oderwane *ibur-gilgul* nie odbędą i przez ciało nie przejdą. A jak one mogą wszystkie przez ciała przejść, kiedy na ziemi będzie wiele obrzydliwych, nieczystych i nauki świętej nieszanujących? Ci obrzydliwi trzymają sobie ciągle ciała, z jednego do drugiego przechodząc, a tam wysoko inne dusze czekają, żeby oni ciała od siebie uwolnili i dla nich je zostawili. One muszą czekać, bo tyle ciał razem na świecie być nie może, ile jest dusz między sefirotami. I sam Mesjasz czeka, bo on wprzódy na świat nie przyjdzie, nim ostatnia dusza w ciało nie wejdzie i *ibur-gilgul* nie zacznie. Obrzydliwi zajmując ciągle ciała jedno po drugim, nie dopuszczając do nich dusz oczekujących, odsuwają w daleką przyszłość Jobel-ha-Gadol, Dzień Mesjaszowy, wielkie święto radości! W waszej familii jest taka obrzydliwa dusza. Ona wstąpiła naprzód w ciało Michała Seniora, potem była w ciele Hersza, a teraz ona we wnuku twoim, Meirze, siedzi! Ja duszę tę, pyszną i buntowniczą, poznałem w oczach i na twarzy wnuka twego i dlatego moje serce odwróciło się od niego!

W czasie gdy Todros wykładał siedzącemu naprzeciw starcowi doktrynę wędrówki dusz i jej następstw, w starcu tym zaszła uderzająca zmiana. Wprzódy był on już ośmielił się znacznie, a nawet podnosił głowę z niejaką dumą i godnością. Teraz pochylił się znowu nisko, smutek i trwoga zagrały wśród zmarszczek twarzy jego.

— Rabbi! — ozwał się z pokorą. — Błogosławionym bądź za to, że odkrywasz przed oczami moimi świętą mądrość twoją! Słowa twoje są prawdziwe, a oczy twoje umieją poznawać dusze, co w ciałach ludzkich mieszkają. Ja tobie, rabbi, taką rzecz opowiem. Kiedy maleńkiego Meira przywiózł do mnie syn mój, Rafał, ja wziął dziecko z rąk jego i bardzo je całował, bo mnie wydało się, że on do Beniamina mego a swego ojca bardzo podobny; ale stara prababka jego odebrała go ode mnie, postawiła go przed sobą na ziemi i bardzo jemu przypatrywać się zaczęła, a potem wielkim głosem krzyknęła: „On nie do Beniamina, ale do mego Hersza podobny!". Łzy ciekły z jej starych oczów, usta jej powtarzały: „Hersz, Hersz, mój Hersz!", a dziecko ona do piersi swej przyciskała i powiedziała: „To moje *kleiniskind* najulubieńsze! To oko w mojej głowie i brylant w tej koronie,

co mi ją wnuki i prawnuki moje robią, bo on do Hersza mego podobny!". I ona za nim przepada, i teraz jego jednego tylko zna, i do siebie woła, bo on do męża jej, Hersza, bardzo podobny!

— Dusza Michała weszła w ciało Hersza, a z ciała Hersza przeszła do wnuka twego, Meira — powtórzył rabin i dodał: — Pyszna to, buntownicza dusza! Nie ma w niej pokory i spokoju!

Złagodzonym zdawał się być Todros pokorą Saula i uznaniem, jakie okazał on słowom jego.

— Dlaczego ty go nie żenisz, kiedy jemu duże już włosy wyrosły na brodzie i twarzy? — zapytał.

— Rabbi! Ja go chciał żenić z córką pobożnego Jankla, ale dziecko u nóg moich leżało i prosiło, żebym ja jego nie przymuszał...

— Dlaczego ty stopy swojej nie postawił wtedy na plecach jego i nie zrobił tak, żeby on był tobie posłuszny?

Saul spuścił powieki i milczał. Czuł się winnym. Miłość dla wnuka-sieroty wprowadzała go wciąż na drogi grzechu.

Todros mówić znowu zaczął:

— Ożeń ty go jak najprędzej, bo napisane jest, że kiedy u młodego człowieka włosy rosną na brodzie i twarzy, a on żony jeszcze nie ma, to dusza jego w nieczystość wpadnie... Dusza wnuka twego wpadła już w nieczystość... ja wczoraj widziałem go sam na sam z dziewczyną...

Saul niespokojnie podniósł na mówiącego oczy.

— Ja jego widziałem — ciągnął rabin — jak on na łące z karaimką rozmawiał...

— Z karaimką! — powtórzył Saul głosem zdumienia i przerażenia pełnym.

— On na brzegu sadzawki stał i z jej ręki brał jakieś kwiaty, a na ich twarzach ja czytał, że dusze ich obejmował nieczysty ogień...

— Z karaimką! — powtórzył raz jeszcze Saul, jakby uszom swoim wierzyć nie chciał.

— Z kacerką! — wyrzekł rabin.

— Z żebraczką! — wymówił Saul i energicznie podniósł głowę.

— Rabbi! — zaczął — już ja teraz będę z nim inaczej! Ja nie chcę, żeby na starość wstyd mi oczy wyjadał, dlatego że wnuk mój z żebraczkami nieczyste przyjaźnie trzyma. Ja jego ożenię!

— Ty go skarć! — zawołał rabin. — Ja dlatego tu przyszedł, żeby tobie powiedzieć, abyś ty nogę swoją na plecach jego postawił i pychę jego zgiął w lęk. Ty go nie żałuj! bo pobłażanie twoje dla niego będzie wielkim grzechem, którego nie przebaczy tobie Pan. Jeżeli ty sam jego nie skarcisz, ja oprę rękę moją na jego głowie, a wtedy będzie wam wszystkim wielki wstyd, a jemu takie nieszczęście, że on w proch rozsypie się jak nędzny robak!

Na słowa te wymówione groźnym głosem Saul drgnął. Przerozmaite uczucia walczyły wciąż w piersi starca tego: tajemny wstręt do Todrosa i głęboka cześć dla uczoności jego, duma i obawa, rozgniewanie srogie względem wnuka i miłość dla niego. Groźba rabina dotknęła ostatniej struny tej.

— Rabbi! — zawołał. — Przebacz ty mu! To jeszcze dziecko! Jak on ożeni się i interesy prowadzić zacznie, on zrobi się inny! Jak on urodził się, ojciec jego napisał do mnie: „Tate! Jakie imię ty chcesz, aby wnuk twój nosił?". A ja odpisałem: „Niech imię jego będzie Meir, czyli światłość, aby on przede mną i przed Izraelem całym wielką światłością świecił!"...

Nie mógł mówić dłużej, bo dwie łzy zapłynęły mu źrenicę i staczając się po obwisłych, pomarszczonych policzkach głos mu zatamowały.

Rabin wstał z kanapy, podniósł wskazujący palec w górę i wymówił:

— Ty tylko pamiętaj o rozkazaniach moich! Ja tobie każę, abyś ty stopę swoją na plecach jego postawił, a ty rozkazania mego słuchaj, bo napisane jest, że „uczeni są fundamentem świata"!

Rzekłszy to, posunął się ku drzwiom, u których oczekujący nań rebe Jankiel i Kalman morejne pochwycili go znowu pod oba ramiona, przenieśli przez korytarz i progi i u stóp ganku na ziemi postawili.

I znowu sunęła przez plac w stronę szkolnego podwórza kierując się czarna gromada ludzi, znowu mełamed cofając się przed rabinem skakał, tańczył, w ręce klaskał i krzy-

czał, i znowu gromada dzieci, postępując za orszakiem w pewnym oddaleniu, naśladowała nauczyciela swego, jak on skacząc, krzycząc, w ręce klaszcząc, niekiedy też padając i rozdzierając powietrze płaczliwymi wrzaski.

A w bawialnej izbie Ezofowiczów stary Saul siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy w drzwiach przeciwległych stanęła stara Frejda. Promienie słoneczne wpadające przez okno rozpaliły tęczowe blaski w złocie i brylantach, którymi była okrytą, a ona tocząc dokoła izby przymrużoną swą złotawą źrenicą wymówiła zwykłym swym szeptem głosu pozbawionym:

— *Wo ist Meir*?

V

Meir nieobecnym był w domu w czasie odwiedzin rabina. Wcześnie bardzo dom opuściwszy, skierował się on ku najbardziej oddalonym od środkowego placu uliczkom miasteczka. Tu znalazł się śród domostw malutkich, nadzwyczaj ubogich, z których żadne nie miało więcej jak po dwa drobne okienka, przed których progami stały szerokie, cuchnące kałuże, które owiewało dokoła duszące, ciężkie powietrze. Z czarnych kominów domków tych wydobywały się cienkie bardzo nici dymu, zdradzające szczupłością swą szczupłość gotowanej tam strawy; przegniłe i upadające płoty otaczały malutkie podwórka zasypane śmieciem; tu i ówdzie widniały zza nich wąskie zagonki ziemi, porosłe z rzadka mizernym warzywem. Przed niskimi drzwiami kobiety chude, z ciemnymi, zbolałymi twarzami, w szafirowych kaftanach i zrudziałych perukach, prały w baliach szarą, grubą bieliznę; zgarbione i zgrzybiałe niewiasty, siedząc na wąskich ławkach, robiły pończochy z błękitnej lub czarnej wełny; dziewczęta młode, ale opalone, w brudnej odzieży i z roztarganymi włosami, doiły chude kozy.

Była to dzielnica miasteczka zamieszkiwana przez najniższą warstwę ludności szybowskiej, przybytek ubóstwa, nędzy nawet, brudu i chorób.

Przy środkowym placu stojące domostwa Ezofowiczów, Kalmanów, Witebskich i Kamionkerów pałacami rozkoszy wydawać się mogły wobec siedlisk tych ludzkich, których sam zewnętrzny widok przywodził na myśl wyobrażenie ziemskiego czyśćca.

Nie dziw. Tam, przy placu, mieszkali kupcy i uczeni, arystokracja zatem wszelkiej izraelskiej gminy, tu gnieździła się rzemieślnicza i wyrobnicza ludność, gmin zarabiający na życie pracą rąk, nie głowy, a spośród którego nikt prawie wywieść się nie mógł z żadnej starożytnej rodziny ani pochlubić się posiadaniem w swym rodzie — bogacza lub uczonego.

Jakkolwiek wczesny to był jeszcze poranek, wszędzie tu już rozpoczętą była praca codzienna. Zza mętnych szybek drobnych okienek widać było podnoszące się wciąż i opadające, rękawami koszul okryte ramiona krawców i szewców. Za cienkimi ścianami dzwoniły narzędzia blacharzy i stukały młoty kowalów[78], z chaty fabrykanta świec łojowych wydobywały się nieznośne, tłuszczem przejęte wyziewy. Niektórzy z mieszkańców, korzystając z kilku promieni wschodzącego słońca, które zaglądały na ich uliczkę, pootwierali okienka swe, a przechodzień mógł ujrzeć przez nie izby malutkie, z czarnymi ścianami, natłoczone ludnością, która ruszając się na podobieństwo mrówek, dotykała niemal głowami czarnych belek sufitów. Wychodził też przez okienka te gwar złożony z modlących się głosów męskich, z wrzaskliwych kłótni kobiecych i wrzaskliwszych jeszcze dziecinnych płaczów. Wszakże malutkie tylko dzieci rozdzierały krzykami swymi duszne powietrze czarnych i natłoczonych izdebek, starsze zaś wielką gromadą wylegly na ulicę, odbywały śród niej krzykliwe gonitwy lub z zatopionymi w gęstych kędziorach rękami tarzały się po piaszczystym jej gruncie. Podrastający chłopcy, nie w krótkich spencerkach już pozbawionych rękawów, jak dzieci młodsze, ale w szarej, długiej odzieży, stali przed progami chatek, o ściany ich wsparci, bladzi, mizerni, osowiali, z pootwieranymi szeroko ustami, jakby dochodzące ku nim rzadkie promienie słoneczne i powiewy świeże wciągać pragnęli do wyziębłych i chorych swych piersi.

Ku jednemu z wyrostków takich u ścian domów stojących zbliżył się Meir.

— Nu! Lejbele — rzekł. — Ja przyszedł, żeby ciebie zobaczyć! Czy ty zawsze taki chory jesteś i tak jak sowa na świat oczy wytrzeszczasz?

[78]*kowalów* — dziś popr. forma D.lm: kowali.

Widać było, że Lejbele był chory i wzrokiem osowiałym na świat patrzał, bo z rękami wsuniętymi w rękawy ubogiej odzieży do piersi przyciśnionymi[79] drżał on z zimna, choć ranek był ciepły, a na przemówienie Meira nie odpowiedział ani słowa, tylko usta szerzej roztworzył i oczy swe o wielkich, czarnych, martwych źrenicach bezmyślnie w twarz mówiącego wlepił.

Meir położył dłoń na jego głowie.

— Czy byłeś wczoraj w chederze? — zapytał.

Chłopiec bardziej jeszcze trząść się zaczął, ale ochrypłym głosem odpowiedział:

— Aha!

Oznaczało to twierdzenie.

— I znowu cię tam bili?

Łzy napełniły martwe oczy dziecka, wciąż ku twarzy wysokiego młodzieńca wzniesione.

— Bili! — wymówił.

Pierś jego załkała pod cisnącymi ją i w rękaw schowanymi rękami.

— A śniadanie ty jadłeś?

Dziecko przecząco wstrząsnęło głową.

Meir zdjął z pobliskiego ubogiego stragana wielką chałę (bułkę), za którą rzucił straganiarce miedziany pieniądz, i dał ją dziecku. Lejbele pochwycił chałę w obie dłonie i chciwie pożerać zaczął, lecz w tejże chwili wyskoczył z chatki wysoki, chudy, giętki człowiek, z gęstym, czarnym zarostem, z bladą, stroskaną twarzą, i rzucił się ku Meirowi. Pochwycił naprzód rękę jego i do ust ją podniósł, a potem wyrzuty czynić mu zaczął.

— Morejne! — zawołał — na co ty jemu chałę dałeś? Ty odwrócić od niego powinieneś twarz swoją! To takie głupie, paskudne dziecko! uczyć się nie chce i mnie wstyd robi! Mełamed, niech sto lat żyje, męczy się bardzo, żeby jemu głowę oświecić, ale to taka głowa, co nic nie rozumie! Mełamed jego bije i ja jego biję, żeby nauka do głowy jemu lazła, a co to jemu pomaga? Nic nie pomaga! On *alejdyk gejer* (próżniak) jest, osioł, paskudztwo!

Meir patrzał na chłopca pożerającego wciąż bułkę.

— Szmulu! — rzekł. — On nie jest próżniak ani osioł, ale on chory!

Szmul wzgardliwie rzucił ręką.

— Jaki on chory? — krzyknął. — On chorować zaczął wtedy, jak jego do nauki popędzili! Wprzód był on zdrów, wesoły i rozumny! Ach! Jakie to było piękne i rozumne dziecko! Czy ja mógł spodziewać się takiego nieszczęścia, co z nim teraz zrobiło się!

Meir wciąż gładził dłonią roztargane włosy bladego dziecka z idiotycznym wzrokiem.

Wysoki, cienki Szmul pochylił się znowu i pocałował go w rękę.

— Morejne! — rzekł. — Ty bardzo dobry jesteś, kiedy litujesz się nad tym głupim dzieckiem!

— Na co ty mię, Szmulu, *morejne* nazywasz? — zaczął Meir.

Przerwał mu Szmul pośpiesznie:

— Ojcowie ojców twoich byli morejnami, zejde twój i stryjowie twoi morejnami są i ty, Meir, prędko morejnem będziesz!

Meir ze szczególnym jakimś uśmiechem głową wstrząsnął.

— Ja, Szmulu, nigdy morejnem nie będę! — rzekł. — Mnie tego honoru nie zrobią i ja... jego nie chcę!

Zastanowił się Szmul i pomyślał. Potem nachylił się do ucha młodzieńca i cicho szepnął:

— Ja słyszał! Ty, Meir, z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz!

Meir spojrzał dokoła, jakby całą tę nędzę, której obrazy go otaczały, wzrokiem objąć pragnął.

— Jacy wy biedni! — wymówił, nie dając Szmulowi bezpośredniej odpowiedzi.

Słowa te dotknęły znać bardzo drażliwej struny serca i życia Szmula, bo aż zatrzęsły mu się ręce i zaiskrzyły oczy.

— Aj! Jacy my biedni! — zajęczał. — Ale najbiedniejszy z wszystkich, co na tej uliczce mieszkają, jest *chajet* (krawiec) Szmul! Starą, ślepą matkę i żonę, i ośmioro dzieci

[79] *przyciśniony* (daw.) — dziś: przyciśnięty.

utrzymać trzeba. A z czego ja ich utrzymywać będę? U mnie majątku żadnego nie ma prócz dwóch tych rąk, które dzień i noc szyją, jeżeli tylko jest co szyć…

Mówiąc to wyciągał i pokazywał Meirowi dwie ręce swoje, istne ręce nędzarza; ciemne, brudne, chude, igłą wskroś nakłute, bliznami od nożyc pokryte, a drżące teraz od żalu…

— Morejne! — mówił coraz ciszej i coraz bliżej pochylając się nad uchem słuchacza swego. — Nam ciężko żyć, bardzo ciężko… wszystko u nas drogo kosztuje, a co nam płacić trzeba, gwałt! Urzędnicy cesarscy podatki od nas biorą, od koszernego mięsa pudełkowe my płacim i od świec tych, co je w szabasy palim, płacim, i bractwu pogrzebowemu płacim, i na urzędników kahalnych płacim, i na co my nie płacim? Aj waj! Z tych domków naszych biednych rzeki pieniędzy płyną… A skąd my je bierzem? Z potu naszego my bierzem je, z krwi naszej i z wnętrzności naszych dzieci, co z głodu wysychają! Ty mnie pytałeś się niedawno, morejne, dlaczego u mnie w chacie tak brudno i tyle śmiecia. A jak w niej nie ma być brudno, kiedy nas jedenaścioro w jednej małej izbie mieszka, a w sionce stoją dwie kozy, co nas mlekiem swoim żywią? Ty mię pytałeś się, morejne, dlaczego moja żona taka chuda i stara, choć lat jej jeszcze niewiele, i dlaczego moje dzieci tak ciągle chorują. Morejne! Koszerne mięso u nas bardzo drogie i my jego nigdy nie jemy… chleb jemy z cebulą i kozie mleko pijem… Na szabas wtedy tylko u nas ryba była, kiedy ty, morejne, zaszedł do nas i srebrny pieniądz nam dał! My biedni… bardzo biedni na całej tej uliczce, ale najbiedniejszy ze wszystkich jest chajet Szmul ze swoją matką ślepą, ze swoją żoną bardzo chudą i ze swymi ośmioma dziećmi…

Żałośnie wstrząsnął głowę chajet Szmul i patrzał w twarz Meira swymi czarnymi oczami, w których malowało się osłupiałe jakby nad własną nędzą zdziwienie. Meir z dłonią złożoną wciąż na głowie bladego dziecka dogryzającego ogromnej bułki słuchał z uwagą mowy nędzarza. Usta jego ułożyły się w zarys litości, ale ściągnięte brwi i spuszczone powieki nadawały twarzy jego wyraz gniewnej zadumy.

— Szmulu — rzekł z cicha — a dlaczego ty tak często roboty nie masz?

Szmul zmieszał się widocznie i podniósłszy rękę ku głowie, przekrzywił jarmułkę przykrywającą czarne, splątane jego włosy.

— Ja tobie powiem — ciągnął z cicha Meir — tobie roboty nie dają dlatego, że ty od tych materii, z których suknie każą ci szyć, duże kawałki odkrajasz i sobie ich bierzesz.

Szmul obu już rękami chwycił za jarmułkę.

— Oj! Biedna moja głowa! — jęknął. — Morejne! Co ty na mnie powiedziałeś! Usta twoje bardzo brzydką rzecz na mnie powiedziały!

— Rafał, stryj mój, Ber i żony ich przestali tobie dawać robotę, bo ty im materii dużo odcinał i sobie brał — ze smutkiem bardziej niż z surowością rzekł Meir.

Szmul podskoczył, schylił się ku ziemi, potem znów podskoczył i zawołał:

— Nu, prawda! Morejne! Ja otworzę serce moje przed tobą! Ja kawałki materii odcinał i sobie brał… A dlaczego ja to robił? Bo moje dzieci były gołe! Ja je nimi okrywał! I jak moja ślepa matka chora leżała, ja je sprzedał i mięsa kawałek dla niej kupił… Morejne! Niech twoje oko ze złością na mnie nie patrzy! Żebym ja był taki bogaty jak reb Jankiel i morejne Kalman, żebym ja tyle pieniędzy miał, ile oni ich biorą dla siebie z pracy naszych rąk i z potu naszego czoła, ja bym nie kradł.

— A na co reb Jankiel i morejne Kalman biorą dla siebie wasze pieniądze? — z zamyśleniem zaczął Meir i chciał dalej mówić, ale Szmul wyprostował się i przerwał mu nagle:

— Nu, oni mają prawo! Oni są nad nami starsi! Co oni zrobią, to święte! Kto ich słucha, ten jakby samego Pana Boga słuchał!

Smutnie jakoś uśmiechnął się Meir i sięgnął ręką do kieszeni. Szmul ścigał ruch ten jego wzrokiem, który roziskrzył się nagle. Błyszczała w nim chciwość.

Meir położył na otwartym oknie nędznej chatki parę srebrnych monet; Szmul rzucił się ku niemu i rękę jego całował.

— Ty dobry jesteś, morejne! Ty zawsze wszystkim biednym ludziom pomagasz! Ty i nad moim głupim dzieckiem litość masz!

Ochłonąwszy nieco z uniesienia wdzięczności, wyprostował się i począł Meirowi na ucho szeptać:

— Morejne! Ty dobry jesteś i wielkiego bogacza wnuk, a ja biedny, głupi chajet! Ale ty jesteś jak miód na moich ustach i ja przed tobą całe serce moje otworzyć muszę. Ty źle robisz, że z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz! Nasz rabin, to taki wielki rabin, że drugiego takiego na całym świecie nie ma! Jemu Pan Bóg wielkie rzeczy objawił, on samą *Kabałę Maszjat*[80] rozumie. Za nim wszystkie ptaki latają, jak on na nich zawoła, i wszystkie choroby on umie leczyć, i wszystkie serca ludzkie przed nim otwierają się! Każde tchnienie ust jego święte jest, a jak on modli się, to dusza jego z samym Panem Bogiem całuje się! A ty, morejne, odwrócił od siebie serce jego.

Z powagą wielką mówił to nędzarz Szmul i pokłuty igłą, ciemny swój palec w górę wznosił uroczystym gestem.

— A kahalni — ciągnął dalej — to bardzo pobożni ludzie są i wielcy bogacze. Ich także szanować trzeba i słuchać i choćby oni co złego robili, oczy zamykać. Oni mogą ciebie przed Panem Bogiem oskarżyć i przed ludźmi. Pan Bóg rozgniewa się, jak ich skargę posłyszy, i karę na ciebie spuści, a ludzie powiedzą, że ty bardzo zuchwały jesteś, i odwrócą od ciebie twarze swoje.

Trudno by odgadnąć, jakie wrażenie wywierały na Meirze pokorne i zarazem poważne przestrogi Szmula. Trzymał on wciąż dłoń swą na głowie małego Lejbele i wpatrywał się w twarz jego o pięknych rysach i ogromnych, czarnych źrenicach, tak jakby w dziecku tym bladym, chorowitym, zidiotyzowanym i drżącym widział upostaciowanie całej tej licznej części izraelskiego ludu, która przegryzana nędzą i chorobami wierzyła jednak i wielbiła ślepo, kornie, lękliwie i niezmordowanie.

Skinął potem głową z wolna, przyjaźnie i odszedł. Szmul biegł za nim kilkanaście kroków jeszcze.

— Morejne! — jęczał. — Nie gniewaj się ty na mnie, że ja przed tobą serce moje otworzyłem! Bądź *kługer*! (mądrym) Niech na ciebie uczeni i bogacze skarg do Pana Boga nie wznoszą! Bo lepiej takiemu człowiekowi, co pod ziemią leży, niż takiemu, na którego głowie oprą oni swoje rozgniewane ręce!

Wrócił potem i do lepianki swej wszedł, i nie zauważył, że Lejbele nie stał już przy ścianie domu. Gdy tylko Meir odszedł, blade dziecko od ściany odeszło i za nim poszło. Z rękami wsuniętymi wciąż w rękawy nędznej odzieży, z otwartymi usty[81] dziecię nędzarza Szmula postępowało krok w krok za idącym w zamyśleniu, pięknym, wysokim młodzieńcem przez całą długość ulicy. U końca jej dopiero zatrzymało się, jakby lękając się iść dalej, i gardłowym, ochrypłym głosem wymówiło:

— Morejne!

Meir obejrzał się. Przyjazny uśmiech oświecił mu twarz, gdy zobaczył dziecko, które aż tu za nim przyszło.

Czarne, martwe źrenice dziecka podnosiły się ku jego twarzy, z szarego rękawa wysunęła się ku niemu ręka mała i chuda.

— Chały! — wymówił Lejbele.

Meir obejrzał się za straganem. Stało tam wzdłuż uliczki pełno ubożuchnych straganików, przy których kobiety osłaniające łachmanami wychudłe swe ciała sprzedawały bułki twarde jak kamienie, drobne główki cebuli, czarne i wstrętliwe wyroby jakieś z miodu i maku.

Z białej dłoni Meira do chudych i czarnych rąk dziecięcych przeszła znowu wielka, wyplatana chała. Lejbele pochwycił ją, podniósł do ust obu rękami i odwróciwszy się, wracał do domu środkiem ulicy, idąc powoli, prosto i poważnie.

Po chwili Meir znalazł się na środkowym placu miasteczka. Zdawać się mu mogło, że z otchłani wyszedł na światło dzienne. Słoneczny blask zalewał okrągłą przestrzeń, wysuszał znajdujące się tu i ówdzie kałuże błota i rozpalał złote iskry w oknach domów otaczających rynek. Na dziedzińcu pobożnego reb Jankla wznoszono budynek jakiś nowy i obszerny; rudy gospodarz nadzorował sam robotników, lubując się widocznie tym pomnażaniem się dobra swego; stuk siekier i zgrzytanie pił napełniały życiem otoczenie niskiego domu, przed sklepioną sienią którego stało parę powozów przejezdnych gości. Dalej nieco, na ganku domu swego, stał lśniący od atłasów morejne Kalman; jedną ręką

[80]*Kabała Maszjat* (właśc. Kabała maassit) — najwyższa część *Kabały*, ucząca za pomocą kombinowania liter i wyrazów cuda czynić i tajemnice odgadywać. Kabała Maszjat. [przypis autorski]

[81]*z otwartymi usty* — dziś popr. forma N.lm: (…) ustami.

podnosił do uśmiechnionych[82] warg cygaro, a drugą głaskał złociste włosy dwuletniego dziecka, które siedząc na ławie gankowej, trzymało w ręku ogromny kawał chleba obficie posmarowanego miodem i obmazywało nim sobie pulchną, śmiejącą się do wspaniałego ojca twarzyczkę.

Na dziedzińcu Ezofowiczów słonecznie też było, gwarnie i wesoło. Pośrodku dwaj barczyści tracze piłowali drzewo przygotowane na zimę, śród miękkich odpadków drzewnych bawiło się kilkoro dzieci czysto odzianych i stroiło sobie głowy wieńcami z piłowin; u studni dziewka służąca, hoża i wesoła, czerpała wodę, głośno przemawiając się z traczami; przez otwarte okna domostwa widać było poważne głowy Rafała i Abrama, którzy z wielkim zajęciem rozprawiali o interesach, Sarę stojącą przy szeroko rozpalonym ognisku kuchennym i ładną Liję, która przed małym lusterkiem zaplatała swe ogromne warkocze.

Gdy Meir wchodził w bramę, tracze przerwali robotę swą, uśmiechnęli się ku niemu i przyjaźnie skinęli głowami. Pochodzili oni z tej samej uliczki, ubogiej, brudnej, którą opuścił on przed chwilą, lecz znali go widać dobrze.

— *Szolem alejchem*! (pokój tobie) — zawołali.

— *Alejchem szolem*! — wesoło odpowiedział im Meir.

— Nie pomożesz nam dziś w robocie naszej? — zapytał żartobliwie jeden z robotników.

— Czemu nie? — odpowiedział Meir i zbliżył się do pracujących.

Widać było, że praca fizyczna ulubionym była i częstym zajęciem Meira i że robotnicy dziada jego przyzwyczajeni byli do tego, iż dzieli on ją z nimi. Jeden z nich ustępował już mu miejsca swego przy kłodzie drzewa, kiedy przez otwarte okno wychyliła się Lijka i kończąc zaplatanie czarnego warkocza, zawołała:

— Meir! Meir! Gdzie ty tak długo był? Zejde dawno już wołał ciebie!

Kwadrans zaledwie minął od wizyty rabina, Saul pochylał jeszcze głowę na dłonie w gniewnej i smutnej na poły zadumie, a o kilka kroków od niego stara Frejda siedziała u okna otwartego na plac, oblana cała złotem słońca i migotliwymi iskrami diamentów.

Ciekawym wielce był proces duchowy, który odbywał się w starej, lecz krzepkiej jeszcze piersi Saula. W głębi duszy nie lubił on Izaaka Todrosa. Nie rozumiejąc dobrze głębszego znaczenia działań i stanowiska przodka swego, Michała, ani ojca, Hersza, wiedział przecież o tym, że posiadali oni szerokie wpływy pomiędzy „swymi" i ogólny szacunek możnych, choć „cudzych" ludzi, dumny więc był obu rodowymi wspomnieniami tymi, a niewyraźna też świadomość o krzywdach, które wyrządzili tym gwiazdom rodu jego przodkowie Izaaka Todrosa, budziła w nim dla tego ostatniego głuchą i nieokreśloną dobrze niechęć. Obok tego, bogaty sam i bogactwem swym chlubiący się wielce, uczuwał on dla ubóstwa i, jak wyrażał się w głębi myśli swej, dla niechlujstwa Todrosów tajemną wzgardę. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu czci, którą uczuwał dla świętej, mądrej i głębokiej nauki, której głównym przedstawicielem był wielki rabin. Podstawą czci tej była groza. Wiedzieli ludzie dobrze o tym, iż bogaty i zręczny kupiec, przez całe długie życie swe handlując, gorliwie i namiętnie ubiegając się za zyskiem, niejednego dopuścił się postępku, który rozmijał się z niejednym przykazaniem synajskim. Ludzie wiedzieli o tym, ale wobec bogactwa, siwej głowy i wielkiej liczby wnuków i prawnuków jego — zapominali. Saul sam nie zapominał. Uczuwał często we wnętrzu swym niespokojne jakieś poruszenia się sumienia i uspokoić je pragnął żarliwą pobożnością i wczytywaniem się w księgi święte. Do ksiąg tych jednak nie przywykł był umysł jego, przez długie lata zaprzątany czym innym. Czytał je teraz Saul, ale nic a nic splątanych i tajnych sensów ich nie rozumiał, a im więcej nie rozumiał, tym więcej je czcił i tym większe wywierały na nim wrażenie grozy i pokory. Teraz groza ta i pokora stanęły naprzeciw miłości istotnej, tkliwej nawet, którą uczuwał on dla wnuka-sieroty, i toczyły z nią walkę.

„Co jemu z tego przyjdzie? Czy on z tego korzyść jaką będzie miał?" — myślał stary Saul i gniewnym spojrzeniem spotkał wchodzącego wnuka.

Meir wszedł do bawialnej izby nieśmiałym nieco krokiem. Wiedział o odwiedzinach rabina, domyślał się ich celu, lękał się gniewu, a bardziej jeszcze smutku starego dziada.

[82]*uśmiechniony* (daw.) — dziś: uśmiechnięty.

— Nu — ozwał się starzec — chodź tu bliżej! Ja tobie piękne rzeczy powiem, z których ty wielką radość będziesz miał!

A kiedy Meir stanął o parę kroków przed nim, wlepił weń wzrok spod brwi zjeżonych i rzekł:

— Ja ciebie dziś zaręczę i ty za dwa miesiące musisz być żonaty!

Meir zbladł, ale milczał.

— Ja ciebie z córką Jankla Kamionkera zaręczę!

Po słowach tych dość długie panowało milczenie. Pierwszy przerwał je Meir.

— Zejde! — rzekł cichym, lecz stanowczym głosem. — Ja córki Kamionkera za żonę sobie nie wezmę!

— Dlaczego? — tłumiąc gniew, zapytał Saul.

— Dlatego, zejde — ośmielając się wciąż, odrzekł młody człowiek — że Kamionker jest zły i niesprawiedliwy człowiek. I ja z nim w pokrewieństwa żadne wchodzić nie chcę!

Saul wybuchnął. Łajał wnuka za zuchwalstwo sądów jego i wychwalał pobożność reb Jankiela.

— Zejde! — przerwał Meir. — On biednych ludzi krzywdzi!

— A co tobie do tego? — krzyknął dziad.

Tym razem oczy młodzieńca błysnęły gorąco.

— Zejde! — zawołał — on do swoich kieszeni bierze dużo potu i pracy tych nieszczęśliwych, co tam na końcu miasteczka mieszkają, i oni przez niego złodziejami stają się! A jak oni nie mają być złodziejami, kiedy u nich dzieci gołe, a reb Jankiel za to nowe domy sobie buduje! I on w karczmach tych i browarach, które od puryców w dzierżawie trzyma, brzydkie rzeczy robi! Chłopów szynkarze jego poją i oszukują, a wódkę pędzi on więcej, jak pozwolono... Zejde! Ty nie patrzaj na to, jak on modli się, ale na to, jak on robi, bo napisane jest: „Niepotrzebne mi modlitwy ani ofiary wasze! Kto uciska biednego, ten krzywdzi Stwórcę!".

Saul bardzo był rozgniewanym, ale cytata wnuka złagodziła go nieco, bo pragnął on gorąco widzieć go uczonym i biegłym w znajomości ksiąg świętych.

— Nu — mruknął gniewnie, ale bez uniesienia — to co, że reb Jankiel chłopów poi i wódki pędzi więcej, jak pozwolonym jest! Ty nie wiesz jeszcze, co to takiego interesy i jak one się robią. Jak ty ożenisz się z córką reb Jankla i on cię do interesów swoich przypuści, będziesz tak samo pędził i sprzedawał wódkę!

— Zejde! — szybko odparł Meir. — Ja wódki ani pędzić, ani sprzedawać nie będę! U mnie do tego ochoty nie ma żadnej!

— A do czego u ciebie ochota jest? Ty do niczego ochoty nie masz!...

Nie dokończył jeszcze wyrazów tych stary Saul, gdy Meir pochylił się ku ziemi, ramionami kolana jego objął i usta swe do nich przyciskając, mówić zaczął:

— Zejde, puść mię stąd! Pozwól mi w świat szeroki! Ja pójdę uczyć się! Ja uczyć się chcę, tu oczom moim ciemno! Ja ciebie już o to dawno, dwa lata temu, prosił, ale ty na mnie zagniewałeś się i kazałeś zostać! Ja zostałem, zejde, bo ja ciebie szanuję i rozkazania twoje są dla mnie święte. Ale teraz, zejde, puść ty mię stąd!... Jeżeli pójdę w świat z pozwoleniem i błogosławieństwem twoim, uczony zrobię się, nazad tu powrócę i wtedy naprzeciw wielkiego rabina stanę i będę wiedział, jak mu pokazać, że on mały jest... Teraz...

Nie pozwolił mu Saul mówić dalej.

— Szaaa! — zawołał.

Przejęła go trwogą sama wzmianka o tym, iż wnuk jego stanąć może kiedy do walki z wielkim rabinem.

Ale Meir wyprostował się i z czołem w ogniu, a łzami na rzęsach mówił dalej:

— Zejde! Przypomnij ty sobie historię rabbi Eliezera. Kiedy on młody był, ojciec go w świat puszczać nie chciał, on ziemię orał i patrzał na ciemne lasy, co przed nim świat zasłaniały, a serce jego ciekawość i tęsknota gryzły tak, jak teraz moje serce gryzą... I nie wytrzymał on tej zgryzoty i uciekł... Uciekł on do Jerozolimy, poszedł do wielkiego mędrca, co wtedy na cały świat słynął, i powiedział mu: „Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim mistrzem!". Stało się, jak powiedział. A kiedy w kilka lat później ojciec jego, który nazywał się Hirkanos, do Jerozolimy przyjechał, zobaczył on tam pięknego młodzieńca, co na wielkim rynku z wysokości do ludu bardzo mądrze mówił, a lud słuchał

jego i dusza roztapiała mu się jak miód z wielkiej słodyczy i wszystkie głowy chyliły się nisko przed młodzieńcem i wołały: „Oto nasz mistrz!". Hirkanos dziwował się bardzo mądrym słowom tego, co stał na wysokości, i wielkiej miłości, którą dla niego cały lud miał. I spytał się on człowieka, przy którym stał: „Jak nazywa się młodzieniec ten, co stoi na wysokości, i gdzie mieszka jego ojciec, bo chcę pójść i pokłonić się temu, którego wnętrzności syna takiego wydały?". A człowiek, którego on tak zapytał się, odpowiedział: „Młodzieńcowi temu na imię Eliezer, gwiazda nad głową Izraela, a ojciec jego nazywa się Hirkanos". Jak Hirkanos to usłyszał, krzyknął wielkim głosem, do młodzieńca pobiegł i ramiona swoje przed nim otworzył. I była wtedy wielka radość w sercach ojca i syna, a lud cały pokłonił się Hirkanosowi za to, że wnętrzności jego takiego syna z siebie wydały…

Saul słuchał opowiadania tego bardzo uważnie, z twarzą na poły chmurną jeszcze, na poły rozjaśnioną. Drogimi mu były ojczyste podania i lubił słyszeć je w ustach najulubieńszego z wnuków. Jednak nie zawahał się ani przez chwilę z odpowiedzią. Przymrużył nieco oczy, zakołysał głową i zaczął:

— Żeby w Jerozolimie nauczał teraz wielki jaki mędrzec izraelski, ja bym sam, bez twego proszenia, posłał cię do niego na naukę. Ale na Jerozolimie spoczęła mściwa prawica Pana… ona już nie nasza… będzie ona kiedyś znów nasza… jak przyjdzie wielki dzień Mesjaszowy, ale teraz tam umierać tylko Izraelicie słodko i dobrze, a uczyć się nie ma gdzie i u kogo. A w cudzy świat po cudze nauki ja ciebie nie poślę… One Izraelicie niepotrzebne… Ty od edomity nauczyłeś się już tyle, ile ci trzeba, abyś w cudzym świecie mógł interesy prowadzić… A i za to ja miałem już od wielkiego rabina wymówkę… A dla mnie jego wymówki to wielki wstyd i wielka zgryzota… bo choć to mądry i wielki rabin, ale moja dusza cierpi, kiedy on do mego domu przychodzi łając mię, jak mełamed małe dzieci w chederze łaje…

Zasępił się stary mówiąc to i ponuro w ziemię patrzał. Meir stał przed nim jak skamieniały i tylko we wzroku jego szklisto w przestrzeń wpatrzonym malowała się bezdnia smutnych i buntowniczych uczuć.

— Zejde! — ozwał się na koniec wpół prosząco, wpół porywczo. — To ty mi rzemieślnikiem pozwól być! Ja będę z biednymi ludźmi na jednej ulicy mieszkał, razem z nimi rękami mymi pracował i dusze ich od grzechu strzegł. A kiedy oni spytają się mię o co, odpowiem im zawsze: „tak" albo: „nie"! Kiedy im chleba zabraknie, rozdzielę pomiędzy nich wszystek ten chleb, który będzie w moim domu!

Znowu czoło jego zapałało i łzy błysnęły na rzęsach. Ale Saul podniósł na niego wzrok osłupiały od zdziwienia i po chwili dopiero odpowiedział:

— Jak ty będziesz miał dwa albo trzy lata więcej, wtedy poznasz, jaki ty głupi byłeś, kiedy do mnie takie rzeczy gadałeś. W familii Ezofowiczów nie było nigdy rzemieślnika żadnego i, dziękować Bogu, nigdy nie będzie. My kupcy z ojca na syna i pieniędzy u nas dość, a z ojca na syna coraz więcej. I ty kupcem będziesz, bo Ezofowicz każdy kupcem musi być.

Ostatnie wyrazy wymówił stanowczym głosem, po chwili, łagodniej nieco, ciągnął dalej:

— Ja tobie łaskę chcę zrobić… Kiedy ty nie chcesz żenić się z córką reb Jankla, już ja ci pozwolę nie żenić się z nią… Ale ja ciebie zaręczę z córką Elego Witebskiego, wielkiego kupca. Tobie smutno za nauką, nu! to ja tobie dam żonę edukowaną… Ją rodzice na pensji w Wilnie trzymają… ona po francusku gadać umie i na fortepianie grać… Nu, kiedy ty taki kapryśny jesteś, to ta dziewczyna będzie dla ciebie jak raz… Ona ma szesnaście lat, ojciec da za nią wielki posag i zaraz ciebie do swoich interesów przypuści…

Z wyrazu twarzy Meira poznać można było, że wrzał wewnątrz.

— Ja córki Witebskiego nie znam! Moje oczy nigdy jej nie widziały — wyrzekł ponuro.

— A na co tobie ją znać? — krzyknął Saul. — Ja ją tobie daję! Ona za miesiąc wróci z Wilna do rodziców i ty z nią za dwa miesiące ożenisz się! Ot, co ja tobie mówię, a ty milcz i rozkazań moich słuchaj. Ja tobie do tego czasu za wiele pozwalałem, ale teraz już będę z tobą inaczej… Izaak Todros powiedział, żebym ja stopę swoją na twoich plecach postawił…

Rumieńce wytrysnęły na bladą twarz Meira. Z oczu jego posypały się iskry.

— Niech rabbi Izaak sam stawi stopę swoją na plecach tych, co jak psy liżą jego nogi! — zawołał. — Ja Izraelita jak i on… ja niczyj niewolnik… ja…

Skonały słowa na drżących ustach jego, bo stary Saul stanął przed nim wyprostowany, potężny, rozpłomieniony gniewem i rękę swą na niego podnosił. Lecz w tejże chwili pomiędzy ręką tą starca, suchą, lecz silną jeszcze, a twarzą młodzieńca, wzburzoną i płomienną, zawisła dłoń mała, od starości wyschła, pomarszczona i drżąc rozdzieliła je z sobą. Była to dłoń Frejdy, która, obecna całej rozmowie dziada i wnuka, zdawała się drzemać na słońcu i nic nie słyszeć, ale kiedy rozległ się w izbie namiętny wykrzyk Meira, a Saul powstał rozgniewany i groźny, ona powstała także, wyprostowana i milcząca postąpiła parę kroków i biedną, starą dłonią swą niby tarczą zasłoniła prawnuka… Ręka Saula opadła w dół i zmiękłym już nieco głosem zawoławszy tylko ku Meirowi: „*Weg*!” — opuścił się on na ławę i ciężko oddychał.

Prababka usiadła znowu przy otwartym oknie, w słońcu cała, Meir opuścił izbę.

Wyszedł z głową schyloną i chmurnym czołem. Uczuł w tej chwili całą niemoc swą wobec wszystkiego, co wznosiło się nad nim wiekiem, znaczeniem, powagą; uczuł ciążące na sobie kajdany patriarchalnego ustroju rodziny. I tylko przy wspomnieniu o tej małej, wyschłej, drżącej dłoni kobiecej, która zasłoniła go przed grubiańskim aktem przemocy, uśmiech rzewnej tkliwości przewinął się mu po ustach. Był to także uśmiech nadziei.

— Żebym ja to pisanie mógł dostać! — rzekł do siebie, dłoń przesuwając po czole.

Myślał o pisaniu Michała Seniora i o tym, że jedna tylko stara prababka wiedziała, kędy szukać go trzeba, i o tym także, iż gdyby je miał, wiedziałby może, co mówić, jak czynić… Saul tymczasem siedział długo na ławie, sapiąc ze zmęczenia i ze zmartwienia wzdychając. Parę razy spojrzał na matkę i uśmiechnął się. Dziwnym zdawało mu się może to nagłe wstawienie się za prawnukiem wiecznie drzemiącej i milczącej stuletniej rodzicielki jego, a może i wdzięcznym jej był w głębi serca za to, iż nie pozwoliła ona, aby w uniesieniu gwałtownym skrzywdził on wnuka-sierotę.

— Rafał! — zawołał po chwili donośnym głosem.

Do izby wszedł najstarszy z synów jego, poważny, siwiejący, czarnooki mężczyzna. Był on po Saulu najstarszym w rodzinie; wnuki już dorosłe miał, szeroko rozgałęzione interesy handlowe po świecie prowadził, ale wołanie ojca usłyszawszy, porzucił wnet rachunkowe księgi swe, przerwał żywą rozmowę o interesach, którą prowadził z bratem Abramem, i stanął przed ojcem.

— Czy Eli Witebski jest w domu? — zapytał Saul.

— On wczoraj z dalekiej drogi powrócił i teraz w domu swoim odpoczywa — odrzekł syn.

— Niech ktokolwiek zaraz pójdzie do niego i powie, że ja chcę, aby on przyszedł tu i ze mną o ważnych rzeczach pogadał.

— Ja pójdę sam — rzekł Rafał — ja wiem, o jakich rzeczach ty, tate, chcesz z Witebskim gadać. Te rzeczy dobre są i trzeba je co najprędzej do skutku doprowadzić. Z Meirem źle będzie, jeżeli on prędko nie ożeni się i interesów prowadzić nie zacznie.

Saula oczy z niepokojem utonęły w twarzy syna.

— Rafał! Czy ty myślisz, że jak ożeni się, to będzie zaraz inny?

Rafał twierdząco skinął głową.

— Tate! — rzekł. — Przypomnij sobie Bera. On był na takiej drodze, na jakiej teraz Meir jest, ale jak ożenił się z naszą Sarą, a ty, tate, do interesów swoich jego przyjąłeś i jak dzieci jego zaczęły rodzić się jedno po drugim, jemu wszystkie głupstwa z głowy powylatywały.

— Idź! Zawołaj do mnie Witebskiego — zakończył rozmowę Saul.

Rafał wyszedł po chwili z domu i zmierzał ku domostwu, które przy zbiegu dwóch najpokaźniejszych ulic stojąc, okna miało duże i wysoki ganek. Na ganku siedziała kobieta otyła nieco, w jedwabnej sukni i mantyli spiętej złotą broszą, ze złotymi, długimi kolcami w uszach i starannie uczesaną peruką na głowie. Lat mogła mieć około czterdziestu, wyglądała świeżo i rumiano, na ustach miała uśmiech zadowolenia i dumy, a w ręku trzymała robótkę jakąś z cienkiej bawełny. Kiedy Rafał wchodził na wschody wysokiego ganku, kobieta powstała i z najwytworniejszym dygiem, jaki kiedykolwiek dokonanym mógł być w Szybowie, na powitanie ku przybywającemu wyciągnęła rękę. Żadna kobieta w Szybowie oprócz pani Hany Witebskiej nie witała się w ten sposób z żadnym mężczyzną.

Owe[83] angielskie *shake-hand*, rozpowszechnione po całym ucywilizowanym świecie, nie bardzo znać przypadło do smaku poważnemu Rafałowi, bo z trochą niechęci dotknął on końcami swych palców pulchnej dłoni pani Hany i po krótkim wzajemnym pozdrowieniu zapytał ją o jej męża.

— On w domu — rzekła kobieta uśmiechając się wciąż z chronicznym jakby zadowoleniem i również chroniczną dumą. — A jakże! On wczoraj z wielkiej drogi wrócił i teraz w domu swoim odpoczywa.

— Ja przyszedłem, aby z nim pogadać — rzekł Rafał.

— Proszę, proszę! — zawołała kobieta, z pośpieszną uprzejmością otwierając drzwi prowadzące do sieni domu. — Mój mąż będzie bardzo kontent z takiego gościa! Proszę, proszę!

Rafał na światowe grzeczności pani Hany odpowiedział w sposób bardzo umiarkowany szybkim skinieniem głowy i wszedł w głąb domu. Pani Hana usiadła znowu na ławce gankowej, wzgardliwie nieco przymrużyła oczy i szepnęła do siebie:

— Nu! Jacy tu ludzie w tym Szybowie! Oni z kobietami gadać nie chcą i tacy grubi są jak niedźwiedzie!

Westchnęła, pokiwała głową i dodała:

— Czy ja do takich ludzi przyzwyczajona! U nas, w Wilnie, ludzie grzeczni i edukowani, nie tak, jak tu! Pfe!

Splunęła lekko, westchnęła raz jeszcze i znowu robiąc machinalnie robótkę swą, z uśmiechem dumy i zadowolenia patrzała na miasteczko i ruszających się po nim ludzi. Niebawem w drzwiach domu ukazali się dwaj mężczyźni; rozmawiając przeszli szybko przez ganek, na panią Hanę ani spojrzeli i ku domowi Ezofowiczów skierowali się.

Eli Witebski, idący teraz przez plac obok Rafała, bynajmniej do towarzysza swego podobnym nie był. Kupiec, tak jak i tamten, przedstawiał on przecież powierzchownością swą odrębny całkiem rodzaj kupca-Izraelity. Światowcem był widocznie i elegantem. Ubranie jego, niezupełnie wprawdzie krótkie, najmniej przecież o pół łokcia krótszym było od sięgającego stóp ubrania Rafała i innym nieco krojem sporządzone. Na atłasowej kamizelce jego połyskiwał gruby łańcuch złoty, a na ręku — pierścień z wielkim brylantem. Twarz miał on pogodną i łagodną, oczy bystre i przenikliwe, małą, złotawą bródkę, ku której często podnosiła się ręka jego, brylantem ozdobiona, gestem powolnym i rozważnym.

Szedł on obok Rafała z pośpiechem i ochotą widoczną. Nie było zresztą w Szybowie całym ani jednego, by najbogatszego, kupca i gospodarza domu, który by w podobny sposób nie śpieszył na wezwanie Saula Ezofowicza. Od dziesięciu już lat bowiem Saul na własną rękę interesy prowadzić przestał i nigdzie z domu swego, prócz do domu modlitwy, nie wychodził. Przychodzili za to do niego wszyscy, którzy czerpać chcieli ze skarbnicy wielkiego doświadczenia i nie mniejszej biegłości w interesach handlowych starego kupca. Zdarzało się często, iż siadywał on w bawialnej izbie na kanapie owej z żółtą, wysoką poręczą, przed nim na stole spoczywała rozwarta księga nabożna, której czytanie przerwano mu, a wkoło niego siedzieli mężowie dojrzali, uchodzący w gminie całej za bogaczy i uczonych, a do niego przybyli po radę, pomoc, a niekiedy nawet rozsądzanie i godzenie spraw spornych. Stary Saul radził, pomocy, o ile mógł bez krzywdy dzieci swych, udzielał, rozstrzygał, godził i wielką z tego dumę na pomarszczonym czole swym miał. A kiedy potem sam dla własnych spraw swoich potrzebował z dostojnikami gminy rozmawiać, wzywał ich przez synów lub wnuków swoich, a oni chętnie i uprzejmie doń pośpieszali.

Pośpieszał więc na wezwanie starego patriarchy gminy elegancki i bogaty Eli Witebski. Do bawialnej izby Ezofowiczów uśmiechniony i rozpromieniony wszedł i gospodarza powitał starym izraelskim:

— *Szolem alejchem* (pokój tobie).

Nie witał on już w ten przestarzały sposób nikogo poza Szybowem, owszem, do spotykanych na świecie ludzi bardzo poprawnie mawiać umiał: „*Gut morgen*” albo: „Dzień dobry!”. Lecz obyczajem jego niezłomnym było stosować się we wszystkim do przekonań i upodobań tych wszystkich, z którymi do czynienia miał.

[83]*owe* — dziś popr. forma lp: owo.

Rafał chciał odejść, ale gestem rozkazującym zatrzymał go ojciec. Zamknęli wszystkie drzwi izby i we trzech rozmawiali długo i z cicha. Jakkolwiek jednak rozmawiając zniżali głosy, ciekawa i swawolna Lijka, córka Rafała, przytknąwszy zgrabny nosek swój do drzwi zamkniętych, a czarne oko do dziurki od klucza, usłyszała wyraźnie powtarzane często imiona Meira i Mery, córki Witebskich, naprzód, a potem swoje i jakiegoś Leopolda, kuzyna pani Hany, na wielkim świecie przebywającego. Odskoczyła ode drzwi spłoniona cała, zawstydzeniem na wpół, a na wpół tajemną radością zdjęta, i wciąż już tylko wyglądała przez okno, ażeby ujrzeć co prędzej wracającego do domu stryjecznego brata.

Słońce zachodziło już, kiedy Witebski opuścił dom Ezofowiczów, rozpromieniony, uśmiechniony, rad wielce widocznie z załatwionego interesu czy możne z dwóch razem interesów załatwionych.

W tejże prawie chwili Meir wracał do domu. Lijka wybiegła na spotkanie brata i w bramie dziedzińca otoczywszy ramieniem szyję jego, do ucha mu szeptała:

— Czy ty wiesz, Meir! Dziś wielkie rzeczy u nas działy się. Zejde nasz i tate mój długo rozmawiali z Elim Witebskim i o nas umówili się. Witebski przyrzekł dla ciebie córkę swoją, Merę, a mnie zejde i tate przyrzekli dla siostrzeńca pani Hany, co na wielkim świecie żyje i bardzo edukowany jest...

Szeptała to, płonąc cała i nie śmiąc ze wstydu podnieść oczu na brata. Nagle uczuła, że wysunął się on szybkim ruchem z jej objęcia. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła Meira odchodzącego znowu od wrót domowych.

— Meir! — zawołała za nim dziewczyna. — Gdzie ty idziesz? Czy ty wieczerzy jeść z nami nie będziesz?

Odchodzący nie odpowiedział nic na dźwięczny dziewiczy głos, który przyzywał go ku rodzinnemu stołowi. Głęboka zmarszczka przerzynała mu gniewne czoło. Zrozumiał w tej chwili całą nicość wykrzyku wydanego wobec dziada przed kilku godzinami: „Ja niczyj niewolnik!". Rozporządzono się, bez najlżejszego w tym udziału woli jego, rodzinną jego przyszłością, a on wiedział, że jak rozkażą *starsi*, tak stać się będzie musiało...

Nie! Wzdrygnął się on cały na myśl, aby stać się tak mogło. Dlaczego? Wszak nie znał młodej Mery, która kędyś na świecie uczyła się nauk tych, których on sam tak bardzo był żądny! Lecz idąc wciąż przez miasteczko i puste grunta rozdzielające je z karaickim wzgórzem, idąc powoli, z rękami założonymi w tył, pochyloną głową, myślał on wciąż uparcie, machinalnie prawie, nieprzerwanie: „Ja niczyj niewolnik!". Wrzała w nim i kipiała duma i żądza swobody, nie wiedzieć skąd w nim powstała, z tych tajemniczych zapewne tchnień przyrody, które na wszelkich gruntach sieją duchy szlachetne i mocne, wolności, sprawiedliwości i wiedzy spragnione...

*

U stóp karaickiego wzgórza, w chatce tulącej się do piaszczystej jego ściany błyszczało małe, żółte światełko. Nad nią, w gałęziach wierzby rosochatej, połyskiwały drobne gwiazdy, a dalej, na polach szerokich słały się szare cienie wieczoru.

We wnętrzu chatki, pod ścianą niską siedział na snopie zmiętej słomy starzec zgarbiony, bezkształtną odzieżą okryty i drżącymi rękami przebierał giętkie pręty łoziny. Postać jego szarzała zaledwie wśród mrocznego kąta, a rysy pochylonej twarzy były niewidzialnymi.

Bliżej żółtego płomyka świecy na stołku drewnianym siedziała wysmukła dziewczyna z chudą twarzą i wyprostowaną postacią. W spuszczonej ręce jej okręcało się z cichym fruwaniem wrzeciono, a nad głową podnosiła się deska prząśnicy z przymocowanym do niej grubym zwojem wełny.

Spod ściany, przy której szarzała zgarbiona postać starca, wydobywał się głos trzęsący się i chrypiący:

— „Pośrodku pustyni takiej wielkiej, że jej końca nigdzie widać nie było, podnosiły się dwie góry takie wysokie, że głowy ich chowały się w chmurach. Góry te nazywały się Horeb i Synaj".

Chrypiący, trzęsący się głos starca umilkł, a dziewczyna, która przędąc wciąż słuchała z poważnym wzrokiem i milczącymi usty, wymówiła:

— Zejde! Mów dalej!

Lecz w tejże chwili ozwał się tuż za otwartym oknem przyciszony głos męski:

— Gołda!

Prządkę nie przelękło ani zdziwiło to nagłe wymówienie imienia jej przez głos obcy. Można by rzec, iż co chwilę spodziewała się ona usłyszeć głos ten obok siebie, tak poważnie i bez najlżejszego drgnienia powstała i ku oknu podeszła. Tylko oczy jej zapłonęły gorąco zza czarnych rzęs, a głos nabrzmiały był niewypowiedzianą słodyczą, gdy stanąwszy u okna rzekła z cicha:

— Meir!

Za oknami na szarym tle wieczoru rysowała się wyraźnie blada twarz młodzieńcza.

— Meir! — powtórzyła dziewczyna. — Ja wiedziałam, że ty obietnicy swej dotrzymasz i przyjdziesz!

— Ja przyszedłem do ciebie, Gołdo — mówił za oknem przyciszony głos męski — bo mnie dziś bardzo ciemno przed oczami i ja chciałem popatrzeć na ciebie, żeby świat zrobił mi się jaśniejszym...

— A dlaczego tobie dziś tak ciemno zrobiło się przed oczami? — zapytała dziewczyna.

— Ja mam wielką zgryzotę. Rabin Izaak oskarżył mię przed zejdem i zejde chce mię ożenić...

Umilkł i spuścił oczy. Dziewczyna ani drgnęła. Najlżejsze poruszenie postaci ni twarzy nie zdradziło wzruszenia jej, tylko śniada i ogorzała twarz jej stała się na mgnienie oka białą jak opłatek.

— Z kim zejde chce cię ożenić? — zapytała, a w głosie jej ozwały się brzmienia ponure.

— Z Merą, córką kupca Witebskiego.

Wstrząsnęła głową.

— Nie znam jej — rzekła.

A potem zapytała nagle:

— Czy ty z nią ożenisz się, Meir?

Młody człowiek nie odpowiedział, a jednak Gołda nie pytała dłużej. Śniade czoło jej opłynęło rumieńcem, a wyraz szczęścia niewysłowionego napełnił oczy, bo wzrok Meira tkwił w jej twarzy, łagodny, litościwy jakiś, głęboki i zarazem ognisty.

Milczeli oboje, a w ciszy przerywanej tylko cichym szemraniem gałęzi wiszących nad dachem chrypiał i dygotał znowu głos siedzącego pod ścianą starca:

— „Kiedy Mojżesz zstępował z góry Synaj, umilkły grzmoty, zgasły błyskawice, wichry pokładły się na ziemię, a Izrael cały powstał jako jeden człowiek i wielkim głosem krzyknął: «Mojżeszu, powtórz nam słowa Przedwiecznego!»"

Meir wsłuchiwał się w stary głos opowiadający prastare dzieje Izraela z natężoną uwagą. Gołda spojrzała na dziadka.

— On tak zawsze różne historie opowiada — rzekła — a ja przędę albo przy nogach jego leżę i słucham...

— Meir — dodała z powagą w wejrzeniu i głosie — wejdź ty do domu naszego i pozdrów mego dziada...

Po chwili skrzypnęły drzwi od małej sionki. Stary Abel podniósł głowę znad prętów łozowych, które przebierały wciąż i splatały drżące, lecz czynne dłonie jego, i widząc rysującą się w zmroku dorodną postać młodzieńczą zapytał:

— A kto tam przyszedł?

— Zejde! — rzekła Gołda — Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula, przyszedł do domu naszego, aby cię pozdrowić...

Na dźwięk nazwiska wymówionego przez Gołdę szara postać skurczona przy ścianie przypodniosła się nagle i wspierając się rękami o więź[84] zmiętej słomy, wyciągnęła żółtą, z łachmanów dobywającą się szyję. Wtedy wychyliła się też pod światło żółtego płomyka głowa, z której zwisały aż na ramiona długie, bujne pasma włosów srebrzystej białości, i twarz mała, skurczona, niewidzialna prawie spod ogromnego zarostu, który ją okrywał. Gołda mówiła prawdę, że włosy jej dziada stały się od starości jako śnieg, a jak korale były od łez jego oczy. Teraz spod koralowych tych, nabrzmiałych powiek źrenice zgasłe patrzyły z osłupieniem strachu naprzód, a potem z nagłą błyskawicą oburzenia czy nienawiści.

[84]*więź* — tu: wiązka, snopek.

— Ezofowicz! — wymówił starzec głosem nie tak już drżącym i ochrypłym jak pierwej. — A po co ty tu przyszedł i próg domu mego przestąpił, kiedy ty rabbanitą jesteś… wrogiem… prześladowcą… a pradziad twój wyklął przodków moich i świątynię ich w proch obrócił?… Ty idź stąd! Niech stare oczy moje nie trują się, patrząc na ciebie!

Mówiąc ostatnie wyrazy, trzęsącą się rękę wyciągał ku drzwiom, którymi wszedł młodzieniec, oczy jego rozpalały się coraz ogniściej pod czerwoną powieką, a powiew wiatru wlatujący przez okno rozwiewał srebrzyste włosy długiej jego brody.

Ale Meir z wolna postąpił naprzód i chyląc nisko głowę przed rozgniewanym starcem wymówił:

— Pokój tobie!

Na dźwięk głosu tego o łagodnym, głębokim brzmieniu i wymówionych przezeń wyrazów, które błogosławieństwo i prośbę o zgodę zawierały w sobie, starzec umilkł, opuścił się ciężko na niskie swe siedzenie i po długiej chwili dopiero żałośliwym już tylko, jęczącym głosem mówić zaczął:

— Po co ty do mnie przyszedłeś? Rabbanitą jesteś i prawnukiem potężnego Seniora. Ciebie wyklną twoi, gdy zobaczą, że ty mój próg przestąpiłeś, bo ja ostatnim karaitą jestem, co tu pozostał, ażeby gruzów świątyni naszej i popiołów naszych ojców strzec! Ja nędzarz! Ja żebrak! Ja wyklęty przez twoich! Ja ostatni karaita!

Meir słuchał żałośliwych słów starca w milczeniu pełnym szacunku.

— Rebe! — ozwał się po chwili. — Ja przed tobą nisko głowę moją pochylam, bo trzeba, żeby sprawiedliwość na świecie stała się i żeby prawnuk tego, co wyklinał, pokłonił się prawnukowi wyklętych…

Abel karaim słuchał wyrazów tych z uwagą wielką i nadstawionym uchem. Potem milczał jeszcze długo, jakby znaczenie ich w zmęczonej myśli swej rozważał, aż na koniec zrozumiał je całkiem i szepnął:

— Pokój tobie!

Gołda stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i w Meira wpatrywała się, jak w obraz święty wpatrują się pobożni. Usłyszawszy wyraz pokoju wychodzący z ust dziada, przysunęła Meirowi jeden z dwóch stołków znajdujących się w chacie, wzięła z kąta izdebki mały, lśniący dzbaneczek i wyszła do sieni.

Meir usiadł opodal nieco od starca, który pogrążył się znowu w swej robocie i zrazu szeptać coś zaczął. Po chwili szept ten stawał się coraz głośniejszym, aż przemienił się w chrypiące i drżące opowiadanie. Opowiadania takie były znać ciągłym zwyczajem Abla. Miał on ich pełną pamięć i pierś i nimi sobie nędzne życie swe rozpromieniał.

Pierwszych wyrazów, szeptem przez Abla wymówionych, Meir nie dosłyszał i wtedy dopiero pochwycił wątek słów jego, gdy starzec głośniej zaczął:

— „Nad brzegami Babilonu siedzieli oni płaczący, a wiatr jęczał w lutniach ich, które oni sobie z ojczyzny przynieśli i w smutku zawiesili na drzewach.

I przyszli do nich panowie ich i mówili: «Weźcie do rąk waszych te lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!». A oni odpowiedzieli: «Jakoż grać i śpiewać będziemy na ziemi wygnania, kiedy język nasz usechł od wielkiej goryczy, a serca nasze wołać umieją tylko: «Palestyna! Palestyna!». Ale rzekli do nich panowie ich: «Zdejmcie z drzew lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!».

Wtedy prorocy Izraela obejrzeli się na siebie i zapytali: «Kto z nas pewny, że męki wytrzyma, a grać i śpiewać nie będzie na ziemi wygnania?»

A kiedy nazajutrz przyszli do nich panowie ich i powiedzieli: «Zdejmcie z drzew lutnie, grajcie i śpiewajcie!» — prorocy Izraela popodnosili swoje ręce krwawe i zawołali: «Jakże zdjąć je możemy, kiedy ręce nasze przecięte są na dwoje i palców u nich nie ma!».

Rzeki Babilonu głośno szumiały od wielkiego dziwu, a wiatr płakał w lutniach na drzewach wiszących, bo prorocy Izraela rozcięli sobie ręce na dwoje, ażeby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu na ziemi wygnania!"

Kiedy Abel wymawiał ostatnie wyrazy starej legendy, do izby weszła Gołda. Niosła ona w jednej ręce na splecionej ze słomy podstawie dwa kubki gliniane, w drugiej — dzbanek lśniący napełniony mlekiem. W drzwiach, które roztwartymi za nią zostały, stanęła koza, odbijając białością na czarnym tle sionki. Dziewczyna, w długiej, spłowiałej spódnicy, z czarnym warkoczem rzuconym na plecy szarej koszuli, wylała w kubki pieniące się mleko i podawała je dziadowi i gościowi. Chodziła po izbie cicha i lekka,

z uśmiechem tylko na poważnych ustach. Potem usiadła i prząść znowu zaczęła. Izbę zaległa cisza zupełna, stary Abel rozpoczynał jeszcze dawną historię jakąś cichym szeptem, ale wkrótce zamknęły się usta jego, ręce opadły na snop łozowych prętów, a głowa nieruchomo spoczęła przy ścianie. Koza zniknęła z progu, słychać było jeszcze przez chwilę szamotanie się jej w ciemnej sionce, lecz po chwili i to umilkło. Młodzi ludzie zostali sami jedni wobec uśpionego starca i gwiazd, które zaglądały przez niskie okienko. Ona przędła ze wzrokiem utkwionym w twarz młodzieńca siedzącego z daleka, on spuścił powieki i myślał.

— Gołda! — ozwał się po długiej chwili. — Prorocy Izraela, którzy sobie ręce rozcięli na dwoje, aby niewolnikami swoich panów nie być, wielkimi byli ludźmi...

— Oni nie chcieli robić nic przeciw sercu swemu! — poważnie odpowiedziała dziewczyna.

Milczeli znowu. Wrzeciono szemrało w ręku Gołdy, ale coraz ciszej jakoś i wolniej. Przez źle spojone stare deski ścian wnikały powiewy wiatru i chwiały żółtym płomykiem świecy.

— Gołda! — ozwał się Meir. — Czy tobie nie straszno w tej samotnej chacie, kiedy jesień i zima długie, czarne ciemności na świat spuszczają, a wichry wielkie przez te stare ściany do izby wlatują i jęczą?

— Nie — odpowiedziała dziewczyna — mnie nie straszno, bo Przedwieczny strzeże biednych chat, co w ciemnościach stoją, a kiedy wiatry wlatują tu i jęczą, ja słucham historii tych, które opowiada zejde, i jęczenia tego nie słyszę!

Wzrok Meira, miękki i pełen litości, spoczywał na twarzy poważnego dziecka. Gołda patrzała na niego nieruchomymi oczami, które błyszczały z dala jak czarne, ogniste gwiazdy.

— Gołda! — rzekł znowu Meir. — Czy ty pamiętasz historię o rabbi Akibie?

— Ja jej do końca życia mego nie zapomnę... — odpowiedziała.

— Gołda!... Czy ty byś mogła, jak piękna Rachela, czekać czternaście lat...

— Ja bym do końca życia mego czekała...

Wymówiła to spokojnym głosem i poważnymi usty, ale wrzeciono wypadło z jej ręki, która opadła w dół jak bezwładna.

— Meir — rzekła tak cicho, że słowa jej przygłuszały nieledwie ciche szepty wieczornego wiatru — daj ty mnie obietnicę jedną! Kiedy tobie niedobrze będzie w domu dziada swego, Saula, i kiedy ty smutek na sercu swoim poczujesz, przychodź ty wtedy do domu naszego. Niech ja o każdym smutku twoim wiem i niech zejde mój pociesza ciebie tymi pięknymi historiami, które on opowiadać umie!

Meir nie odpowiadał długo. Byłże to blask żółtego płomyka, który mu padał na twarz? Czoło i oczy jego były całe w ogniu.

— Gołdo! — rzekł silnym głosem. — Ja jak prorocy Izraela ręce swoje na dwoje raczej rozetnę, niż cokolwiek kiedy przeciw sercu memu zrobię!

Rzekłszy to wstał i skinął głową ku dziewczynie.

— Pokój tobie! — rzekł.

— Pokój tobie! — odpowiedziała cicho i głową z wolna ku niemu skinęła.

Wyszedł z chaty, a po chwili dziewczyna powstała ze stołka, zdmuchnęła żółty płomyk dogorywającej świecy i, owinąwszy się szarą jakąś płachtą, u nóg uśpionego na słomie starca spoczęła. Spoczęła, lecz długo jeszcze patrzała szeroko roztwartymi oczami na gwiazdy, które migotały za oknem.

VI

Eli Witebski posiadał w umyśle swym i charakterze niepospolite dyplomatyczne zdolności. Nie urodził się on i nie wzrósł w Szybowie jak wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miejsca tego, ale od trzech lat zaledwie sprowadziły go tu interesy i różne rodzinne okoliczności.

Był więc wśród miejscowej ludności znającej się wzajem od dziadów, pradziadów cudzoziemcem nieledwie, a w dodatku życie całe spędziwszy w dużym gubernialnym mieście, przywiózł ze sobą wiele nowości, które zadziwiać i razić mogły ultrakonserwatywnych mieszkańców zapadłego kąta. Nowościami tymi były: strój odmienny znacznie co

do kroju i długości, noszenie pierścienia z brylantem na palcu, nienoszenie jarmułki na głowie, krótkie przystrzyganie złotawej bródki, zupełny brak w mieszkaniu ksiąg talmudycznych i kabalistycznych, przede wszystkim zaś posiadanie żony takiej, jaką była pani Hana, córki uczącej się gdzieś na pensji i oprócz tej ostatniej dwojga *tylko* dzieci. Nowości te, ważne niezmiernie, niewidziane, niesłychane, powinny były ściągnąć na eleganckiego kupca ogólną niechęć publiczności szybowskiej. Nie ściągnęły jednak. Zrazu wprawdzie ci i owi poszeptywali pomiędzy sobą, że jest on *misnagdimem*[85], postępowcem, i w rzeczach wiary indyferentem[86]. Podejrzenia te jednak rozproszyły się szybko, a siłą, która je zażegnała, była nadzwyczajna łagodność, uprzejmość i giętkość Elego. Grzeczny zawsze, uśmiechniony, pogodny, nie sprzeczał się nigdy z nikim, ustępował każdemu, potwierdzał wszystko, spierających się ludzi unikał, aby nie być zmuszonym do wzięcia strony jednego z nich, a obrażenia na siebie drugiego, jeżeli zaś w żaden sposób uniknąć nie mógł, to tak ładnie, płynnie, słodko i przekonywająco przemawiać umiał, iż zwaśnione strony elokwencją jego zachwycone miękły, godziły się, a dla niego wdzięczność i uwielbienie w sercach unosiły, mówiąc z zachwytem: „*A kługer mensz*[87]!" Co do właściwych obrządków i religijnych przepisów, Witebski okazywał się ortodoksem doskonałym. Święcił sabaty i zachowywał koszery z punktualnością najdrobiazgowszą; wielkiemu rabinowi, ilekroć go spotkał, kłaniał się bardzo nisko i umiał nawet to, czego nikt w gminie całej nigdy nie potrafił — rozchmurzać posępne czoło i rozjaśniać zadumane oczy mędrca wesołymi przypowieściami jakimiś, branymi nie wiedzieć skąd, ale układanymi zawsze w ten sposób, iż posiadały coś z mistycznego lub patriotycznego zapachu i trafiały tym do smaku najsurowszym nawet słuchaczom. Niewiele czasu spędzał on w domu, jeżdżąc wciąż po świecie za interesami, którymi zajmował się gorliwie, ale ilekroć znajdował się w Szybowie, widywano go nieodmiennie w bet-ha-midraszu[88] słuchającego ze czcią przynależną mądrych nauczeń rabina Todrosa i uśmiechającego się z lubością, gdy kilkunastu lub kilkudziesięciu starych i młodych mędrców gminy zawzięcie toczyło ze sobą pilpul, czyli rozprawy i spory nad różnymi komentarzami i komentarzami komentarzów, których pełnymi są dwa tysiące pięćset drukowanych arkuszy *Halachy*[89], *Hagady*[90] i *Gemary*. W domie[91] modlitwy bywał też zawsze, ilekroć bywali tam wszyscy, a jeżeli nie mógł zaliczyć się do rzędu najgoręcej modlących się, więc najgłośniej krzyczących i najgwałtowniej kołyszących się nabożnych, to jednak postawa jego i wyraz twarzy bywały nieodmiennie i doskonale przystojne.

Nie należy przecież mniemać, aby postępując w ten sposób Witebski był obłudnikiem. Bynajmniej; lubił on szczerze zgodę i spokój, nie chciał więc ich zamącać sobie i innym. Powodziło mu się w życiu, szczęśliwym i zadowolonym czuł się, lubił więc ludzi wszystkich i najzupełniej, najszczerzej było mu to obojętnym, czy człowiek, z którym do czynienia miał, talmudystą był, kabalistą, chasydem, prawowiernym, odszczepieńcem lub nawet edomitą, byleby tylko nie szkodził mu osobiście. O edomitach zresztą dowiedział się po raz pierwszy wtedy dopiero, gdy do Szybowa przyjechał; w kółku bowiem, w którym obracał się dotąd, nazywano chrześcijan *gojami*, ale to rzadko kiedy i tylko pod wpływem wyjątkowych uczuć gniewu lub obrazy, najczęściej zaś po prostu chrześcijanami. Gdy jednak przyjechał do Szybowa i usłyszał o edomitach, pomyślał w duchu: „Niech sobie będą i edomici!". Odtąd też nie dawał innej nazwy chrześcijanom, gdy rozmawiał o nich z którym z szybowskich mieszkańców. Ale nie było w tym nazywaniu ani

[85]*misnagdim* (hebr. lm) — przeciwnicy chasydów.

[86]*indyferent* — człowiek obojętny (indyferentny: nie stanowiący a. nie robiący różnicy), szczególnie w sprawach religii.

[87]*a kługer mensz* (jid.) — mądry człowiek.

[88]*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. „dom nauki"; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; stanowił instytucję, bardzo ważną szczególnie w XVII i XVIII w., gdy podupadły *jesziwy*, czyli wyższe szkoły talmudyczne.

[89]*halacha* — prawo żydowskie złożone z 613 *micw*, tj. przykazań (nakazów, obowiązków), do których każdy dorosły Żyd ma się stosować.

[90]*hagada* a. *agada* (z hebr.: opowiadanie, baśń, legenda) — opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu czytana podczas paschalnej wieczerzy zw. Gederem; także: opowiadanie interpretujące tekst biblijny z zawartym w nim przesłaniem moralnym.

[91]*w domie* (daw.) — dziś popr. forma: w domu.

najmniejszej odrobiny nienawiści albo choćby niechęci. Edomici nic mu dotąd osobiście złego nie wyrządzili, za cóż by więc miał ich nie lubić? Poza Szybowem przyjaźnił się z nimi i wielu z nich nawet lubił, ale w Szybowie — jak wszyscy, tak i on.

Religijną edukację otrzymał on był w dzieciństwie, ale potem rozwiało się jakoś wszystko i rozproszyło z pamięci jego śród świeckich całkiem zatrudnień i starań. W Jehowę wierzył i czcił go głęboko, o Mojżeszu wiedział, coś także o starożytnej niewoli babilońskiej i nowożytnych dziejach żydowskiego narodu, ale co się tyczy głębszych rzeczy tejże natury, nie znał się na nich wcale. W gruncie niewiele go też obchodziło, co i jak powiedział lub nakazał tanaita albo rabin jaki. Nie przeczył jednak niczemu ani słowem, ani postępkiem, ani nawet myślą. Robił wszystko, co wszystkim przykazanym było, mówiąc sobie: „Co to szkodzi! Może to tak sobie ludzkie wymyślenie jest, a może i rozkazanie samego Boga. A jeżeli to rozkazanie Boga, na co ja mam przeciw sobie Jego obracać?...".

Dyplomatyzując w ten sposób z ludźmi i Bogiem, nie obawiał się niczego i dobrze mu było na świecie.

Byłoby mu na świecie zupełnie a zupełnie dobrze, gdyby nie przywiózł był ze sobą największej i najbardziej dla mieszkańców Szybowa zdumiewającej nowości, żony swej, Hany. O ile on żyjąc w małej mieścinie pragnął i usiłował okazywać się takim, jakimi byli wszyscy, o tyle najpilniejszym staraniem pani Hany było czynić inaczej niż wszyscy. Gdy przebywali śród szerszego świata, panowała pomiędzy nimi harmonia niebieska, oparta zresztą na rzeczywistym przywiązaniu i jednostajności gustów. Tu jednak pani Hana stała się dla męża swego przedmiotem ciągłego kłopotu i niejakiej obawy.

Pani Hana rozkochana była w cywilizacji, która przedstawiała się jej w postaci ładnych sukien, własnych włosów na głowie, pięknie umeblowanych pokojów, bardzo grzecznego obchodzenia się z ludźmi, francuskiego języka i muzyki. Za muzyką przepadała. Mieszkając w dużym mieście, chodziła zawsze słuchać jej do publicznego ogrodu, gdzie przechadzając się z przyjaciółkami swymi w szeleszczącej jedwabiem sukni i kwiecistym kapeluszu i przypatrując się pięknym panom rozmawiającym grzecznie z pięknymi paniami, czuła się doskonale szczęśliwą, a bardziej jeszcze z towarzyskiego położenia swego w świecie dumną. Pewne szczególniej produkty cywilizacji wprawiały ją w prawdziwy zachwyt. Raz ujrzawszy kędyś w publicznym ogrodzie jakimś fontannę, przypatrywała się jej przez parę godzin z rozkoszą niewysłowioną, a wróciwszy do miasta swego, które nie posiadało jeszcze fontanny żadnej, przez rok cały opowiadała przyjaciółkom swym o widzianym nadzwyczaj pięknym zjawisku. Zwierciadła posiadały też szczególną jej predylekcję i ilekroć znalazła się naprzeciw jakiej tafli zwierciadlanej większych nieco rozmiarów, nie mogła oczu oderwać od niej, a zwłaszcza od ukazującego się w niej obrazu własnej osoby, którą znajdowała wcale piękną, wówczas zwłaszcza, gdy miała w uszach złote kolce, a na głowie ładny czapeczek z kwiatami. Co do filozofii religijnej i w ogólności życiowej, na tej pani Hana mniej jeszcze znała się od męża swego. W Pana Boga wierzyła, a nawet w głębi serca srodze się Go bała, i w szatanów wierzyła, bojąc się ich jeszcze srożej niż Pana Boga; wierzyła także w to, iż ktokolwiek cienia swego w noc świąteczną nie zobaczy, ten w ciągu roku umrze, i w to jeszcze, iż kto świecę postawioną na sabatowym stole z miejsca poruszy, temu wielkie nieszczęście może stać się. W zamian przecież w wiele innych rzeczy zupełnie tamtym podobnych nie wierzyła, nazywając je wzgardliwie zabobonami, będąc zaś gospodynią skrzętną i zapobiegliwą, znajdowała w duszy, iż lepiej by było daleko, aby Żydzi jedli takie samo mięso, jak chrześcijanie, bo przychodziłoby im ono daleko taniej, i aby w gospodarstwie niepotrzebnym było takie wielkie mnóstwo naczyń kuchennych, które istnieć muszą w każdym domu prawowiernym dla utrzymania jadła w stanie doskonałego koszeru. Co się zaś tyczy tkanin zawierających w sobie mieszaninę lnu i wełny, tych pani Hana, zamykając oczy i uszy na zakazy wszelkie, stanowczo używała, bo były one ładne i tanie.

Przybywszy do Szybowa, pani Hana przerażoną formalnie została widokiem miejsca, do którego mąż ją przywiózł. Ani śladu cywilizacji! Publicznego ogrodu żadnego, muzyki grającej na otwartym powietrzu żadnej, fontanny ani śladu, pięknych pań i panów grzecznie rozmawiających ze sobą ani cienia, francuskiego języka ani echa! Gwałtu! Pani Hana położyła się do łóżka i zakopana w piernatach dwa dni i dwie noce płakała i lamentowała, wołając, że ona tu nie wytrzyma, że umrze i dzieci swoje sierotami

zostawi! Nie umarła przecież, z łóżka wstała, bo trzeba było sprzęty przywiezione rozpakować, gospodarstwo urządzić i dzieci ładnie poubierać, aby wychodząc pierwszy raz na ulicę zadziwiły pięknością swą i strojem całe to, jak wyrażała się pani Hana ze wzgardliwym gestem, „pospólstwo". Wystrojone zostały, wybiegły i istotnie zadziwiły wszystkich. Była to pierwsza pociecha, której nieszczęsna wygnanka cywilizacji na wygnaniu swym doświadczyła. Przyszły potem różne inne pociechy tej podobne. Pani Hana zadziwiała, imponowała, czym mogła: strojem, meblami, manierą, wysłowieniem, a ilekroć zdarzyć się to mogło, czuła się niewypowiedzianie szczęśliwą. W gruncie była może szczęśliwszą jeszcze niż w opuszczonym przez się wielkim mieście. Tam patrzała tylko na świat cywilizowany i pyszniła się tym, że jest drobną jego cząstką, tu była samą cywilizacją, całą sumą cywilizacji, jaka istniała w Szybowie.

Zadziwianie to i imponowanie, które stanowiło teraz po gospodarstwie i dzieciach pierwsze zajęcie umysłu pani Hany i główne źródło jej szczęścia, nabawiało Elego niepokojem i obawą. Zasłyszał on ożywające się zrazu szemrania, iż *misnagdimem* był, dowiedział się, że publiczność oburzoną jest srodze na żonę jego, iż nosi ona tkaniny mieszane z lnu i wełny, w sobotę w domu swym samowar nastawiać każe i głośno z tym się odzywa, iż Szybów jest „nie na ziemi, ale pod ziemią". Dowiedział się o tym, struchlał i połowicy swej walki wytaczać zaczął: o tkaniny z lnu i wełny, o samowar w sobotę i położenie nadziemne czy podziemne miasta Szybowa. Połowica walczyła długo, ale dyplomatyczny mąż zwyciężył w końcu co do tkanin i samowarów. Co do położenia Szybowa nie zwyciężył, bo pani Hana, gdyby nawet najmocniej postanawiała z należytym uszanowaniem zostawać względem miejsca pobytu swego, nie potrafiłaby tego dokonać. Jeżeli usta jej milczały, mówiły za to oczy wzgardliwie przymrużające się, usta dumnie uśmiechnięte, strój zawsze wyszukany i maniera tak pełna wykwintnej grzeczności, iż grzeczniejszej nad nią trudno by chyba znaleźć na świecie.

W gruncie rzeczy pani Hana doskonale była szczęśliwą ze swym łagodnym, acz w niektórych razach stanowczym mężem, z ładnymi i zawsze ustrojonymi dziećmi i z wiekuistym w duszy poczuciem wyższości własnej nad wszystkim, co ją otaczało. I jedną tylko miała istotną zgryzotę, a była to myśl, że nigdy już nie będzie mogła zaimponować mieszkankom Szybowa własnymi włosami, raz dlatego, że na odchowywanie ich było już za późno, następnie, że Eli na podobne publiczne zgorszenie i niebezpieczne narażanie się nie dozwoliłby nigdy. Nosiła więc bardzo piękną czarną perukę na strapionej swej głowie i pocieszała się myślą, iż chwila powrotu z Wilna córki jej, Mery, ostateczny już i największy sprowadzi jej tryumf. Eli niepokoił się tym mocno, że z pojawieniem się w miasteczku Mery okaże się ojcem nie takim jak wszyscy szybowscy ojcowie, pani Hana zaś nie posiadała się z radości, iż okaże się matką inną niż wszystkie szybowskie matki.

Stało się na koniec. W miesiąc niespełna po rozmowie Elego z Saulem w bawialnym pokoju Witebskich znajdowało się pięć osób: trzy kobiety i dwóch mężczyzn.

A był to pokój bawialny nie lada! Przyozdabiała go kanapa sprężynowa, zielonym rypsem wybita (jedyny tego rodzaju egzemplarz w całym Szybowie), kilka podobnych kanapie krzeseł i foteli, spore zwierciadło na ścianie, dywanik na podłodze i fortepian. Był to wprawdzie fortepian nie pierwszej młodości. Owszem politura w wielu miejscach starta, wąskość klawiatury i żółtość klawiszy zdradzały głęboką nawet jego starożytność. Zawsze jednak był to fortepian jedyny w całym Szybowie, a przywieziony tu przed rokiem, w przewidywaniu powrotu Mery i dla niej wyłącznie, wywołał był w miasteczku małą rewolucję, a serce pani Hany napełniał wciąż wielką dumą. Nie brakowało też w saloniku tym firanek u okien i kilku glinianych naczyń, w których rosły bardzo brzydkie, co prawda, i źle utrzymywane kaktusy i pelargonie. Zdarzyło się przecież raz, przed rokiem, że jeden z kaktusów wypadkiem jakimś rozkwitł. Pani Hana postawiła go na oknie od ulicy, a wszystkie dzieci z całego miasteczka zbiegały się pod dom jej i przypatrywały się godzinami całymi wielkiemu, czerwonemu kwiatowi.

Owóż na sprężynowej zielonej kanapie siedziała pani Hana i siostra jej, kupcowa z Wilna, w której domu mieszkała Mera, uczęszczając stamtąd przez trzy lata na pensję, a która teraz osobiście odwiozła do rodziców siostrzenicę swą, przywożąc zarazem syna swego, Leopolda. Postać miała ona okazałą, tak jak i pani Hana, aksamitną mantylę, własne włosy na głowie i wiele złota wszędzie. Z dwóch stron stołu przed kanapą stojącego siedzieli gospodarz domu i młody siostrzeniec pani Hany, Leopold. Mera, ładna

dziewczyna z płowymi włosami i białą twarzą, krążyła dokoła fortepianu, pragnąc widocznie uderzyć co prędzej w klawisze, aby odgłosem hucznej muzyki swej napełnić całe miasteczko, ale nie śmiąc uczynić tego, bo był to dzień sobotni.

W dzień sabatu na instrumencie żadnym grać nie wolno. Wiedziała o tym Mera, ale nie robiłaby sobie nic z tego, gdyby nie wzrok ojca, który wciąż zwracał się ku niej i strzegł ją tym od popełnienia grzechu. Tytoniu palić w dzień sabatu nie wolno także. Jednak młody Leopold, ładny, wysmukły chłopak lat dwudziestu, siedząc na fotelu w arcyniedbałej postawie palił papierosa, z którego, na domiar biedy, cienkie nici dymu przez otwarte okno ulatywały w świat. Eli wstał i okno zamknął. Na kształtnych ustach Leopolda ukazał się wzgardliwy uśmieszek, Mera nieznacznie ramionami wzruszyła, a pani Hana spłonęła cała wstydem czy gniewem.

Na stole, na posrebrzanej tacy, stały różne częstunki: konfitury w miodzie smażone, pierniki z miodu i maku, słodkie wino itd. Pani Hana uprzejmie raczyła gości swych przysmakami tymi, które uzupełniały obiad złożony z ryby gotowanej wczoraj i wczoraj upieczonego kugla. Ale kupcowa z Wilna zajęta była czym innym wcale niż zjadaniem przysmaków. Z wielkim zajęciem i zachwyceniem przyglądała się ona pięknym złotym broszom, kolcom i bransoletom, które błyszczały przed nią na tle aksamitem wybitych pudełek, a z których niektóre przyozdobione były nawet rubinami, perłami i brylantami.

Były to zaręczynowe podarunki, które Saul w imieniu Meira przysłał Merze nazajutrz zaraz po jej przybyciu do Szybowa. Od dwóch dni patrzyły już na nie matka i ciotka narzeczonej, a napatrzyć się jeszcze nie mogły. Matka Leopolda czuła się jednak zmartwioną nieco tym, że syn jej przywiózł przyrzeczonej sobie Lii podarunki nierównie skromniejsze niż te, które od Meira otrzymała Mera.

— Nu! Szczęśliwa dziewczyna — mówiła, kołysząc głową. — Jej Pan Bóg prawdziwe szczęście dał! Takie podarunki! Tacy bogaci ludzie! Co to! A dlaczego on tu nie przychodzi? — zwróciła się z zapytaniem do siostry.

— Iii! — z pogardliwym gestem odrzekła pani Hana. — To prości ludzie! U nich taki zwyczaj, że narzeczeni nie bywają u swoich narzeczonych!

— On młody! — wtrącił Eli. — Wstydzi się!…

Mera usiadła w tej chwili przy stole i oparłszy głowę na ręku, smutnie jakoś zamyśliła się. Leopold w zamian zaśmiał się głośno.

— Już ja pewno nie poślę zaręczynowych podarunków — rzekł — dopóki dziewczyny tej nie zobaczę!

— Nu! Ty ją zobaczysz! — uspokajająco odrzekła matka. — My do nich dziś z wizytą wszyscy pójdziemy!

— A co to za dziewczyna? — zapytała znowu siostry.

— Iii! — odparła jak pierwej pani Hana. — Prosta dziewczyna!

— Ojciec jej, Rafał, daje za nią sześć tysięcy rubli! — wtrącił Eli.

Leopold ściągnął brwi chmurnie.

— A co mnie z tego? — rzekł. — Czy ja mogę z sześciu tysięcy utrzymać się?

— Handel zaczniesz! — zauważył kupiec.

Ale matka ładnego chłopca z gniewem nieledwie zwróciła się ku szwagrowi:

— Handel! — zawołała. — On nie do handlu wychowany! Czy my na to dawaliśmy jemu wielką edukację, żeby on handlował? On pięć klas skończył i urzędnikiem jest! Teraz on bierze małą pensję, to prawda! Ale co to można wiedzieć, co z człowiekiem stanie się! On może gubernatorem będzie! Co to można wiedzieć?

Leopold podniósł brwi w sposób oznaczający, iż czuł się w istocie stworzonym do przepowiadanych mu przez matkę zaszczytów i że przeciw ukazywanej mu perspektywie gubernatorstwa nic a nic nie miał.

Eli uśmiechnął się nieznacznie, ale nie zaprzeczył niczemu. „A co to szkodzi — myślał — że oni głupstwa gadają? Niech sobie gadają!"

W tejże chwili ładniutka Mera podniosła utrefioną główkę i do ciotecznego brata przemówiła:

— *Cousin*! *Comme c'est ennuyant ici*[92]!

[92]*Cousin! Comme c'est ennuyant ici* (fr.) — Kuzynie! Jak tu nudno!

— *Oui, cousine*! *Cette vilaine petite ville est une place tres ennuyante*[93]! — odparł wydymając usta młody człowiek.

Siedzące na kanapie matki nic a nic nie zrozumiały, ale spojrzały wzajem na siebie, zarumieniły się z radości, a pani Hana, wyciągając przez stół pulchną swą rękę, pogłaskała nią włosy córki.

— *Fiszele*[94]! — rzekła z nieopisanym uśmiechem błogości i miłości na ustach.

Na Elim francuskie mówienie córki sprawiło także niejakie wrażenie. Twarz jego, stroskana nieco w dniu tym, stała się znowu pogodną jak zwykle. Wstał i zawołał wesoło:

— Nu, chodźmy! Już czas!

Po kilku minutach całe towarzystwo zstępowało z ganku na ulicę. Eli miał znowu minę zafrasowaną. Nic na świecie heretyczniejszym być nie mogło jak ubranie młodego jego krewnego. Składało się ono z krótkiego, modnego tużurka, połyskującego obuwia i bardzo szeroko roztwartej kamizelki, która ukazywała całe piersi okryte śnieżnej białości koszulą. W dodatku młodzieniec ten miał na głowie malutką, zgrabną czapeczkę z urzędniczą srebrną gwiazdką i — przed wyjściem z domu zapalił znowu papierosa.

Elemu z trudnością przychodziło sprzeciwiać się komukolwiek w czymkolwiek, tym bardziej więc gościowi swemu i ulubieńcowi dwóch wspaniałych kobiet, które swoją drogą szanował też wielce. Wyszedłszy jednak na ganek i spostrzegłszy tłumy ludu, które w dzień sobotni jak mrowie wychodziły na słońce, nie mógł powstrzymać się od przestrogi.

— Słuchaj, Leopold! — rzekł z cicha i łagodnie. — Rzuć ty tego papierosa! To głupi lud! Na co jego przeciw sobie obracać!... A może — dodał natychmiast — i sam Pan Bóg zabronił palić w sabat! Co to można wiedzieć?

Leopold zaśmiał się głośno.

— Już ja nie boję się niczego! — rzekł i zbiegłszy z ganku, podał ramię Merze.

Leopold tedy i Mera szli przodem, trzymając się pod ręce. Za nimi postępowały dwie wspaniałe matki w bombiastych sukniach, aksamitnych mantylach i kapeluszach z ogromnymi kwiatami. Eli zamykał orszak, idąc z wolna, z twarzą widocznie stroskaną i z rękami w tył założonymi.

Jeżeli zwrócenie na siebie uwagi licznego tłumu poczytanym być może za triumf, pochód rodziny Witebskich przez plac miasteczka był triumfalnym pochodem. W mgnieniu oka zbiegła się za nimi ogromna gromada dzieci różnej płci i wieku i z cichymi zrazu okrzykami, potem z wrzaskiem nieopisanym biec za nimi zaczęła. Wkrótce do dzieci przyłączyli się podrastający, a nawet całkiem dorośli ludzie; dostojniejsze rodziny wysypały się na ganki domostw otaczających rynek, we wrotach szkolnego dziedzińca stał mełamed w zwykłym pierwotnym ubraniu swym i nie chcąc jakby wierzyć własnym szeroko roztwartym oczom, patrzał na sunące rynkiem dziwowisko.

Największą jednak uwagę zwracała na siebie młoda para idąca przodem: Leopold w swym eleganckim tużurku i z papierosem przy ustach i Mera w zbyt bombiastej nieco, barwnej sukni, zwieszona na ramieniu kuzyna i krygująca się nieco, aby tym lepiej okazać swą wielkoświatową manierę.

Eli szedł jak po żarzących się węglach, pani Hana stąpała jak po wawrzynach. Kupcowa z Wilna rozglądała się po ciemnym tłumie z przymrużonymi oczami i podniesioną głową.

— *Zi! Zi! A szejne puryc! A szejne panienkies*[95]! — krzyczały dzieci biegnąc, skacząc, palce wyciągając i chmury pyłu nogami podnosząc.

— Kto oni są? Czy to Izraelici? — zapytywali dorośli i palcami wskazywali na krótkie ubranie i papieros Leopolda.

— *Misnagdim*! — nagle ktoś krzyknął w tłumie i mały kamuszek, nie wiedzieć przez kogo rzucony, przeleciał obok głowy Leopolda. Młody człowiek zbladł i odrzucił papieros, przedmiot ogólnego zgorszenia. Eli zmarszczył czoło. Ale pani Hana wyżej jeszcze podniosła głowę i dość głośno rzekła do siostry:

— Nu, trzeba im to przebaczyć! To taki ciemny lud!

Leopold przecież nie przebaczył ciśnionego nań kamuszka; widać to było po zalęknionych oczach jego a zaciśniętych ustach, z jakimi wszedł do bawialnej izby Ezofowiczów.

[93] *Oui, cousine! Cette vilaine petite ville est une place tres ennuyante* (franc.) — Tak, kuzynko! Ta nędzna mała mieścina jest bardzo nudnym miejscem.

[94] *fiszele* (jid.) — rybka.

[95] *Zi! Zi! A szejne puryc (…)* (jid.) — Patrz, patrz! Jaki piękny panicz! Jaka piękna panienka.

Tam na honorowym miejscu, więc na kanapie z żółtą poręczą, siedział stary Saul w otoczeniu synów swych, synowych i kilkorga starszych wnuków. Przy jednym z okien w wygodnym fotelu siedziała ubrylantowana jak zwykle i jak zwykle drzemiąca prababka, przy drugim stał Meir.

Kiedy rodzina Witebskich weszła do obszernej bawialnej izby, Meir przelotnie tylko spojrzał na Merę, jakby osoba jej nie obchodziła go wcale, ale ciekawy, bystry, gorący wzrok utkwił w Leopolda. Zdawałoby się, iż pragnął co najprędzej zbliżyć się ku człowiekowi temu przybywającemu z szerokich światów i przeniknąć go na wskroś.

Przez czas jakiś jednak trwały gwarne powitania i wstępne rozmowy. Saul nie opuścił honorowego miejsca swego na kanapie, córka jego, Sara, żona Bera, robiła honory domu, częstując gości przysmakami i podziwiając głośno piękność kapeluszów[96] i sukien przybyłych pań.

Mera usiadła z gracją na brzeżku prostego stołka i, bawiona przez nieśmiałą, zawstydzoną, a zarazem rozradowaną Liję, rzucała z ukosa wejrzenia na stojącego u okna młodzieńca, o którym domyśliła się, że był jej narzeczonym. Ani razu przecież nie spotkała się z jego wzrokiem. Meir zdawał się nie wiedzieć wcale o jej istnieniu, patrzał wciąż na Leopolda.

Pani Hana, opowiadając z ożywieniem wielkim i dumą nie mniejszą otaczającym ją kobietom o pięknej fontannie, którą widziała kędyś na wielkim świecie, i o muzyce grającej co niedzieli w publicznym ogrodzie wileńskim, rozglądała się po bawialnej izbie Ezofowiczów. Naprawdę, izba ta, obszerna i schludna, ze swym długim stołem rodzinnym pośrodku, z prostymi drewnianymi stołkami i figurującą śród nich odwieczną żółtą kanapą, posiadała charakter zamożności, oszczędnej a porządnej, i była niezrównanie piękniejsza od pstrego saloniku pani Hany. Znajdowały się w niej też dwie szafy: jedna oszklona i pełna starych ksiąg, które, wedle tradycji rodzinnej, należały niegdyś do Michała Seniora, druga napełniona naczyniami stołowymi, a u szczytu której stał połyskujący jak złoto ogromny samowar. Kiedy oczy pani Hany upadły na ostatni ten przedmiot, spłonęła ona lekkim rumieńcem zawstydzenia. Samowar w bawialnym pokoju rodziny jej przyszłego zięcia! Było to wręcz sprzeczne ze wszystkimi przepisami cywilizacji, o których wiedziała! Wnet potem jednak z wysoce nieprzystojnego przedmiotu tego wzrok jej przesunął się na barczystą i drzemiącą w fotelu postać prababki. W tej chwili promień zachodzącego słońca padał na nieruchomą postać tę i roziskrzał klejnoty, którymi była okrytą. Jak gwiazda płomienna jaśniało nad pomarszczonym czołem spięcie barwistego zawoju, kolce u uszów rzucały tysiące iskier, a perły okrywające pierś przybrały bladoróżową barwę.

Pani Hana lekko trąciła siostrę ramieniem.

— *Zi*! — szepnęła, wskazując jej głową prababkę. — Jakie brylanty!

Kupcowa z Wilna aż przymrużyła oczy z zachwytu.

— Aj, aj! — zawołała. — Toż to skarby! A na co takiej starej kobiecie takie bogate rzeczy na sobie nosić? Co jej z tego?

Usłyszał wykrzyk ten stary Saul i z grzeczną powagą pochylając się ku gościom wyrzekł:

— Ona sobie na to zasłużyła, żeby u nas takie poważanie mieć i żebyśmy ją wszystkimi drogościami okrywali, jakie cała nasza familia posiada. Ona była koroną swego męża i my wszyscy, jak gałęzie od drzewa, od niej początek bierzem!

Przymrużył nieco oczy, zakołysał głową i mówił dalej:

— Ona bardzo stara jest teraz, ale kiedyś była młodą i bardzo piękną. A gdzie piękność jej podziała się? Ją starły te lata, te miesiące i te dni, co przeleciały nad nią jak te ptaki, które jeden za drugim lecąc, obrywają z krzaka po jagodzie, aż wszystkie oberwą. Ona teraz ma wiele zmarszczek na swojej twarzy, to prawda! Ale skąd wzięły się te zmarszczki? Ja to wiem, bo kiedy ja na nie patrzę, to w każdej z nich widzę jakiś obraz. Kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona na powiekach i przy oczach swoich ma, to ja przypominam sobie, jak byłem mały i chorowałem bardzo, a ona nad kołyską moją siedziała, śpiewała mi do snu, a z jej oczu lały się łzy. A kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona ich tak wiele na policzkach swoich ma, mnie przypominają się wszystkie kłopoty i zgryzoty, które ona przenosiła, jak wdową została, drugi raz za mąż nie chciała iść, a handel sama prowadziła

[96]*kapeluszów* — dziś popr. forma: kapeluszy.

i powiększała majątek swoich dzieci. A jak patrzę na tę zmarszczkę, co ona ją pośrodku czoła swego nosi, mnie zdaje się, że ja widzę ten moment, jak dusza ojca mego, Hersza, rozwiodła się z ciałem i jak moja matka padła na ziemię jak nieżywa i długo tak leżała nie płacząc, nie krzycząc, nie jęcząc, tylko wzdychając bardzo cicho: „Hersz! Hersz! Mój Hersz!". Był to największy smutek, co spotkał ją w jej życiu, i od tego powstała pośrodku jej czoła największa zmarszczka...

Tak prawił stary Saul ze wskazującym palcem uroczyście wzniesionym w górę i z zamyślonym uśmiechem na żółtych wargach. Słuchające go kobiety wstrząsały głowami wpół smutnie, wpół przytwierdzająco i spoglądając na siebie, mówiły z cicha:

— *Herst*! *Herst*[97]!

Pani Hana zaś była tak rozrzewnioną i zachwyconą, że aż łzy ukazały się na jej rzęsach. Otarła je batystową chustką, którą trzymała wciąż w ręku, a potem rękę tę wyciągnęła ku Saulowi.

— *Danke*, *danke*[98]! — mówiła z uśmiechem wdzięczności na ustach.

— *Danke*! — powtórzyła za nią większość obecnych, a kupcowa z Wilna, Witebski i parę innych obcych rodzinie osób rzekli półgłosem:

— *A kługer mensz*! *Erłycher mensz*[99]!...

Miłość i cześć synowska okazana przez Saula, a także obrazowe opowiadanie jego o macierzyńskich zmarszczkach mile wzruszyły tu wszystkie serca i wyobraźnie.

Młody Leopold tylko, który dotąd albo siedział milczący i chmurny, albo półgłosem do Mery po francusku przemawiał, powstał z miejsca swego i zbliżył się ku oknu, przy którym stał Meir. Wkoło kanapy rozpoczęła się znowu ożywiona rozmowa zagajona wyrażonym przez panią Hanę ubolewaniem, że była to sobota i że fortepianu tu nie było, że zatem córka jej nie może zagrać takich pięknych melodii, że od nich roztapia się jej serce, a przed oczami staje ogród botaniczny wileński, grająca w nim orkiestra i rozmaite inne rzeczy należące do utraconego przez nią raju cywilizacji.

Dwaj młodzi ludzie pozostali w odosobnieniu zupełnym, rozmowy ich usłyszeć nikt nie mógł. Zdawało się, że Leopold nie miał zrazu zamiaru przemówienia do Meira. Oddalił się on od towarzystwa w innym wcale celu, w celu, który zdradzała wydobyta z kieszeni kamizelki srebrna cygarnica. Ale Meir, gdy tylko zobaczył go zmierzającego ku sobie, postąpił parę kroków naprzód. Twarz jego zajaśniała radością.

— Jestem Meir, wnuk Saula — rzekł, podając gościowi rękę. — Chcę bardzo ciebie poznać, ażeby wiele rzeczy tobie powiedzieć i od ciebie posłyszeć...

Leopold ukłonił się wykwintnie, lecz ceremonialnie i zaledwie dotknął otwartej, ciepłej dłoni rówieśnika. Smutek mignął w rozjaśnionych radością oczach Meira.

— Ty nie bardzo chcesz mię poznać — rzekł — i ja temu nie dziwię się. Ty jesteś edukowanym, nauki wszystkie posiadasz, a ja prosty Żyd, który *Biblię* i *Talmud* zna dobrze, ale więcej nic. Jednak ty mię posłuchaj! Ja wiele różnych myśli w mojej głowie noszę, ale tylko one jeszcze w nieporządku są. Może ty mi powiesz co takiego, co mię mądrym zrobi!

Leopold słuchał mowy tej, drżącej naprzód łagodną pokorą, a potem zapałem młodzieńczym, z ciekawością, w której był też odcień szyderstwa.

— I owszem! — rzekł. — Jeżeli pan chce dowiedzieć się czego ode mnie, to ja panu powiem! Czemu nie? Ja wiele mogę powiedzieć!

— Leopold! Ty nie nazywaj mnie panem. Mnie to przykro, bo ja ciebie bardzo kocham...

Leopolda zdziwiło widocznie naiwne to oświadczenie.

— Mnie to bardzo miło — wymówił — ale my pierwszy raz widzimy się z sobą!

— To nic! — zawołał Meir. — Ale ja dawno już chciałem zobaczyć takiego Izraelitę, jak ty jesteś... i powiedzieć jemu, jak rabbi Eliezer powiedział jerozolimskiemu mędrcowi: „Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim nauczycielem!".

Tym razem zdziwienie wyraźnie już bardzo odmalowało się na twarzy młodego światowca i wyraźniejszym stał się towarzyszący mu odcień szyderstwa. Widać było, że nic

[97] *herst* (jid.) — słyszysz, słuchaj.
[98] *danke* (jid.) — dziękuję.
[99] *a kluger mensz, erlycher mensz* (jid.) — mądry człowiek, uczciwy człowiek.

a nic nie rozumiał sensu mowy młodzieńca i że wydawał się on mu wpółdzikim człowiekiem.

Meir w zapale swym nie spostrzegł wywieranego przez się wrażenia.

— Leopold! — zaczął. — Wiele ty lat uczyłeś się w cudzej szkole?

— W jakiej cudzej szkole? — zapytał Leopold.

— Nu, w tej szkole, w której różnych nieżydowskich nauk ludzie uczą się?

Leopold zrozumiał. Przymrużył oczy, wydął usta i odpowiedział:

— No! Ja do gimnazjum przez pięć lat chodził!

— Pięć lat! — zawołał Meir. — To ty bardzo uczonym jesteś, kiedy tak długo do tej szkoły chodziłeś!

— No — z pobłażliwym uśmiechem odparł gość — są na świecie ludzie i uczeńsi jeszcze ode mnie!

Meir przybliżał się coraz do towarzysza i oczy jego coraz goręcej błyszczały.

— A czego tam uczą w tej szkole? — zapytał.

— Różnych rzeczy!

— A jakie to są te różne rzeczy?

Leopold z ironicznym nieco uśmiechem na ustach z wolna recytować zaczął:

— No! Różnych rzeczy tam uczą! Języka łacińskiego, greckiego, francuskiego, matematyki, zoologii, fizyki, historii…

Przerwał mu żywo Meir:

— I ty wszystkie te nauki znasz?

— A jakże! — odpowiedział gość.

— A co ty teraz z tego robisz?

Pytanie to, wymówione z ciekawością nadzwyczajną, wprawiło w osłupienie ładnego chłopca.

— Jak to: co robię? — zapytał.

— Nu, ja chcę wiedzieć, jakimi myślami nauki te napełniły twoją głowę i co ty z myślami swymi na świecie robisz?

— No! Jak to: co ja robię? Ja urzędnikiem jestem, w kancelarii samego gubernatora ważne bardzo papiery przepisuję.

Meir pomyślał chwilę.

— To nic, że ty w kancelarii papiery przepisujesz, ja nie o tym chciał wiedzieć. Ty to dla zarobku robisz. Każdy człowiek zarabiać musi. Ale ja chciałem wiedzieć: co ty sobie myślisz, jak czasem sam jeden zostaniesz się, i co tobie te myśli twoje robić na świecie każą?

Leopold szeroko otworzył oczy.

— No! — zawołał zniecierpliwiony. — O czym ja mam myśleć? Ot, jak powrócę z biura, to siedzę sobie w domu, papierosa palę i myślę, że jak ożenię się i posag wezmę, a ojciec mi odda to, co mi od niego należy się, kamienicę sobie kupię, na dole w kamienicy piękne sklepy urządzę, pierwsze piętro bogatym jakim ludziom w arendę puszczę, a sam na drugim mieszkać będę. Teraz nawet sprzedają tam jedną kamienicę bardzo piękną i ja bym ją chciał sobie kupić. Ona ze dwa tysiące rubli na rok dochodu da i oficyny są przy niej dobre…

Tym razem przyszła na Meira kolej dziwienia się.

— I ty, Leopold, o niczym więcej nie myślisz, tylko o tej kamienicy? — zapytał.

— No, a o czym ja mam myśleć? U mnie, dziękować Bogu, kłopotów żadnych na głowie nie ma. Mieszkanie i stół u rodziców mam, a na ubranie się wystarcza mi ta pensja, co ją w kancelarii biorę.

Meir utkwił wzrok w ziemi. Na czole jego zarysowała się zmarszczka, jak zwykle u niego bywało, gdy uczuwał się czymś przykro dotkniętym.

— Słuchaj, Leopold — rzekł po chwili głębokiego namysłu — czy tam u was, w wielkim mieście, nie ma wcale biednych i ciemnych Żydów?

Leopold zaśmiał się.

— A gdzie ich nie ma? Jest ich i tam bardzo dużo!

— A co ty sobie myślisz, kiedy na nich patrzysz? — gwałtownie zapytał Meir.

— Co ja mam myśleć? Myślę, że oni bardzo głupi i brudni są.

— I ty patrząc na nich o niczym więcej nie myślisz? — powtórzył Meir, ale szeptem już prawie. Ciężar jakiś bolący spadł mu znać na serce.

Leopold otworzył cygarnicę i wydobywać z niej zaczął papierosa. Meir w zamyśleniu swym nie zwrócił na to uwagi.

— Leopold! — zaczął po chwili z rozbudzoną na nowo energią. — Ty tej kamienicy w wielkim mieście nie kupuj!

— A dlaczego ja jej kupować nie mam?

— Ja tobie powiem, dlaczego. Tobie siostrę moją stryjeczną, Lijkę, przyrzekli. To dobra i rozumna dziewczyna. Ona edukacji żadnej nie ma, ale chciała zawsze ją mieć i bardzo ucieszyła się, jak jej powiedzieli, że ona edukowanego męża będzie miała. Ty z nią ożenisz się, a jak ożenisz się, to poproś wielkich urzędników, żeby tobie w Szybowie pozwolili szkołę dla Żydów urządzić, taką szkołę, w której by nie tylko *Tory*[100] i *Talmudu*, ale i innych, cudzych nauk uczyli... Ty sam nad tą szkołą całą zarząd będziesz trzymał, a mnie nauczysz, jak ja tobie pomagać mam...

Leopold śmiał się, ale Meir, cały rozpromieniony radością, jaką sprawiał mu pomysł własny, nie spostrzegał tego. Pochylił się bardziej jeszcze ku towarzyszowi i na ucho mu prawie szeptał:

— Ja tobie powiem, Leopold! U nas w Szybowie wielka ciemnota panuje i jest wielu bardzo biednych ludzi, co w wielkiej nędzy żyją. Ale są tutaj i tacy ludzie, oni wszyscy młodzi, którym bardzo smutno, że oni innego świata i innych nauk nie znają. Oni bardzo chcieliby je poznać, ale nie ma nikogo, kto by pomógł duszom ich z ciemnicy powychodzić. I jest tu jeden wielki rabin, Izaak Todros, bardzo srogi, którego wszyscy lękają się, i są tu kahalni urzędnicy, którzy biedny naród bardzo uciskają... Żeby ty tu przyjechał i innych edukowanych ludzi ze sobą przywiózł, i razem z nimi dopomógł nam wszystkim wyjść z ciemnoty, biedy i smutku!

Mówił to wszystko z nadzwyczajnym zapałem, z tryumfującym czołem i gorącą prostą w głosie. Lecz nic dorównać by nie mogło zdziwieniu i zarazem szyderstwu, z jakim mowy jego słuchał młody Leopold. Wydobywał on teraz ze srebrnego pudełeczka zapałkę i twarz pochylił nieco, aby nie ukazać wstrząsających nią uśmiechów.

— Nu — rzekł Meir — co ty sobie myślisz o tym, co ja powiedziałem? Czy to dobry projekt?

Leopold dotknął ściany końcem zapałki i odpowiedział:

— Ja myślę sobie, że jak ja o twoim projekcie powiem mojej familii i moim kolegom w biurze, to oni z niego bardzo będą śmiać się...

Iskrzące się przedtem oczy Meira zgasły nagle.

— Z czego tu śmiać się? — szepnął.

W tejże chwili Leopold zapalił trzymany w ręku papieros. Błękitny, wonny dymek rozszedł się po izbie i zaleciał ku miejscu, w którym liczne towarzystwo obsiadywało stół przed żółtą kanapą. Rafał i Abram popodnosili głowy ze zdziwieniem i obejrzeli się. Spojrzał też w stronę okna stary Saul i przypodniósł się nieco z kanapy.

— Bardzo przepraszam — rzekł grzecznie, ale stanowczo — ja nie pozwalam, żeby w moim domu ludzie robili to, czego nie pozwala święty nasz Zakon!

Rzekłszy to, usiadł znowu, patrząc jednak na Leopolda spod siwych brwi, które zjeżyły się nieco.

Leopold zarumienił się do szkarłatu, rzucił papieros na ziemię i z tłumionym gniewem zgasił go nogą.

— No! Jaka tu u was grzeczność! — rzekł do Meira.

— A na co ty, Leopold, w sabat papierosy palisz?

— A ty nie palisz? — z ironią i niedowierzaniem patrząc w oczy towarzyszowi zapytał gość.

— Nie palę — stanowczo odparł Meir.

— To ty chcesz dusze ludzkie z ciemnicy wyprowadzać, a wierzysz, że nie palić tytoniu w sabat to święty Zakon?

---

[100] *Tora* (hebr.: nauka, prawo) — *Pięcioksiąg*; pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zw. też księgami Mojżeszowymi, lecz nazwa ta nie wskazuje bynajmniej autora tych ksiąg, lecz tylko stwierdza, że podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe (stąd hebr. nazwa *Księga Prawa*); *Pięcioksiąg* opisuje, jak powstało to prawo, ilustruje wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne genezę i rozwój prawa.

— Nie, ja w to dawno przestałem wierzyć! — równie stanowczo jak pierwej odparł Meir.

— To ty chcesz buntować ludzi przeciw wielkiemu rabinowi i kahalnym, a sam ustępujesz?...

Oczy Meira zaświeciły znowu, ale tym razem gniewnie jakoś i jakby szydersko[101].

— Żeby szło o to — zaczął — aby jaką duszę ludzką od ciemnoty albo jakie ciało ludzkie od nędzy wybawić, ja bym nie ustępował, bo to ważne rzeczy są... ale kiedy idzie o to, czy ustom moim przyjemność zrobić, ja ustępuję, bo to głupstwo jest... a choć ja nie wierzę, aby Zakon ten świętym był i od samego Pana Boga pochodził, ale starsi w to wierzą, a mnie się zdaje, że kto starszym sprzeciwia się dla głupstwa, ten wielką niegrzeczność robi!

Leopold, wysłuchawszy przemówienia tego, odwrócił się od Meira i poszedł ku siedzącej wciąż na brzeżku krzesła Merze. Meir wiódł jeszcze za nim przez chwilę wzrokiem, w którym malowały się uczucia zawodu i gniewu, potem odszedł od okna i szybko izbę opuścił.

Nagłe to oddalenie się młodego człowieka wywarło silne wrażenie na kobiecej części towarzystwa. Mężczyźni zaledwie zwrócili na nie uwagę, tak im się to naturalnym, a po części i chwalebnym wydawało, że narzeczony przez skromność i zawstydzenie unikał widoku wybranej dla siebie przez starszych oblubienicy. Ale kupcowa z Wilna i pani Hana zasępiły się widocznie, a Mera pociągnęła matkę za suknię i szepnęła:

— *Maman*! Idźmy już do domu!

Meir tymczasem szybko zmierzał ku mieszkaniu przyjaciela swego, Eliezera, lecz zajrzał tylko przez otwarte okno niskiej budowy i poszedł dalej, bo izdebka kantora była pustą. Wiedział znać, gdzie szukać towarzyszy swych. Zdążał prosto ku znajdującej się za miasteczkiem łące.

Jak przed kilku tygodniami łąka ta, prawdziwa tu oaza ciszy i świeżości, kąpała się cała w różowych blaskach zachodu. Porastające ją bujne trawy nie posiadały już wprawdzie wiosennej, szmaragdowej barwy, bo zwarzyły je nieco letnie upały. W zamian rozkwitały pośród nich puszyste kępy albo wysmukłe kielichy dzikich kwiatów napełniających powietrze mocnymi woniami.

U stóp gaju, pod gęsto rosnącymi brzozami siedziała i wpół leżała na trawie gromadka ludzi złożona z dorosłych już, lecz jeszcze bardzo młodych mężczyzn. Jedni z nich, pochyleni ku sobie, rozmawiali półgłosem, inni machinalnie rwali wzrastające dokoła nich rośliny i układali z nich barwiste więzie[102], inni jeszcze, z twarzami zwróconymi ku błękitnym obłokom, po których mknęły złotawe chmury, nucili z cicha.

Opodal nieco, przy sadzawce, której brzegi zwieńczone były teraz gęstymi kępami niezapominajek, a powierzchnię pokrywały długie liście i szerokie kwiaty wodnych roślin, siedziała w nieruchomej postawie wysmukła dziewczyna z ciemną, chudą twarzą, z ogromnymi, czarnymi oczami i koralowym naszyjnikiem opadającym na grubą koszulę. Obok niej, wśród kalinowych krzaków obciążonych gronami pąsowych jagód, pasła się biała koza, skubiąc tu i ówdzie trawę i liście.

Meir szybko zdążał ku gromadce młodych ludzi czerniejącej u stóp gaju. Widać było, że oni także oczekiwali przybycia jego z niejaką niecierpliwością, bo ci z nich, którzy leżeli na trawie, spostrzegłszy go, przypodnieśli się i usiedli z wlepionymi w twarz jego oczami.

Wszedł pomiędzy towarzyszy swych, nie witając ich ani jednym słowem, nie patrząc prawie na nich i usiadł na obalonym burzą grubym pniu brzozowym. Smutnym wydawał się, ale bardziej jeszcze gniewnym. Młodzi ludzie milczeli i patrzali na niego z niejakim zdziwieniem. Eliezer, który leżał na trawie z ramieniem wspartym o kłodę, na której usiadł Meir, pierwszy zapytał:

— Nu, a co? Widziałeś jego?

— Widziałeś jego? — powtórzyło teraz chórem kilka głosów. — Jaki on jest? Czy on bardzo uczony i rozumny?

Meir podniósł twarz i z uniesieniem zawołał:

— On uczony jest, ale... bardzo głupi!

---

[101] *szydersko* (daw.) — dziś: szyderczo.

[102] *więź* — tu: wiązanka; bukiet.

Wykrzyk ten obudził pośród młodych ludzi najwyższe zdziwienie. Po dość długim dopiero milczeniu Ariel, syn wspaniałego morejne Kalmana, wymówił z namysłem:

— A jak to może być, żeby człowiek uczonym był i razem głupim?

— A skąd ja mogę wiedzieć, jakim sposobem to może być? — odpowiedział Meir i oczy jego roztworzyły się szeroko, jakby spoglądał on w niezgłębioną dlań jakąś a straszną przepaścistość.

Wnet potem zawiązała się rozmowa złożona z nadzwyczajnie szybko następujących po sobie pytań i odpowiedzi.

— Co on tobie mówił?

— On mnie same tylko głupie i złe rzeczy mówił!

— Dlaczego ty nie pytałeś się go o rzeczy rozumne?

— Ja pytałem się, ale on nie rozumiał nawet, czego ja od niego chcę!

— A czy on tobie nie powiedział, o czym on myśli?

— On powiedział, że myśli o tym, żeby kupić sobie piękną kamienicę, co jemu dwa tysiące rubli dochodu dawać będzie!

— O kamienicy on może sobie myśleć, ale o czym on więcej myśli?

— On powiedział, że o niczym więcej nie myśli!

— A co on tam na świecie robi?

— On w kancelarii papiery przepisuje, a jak powróci z kancelarii, papierosy pali i o kamienicy myśli.

— A co on o tych Żydach myśli, którzy edukacji takiej, jak on, nie odebrali i w wielkiej ciemności albo w wielkiej nędzy żyją?

— On o nich myśli, że to głupi i brudny naród jest!

— A co on tobie mówił, jak ty jemu opowiedziałeś o nas wszystkich, co chcemy dusze nasze z ciemnicy wybawić, a nie możemy?

— On mówił, że jak o tym swojej familii i swoim kolegom opowie, oni będą bardzo śmiać się!

— A z czego tu śmiać się? — zapytali chórem młodzi ludzie.

Potem nastąpiło długie milczenie, aż ze wszystkich razem piersi wybuchnął nagły i namiętny wykrzyk:

— *A szlechter mensz*! (o! zły człowiek).

Po chwili stryjeczny brat Meira, Chaim, syn Abrama wymówił:

— Meir! To ta edukacja i nauka, której my bardzo chcemy, złą chyba jest, kiedy ona ludzi złymi i głupimi robi?

A dwaj czy trzej inni młodzieńcy jednogłośnie zawołali:

— Meir! Wytłumacz ty nam to!

Meir spojrzał po twarzach towarzyszy mętnym wzrokiem i opuszczając bladą twarz na obie dłonie, odpowiedział:

— Ja już nic nie wiem!

W krótkiej odpowiedzi tej ozwało się głębokie, stłumione łkanie. Ale w tej chwili podniosła się w górę biała ręka kantora i odciągnęła od zmartwionej twarzy przyjaciela ukrywające ją dłonie jego.

— Niech serca wasze w wielki smutek nie zapadają! — wymówił Eliezer. — Ja zaraz poproszę mistrza naszego, ażeby on na pytania wasze ustami mymi odpowiedział.

Mówiąc to podniósł z ziemi wielką księgę starannie w zaroślach gaju ukrytą i z tryumfującym uśmiechem na łagodnych ustach ukazał towarzyszom pierwszą jej kartę. Na karcie tej wielkimi literami wydrukowane było imię i nazwisko Mojżesza Majmonidesa.

Młodzi ludzie, przedstawiający teraz ściśle zbliżoną ku sobie gromadkę, wyprostowali postawy swe, a na twarzach ich rozlał się wyraz uroczystej uwagi. Mędrzec izraelski przemówić do nich miał ustami ukochanego ich piewcy! Mistrz to był stary, zapomniany przez jednych, przez innych wyklęty, lecz dla nich święty i drogi, bo dotąd jedyny. Odkąd duch mistrza tego, w postaci kilku ksiąg grubych przywiezionych tu przez wracającego z dalekich światów Eliezera, wionął nad ich głowami, uczuli oni nieznany im dawniej wir myśli i bunt uczuć; smucić się, tęsknić i pragnąć zaczęli. A jednak za smutek i tęsknotę wdzięczni mu byli, a w strapieniach i wątpliwościach swych biegli ku niemu. Niestety! Nie na wszystkie zapytania i skargi ich miał on odpowiedź i pociechę! Wieki upłynęły, czasy zmieniły się, długi łańcuch nowych coraz i coraz nowe prawdy niosących geniuszów

nad światem pociągnął. Ale oni o żadnych innych geniuszach, prócz tego jednego, nie wiedzieli nic, a teraz, gdy otworzono przed nimi wielką księgę, gotowali się z radością i uroczystym nastrojem do przyjęcia w piersi swe oddechu starej jego mądrości.

Eliezer jednak nie zaraz czytać zaczął. Przewracał on karty książki, szukając ustępu stosownego do okoliczności.

Tymczasem dziewczyna siedząca dotąd u brzegu sadzawki powstała spośród niezapominajek i kalin i brzegiem gaju, z wolna i cicho, przesuwała się ku gromadce młodych ludzi. Z dala już widzieć można było, jak czarne, ogromne jej oczy tkwiły nieruchomo w twarzy Meira. Zdawać się mogło, że dostrzegła ona z dala rozpaczny ruch, którym zakrył on sobie twarz dłońmi, i że pociągnęła ją wtedy ku niemu nieprzezwyciężona siła pociągu. Biała koza szła tuż za nią. Zniknęły obie na chwilę w zaroślach gaju, po czym wśród uplotów gałęzi brzozowych zjawiła się i o parę kroków za Meirem stanęła Gołda. Przyszła tak cicho, że nikt jej nie spostrzegł; ramieniem otoczyła cienki pień brzozy i głowę opierając na kołyszącej się lekko gałęzi, wzrokiem objęła pochyloną nieco głowę Meira. Innych obecnych tam ludzi zdawała się nie widzieć.

W tejże chwili dźwięcznym, czystym jak kryształ głosem Eliezer zawołał:

— Słuchaj, Izraelu!

Słowami tymi zaczyna się wiele świętych psalmów i każde pobożne czytanie Izraelitów. Dla młodzieńców otaczających Eliezera słuchanie słów starego mistrza psalmem czci i głęboką modlitwą ducha być miało.

Eliezer śpiewnym i kołyszącym się nieco głosem czytać zaczął:

„Uczniowie moi! Zapytujecie mię, jaka siła pociąga w górę świetliste istoty niebieskie, które zowiemy gwiazdami, i dlaczego jedne z nich podnoszą się tak wysoko, że giną w mlecznych mgłach, a drugie ciężko płyną pod niebo i zostają daleko za siostrami swymi.

Odkryję przed wami tajemnicę, której ciekawi jesteście.

Siłą pociągającą w górę świetliste ciała niebieskie jest Doskonałość, która mieszka na wysokościach najwyższych, a która w języku ludzkim ma imię Bóg. Gwiazdy zdjęte dla Doskonałości miłością i tęsknotą podnoszą się wciąż w górę, aby dostąpić większej jej bliskości, a z Mądrości jej i Dobroci coś dla siebie wziąć. Płyną one po przestrzeni przez wieki wieków i te z nich, które najwięcej rozkochane są w Doskonałości, zapłynęły już najwyżej, a te, co z cięższej materii złożone mniej pragną przyjąć w siebie cząstkę boskiej światłości, zostały daleko za siostrami swymi…

Uczniowie moi! Od tych istot świetlistych, które najwięcej tęsknią i pragną, i najbliżej Doskonałości są, pochodzą wszystkie zmiany, które stają się na podksiężycowym świecie… One to sprawiają przechodzenie i powstawanie, z nich rodzą się kształty i obrazy rzeczy…”.

Umilkł Eliezer i podniósł twarz znad książki. Turkusowe oczy jego promieniały radością.

Młodzi ludzie jednak milczeli i myśleli długo, usiłując dopatrzyć w przeczytanym im ustępie mędrca rozstrzygnięcia dręczących ich wątpliwości. Meir pierwszy zawołał:

— Eliezer! Ja zrozumiałem!

— Wytłumacz nam! — zawołali chórem młodzieńcy.

Meir z rozwagą odpowiedział:

— Są ludzie, co jak świetliste istoty niebieskie, o których pisze mędrzec, podnoszą dusze swoje w górę z tęsknoty za Doskonałością. Oni wiedzą o tym, że Doskonałość jest, i pragną z mądrości i dobroci jej wziąć coś w siebie. Ale są i tacy ludzie, co jak te gwiazdy z cięższej materii złożone, o których pisze mędrzec, nie kochają Doskonałości i nie pną się pod górę z tęsknoty za nią. Tacy ludzie trzymają duchy swoje bardzo nisko…

Zrozumieli teraz wszyscy. Radość promieniała na wszystkich twarzach. Tak drobnej, drobnej okruchy wiedzy i prawdy trzeba było, aby rozradować duchy te ubogie, a przecież tak bogate! Meir pochwycił z rąk przyjaciela dobrze znać znaną sobie książkę i na innej karcie jej przeczytał jeszcze:

„Aniołowie sami równi sobie nie są. Stoją oni jeden nad drugim jak na szczeblach drabiny, a najwyższym z nich jest Duch wydający z siebie myśl i poznanie. Ten Duch jest ożywiającym Rozumem, a *Hagada* nazywa go książęciem świata! (Sar-ha-Olam)”.

— Najwyższym aniołem jest Duch wydający z siebie myśl i poznanie, a *Hagada* nazywa go „książęciem świata” — powtórzył za Meirem chór głosów młodzieńczych, dźwięcznych, świeżych, a jednak tęsknych.

Wątpliwości ich rozproszonymi zostały. *Poznanie* odzyskało znowu cześć w ich umysłach, obudziło tęsknotę w sercach, a przed oczami przesunęło się w postaci anioła nad aniołami lecącego nad światem w purpurze książęcej, ze świetlistą obsłoną wyłonionych przez się myśli.

Zaduma legła na czołach i w oczach młodzieńców. Zadumą cichego wieczora oblekała się wkoło nich kwiecista łąka i leżąca za nią żółta równina. Przed nimi stanęły nad dalekim lasem szkarłatne chmury, za które skryła się tarcza słoneczna, za nimi gaj zielony drzemał nieruchomo i w mroczny cień zapadał.

Po łące i dalekich polach popłynął srebrzysty, przeciągły głos Eliezera.

— „We śnie ujrzałem ducha ludu mego!" — śpiewać zaczął biały piewca Jehowy.

A pieśń to była nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć jak powstała. Kto utworzył ją? Nikt powiedzieć by nie potrafił. Wiersz jej pierwszy podał podobno przyjaciołom swym Eliezer po jednym ze snów swych tajemniczych i ekstatycznych, które nawiedzały go często, drugi dorobił Ariel, syn Kalmana, wtedy gdy w cienistym gaju samotnie grał na skrzypcach. Były w niej i takie, które wybuchnęły z piersi Meira, i inne, które nieśmiało wyszeptał dziecięcymi prawie usty Chaim, syn Abrama.

Tak powstają wszystkie pieśni ludowe. Rodowodem ich — serca tęskniące, myśli uciśnione, instynktowe rwania się ku lepszemu życiu.

Tak powstała i w Szybowie pieśń, którą teraz śpiewać zaczął kantor:

We śnie ujrzałem ducha ludu mego!
Czy miał on na ramionach purpurową szatę?
Czy po świecie nosiły go wozy bogate?...

Tu z głosem piewcy połączyły się głosy inne, a po łąkach i polu rozległ się potężny chór odpowiedzi:

W prochu dróg kamienistych były stopy jego!
I prochem siwa głowa była osypana!
I łachmany słoniły mu chude kolana,
Które drżały!

W tym miejscu w chór śpiewających głosów młodzieńczych wmieszał się szept wychodzący z brzozowych zarośli:

— Szaa! Tu są ludzie, co was słuchają!

W istocie na drodze gaj przerzynającej czerniało w zmroku kilka postaci męskich, bardzo powoli postępujących ku łące. Ale śpiewacy nie słyszeli ani przestrogi Gołdy, ani szmeru nadchodzących kroków.

Druga strofa pieśni rozbrzmiewała po łące:

Och! smutny, biedny duchu ludu mego!
Czy na los twój zamknięte oko Pana twego?
Gdzie rozwiała się wielka pyszność twego tronu?
Czy na wieki powiędły już róże Syjonu?
Czy złamały się na wskroś już cedry Libanu?
Czy nie zabrzmi nigdy na podziękę Panu
Chóralny Twój śpiew?

Ostatni wiersz pieśni brzmiał jeszcze, gdy z drogi gaj przerzynającej weszli na łąkę trzej mężczyźni. Mieli oni na sobie odświętne czarne, długie ubrania, a przepasani byli kolorowymi chustkami, które w dzień sabatu noszone zwykłym sposobem być nie mogą, ale opasując odzież część jej stanowią i grzechu nie czynią.

Pośrodku szedł ojciec kantora, Jankiel Kamionker, po obu stronach jego postępowali Abram Ezofowicz, ojciec Chaima, i morejne Kalman, ojciec Ariela.

Pomimo zmroku przy ostatnich światłach dnia ojcowie poznali synów swych, a synowie ojców. Głosy młodzieńców zadrżały, przycichły i z kolei milkły, aż umilkło całe grono śpiewaków i jeden tylko głos nie umilkł, lecz śpiewał dalej sam jeden:

Czy nie wyjdziesz już nigdy z głębokich ciemności,
Czy nie zadrżą w mogiłach ojców twoich kości
Z dumy i rozradowania?

Był to głos Meira.

Poważni mężowie przebywający łąkę stanęli i obrócili się twarzami ku skupionej w gaju gromadce młodzieńców, a w tejże chwili z samotnym głosem męskim połączył się głos kobiecy, czysty, donośny głos Gołdy, która ujrzawszy rozgniewane postacie mężów stojących śród łąki zawtórowała Meirowi, tak jakby chciała połączyć się z nim we wspólnej odwadze i we wspólnym może — niebezpieczeństwie.

I nie zważając na milczenie towarzyszy ani na groźne, ciemne postacie śród łąki stojące, dwa połączone ze sobą głosy te śpiewały dalej:

Niech nogi twe spoczną, niech rany się zgoją,
Niech blaski świetliste ze zdroju mądrości
Ukoją twe bóle, nędze i ciemności!
Niech zabrzmi dla ciebie róg zmartwychwstania!
Niechaj z kajdan uwolni smutną duszę twoją
Anioł poznania!

Pieśń miała tylko trzy te strofy. Umilkły więc z ostatnim jej wierszem śpiewające je głosy: męski i kobiecy.

Dostojnicy gminy stojący dotąd śród łąki zwrócili się ku miasteczku i głośno, gniewnie rozmawiając ze sobą dążyli ku domowi Ezofowiczów.

*

Abram, syn Saula, różnił się wielce ze starszym bratem swoim, Rafałem. O ile wysoki, czarnowłosy, piękny jeszcze mimo swych lat pięćdziesięciu kilku Rafał poważnym był, rozważnym i małomównym, o tyle niski, przygarbiony, z popielatymi od siwizny włosami Abram zapalczywym wydawał się, wrażliwym i namiętnym. Mowa jego była prędką, gesta[103] posiadały gwałtowność namiętnej natury, wzrok iskrzył się i ponuro najczęściej spuszczał się ku ziemi.

Obaj bracia byli uczeni i uczonością swą zdobyli sobie od dawna wysoko cenioną w gminie godność morejnowską. Ale Rafał studiował przede wszystkim *Talmud* i uchodził za jednego z największych znawców jego, Abram zaś przekładał mistyczne zaciekania się w przepaściste tajemnice *Zoharu*. Rafał posiadał w daleko wyższym stopniu niż brat jego szacunek i zaufanie innowierców, z którymi wiódł interesy liczne, Abram za to cieszył się żywszą sympatią ludności szybowskiej, większą łaską rabina i ściślejszą przyjaźnią z dostojnikami, więc z mędrcami i bogaczami gminy.

Najściślejsza przyjaźń łączyła go z dwoma wysokimi urzędnikami kahału; morejne Kalmanem i pobożnym Jankiem Kamionkerem. Poza miasteczkiem trzej ci mężowie wspólnikami byli w wielu handlowych sprawach, takich jak kupna, sprzedaże, dzierżawy; w miasteczku, w dniach odpoczynku schodzili się ze sobą często na wspólne nabożne czytania i rozmyślania, a każdej soboty odbywali razem przechadzki zamiejskie, o tyle dalekie, o ile pozwolonym jest prawemu Izraelicie oddalać się w dzień ten od ścian mieszkania swego. Nigdy więc nikt nie widział, aby oddalili się oni od mieszkań swych więcej niż o dwa tysiące kroków i czasem tylko, kiedy głębie cienistego gaju wabiły zbyt ponętnie czoła ich spalone skwarem i osypane kurzawą napełniającą miasteczko, pochylali się oni ku ziemi i na miejscu tym, na którym stopa ich stanęła po raz dwutysięczny, zakopywali mały okrawek chleba. Tym sposobem miejsce chroniące w sobie okrawek domowego chleba przedstawiało już sam dom ich i wolno im było przedłużyć przechadzkę swą o drugie dwa tysiące kroków. Idąc zresztą milczeli zazwyczaj, ponieważ ze skrupulatnością nieporównaną liczyli w myśli swej czynione przez się kroki, ludzie zaś prości,

[103]*gesta* — dziś: gesty.

ubodzy na ciele i duchu, widując ich idących tak z wolna w milczeniu i z zamyślonymi twarzami, dziwowali się wielce mądrości i uwielbiali prawowierność uczonych swych i bogaczy, podnosili się z miejsc swych na widok ich i nie siadali póty, dopóki nie tracili z oczu poważnie sunących się ich postaci, albowiem napisane jest: „Kiedy zobaczysz przechodzącego mędrca, powstawaj i nie siadaj dopóty, dopóki nie zniknie on z twych oczu".

Przy powrocie jednak z przechadzek rozwiązywały się języki trzech dostojników. Nie potrzebowali już oni zwracać pilnej uwagi na każde stąpnienie nóg własnych, toczyli więc rozmowy poufne i ożywione, w których przecież Kamionker przyjmował udział największy, a Kalman najmniejszy; pierwszy bowiem najgadatliwszym był, a drugi najbardziej milczącym spomiędzy wszystkich mędrców, którym przyświecało kiedy boże słońce. Kalman uśmiechał się zawsze pulchnymi usty i wydawał się wzorem łagodności, jak też doskonałego zadowolenia z całego świata i przede wszystkim z samego siebie; Kamionker, przeciwnie, nie śmiał się nigdy prawie, miał pozór człowieka wiecznie czymś zgryzionego, a małe oczy jego miewały czasem błyski dzikiej srogości.

Nigdy przecież mieszkańcy nędznych uliczek położonych u skraju miasteczka nie widzieli trzech poważnych i poważanych mężów idących tak śpiesznie i rozmawiających tak gwarnie, jak wieczoru tego, w którym po zielonej łące i żółtej równinie rozbrzmiewały echa chóralnej pieśni młodzieńczej. Sam nawet wspaniały Kalman odzywał się od czasu do czasu, niezmienny uśmiech swój utracił i jedną rękę z kieszeni wydobył. Co się tyczy Jankla Kamionkera, ten tak gwałtownych ruchów dokonywał idąc, że aż poły długiej odzieży jego rozwiewały się na obie strony na kształt czarnych, łopocących skrzydeł. A Abram Ezofowicz chustkę, którą opasany był, rozwiązał i w ręku nieść ją zaczął. Oznakę tę bezprzytomnego prawie uniesienia spostrzegł wspaniały Kalman i wnet cichymi słowy przestrzegł przyjaciela przed popełnianym w nieuwadze grzechem. Abram umilkł nagle, bo strasznie przeraził się własnym czynem, i z pośpiechem wielkim biodra swoje na nowo chustką przepasał.

Stało się to już na ganku domostwa Ezofowiczów. W ciemnym, wąskim korytarzu zaszumiały szybkie kroki i gwałtownie rozwiewające się poły sukien. Trzej mężowie weszli do izby, w której stary Saul siedział jeszcze na żółtej kanapie, czytając wielką księgę jakąś przy świetle dwóch świec palących się w ciężkich, staroświeckich, srebrnych lichtarzach. Ujrzawszy wchodzących gości, zdziwił się nieco, pora była bowiem spóźniona i do odwiedzin niewłaściwa. Powitał ich przecież przyjaznym skinieniem głowy i wskazał ręką krzesła przy kanapie stojące. Przybyli dostojnicy nie zajęli miejsc im wskazanych, lecz stanęli wszyscy trzej przed Saulem. Jakkolwiek twarze ich gniew rozogniał, postawy ich uroczystymi były. Ułożyli się znać ze sobą o sposób i porządek oskarżenia, pierwszy bowiem Kamionker głos zabrał.

— Rebe Saul! — rzekł. — My przyszliśmy tu ze skargą na wnuka twego, Meira!

Po twarzy Saula przebiegło przykre, bolesne niemal drgnienie.

— A co on złego znowu zrobił? — zapytał cichym głosem.

Kamionker zrazu uroczyście, potem zaś coraz więcej unosząc się i miotając, mówić zaczął:

— Wnuk twój, Meir, synów naszych psuje! On dusze ich buntuje przeciw nam i świętym zakonom naszym; czyta im książki wyklęte i w sabat świeckie pieśni z nimi śpiewa! Ale on nie tylko jeszcze to robi! On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma i my widzieliśmy jego teraz na łące, jak synowie nasi u nóg jego, jak u nóg mistrza jakiego leżeli, a nad głową jego karaimska dziewczyna stała i razem z nim śpiewała obrzydliwe pieśni!

Zdyszany od zapalczywego mówienia umilkł na chwilę reb Jankiel, a morejne Kalman, patrząc na Saula swymi miodowymi i nieco osowiałymi oczami, wyrzekł z wolna:

— Mój syn, Ariel, tam był i ja jego za to ukarzę!

Abram patrząc ponuro w ziemię wymówił także:

— I mój syn, a twój, tate, wnuk, Chaim, tam był i ja jego za to ukarzę!

A potem wszyscy trzej rzekli razem:

— Ukarz Meira!

Saul pochylił nisko twarz zasmuconą bardzo.

— Panie świata! — szepnął drżącymi usty. — Czy ja zasłużyłem na to, abyś światło oczu moich w ciemności zamieniał?

Potem podniósł głowę i wyrzekł stanowczym głosem:

— Ja jego ukarzę!

Abrama oczy tkwiły w twarzy ojca i iskrzyły się.

— Tate — rzekł — myśl ty najwięcej o tej karaimskiej dziewczynie. Ona Meira psuje, a on psuje naszych synów. Ta nieczysta przyjaźń, którą oni ze sobą trzymają, wstydem jest wielkim dla całej familii naszej. Ty wiesz, tate, jaki u nas obyczaj jest. Żaden z prawych Izraelitów znać nie powinien przez całe życie swoje innej kobiety jak tę, którą rodzice jego za żonę mu dadzą…

— Nie powinien! — krzyknął gwałtownie reb Jankiel, a twarz Kalmana z różowej stała się pąsową. Czystość obyczaju ludzi tych była tak wielką, że siwe włosy na głowie mając, rumienili się oni ze wstydu przy rozmowie o „nieczystej przyjaźni" mężczyzny z kobietą. Zdawało się, że nawet pomarszczone czoło Saula oblekło się bladoróżową barwą.

— Ja Meira ożenię prędko! — rzekł.

Abram odpowiedział:

— Dopóki on karaimską dziewczynę widywać będzie, dopóty on żenić się nie zechce!

— A co z nią zrobić, żeby on jej nie widywał? — z rozpaczą prawie zawołał starzec.

Trzej stojący przed nim mężowie spojrzeli wzajem na siebie.

— Z nią trzeba coś zrobić — wymówili jednogłośnie.

Po chwili długiego milczenia, myślenia i wzajemnego na siebie patrzenia dwaj goście, skłoniwszy się przed Saulem, odeszli. Abram pozostał w izbie.

— Tate! — rzekł. — A jak ty jego ukarać myślisz?

— Ja jemu każę przez cały tydzień w bet-ha-midrasz siedzieć i psalmy mówić, i *Talmud* czytać…

— Co to pomoże! — z niecierpliwym gestem rzucił Abram. — Ty, tate, każ go lepiej wybić!

Saul trzymał wciąż twarz nisko pochyloną.

— Ja jego bić nie każę! — odpowiedział po chwili milczenia.

I dodał ciszej:

— Dusza Michała przeszła w ciało ojca mego, Hersza, a dusza ojca mego, Hersza, zamieszkała w ciele Meira…

— A skąd to można wiedzieć? — zapytał Abram, tknięty jednak żywo i widocznie słowami ojca.

— Duszę tę poznała naprzód prababka jego, żona Hersza, a potem poznał ją rabbi Izaak.

Westchnął ciężko i powtórzył:

— Ja jemu każę przez cały tydzień w bet-ha-midrasz siedzieć i *Talmud* czytać! On przez cały tydzień nie będzie jadł ani spał pod dachem moim, a szames[104] (posłaniec synagogi) karę i wstyd jego po całym mieście ogłosi!…

[104]*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina.

TOM DRUGI

I

Bet-ha-midrasz był to budynek obszerny, widny i dość okazały, stojący przy synagogalnym[105] dziedzińcu, tuż obok domu modlitwy. Przeznaczenie miał on różne. Tu zgromadzano się na mniej uroczyste modły, toczono długie i zapalczywe rozprawy nad przeróżnymi punktami i wyjaśnieniami *Talmudu*; tu mieściły się księgozbiory bractw, czyli stowarzyszeń mających różne cele, a których każda izraelska gmina posiada w łonie swym znaczną ilość; tu także, w wypadkach wyjątkowych wprawdzie i wyjątkowej surowości wymagających, młodzi ludzie wykraczający przeciw religii lub obyczajom przesiadywali krótszy lub dłuższy czas pokuty, więcej zawstydzającej niż ciężkiej.

Naprzeciw ha-midraszu wznosiła się budowa inna, mniejsza nieco, lecz z tąż samą starannością wzniesiona i utrzymywana. Był to bet-ha-kahoł, czyli izba kahalna, miejsce posiedzeń i obrad czysto administracyjnych władz miejscowych. Dalej jeszcze, w skromniejszym już nieco budynku, zawierał się hek-desz, przytułek dla ubogich, do którego wszyscy głodni, zmęczeni, schronienia i spoczynku potrzebujący kołatać posiadali prawo. Naprzeciw domu modlitwy, w ciasnym, niskim domku mieścił się cheder, czyli szkoła, w której nauczał uczony i czczony reb Mosze.

Podwórze to, słowem, wraz z otoczeniem swym przedstawiało istotną stolicę małego udzielnego państewka. Wszystko tu, począwszy od czarnej chatki mędrca-ascety, przysiadłej u samej prawie świątyni, aż do widniejącej już z dala obszernej i drzewami ocienionej lecznicy, od wspaniałego domu modlitwy do niziuchnego, szczupłego chederu, odnosiło się do spraw i potrzeb publicznych, na celu je mając.

Pierwotne też pochodzenie i cele każdego z budynków tych posiadały myśl jakąś piękną i wysoką: porządku społecznego, miłosierdzia, nauki, wznoszenia ducha ku Bogu lub rozmyślania nad wysokimi rzeczami. W jaki zaś sposób wynaturzyły się niektóre z pierwotnych pojęć tych i dlaczego niektóre z celów tych pierwotnych przybrały sens i charakter wbrew sprzeczny z tymi, które nadaje im świat cały? Inna to już rzecz i pytać o nią należy historii.

Osiem dni minęło od wieczoru tego, w którym na zielonej łące marzyło, śpiewało i poufnie gwarzyło grono młodych przyjaciół. W dziewiątym dniu, około zachodu słońca, z wnętrza ha-midraszu wyszedł i na wysokim ganku jego stanął Meir. Posłuszny rozkazaniu zwierzchnika rodu swego przepędził on dnie ubiegłe w samotności zupełnej, czytając i rozważając talmudyczne księgi, które znał biegle, względem których zrodziły się w umyśle jego mnogie wątpliwości, lecz dla których czci wpojonej mu od dzieciństwa utracić całkiem nie mógł i nie utracił. Pokuta, na którą skazano go, nie była ciężką, nie przynosiła mu najlżejszych cierpień fizycznych, bo w pożywienie nawet, przynoszone mu dwa razy dziennie z rodzinnego domu, czułe i litościwe ręce kobiet wkładały najlepsze kąski. A jednak zmienionym był bardzo. Pobladł i schudł, zarazem przecież wydawał się wyższym i barczystszym. W postawie i wyrazie twarzy jego nie było już ani śladu tej dziecięcej prawie nieśmiałości, która cechowała go przed kilku jeszcze miesiącami. Rozum jego oburzał się może na niesłuszność wymierzonej nań kary; samotność, w której go pogrążono, ponowne wczytanie się w odwieczne księgi, których pełnymi były szafy otaczające ściany ha-midraszu, wytworzyły może w głowie jego wiele nowych pojęć, plącząc i wzburzając je bardziej jeszcze. Co pewna, to że gorąca bladość jego czoła zdradzała mozolną, bo bezpomocną pracę ducha, a w blasku rozpłomieniającym mu źrenice objawiało się namiętne, przemocą tłumione rozdrażnienie. Zadana pokuta chybiła celu. Zamiast uspokoić i ukorzyć burzliwego i zuchwałego młodzieńca, uczyniła go ona zuchwalszym i skłonniejszym do buntu.

Kiedy zszedł z ganku ha-midraszu i z wolna przechodzić zaczął dziedziniec szkolny, widać było, że do uczuć innych łączył się w nim jeszcze i wstyd. Na widok kilku ludzi wkraczających w bramę dziedzińca spuścił oczy i zarumienił się. Ludźmi tymi byli

[105]*synagoga* (z gr.: miejsce zebrań) — bożnica; w judaizmie miejsce modlitw, odprawiania nabożeństw, studiowania *Tory* i *Talmudu*; często również siedziba gminy żydowskiej; tu znajduje się *Aron ha-kodesz* (Arka Przymierza): rodzaj skrzyni, w której przechowywane są zwoje *Tory*, powyżej zawieszona jest lampka *Ner tamid*, symbol obecności Boga, zaś centralne miejsce zajmuje *bima*, czyli podwyższenie z pulpitem, z którego czytana jest *Tora*.

urzędnicy kahalni, którzy spiesznie dążyli ku zwykłemu miejscu obrad swoich. Ujrzawszy Meira, śmiać się zaczęli i wskazywać na niego palcami. Jeden tylko Jankiel Kamionker nie śmiał się i nie spostrzegł nawet Meira. Szedł on prędko bardzo i w pewnym od towarzyszy swych oddaleniu, a wyraz twarzy miał więcej jeszcze zgryziony i zakłopotany niż zwykle. Pośrodku dziedzińca znalazłszy się, zboczył nieco z drogi i zamiast wejść za towarzyszami swymi do ha-kahołu, przesunął się pod ścianą hek-deszu, przytułku ubogich. Przesunął się tylko pod ścianą tą, ale wystarczyło mu czasu tego, aby zamienić kilka cichych słów i tajemniczych gestów z człowiekiem jakimś, którego głowa rozczochrana i twarz nabrzmiała wychylała się przez otwarte okno hek-deszu.

Meir znał człowieka, z którym tajemniczym, krótkim szeptem zamienił się Kamionker, i zdziwił go nieco poufały stosunek dwóch tych ludzi.

„Nu! — pomyślał — co to za znajomość może być między pobożnym i bogatym reb Jankiem a takim włóczęgą i złodziejem jak furman Jochel?"

Niedługo jednak myślał o tym. Postępował z wolna i nie w stronę rodzinnego domu swego, do którego znać śpieszno mu nie było, ale w stronę małej uliczki, która dotykając szkolnego podwórza, wiodła ku polom. Pragnął znać wyjść z miasteczka i pójść na ten szeroki, widny rozłóg, który jaśniał ostatnimi blaskami dnia i szemrał z dala lecącymi nad nim świeżymi powiewy. U końca jednak podwórza przystanął. O uszy jego obił się gwar dziwny, złożony z mnóstwa głosów dziecinnych, to zniżających się do szeptu prawie, to podnoszących się do wrzaskliwego i śpiewnego zawodzenia. W głośnym tym i kołyszącym się szmerze dziecinnych głosów ozywały się tu i ówdzie piskliwe jęki i westchnienia zmęczonych jakby i udręczonych piersi, a nad nimi panował głos męski, gruby, to opowiadający niby coś lub czytający, to łający i rozgniewany.

Po ustach Meira przewinął się uśmiech szczególny. W uśmiechu tym były: ból, gniew i litość. Stał on tuż obok chederu, w którym nauczał mełamed, reb Mosze, i w którym właśnie kipiał i wrzał ów gwar niezrozumiały, chaotyczny, a posiadający w sobie coś dziwnie smutnego i grubiańskiego zarazem.

Przekornym jakby i gniewnym uczuciem pociągany ku chederowi, Meir wsparł się obu ramionami o niskie otwarte okienko i patrzył przez nie na wnętrze budynku. Wnętrze to ciasne było, ciemne, cuchnące i natłoczone. Pomiędzy niskim, czarnym sufitem, czterema ciasnymi, czarnymi również ścianami i podłogą ukrytą całkiem pod grubą warstwą śmiecia i brudu, w wilgotnym, stęchłym, ciężkim powietrzu kołysała się i wrzała chóralnym, zapalczywym mruczeniem szara masa jakaś, której istoty i składowych części niepodobna było rozróżnić przy pierwszym wejrzeniu. Po chwili zaledwie przed wzrokiem patrzącego, niby z mgły czy kurzawy, wyłaniać się zaczynały twarze i postacie dziecinne. Twarze to były różne: jedne — grube, ciemne, chorobliwie nabrzmiałe, inne — białe, drobne, delikatne i prześlicznie zarysowane; jedne — z ustami wpół idiotycznie rozwartymi i mętnym, sennym wzrokiem, inne — z oczami błyszczącymi hamowanym gniewem i wargami drgającymi od nerwowego zniecierpliwienia, inne jeszcze — blade, uważne, pokorne, cierpiące, lecz cierpliwe. Ubiory dzieci tych były różne: od dostatnich surducików znamionujących dzieci bogaczy do spencerków pozbawionych rękawów i szarych, łachmaniastych kapot nędzarzy. Było ich kilkadziesiąt w izdebce mogącej pomieścić wygodnie kilkanaście zaledwie, a wszystkie tłoczyły się i jedne na drugich niemal siedziały na ławach zbyt wąskich i wysokich, twardych, brudnych, wszerz izby ustawionych.

Chederów podobnych było w Szybowie niemało, ale żaden z nich tak licznie uczęszczanym nie był jak ten, któremu przywodził reb Mosze. Bogacze i nędzarze z równą gorliwością starali się o miejsce w nim dla dzieci swoich, albowiem reb Mosze był mełamedem nad mełamedami, ulubionym uczniem wielkiego rabina, a przy tym kabalistą biegłym i ascetą, prawdziwym chachamem, doskonałym pobożnym.

Nie należy jednak mniemać, aby reb Mosze poniżał się aż do nauczania pierwszych stopni wielkiej nauki najdrobniejsze dzieci gminy. Byłoby to marnowaniem wysokich jego zdolności, które ku czemuś wyższemu już używanymi być musiały. Wyrostki przepełniające cheder jego miały od dziesięciu do dwunastu lat wieku i od siedmiu już lat żywione były świętym chlebem nauki. W chederach innych, niższych, nauczono już ich hebrajskiego czytania i wyłożono im *Humesz* (Pięcioksiążnicę) z wielu wyjaśnieniami jej i komentarzami, teraz zaś pod przewodnictwem reb Mosza wstępowały one na trzeci stopień mądrości, którym jest nauka *Talmudu* wraz z nieprzeliczoną ilością składających go

działów, rozdziałów, poddziałów, paragrafów, punktów spornych, rozstrzygnień, wyjaśnień, komentarzy, wyjaśnień wyjaśnień i komentarzy nad komentarzami.

Było to już, jak się zdaje, dość szerokie pole dla rozwijania się rozumu i pamięci wyrostków tych, bladych, obrzękłych, zniecierpliwionych albo z pokorą cierpiących; ale reb Mosze w rzeczach religii i nauczania jej nie zwykł był przestawać na małym. Napełniając rozum i ćwicząc pamięć swych uczniów, rozbudzać on jeszcze usiłował fantazję ich przez wprowadzanie jej w zaczarowane krainy przypowieści i alegorii, których pełną jest *Hagada*, a nawet przez dawanie im do zakosztowania czegoś z wysokiej i mistycznej metafizyki *Kabały*. Opowiadania te lub czytania stanowiły rodzaj odpoczynku, którego błogość głęboko uczuwać musiały dusze słuchających ich dzieci, które zdarzały się jednak wtedy tylko, gdy mełamed uczuł się w dobrym i radosnym usposobieniu ducha.

W chwili gdy Meir przypatrywać się zaczął przez otwarte okno odbywającej się we wnętrzu chederu lekcji, uczniowie uczyli się na pamięć wskazanego im na dziś ustępu *Talmudu*, a nauczyciel, siedząc naprzeciw nich na katedrze złożonej z drewnianego stołka, wczytywał się ze swej strony w leżącą przed nim na kulawym stole wielką i bardzo starą księgę. Wczytywał się on w księgę tę z zajęciem wielkim i nie mniejszą widocznie lubością; błogi uśmiech pojawiać się zaczynał na wargach jego, zaledwie widzialnych śród ogromnego zarostu, przy czym kołysał się z wolna w tył i naprzód, poruszając tym stół kulawy, który kołysał się także. Kołysali się również na ławkach swych, każdy nad rozwartą przed nim wielką księgą, uczniowie jego, szemrząc z cicha, to podnosząc głosy niekiedy, jakby dla przygłuszenia wewnętrznego bólu jakiegoś, uderzając ściśnionymi[106] pięściami o brzegi ławek albo obu rękami chwytając się za głowy i strzępiąc tym więcej jeszcze i tak już w mozole wielkim a rozpaczy postrzępione i szczochrane włosy.

Nagle mełamed kołysać się przestał, podniósł rozpromienioną twarz, ujął w obie ręce wielką księgę i z całej siły uderzył nią o stół kulawy. Znaczyło to rozkaz umilknięcia. W mgnieniu oka też umilkli i kołysać się przestali uczniowie. Popodnosili oczy na twarz nauczyciela, jedni z trwogą nadzwyczajną a wzbudzoną mniemaniem, iż przyszła już pora wydawania na pamięć zadanej lekcji, inni ze złośliwą przekorą i tajonym naigrawaniem się.

Ale mełamed nie spostrzegał wrażeń malujących się na twarzach jego uczniów. Nie spostrzegał on i nie widział w tej chwili nic naokoło siebie. Duch jego porwanym został prądem niewymownej słodyczy i uniesionym w krainę zachwycenia. O tyle jednak czuł się mistrzem i obowiązki mistrza rozumiał, iż część zachwycenia swego przelać zapragnął na rozczochrane i strapione głowy swych uczniów.

Podniósł w górę wskazujący palec i z podniesioną twarzą, ze sterczącą brodą, z oczami w ogniu i miodzie czytać zaczął głośno ustęp ze *Sziur Komy*:

— „Wielki książę świadectwa tak opowiada wielkość Jehowy. Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry jest sto osiemnaście razy dziesięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć i trzydzieści razy tysiąc mil. Od prawej ręki Jehowy do lewej jest siedemdziesiąt siedem razy dziesięć tysięcy mil. Czaszka głowy jego ma trzy razy dziesięć tysięcy wzdłuż i wszerz. Korona na głowie jego ma sześćdziesiąt razy dziesięć tysięcy mil. Podeszwy króla królów mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan dziewiętnaście razy dziesięć tysięcy mil; od kolan aż do kłębów liczy się dwanaście razy dziesięć tysięcy i cztery mil. Od bioder aż do szyi dwadzieścia cztery razy dziesięć tysięcy mil. Taką jest wielkość króla nad królami, Pana świata!"

Po wydaniu ostatniego wykrzyknika reb Mosze pozostał chwilę nieruchomo jak posąg na katedrze swej, z rękami podniesionymi, a spojrzeniem pływającym w rozkoszy. Uczniowie jego siedzieli również nieruchomi i wlepiali w niego osłupiałe wejrzenia. Wszyscy już teraz bez wyjątku, pokorni i figlarni, wpół idiotyczni i roztropni, szeroko pootwierali usta swe. W podobny sposób opisana wielkość Jehowy w odrętwienie wprawiła wszystkie umysły.

Mełamed przecież wkrótce ocknął się z ekstazy swej i rozkazującym głosem zawołał:

— *Gej*[107]!

[106]*ściśniony* (daw.) — dziś popr. forma: ściśnięty.

[107]*gej* (jid.) — idź, idźcie; tu: dalej.

Na ten wykrzyk, którego znaczenie dobrze zrozumiałym im było, chłopcy rzucili się znowu do wielkich ksiąg swych, zakołysali postacie swe i wyśpiewywać poczęli dany im do nauczenia się ustęp *Talmudu*. Jak brzmiał i co opiewał ustęp ten? Nie zrozumiałoby tego, wśród mieszaniny kilkudziesięciu głosów, żadne niepoświęcone ucho. Meir przecież, który sam zupełnie podobny temu kurs nauk odbywał przed niewielu jeszcze laty, a przy tym obdarzony pamięcią wyborną, nic zeń nie zapomniał, pojął od razu, że dnia tego chłopcy uczyli się VIII rozdziału traktatu *Berachot* (o błogosławieństwach).

Jednogłośnie tedy, nieprzerwanie, z zapalczywością nadzwyczajną, z umęczeniem, wywołującym jęki z piersi a pot na czoła, dzieci czytały i wyśpiewywały:

„Miszna 1. Oto są sporne punkty pomiędzy szkołami Szammaja i Hillela. Szkoła Szammaja mówi: Błogosławić należy dzień (sobotni), a potem wino. Szkoła Hillela twierdzi: Niech błogosławią wino, a potem dzień.

Miszna 2. Szkoła Szammaja mówi: Umywają ręce, a potem napełniają puchar. Szkoła Hillela twierdzi: Napełniają puchar, a potem umywają ręce.

Miszna 3. Szkoła Szammaja mówi: Po otarciu rąk składają płótno na stole. Szkoła Hillela twierdzi: Składają je na poduszce.

Miszna 4. Szkoła Szammaja mówi: Zamiatają pokój, a potem umywają ręce. Szkoła Hillela twierdzi: Umywają ręce, a potem zamiatają pokój.

Miszna 5. Szkoła Szammaja mówi: Ogień, pokarm i woń. Szkoła Hillela utrzymuje: Ogień, woń i pokarm. Szkoła Szammaja mówi: Stworzywszy jasność ognia. Szkoła Hillela utrzymuje: Stworzywszy jasności ognia…”.

Tu rozległ się znowu po izbie podwójny stuk: księgi uderzającej o kulawy stolik i kulawego stolika uderzającego o podłogę. Uczniowie zamienili się też znowu w sztywne i milczące posągi. Mełamed toczył po wszystkich ich twarzach spojrzeniem takim, jak gdyby ofiarnikiem był mającym wybrać jedno z tych dzieci na całopalną ofiarę. Wyciągnął na koniec palec ku jednej z ostatnich ławek i zawołał groźnie:

— Lejbele!

Na wołanie to podniosło się spośród towarzyszy wysmukłe, blade dziecię w szarej, długiej surducinie i patrzało w twarz mełameda ogromną, czarną, osłupiałą źrenicą.

— *Kom her*! (chodź tu) — zawołał mistrz.

Pomiędzy uczniami zrobił się ruch. Przejść przez izbę tę nie było łatwo. Chłopcy usuwali się wezwanemu z drogi, tłocząc się jedni na drugich, spadając pod ławki i przez tłum popychając towarzysza pięściami.

Lejbele wyszedł na koniec z tłumu i stanął wśród wąziuchnego przejścia rozdzielającego katedrę mistrza z pierwszą ławką uczniów. W obu chudych rękach swych trzymał on wielką księgę, której ciężar co chwilę ręce jego ku dołowi opuszczał; usta miał szeroko roztwarte, a ramiona poruszały się mu od chwili do chwili nerwowym drganiem. Nie patrzał teraz na mełameda. Twarz jego pochylała się ku stronicom pochylającej się wciąż księgi.

Reb Mosze uderzeniem wymierzonym pod brodę podniósł mu głowę.

— Nu — krzyknął — czego ty jak rozbójnik jaki na ziemię patrzysz? Patrzaj na mnie!

Dziecko patrzało mu znowu w twarz nieruchomą źrenicą, która opływać poczęła łzawą zasłoną.

— Nu! — zaczął mełamed. — Co mówi szkoła Szammaja, a co mówi szkoła Hillela?

Długie nastąpiło milczenie. Siedzący na pierwszej ławie chłopcy trącali nieznacznie pięściami w boki współucznia, szepcząc mu:

— *Szprich*, szprich! (mów! mów!)

— Szkoła Szammaja — zaczął Lejbele drżącym i ledwie dosłyszalnym głosem — mówi: Błogosławić trzeba wino…

— Dzień! Dzień! A potem wino! — zaszeptały z pierwszej ławki litościwe, pomocnicze głosy.

Ale w tejże chwili ręka mełameda znalazła się w bliskości ucha jednego z podpowiadających tak bezpośredniej, że z piersi właściciela jego wydobył się pisk przeraźliwy, a inni współuczniowie pozamykali usta, a w zamian pootwierali oczy ze strachu i osłupienia.

Reb Mosze zwrócił się znowu do egzaminowanego ucznia:

— Miszna pierwsza! — zawołał. — Co mówi szkoła Szammaja?

Cichszy jeszcze niż wprzódy, trzęsący się głos dziecięcy odpowiadać zaczął:

— Szkoła Szammaja mówi: Błogosławcie wino…

Pięść mełameda opuściła się ciężko na ramię ucznia, z którego rąk wypadła zarazem wielka księga.

Mełamed poskoczył ze swej katedry.

— *A szlechter, dummer, ferszołtener bube*! *Alejdyk geher, szganet*[108]! — krzyknął rzucając się ku dziecku. — Ty wielkiej nauki uczyć się nie chcesz i kiedy ja tobie lekcję zadał, mówisz, że szkoła Szammaja każe błogosławić pierwej wino, a potem dzień… i jeszcze święte książki na ziemię rzucasz… a czy ty nie czytał, że Szammaj kazał błogosławić pierwej dzień, a potem wino…

Tuż za krzyczącym i miotającym się mełamedem ozwał się głos męski, dźwięczny, lecz drżący jakoś i szyderski.

— Reb Mosze! To biedne dziecko nigdy na oczy swoje wina nie widziało, a w każdym dniu swego życia bicie i głód cierpiało, to jemu i trudno zapamiętać, co pierwej błogosławić trzeba: wino czy dzień!

Ale reb Mosze przemówienia tego nie słyszał. Obie ściśnione pięści jego opuściły się niezmiernie szybko i po razy kilka na głowę i ramiona bladego dziecka, a gdy ono nie wydając najlżejszego jęku cichutko tylko osunęło się pod razami tymi na upuszczoną wprzódy wielką księgę, podniosły się raz jeszcze, aby opaść na osłonione podartą surduciną plecy jego. Zanim jednak zdołały dokonać tego, silna ręka jakaś porywczo odepchnęła go na stronę, tak że aż uderzył się on o róg kulawego stolika i przewracając go, sam na wznak upadł na ziemię.

— Reb Mosze! — zawołał tenże głos młodzieńczy, popędliwy a szyderski, który wymówił kilka uprzednich wyrazów. — Reb Mosze! — powtórzył. — Czy to nie izraelskie dziecko jest, abyś ty na nie morze złości swej wylewać miał? Czy to nie ubogie dziecko nędzarza jest? Czy to nie nasz brat?

Wołając tak, Meir z gorącym rumieńcem na bladej wprzódy twarzy pochylił się nad skurczonym przy ziemi, niemym i nieruchomym dzieckiem i wziął je na ręce. Wnet też zmierzać zaczął ku drzwiom. Odwrócił się jednak raz jeszcze i zawołał:

— Reb Mosze! Ty z głów izraelskich dzieci wyjmujesz rozum, a z serc ich wydzierasz litość… Ja słyszałem, jak niektórzy z chłopców tych śmieli się, kiedy ty Lejbele biłeś, a u mnie od śmiechu ich serce pełne łez!

Powiedziawszy to, wyszedł z dzieckiem w objęciu. Reb Mosze teraz dopiero obudził się z osłupienia, w które pogrążył go najniespodziewańszy dlań napad. Porwał się z ziemi i krzyknął:

— *A merder*[109]! Rozbójnik! *Ferszołtener*[110]!

I zwracając się ku szkole swej ze ściśniętymi pięściami wołał:

— Gońcie! Łapcie! Bijcie! Kamienujcie!

Nie było jednak nikogo, kto by rozkazów tych wysłuchać i spełnić je mógł. Szkoła świeciła najpiękniejszymi pustkami. Poobalane tylko ławy i porzucane na ziemię księgi świadczyły o gwałtownie dokonanej dezercji kilkudziesięciu chłopców, którzy widząc współucznia swego wyratowanego spod pięści mistrza, a samego mistrza obalonego na ziemię i walczącego z kulawym stołem, który, acz kulawy, przygniatał go i powstać mu z upadku przeszkadzał, częścią ze strachu, częścią ze swawoli i tęsknoty za wolnością gromadnie ruszyli się z ław swych i z wrzaskiem przeraźliwym wyskoczywszy z chederu, czym kto mógł, drzwiami czy oknami, rozsypali się po miasteczku całym na kształt stada ptaków z klatki uwolnionego.

Cheder był pusty, dziedziniec szkolny był pusty i tylko na ganku bet-ha-kahołu stało poważnie ze sobą rozmawiając kilku urzędników kahalnych. Ku nim to, w podskokach przebywając dziedziniec, chwytając się obu rękami za rozczochraną głowę, krzycząc i dysząc pobiegł znieważony mędrzec, reb Mosze.

Meir tymczasem, szybko idąc, niósł w objęciu swym dziecię, po którego chudych policzkach spływały teraz wielkie łzy. Dziwna rzecz przecież! Zza łez ku twarzy Meira wzniesione oczy Lejbelego mniej były martwe i mniej idiotyczne niż zwykle, a po ustach

[108]*a szlechter, dummer, ferszołtener bube, alejdyk geher, szganet* (jid.) — zły, głupi, przeklęty chłopiec, próżniak.
[109]*a merder* (jid.) — rozbójnik.
[110]*ferszołtener* (jid.) — przeklęty.

jego drżących od płaczu pomimo przestrachu i bólu, którego doświadczył, krążył uśmiech. Uśmiechając się dziecię wybawione płakało i patrzało w twarz wybawiciela swego.

— Morejne! — szepnął po chwili Lejbele.

— Morejne! — powtórzył ciszej i nic więcej powiedzieć nie umiał.

Na rogu biednej uliczki o domkach malutkich i ciemnych Meir postawił dziecię na ziemi.

— No! — rzekł, wskazując mu widniejącą z dala chatę krawca Szmula. — Idź teraz do domu...

Lejbele zmartwiał znowu. Wsunął ręce w rękawy surduciny i stał śród drogi jak nieruchomy posążek. Meir uśmiechnął się i spojrzał w twarz dziecka.

— Boisz się? — zapytał.

— Aha! — odpowiedział mu posążek gardłowym głosem.

Młody człowiek zamiast wrócić, jak miał zamiar, poszedł ku chatce Szmula. Tuż krok w krok za nim, z rękami w rękawach i otwartymi usty[111], szedł Lejbele.

Dzień kończył się. Na ubogiej uliczce kończyły się też dzienne prace. Ludność mizerna, ogorzała, ołachmaniona, cuchnąca wysypywała się przed progi domostw.

Zaledwie Meir kilkadziesiąt uszedł kroków, spostrzegł szczególną zmianę, która wśród ludności tej zaszła względem niego. Dawniej przechodzącego wnuka bogacza Saula witano tu z niskimi pokłonami, bliżsi znajomi przybliżali się doń i z poufałością pełną przyjaźni powierzali mu troski swe, biedy, a niekiedy nawet skrupuły sumienia, inni z okien otwartych lub spod ścian domostw przesyłali mu głośne i przyjazne „*szolem alejchem!*" (pokój tobie).

Teraz zwróciło uwagę jego kilkanaście spojrzeń rzuconych nań, skośnych i niechętnych; kobiety przypatrywały się mu z rodzajem osłupiałej ciekawości i szepcząc między sobą wskazywały nań palcami; jeden nawet z traczów owych, którzy przez miesiąc cały pracowali na dziedzińcu domu Saula i z którymi nieraz dzielił on pracę wesoło i przyjacielsko, nie pozdrowił go, lecz na widok jego smutnie trochę, a trochę niechętnie wsunął się do szarego wnętrza swej chatki.

Meir niecierpliwie wzruszył ramionami.

„Co to jest? — pomyślał. — Czego oni chcą ode mnie? Co ja im złego zrobiłem?"

Dziwnym mu się także wydać mogło, że krawiec Szmul nie wybiegł z chaty swej, jak zwykle bywało, ażeby spotkać go, rzucić się mu do rąk i obsypać go gradem podziękowań, pochlebstw, skarg i narzekań. Wszedł jednak do małego domku, a Lejbele pozostał przed progiem i w skurczonej postawie usiadł pod ścianą.

Młody człowiek pochylić musiał głowę, ażeby przejść przez niskie drzwiczki prowadzące z ciemnej sionki, w której śród zmroku ruszały się i bielały w kącie dwie kozy, do izby ciasnej i pomimo otwartego na ulicę okienka dusznej i cuchnącej. W progu rozminęła się z nim kobieta chuda, z ciemną, pomarszczoną twarzą. Była to żona Szmula, która wyszła przed próg i milcząc dała siedzącemu przy ścianie dziecku kawał czarnego, suchego chleba. Była to wieczerza, którą Lejbele otrzymywał zwykle po powrocie z chederu.

Cała zresztą rodzina Szmula w chwili wejścia Meira do izby spożywała podobnąż wieczerzę, z tą różnicą, że trzy dorosłe dziewczyny, dwaj mali chłopcy, Szmul sam i stara matka jego do chleba dodawali drobne szczypty cebuli znajdującej się w dość skąpej ilości na wyszczerbionym, czarnym talerzu. Oprócz dwóch chłopców, znacznie młodszych od Lejbelego, którzy przysiadłszy w kącie na ziemi gryźli zawzięcie wydzielone im porcje stwardniałego chleba, dwuletnie dziecko pełzało po podłodze u stóp ogromnego, czarnego pieca, a inne jeszcze, kilkumiesięczne, spało w kolebce zawieszonej na sznurach u belki sufitu i poruszanej przez jedną z dorosłych dziewcząt. Druga dziewczyna krzątała się około kóz w ciemnej sionce, trzecia zaś łamała chleb na drobne kąski, które posypywała cebulą i wkładała w drżące ręce niewidomej matki Szmula. Stara ta, niewidoma matka siedziała na jedynym łóżku, które znajdowało się w izbie, inne bowiem osoby rodzinę składające sypiały na twardych, wąskich ławach lub na ziemi. Ale stara matka posiadała łóżko dość dostatnio usłane, chustka skrzyżowana na piersiach jej cała była i czysta, a wielki czepiec okrywający głowę uszyty był z czarnego atłasu i suto nawet wygarnirowany. Siedząca

[111]*z (…) otwartymi usty* — dziś popr. forma N.lm: z (...) ustami.

obok niej wnuczka w brudnej odzieży i z rozczochranymi włosy[112] wkładała w ręce jej, a czasem i w usta, mniej niż ubogą żywność z powagą taką, jak gdyby ciągle myślała o tym, iż spełnia coś bardzo ważnego. Niekiedy nawet grubą, czarną prawie ręką swą gładziła pomarszczoną trzęsącą się rękę babki i widząc trud, z jakim spożywała ona twarde jedzenie, wstrząsała głową, uśmiechając się pobłażliwie i zachęcająco...

Jak w obszernym i zamożnym domostwie bogatego Saula, tak w natłoczonej, brudnej, ciemnej izdebce nędzarza Szmula najstarsza w rodzinie kobieta zajmowała miejsce najwygodniejsze i przedmiotem była ogólnej troskliwości i czci. Nigdy albowiem nie widziano wśród Izraela, aby syn, bogacz lub nędzarz, zaniedbał w starości czy w niedoli tych, którzy mu dali życie. „Jak gałęzie od drzewa swego, tak my wszyscy od niej początek bierzem!" — powiedział o matce swej zwierzchnik rodziny Ezofowiczów. Chajet Szmul nie umiał wyrażać uczuć swych tak, jak kupiec Saul, lecz gdy matka jego oślepła, w żalu wielkim wyrywał sobie z głowy czarne, kędzierzawe włosy, potem wraz z rodziną swą pościł przez trzy dni, aby za cenę pożywienia, którego się wyrzekł, kupić dla niej stare, rozpadające się łóżko, potem łóżko to własnymi rękami zbijał i naprawiał, aby do ściany przyparte stać mogło, a otrzymawszy od Sary Ezofowiczówny, żony Bera, czarną atłasową suknię do uszycia, odciął spory kawałek cennej materii i uszył z niego dla matki wywatowany i wygarnirowany czepiec.

Ujrzawszy wchodzącego do izby Meira, Szmul porwał się ze stołka, na którym siedział, i poskoczył ku gościowi. Pochylił się przed nim zwykłym swym niskim, giętkim ukłonem, ale nie pocałował go w rękę jak dawniej i nie zawołał z wielką radością: „Aj! co za gość! co za gość!".

— Morejne! — zawołał. — Już ja wiem, co ty dziś zrobił! Bachury biegli tędy z chederu i krzyczeli, że ty mego Lejbele z silnych rąk reba Mosza wyrwał, a jego samego popchnął i przewrócił! Ty to z dobrego serca zrobił, ale to źle, morejne! bardzo źle! Ty przez to wielkiego grzechu dopuścił się i mnie w wielkiej biedzie utopił! Teraz reb Mosze, niech sto lat żyje, nie zechce już mego Lejbele ani moich młodszych synów do swego chederu przyjąć i oni nigdy uczonymi nie zostaną! Aj waj! Morejne! Co ty przez swoje dobre serce sobie i mnie narobił!

— Nade mną ty, Szmulu, nie biadaj, niech już ze mną stanie się, co chce! — z żywością odparł Meir. — Ale ty ulituj się nad swoim własnym dzieckiem i w domu przynajmniej nie bij jego. On dość już w chederze cierpi...

— Nu! Jak to cierpi! To co, że cierpi! — zawołał Szmul. — Pradziady i dziady, i ojcowie moi do chederu chodzili i cierpieli! I ja chodziłem i cierpiałem tak samo! A co robić, kiedy trzeba.

— A czy ty, Szmulu, nigdy nie pomyślałeś sobie, że może inaczej trzeba? — łagodniej już zapytał Meir.

Szmulowi oczy zaświeciły.

— Morejne! — zawołał. — Ty grzesznych słów w chacie mojej nie wymawiaj! Moja chata bardzo biedna jest, ale w niej, dziękować Bogu, wszyscy świętych zakonów strzegą i rozkazań starszych słuchają! Chajet Szmul biedny jest bardzo i z pracy dwóch rąk swoich utrzymuje żonę, ośmioro dzieci i starą, ślepą matkę! Ale on czysty przed Panem i ludźmi, bo święte zakony on wiernie chowa. Chajet Szmul sabaty święci, koszerów pilnuje, wszystkie naznaczone szemy i tefile[113] do Pana Boga krzycząc i jęcząc odmawia, a chazaru on nigdy na oczy swoje nie widział i z gojami on przyjaźni żadnej nie trzyma, bo wie, że Jehowa jednych tylko Izraelitów kocha i strzeże, i że Izraelici tylko duszę w sobie mają. Tak robi biedny chajet Szmul, bo tak Pan Bóg przykazał i tak robili pradziady, dziady i ojcowie jego!...

Gdy cienki, giętki i zapalczywy Szmul wszystko to wypowiedział, Meir zapytał go łagodnie i z namysłem:

— A czy pradziady, dziady i ojcowie twoi szczęśliwi byli? A czy ty sam, Szmulu, szczęśliwy jesteś?

Na zapytanie to ozwało się znowu w Szmulu z żywością całą poczucie nędz przenoszonych[114].

---

[112] *z rozczochranymi włosy* (daw.) — dziś popr. forma N.lm: z (...) włosami.

[113] *tefile* (hebr. *tefilin*) — dosł.: modlitwy.

[114] *przenoszony* — tu: doznany (który trzeba było znieść, przecierpieć).

— Aj, aj! — zawołał. — Takiego szczęścia żeby nieprzyjaciele moi nie mieli! Skóra przyschła do kości moich, a w sercu moim ja zawsze wielkie boleści czuję…

Tu w jękliwą mowę krawca wmieszał się odgłos odzywającego się w najciemniejszym kącie izby ciężkiego westchnienia. Meir obejrzał się, a widząc szarzejącą w zmroku pomiędzy ogromnym piecem a ścianą postać jakąś wysoką i barczystą zapytał:

— Kto tam taki?

Szmul żałośnie skinął głową i ręką.

— Ot! — rzekł. — To furman Jochel zaszedł do mojej chaty; my z sobą dawno znajomi!

W tej chwili wysoka i barczysta postać poruszyła się z kąta, w którym nieruchomo dotąd stała, i zbliżyła się do rozmawiających.

Jochel był mężczyzną potężnej budowy ciała, pomimo to wydawał się znędzniałym i przygnębionym. Spencerem bez rękawów, podartym i brudnym przyodziany, stopy miał on bose i poranione, włosy rude, ogromne, splątane, usta obrzękłe i idiotyczne, oczy ze spojrzeniem zuchwałym, a jednak często spuszczającym się ku ziemi. Przystąpił do stołu i wziął z talerza szczyptę cebuli, którą przysypał kęs czarnego chleba trzymany w ręce.

— Meir! — rzekł, śmiało patrząc na młodzieńca. — Ty mój dawny znajomy! Ja stryja twego Rafała woziłem, kiedy on jechał po ciebie, małego sierotę, a potem przywiozłem jego i ciebie do Szybowa.

— Ja ciebie, Jochelu, i później widywałem — rzekł Meir — ty porządnym furmanem byłeś… cztery konie miałeś…

Uśmiechnął się obrzękłymi usty teraźniejszy mieszkaniec hek-deszu.

— Nu — rzekł — to prawda! Ale mnie potem nieszczęście przytrafiło się! Ja chciałem jeden wielki interes zrobić… i ten interes mię zgubił. A jak on mię zgubił, to mnie drugie nieszczęście przytrafiło się…

— To drugie nieszczęście, Jochelu — rzekł Meir — to był grzech twój… Na co było tobie konie ze stajni puryca w nocy wyprowadzać?

Zapytany roześmiał się cynicznie.

— Jak to na co? — rzekł. — Ja chciał je sprzedać i dużo zarobić…

Szmul litościwie wstrząsał głową.

— Oj, oj! — westchnął — Jochel jest biednym, bardzo biednym człowiekiem! On trzy lata pokuty swojej w turmie odsiedział, a teraz, jak jego stamtąd wypuścili, on nie ma żadnego zarobku i musi w hek-deszu siedzieć…

Jochel ciężko westchnął znowu, ale wnet potem energicznie podniósł głowę.

— Nu — rzekł — cóż robić? Może i ja będę miał prędko wielki zarobek…

Słowa te włóczęgi-nędzarza przypomniały Meirowi tajemniczą, krótką rozmowę, którą przez okno hek-deszu prowadził on przed godziną z możnym Kamionkerem. Uderzyła go zarazem zmiana, którą słowa Jochela wywołały na twarzy Szmula. Delikatna, blada, ruchliwa twarz ta zadrgała mnóstwem drgnień nerwowych, objawiać mogących zarówno gwałtowną radość lub boleść. Zarazem oczy jego roziskrzyły się i ręce zatrzęsły.

— Nu! — zawołał. — Co to można wiedzieć, co z człowiekiem jutro stanie się! Kiedy on dziś bardzo biedny jest, to jutro może on być bardzo bogatym! Co to można widzieć? Może i chajet Szmul wybuduje sobie kiedy piękny dom przy rynku i będzie wielki handel prowadził!

Meir uśmiechnął się smutnie. Bezzasadne, jak mu się zdawało, nadzieje dwóch biedaków budziły w nim litość. Patrzał on teraz w zamyśleniu na widniejące przez okno za niskimi domostwami szerokie rozłogi pól.

— Ty, Szmulu — rzekł — z pewnością nie zbudujesz sobie nigdy wielkiego domu przy rynku i Jochel nie znajdzie tu sobie wielkiego zarobku! Nu! Co to dziwnego? Was tu tyle jest w jednym miejscu, że nikt dobrego zarobku mieć nie może. Ale ja sobie myślę: żebyście wy nie cisnęli się tu wszyscy na tych brudnych, małych uliczkach, i żebyście wy rozsypali się po szerokim świecie, i żebyście wy wielkich zarobków nie spodziewając się, pracować zaczęli koło ziemi, jak pracują chrześcijańscy chłopi, toby wam może lepiej na świecie było.

Mówił to w zamyśleniu i mniej, jak się zdaje, myśląc o dwóch ludziach toczących z nim rozmowę, jak o całej tej tłumnej ludności, która w tej chwili napełniała powietrze

nieopisaną wrzawą zmieszanych razem modłów krzykliwych, kłótni kobiecych, hałasów dziecinnych i nieokreślonych jakichś, niewyraźnych lamentów, zawodzeń i westchnień.

Ale krawiec Szmul, usłyszawszy słowa gościa, dwa razy we wzburzeniu wielkim podskoczył i dwa razy jarmułkę na głowie swej targnął i przekrzywił.

— Morejne! — zajęczał. — Jakie brzydkie słowa z ust twoich wychodzą! Morejne! Czy ty chcesz wszystko w Izraelu do góry nogami przewrócić?

— Szmulu! — popędliwie zawołał Meir. — To jest prawda! Kiedy ja patrzę na nędzę waszą i na cierpienia dzieci waszych i kiedy ja we własne moje serce patrzę, to ja bym wtedy chciał wiele rzeczy w Izraelu do góry nogami przewrócić!

— Gwałt! — chwytając się obu dłońmi za głowę, krzyknął gwałtowny i wrażliwy Szmul. — Ja nie chciał temu wierzyć! Ja ludziom tym, co to gadali, w oczy pluł, ale teraz ja sam już widzę, że ty, morejne, złym Izraelitą jesteś i że tobie święty Zakon nasz i obyczaje pradziadów naszych niemiłe!

Meir drgnął i cały wyprostował się.

— A kto to mówił, że ja złym Izraelitą jestem? — zawołał z palącymi oczami.

Szmul zmiarkował się w uniesieniu swym. Złagodniał nieco i do Meira bardzo blisko przystąpił. Nikt słyszeć nie mógł tego, co mówić miał, bo Jochel stał już znowu w głębokim cieniu pieca, przeżuwając głośno chleb z cebulą, a kobiety i dzieci wysypały się z chaty na ulicę. Jednak mówił on bardzo cicho i z wyrazem takiej grozy na twarzy, jakby słowa jego zawierały w sobie tajemnicę potężną i groźną.

— Morejne! Ty darmo pytać się będziesz: kto to mówi? Jak liście na drzewach szeleszczą, tak usta ludzkie szepczą, a nikt nie zgadnie, który liść poruszył się i które usta zagadały. O tobie, morejne, cały naród złe rzeczy mówić zaczął! O tobie mówią, że ty sabatów nie strzeżesz, przeklęte książki czytasz, obrzydliwe pieśni śpiewasz, młodzieńców izraelskich przeciw świętemu Zakonowi buntujesz, uczonych i bogaczy nie szanujesz i...

Tu wstrzymał na chwilę szybką mowę swą Szmul, a potem zaledwie już dosłyszalnym, wstydliwym szeptem dodał:

— i... z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzymasz!

Meir stał jak skamieniały. Zbladł, a oczy pałały mu coraz goręcej.

— Kto to wszystko mówi? — powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem.

— Morejne! — odpowiedział Szmul, rozkładając oba ramiona rozpacznym gestem. — Ty za pokutę siedział przez cały tydzień w bet-ha-midraszu, a my wszyscy biedni ludzie, co przy uliczce tej mieszkamy, dowiedziawszy się o tym wielki gwałt zrobili! I byli tu i tacy ludzie, co chcieli iść do dziada twego, Saula, i do samego rabina, prosić ich, aby oni z ciebie ten wielki wstyd zdjęli. Tracz Judel chciał iść, i furman Baruch chciał iść... nu! ...i chajet Szmul także chciał iść! Ale potem zaczęły się pomiędzy ludźmi gadania różne. A jak my z tych gadań dowiedzieli się, za co ciebie ukarali, to między nami zrobiło się cicho. My powiedzieliśmy sobie: „Choć on dobry i litościwy bardzo, i pyszny z nami, nędzarzami, nie był, i wiele nam w biedach naszych pomagał, ale kiedy on Zakonu świętego nie strzeże, to niech stanie się tak, jak powiedział zejde jego, wielki bogacz, i niech on ukaranym będzie!".

Umilkł na koniec zdyszany długim i szybkim mówieniem Szmul, a Meir patrząc mu w twarz pałającym, przenikliwym wejrzeniem zapytał:

— A żeby mię bogacze i uczeni ukamienować kazali, wy byście znów powiedzieli: „Niech się tak stanie"?

Szmul przeraził się zrazu strasznym przypuszczeniem Meira tak bardzo, że aż o parę kroków odskoczył.

— Gwałt! — zawołał. — Na co takie brzydkie rzeczy przypuszczać sobie do głowy!

Potem jednak dodał spokojniej:

— Nu! Morejne! Żebyś ty świętego Zakonu naszego nie strzegł...

Nie dokończył, bo przerwał mu Meir pełnym uniesienia głosem:

— Szmulu, a czy wy wszyscy wiecie, co jest święty nasz Zakon? Co w nim jest boskie rozkazanie, a co ludzkie wymyślenie?

— Szaa! — syknął z cicha Szmul. — Nas ludzie słuchają! Ja nie chcę, morejne, żeby w mojej chacie spotkała ciebie nieprzyjemność!

Meir rzucił spojrzenie za okno i zobaczył, iż w istocie kilku dojrzałych mężczyzn obsiadło długą, wąską ławę stojącą u ściany domostwa Szmula. Ludzie ci nie podsłuchi-

wali bynajmniej, owszem, rozmawiali nawet sobie, ale parę ostatnich wykrzyków Szmula i Meira usłyszeli znać, bo nachylili twarze ku otwartemu okienku i patrzyli we wnętrze izby oczami wpół zdziwionymi i wpół niechętnymi. Meir niecierpliwie rzucił ramionami i nie żegnając Szmula zmierzał ku wyjściu. Ale gdy był już przy progu, Szmul rzucił się ku niemu i schyliwszy szybko giętką swą postać, w rękę go pocałował.

— Morejne! — szepnął. — Ja ciebie bardzo żałuję! Ty upamiętaj się! U ciebie serce bardzo dobre, ale głowa bardzo zła! W niej ogień pali się! Aj waj! Co ty z mełamedem dziś zrobił! Morejne! Ty upamiętaj się i nie rób zgorszenia w Izraelu!

Trzymając wciąż rękę Meira w twardej swej dłoni podniósł ku niemu twarz nerwowo znów drgającą i dodał pośpiesznie:

— Morejne! Żebyś ty nie był pod takim strasznym oskarżeniem, ja bym dziś przed tobą serce moje otworzył. Bo dziś chajet Szmul ma wielkie kłopoty! On sam nie wie, co zrobić! On może zostać się takim biednym na całe życie, jakim jest, i może zrobić się bogatym! On może być bardzo szczęśliwym i bardzo nieszczęśliwym, bo do niego przychodzi teraz wielkie szczęście i w ręce jemu lezie, ale on lęka się jego brać, bo ono wygląda tak, jak nieszczęście!

Meir ze zdumieniem patrzał na nędzarza czyniącego mu w ten sposób zagadkowe jakieś półzwierzenia. Ale w tej chwili zza czarnego pieca ozwał się gruby, chrypiący głos Jochela:

— Szmul! Czy ty będziesz milczał? *Kom her*[115]!

Szmul z drgającą wciąż, nieprzytomną prawie twarzą odskoczył od Meira, który zamyślony i z pałającym okiem wyszedł na ulicę.

Tu na widok jego schmurzyły się widocznie twarze siedzących u ściany ludzi. Paru z nich pozdrowiło go krótko i obojętnie, nikt, jak zwykle bywało dawniej, nie wstał przed nim i nikt nie postąpił ku niemu, aby towarzyszyć mu i poufnie z nim porozmawiać przez całą długość ulicy.

Tylko spod ściany domu podniosło się dziecię w szarej, długiej surducinie i zaledwie Meir o parę kroków oddalił się od progu domostwa, postąpiło za nim. Ręce miało ono wsunięte w rękawy odzieży i oczy zmęczone, przymykające się niemal od senności. Szło jednak, a że młody człowiek postępował krokiem wzburzonym i szybkim, ono także przyśpieszało kroku.

Tak jeden za drugim idąc, Meir i Lejbele przebyli długą uliczkę i znaleźli się wkrótce na pustych gruntach rozdzielających ostatnie domostwa miasteczka z karaimskim wzgórzem.

Zmierzch panował już zupełny, ale w chacie Abla karaima nie paliło się żółte światełko małej świeczki. Nie spano w niej jednak, bo zaledwie Meir zbliżył się do otwartego okna, zarysowała się w nim wysmukła postać Gołdy.

Pozdrowili się wzajem milczącym skinieniem głowy.

— Gołda! — rzekł Meir z cicha, lecz pośpiesznie. — Czy ciebie żadna nieprzyjemność od nikogo nie spotkała? Czy tobie nikt nic złego nie zrobił?

Dziewczyna milczała chwilę, a potem odpowiedziała wzajemnym pytaniem:

— Dlaczego ty, Meir, zapytujesz mię o to?

— Bo ja lękam się, żeby tobie jaka krzywda nie stała się. Ludzie zaczęli o tobie gadać!

Gołda wzgardliwie nieco wzruszyła ramionami

— Ja o ich krzywdy nie dbam — rzekła — ja z krzywdą razem wyrosłam i ona jest siostrą moją.

Umilkli na chwilę. Meir wydawał się wciąż niespokojny.

— Dlaczego u was dziś ciemno w chacie? — zapytał.

— U mnie wełny nie ma do przędzenia, a zejde modli się sobie w ciemności.

W istocie, w kącie izby szemrał drżący głos modlącego się Abla.

— A czemu ty wełny nie masz do przędzenia? — zapytał Meir.

— Odniosłam Hanie Witebskiej i Sarze, żonie Bera, to, co dla nich uprzędłam, a one mi więcej roboty nie dały.

— Czy one tobie nic złego nie powiedziały? — porywczo zapytał Meir.

Gołda milczała znowu przez chwilę.

— Ludzkie oczy mówią czasem gorsze rzeczy jak usta — wymówiła spokojnie.

[115] *kom her* (jid.) — chodź tu.

Widocznie skarżyć się nie chciała ani obwiniać nikogo. Być może zresztą, iż mało obchodziło ją wszystko, co się tyczyło jej samej, i że umysł jej był czym innym zajęty.

— Meir! — rzekła. — Ty w tych dniach wielką nieprzyjemność miałeś…

Meir usiadł na małej, wąskiej ławce stojącej pod otwartym oknem, oparł głowę na dłoni i westchnął ciężko.

— Największą zgryzotę ja dziś miałem — odpowiedział. — Lud mój odwrócił twarz swoją ode mnie i za wroga swego mię ogłosił… Kędy przechodzę, widzę na miejscu przyjaźni nieprzyjaźń, a ci, którzy przede mną serca swoje otwierali, mają mię teraz w podejrzeniu…

Gołda smutnie pochyliła głowę, Meir mówił po chwili dalej:

— Ja już teraz nie wiem sam, co robić i jakim być… wielkie wątpienie duszę moją objęło. Jeżeli ja będę mówił i robił według serca mego, lud mój znienawidzi mię i różne nieszczęścia na mnie spadną… a jeżeli będę mówił i robił przeciw sercu memu, sam siebie znienawidzę i żadne szczęście miłym mi nie będzie… W ha-midraszu siedząc, ja sobie myślałem: „Lepiej zgodę ze wszystkimi trzymać, na głupie i złe rzeczy oczy zamykać i spokojnie sobie żyć…", ale z ha-midraszu wyszedłszy, ja zaraz nie mogłem wytrzymać i za jedne[116] biedne dziecko bardzo na siebie obraziłem mełameda, a przez mełameda wszystkich starszych i cały lud… Ot, co ja dziś zrobiłem! A teraz znów myślę sobie: „Na co to przyda się? Czy przez to mełamed nie będzie biednym dzieciom rozumu z ich głowy wyjmować i zdrowie ich ciałom odbierać?"… Co ja mogę? Ja jeden… młody… żony i dzieci jeszcze nie mam i interesów wielkich nie prowadzę… to nade mną wszyscy wszystko mogą, a ja nic nad nikim… Moich przyjaciół prześladują za to, że oni ze mną przyjaźń trzymają… oni zlękną się i mnie porzucą… Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z moim sercem i głos swój dałaś za towarzysza mojemu głosowi… i ja ciebie przez to zgubię… Może już lepiej oczy i usta zamknąć… smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz… i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?

Coraz ciszej mówił to Meir; w głosie jego czuć było, że pierś mu targały srogie bóle niepewności i zwątpienia.

Dość długie potem zapanowało milczenie, a w tejże chwili za wzgórzem, u stóp którego stała chatka, ożywać się poczęły szczególne jakieś szmery. Zrazu słabo tylko rozróżnić można było śród szmerów tych turkoty kół cicho sunących po piaszczystym gruncie, przyciszone rozmowy i tłumne stąpania ludzkie.

Po chwili jednak coraz wyraźniejszymi i bliższymi stawały się odgłosy te, a wśród ciszy głębokiej, która w miejscu tym panowała, posiadały w sobie coś tajemniczego.

— Co to jest? — prostując się, wyrzekł Meir.

— Co to jest? — powtórzyła spokojnie Gołda.

— Mnie się zdaje — zaczął młody człowiek — jakby z tamtej strony góry wiele wozów jechało i stanęło…

— A mnie się zdaje, jakby w tej górze huczało coś i stukało…

Istotnie, zdawać się mogło, że stąpania ludzkie odzywały się teraz w samym wnętrzu wzgórza, a oprócz nich słychać tam było stuk rzucanych jakby czy ustawianych ciężkich przedmiotów. Trwoga odmalowała się na twarzy Meira. Spojrzał głęboko w twarz Gołdy.

— Zamknij okno i zarygluj drzwi! — rzekł pośpiesznie. — Ja pójdę, zobaczę, co tam takiego.

Widocznie lękał się o nią. Ale dziewczyna wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

— Na co ja mam okno i drzwi zamykać! One są bardzo słabe i choćbym je zamknęła, każdy, kto dotknie się do nich silną ręką, otworzy je sobie.

Meir okrążał już wzgórze i wkrótce znalazł się po drugiej jego stronie. Widok, który tam ujrzał, napełnił go zdziwieniem.

Na piaszczystych zagonach stały, półkręgiem wzgórze otaczając, wozy jedno- i dwukonne, naładowane drewnianymi beczkami najrozmaitszych rozmiarów. Około wozów ruszało się mnóstwo ludzi: wieśniaków-chrześcijan i Izraelitów. Wieśniacy zdejmowali beczki z wozów i wtaczali niektóre z nich w głęboką jamę wytworzoną naturalnie czy sztucznie we wnętrzu wzgórza, Izraelici zaś krążyli pomiędzy wozami, przypatrywali się beczkom, uderzali w nie lekko palcami, a potem skupiali się dokoła człowieka, który

[116]*jedne* — dziś popr.: jedno.

stał przyciśnięty do ściany wzgórza, i toczyli z nim przyciszone, lecz nadzwyczaj żywe rozmowy.

Pośród Izraelitów tych Meir poznał kilku znanych mu z wiedzenia sąsiednich szynkarzy, człowiekiem zaś, który przyciskał się do wzgórza i wiódł z nimi tajemnicze, choć zapalczywe jakieś targi i umowy, był Jankiel Kamionker.

Wieśniacy dokonywujący pracy przemieszczania beczek lub stojący nieruchomo u wozów milczeli ponuro. Silna, odurzająca woń alkoholu rozchodziła się po równinie i przejmowała na wskroś powietrze letniego wieczoru.

Zdziwienie Meira krótko trwało. Zaczął on znać domyślać się znaczenia sceny, na którą patrzał, i widać było, że powziął postanowienie jakieś, bo w zamiarze jakby zbliżenia się do Kamionkera postąpił parę kroków naprzód. Lecz nagle od ściany wzgórza oderwała się i drogę mu zagrodziła wysoka, barczysta postać człowieka z bosymi nogami i rozczochranymi włosy.

— Czego ty tu idziesz, Meir? — stłumionym szeptem wyrzekł człowiek ten.

— A czemu ty, Jochelu, iść mi nie pozwalasz? — odpowiedział Meir i chciał ominąć stojącą mu na drodze przeszkodę, ale Jochel przytrzymał go silnie za rękaw od surduta.

— Czy ty już na tym świecie żyć nie chcesz? — szeptał. — Mnie ciebie żal, bo ty dobry jesteś, i ja tobie mówię: idź ty sobie stąd!

— A jeżeli ja ciekawy jestem wiedzieć, co to tutaj takiego reb Jankiel ze swymi szynkarzami i z tymi beczkami robi?

— A co tobie do tego? — zaszeptał raz jeszcze Jochel. — Niech twoje oczy nie widzą i twoje uszy nie słyszą tego, co tutaj reb Jankiel robi! On wielkie interesy robi i ty jemu nie przeszkodzisz... A na co tobie przeszkadzać? Czy ty będziesz z tego korzyści jakie miał? Czy ty co przeciw niemu możesz?

Meir stał chwilę jak oniemiały. Potem odwrócił się i poszedł z wolna w inną stronę.

— Czy ja co mogę? — wymówił drgającymi wargami.

Przechodząc mimo chaty Abla karaima zobaczył Gołdę, która stała jeszcze w oknie. Skinął ku niej głową i wymówił:

— Śpij w pokoju!

Ale ona zawołała go:

— Meir! Tu jakieś dziecko siedzi na ziemi i śpi.

Meir zbliżył się i spostrzegł w istocie u końca ławki, na której siedział był przed chwilą, skurczoną na ziemi szarą postać dziecięcą.

— Lejbele! — rzekł ze zdziwieniem.

Nie widział chłopca, który tu za nim przyszedł i cicho za nim też usiadł. Teraz spał on głęboko, łokcie wspierając na podniesionych kolanach, a głowę trzymając w obu dłoniach.

— Lejbele! — powtórzył Meir i położył dłoń na głowie śpiącego.

Dziecię obudziło się, otworzyło senne oczy i wznosząc je ku twarzy pochylającego się nad nim młodzieńca, uśmiechnęło się.

— Czego ty tu przyszedłeś, Lejbele? — uśmiechając się też zapytał Meir.

Dziecko namyślało się chwilę, potem odpowiedziało:

— Za tobą...

— Tate i mame nie wiedzą, gdzie ty podziałeś się...

— Tatele już śpi i mamele już śpi... — zaczął Lejbele, przechylając głowę na obie strony i wciąż uśmiechając się.

— I kozy już śpią... — dodał po chwili i na wspomnienie zapewne tych najlepszych towarzyszek swoich zaśmiał się głośno.

Ale z ust Meira zniknął przelotny uśmiech wywołany uśmiechem dziecka. Wyprostował się, westchnął i pochylając głowę, wymówił do siebie:

— Co mnie teraz robić?

Gołda obu dłońmi objęła swoją głowę, podniosła twarz i smutnymi oczami patrzała w gwiaździste niebo. Po chwili szepnęła z cicha i nieśmiało:

— Ja zejdy spytam się! Zejde bardzo uczony jest... on całą *Biblię* na pamięć umie.

— Spytaj się! — odpowiedział Meir.

Dziewczyna zwróciła się ku ciemnemu wnętrzu chaty i zawołała:

— Zejde! Co Jehowa czynić każe człowiekowi, od którego lud odwraca twarz swoją za to, że on przeciw sercu swemu robić i mówić nie chce?

Na zapytanie to Abel przerwał modlitwę odmawianą półgłosem. Przywykł był znać do częstych zapytań wnuczki i do udzielania na nie odpowiedzi, bo milczał długo w rozważaniu słów jej czy w przypominaniu sobie słów świętych zatopiony. Potem w ciemności napełniającej wnętrze chaty ozwał się stary, trzęsący się, lecz podniesiony nieco głos jego:

— Jehowa rzekł: „Uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym sługą moim, lecz jeśli milczeć będziesz, na głowę twoją spadnie nieszczęście Izraela!".

Stary głos wymawiający słowa te umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącym się okiem. Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczynała modlitwa starca, i drżącym głosem rzekł:

— To jest prawda! Przez usta jego przemówił Stary Zakon Mojżeszowy! prawdziwy nasz święty Zakon!

W oczach Gołdy świeciły wielkie łzy, ale nie widział ich Meir. Zatopiony w myśli jakiejś, która objęła i rozpłomieniła całą jego istotę, z wolna skinął on głową ku młodej dziewczynie na znak pożegnania i odszedł.

Ona pozostała u otwartego okna i patrzała za odchodzącym. Postawa i twarz jej były spokojne, ale po ciemnej, chudej twarzy łzy perliste płynęły jedna za drugą.

— Prorokowi Ozjaszowi głowę ścięli... Proroka Jeremiasza z Palestyny wygnali... — szeptała.

Meir zaś, o kilkanaście kroków od małej chatki znajdując się, z podniesioną ku niebu, bladą twarzą wymówił:

— Rabbi Akiba za prawdę swoją w wielkich męczarniach umarł!

Oczy Gołdy szeroko otwierały się, aby móc jak najdłużej dojrzeć pośród wieczornych ciemności oddalającą się z wolna postać młodzieńca. Powoli splotły się jej ręce, a usta zwilżone łzami szepnęły:

— Jak Ruth powiedziała świekrze swojej, Noemi, tak niech ja powiem tobie, światłości duszy mojej: „Bóg twój jest Bogiem moim, lud twój jest moim ludem, a smutek mój ja dam za towarzysza twemu smutkowi i duszę moją rozwiodę z ciałem razem z duszą twoją!"...

W ten sposób dzieci te, przejęte na wskroś tchnieniem starych dziejów i podań Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały, z nich czerpały dla siebie naukę, pociechy, męstwo i łzy.

II

Na świecie dniało zaledwie, ale w domostwie Jankla Kamionkera, oprócz dzieci najmniejszych, nikt już nie spał. Wschodzący dzień ważnym miał być dla właściciela zajezdnego domu, był to albowiem jeden z głównych w roku dni targowych, sprowadzających do miasteczka tłumy okolicznej ludności wszech stanów i stopni społecznych. Toteż dwie córki Jankla, dorosłe, silne, brzydkie i rozczochrane dziewczyny, z pomocą czternastoletniego brata, Mendela, gapiowata i złośliwa twarz którego nosiła na sobie ślady długoletnich już studiów w chederze reb Mosza odbywanych, uprzątały z lekka dwa paradne pokoje, przeznaczone dla najdostojniejszych gości, przybrane w żółte, odwieczne, kulawe sprzęty, popielate od brudu firanki i w gliniane wazony, z których wyrastały ciemne jakieś karykatury roślin.

Obok paradnych apartamentów tych znajdowała się ogromna izba szynkowna, w której zazwyczaj w dnie podobnych zjazdów zgromadzały się, piły i tańczyły tłumy wieśniaków. W izbie tej dziewka służąca próbowała czyścić nigdy niewyczyszczające się długie, wąskie stoły ustawione dokoła ław otaczających ściany i rozniecała skąpy ogień w głębokim i czarnym jak otchłań piecowisku, ranek bowiem chłodny był, a wielką, niską szynkownię napełniało powietrze stęchłe i wilgotne.

W mieszkaniu Jankla, w pierwszej od wejścia izbie, u dwóch okien wychodzących na plac targowy, pusty jeszcze zupełnie i mgłą poranną okryty, stały dwie osoby: Jankiel i żona jego, Jenta. Twarzami zwróceni ku oknom, odmawiali oni oboje długie modlitwy poranne.

Jankiel, w takim już ubraniu, w jakim zwykle dnie całe przepędzał, więc w długim, wyszarzałym chałacie i grubej, czarnej chustce wkoło szyi okręconej, modlił się głośno:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię poganinem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mię kobietą!

Wymawiając to śpieszącymi się i drżącymi od żarliwości ustami, kołysał postać swą w tył i naprzód namiętnymi ruchy[117]. A w tejże chwili Jenta, w szafirowym kaftanie bez rękawów i krótkiej spódnicy, spod której ukazywały się stopy w ciemnych pończochach i płytkim obuwiu, składała przed oknem krótkie, szybkie pokłony i znacznie ciszej od męża swego wymawiała:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!

Jankiel zarzucił sobie na piersi i plecy lekką płachtę płócienną, u czterech końców której wisiały białe sznurki, i mówił:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami swoimi i dał nam zakon o cycelach[118]!

Jenta z krótkim pokłonem zaszeptała głośniej:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który oswobadzasz więźniów i prostujesz tych, co zgięci są w łęk!

Jankiel przebierał palcami nici wiszące u rozpostartego przed nim na stołku tałesu, mówiąc:

— Wielkim jesteś Boże, Panie świata! Bardzo wielkim! Oblokłeś się wielkością i światłością jako płaszczem!

Jenta kłaniając się wciąż, wzdychać ciężko zaczęła:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata — szeptała — który dajesz siłę zmęczonemu, sen z oczu a drzemanie z powiek moich spędzasz.

Wziął na koniec Jankiel ze stołka tałes swój, a owijając się płaszczem tym z białej, miękkiej materii o żałobnych szlakach, podniósł twarz wysoko i zawołał:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś oświecił nas przykazaniami swymi i rozkazał nam oblekać się w cycele!

Potem jeszcze, kołysząc się wciąż i poruszając ustami, włożył na głowę rzemień ze sporym guzem, przylegającym do czoła, a inny podobny okręcając wkoło palca swego, wymówił:

— Zaręczę cię z Sobą na wieki! Zaręczę cię z Sobą w prawdzie, miłości i łasce! Zaręczę cię z Sobą w wierze, przez którą poznasz Pana!

Tak byli oboje zatopieni w modlitwach swych, że nie usłyszeli rozlegających się za nimi kroków męskich i śpiesznych. Meir Ezofowicz przeszedł szybko izbę, w której modlili się Jankiel i żona jego, i minąwszy izdebkę napełnioną łóżkami, skrzyniami i kołyskami, w których spało jeszcze dwoje małych dzieci, uchylił z cicha niskie drzwiczki prowadzące do izdebki kantora.

Szaro tu jeszcze było od porannego świtania. W błękitnawym zmroku tym, który napełniał izdebkę, twarzą zwrócony ku oknu stał Eliezer i modlił się także. Usłyszał on wejście przyjaciela, bo zrazu głowę ku niemu zwrócił, modlitwy swej jednak nie przerwał. Owszem, wzniósł nieco w górę białe swe ręce i jakby wezwać chciał przybyłego do wspólnych modłów, głośniej wymówił:

— Boże Izraela! Zgaś płomienny gniew Twój i zdejm niedolę z głowy ludu Twego!

Meir stanął o parę kroków za modlącym się przyjacielem i odpowiedział słowami, którymi zazwyczaj lud odpowiada kantorowi intonującemu modlitwy:

— Spójrz z niebios i ujrzyj, jakośmy stali się pośmiewiskiem i wzgardą między narodami; jako jagnię wiedziono nas na męki, hańbę i zniszczenie!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twojego; nie zapomnijże Ty i o nas! — intonował znowu Eliezer.

[117]*namiętnymi ruchy* (daw.) — dziś popr. forma N.lm: (...) ruchami.

[118]*cycele cyces* (jid.) a. *cicit* (hebr.) — element religijnego stroju żydowskiego; określa się tak zarówno frędzle przywiązywane do czterech rogów *talitu/tałesu* (chusty modlitewnej) zgodnie z zaleceniami Boga w *Księdze Liczb* (Lb 15, 38–40), jak również prostokątną chustę z otworem na głowę i frędzlami, która jest rodzajem stroju codziennego, tzw. *talit katan* (hebr.) a. *tałes kutn* (jid.).

W ten sposób odpowiadając sobie wzajem dwaj młodzi ludzie odmawiali wspólnie jedną z najpiękniejszych modlitw, które kiedykolwiek z rozbolałych serc ludzkich podnosiły się do nieba. W modlitwie tej słowo każde jest łzą, a każda strofa akordem opiewającym tragiczne dzieje wielkiego ludu.

— O! Wyrzecz[119] się pomsty swej i litość okaż wybranemu Twemu! — mówił kantor.

Meir odpowiadał:

— Obroń nas, Panie, i nie oddawaj nas w ręce okrutnych! Bo i po cóż mówić mają ludzie: „Kędyż ich Bóg"!

— Usłysz jęk nasz i nie oddaj nas w ręce wrogów pragnących zgładzić imię nasze! Wspomnij, coś zaprzysiągł przodkom naszym: „Rozmnożę potomstwo wasze jako gwiazdy", a teraz z wielkiego mnóstwa pozostało już nas tak mało!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twego; nie zapomnijże Ty i o nas!

— O, straży Izraelowa, chroń ostatki Izraela, ażeby nie zginął jedyny lud wierzący w jedyne imię Twoje i mówiący: „Pan nasz, Bóg jedyny"!

Postawy dwóch przyjaciół były wśród modlitwy tak różne, jak różnymi były ich charaktery. Eliezer wznosił w górę drżące nieco ręce, błękitne oczy jego zachodziły wilgocią miękkiego wzruszenia, a wiotka postać chwiała się mimo woli, zdjęta jakby rozmarzeniem czy zachwytem. Meir stał prosto i nieruchomo, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z ognistą źrenicą utkwioną w błękitnawe obłoki i głęboką zmarszczką na czole, która całej twarzy jego nadawała wyraz tłumionego gniewu i bólu. Obaj jednak modlili się całym sercem, z wiarą głęboką w to, że straż Izraelowa, Bóg jedyny, słyszy ich głosy. U końca modlitwy dopiero rozdwoiły się ich duchy. Eliezer intonował prośbę za izraelskich uczonych i mędrców.

— Podtrzymuj, Ojcze nasz niebieski, mędrców Izraela z żonami, dziećmi i uczniami ich wszędzie, gdziekolwiek przebywają oni! Wołajcie: Amen!

Meir nie wymówił: „Amen". Milczał chwilę, a gdy kantor milczał także, odpowiedzi czekając, Meir podniesionym nieco głosem i drżącymi usty mówić zaczął:

— Braci naszych z domu Izraelowego poddanych ubóstwu i grzechom, gdziekolwiek przebywają oni, wywiedź z okó na swobodę, z ciemności na światłość jak najprędzej! Wołajcie: Amen!

— Amen! — zawołał Eliezer i zwrócił się twarzą ku przyjacielowi.

Wyciągnęli ku sobie ręce i uścisnęli je wzajem.

— Eliezer! — rzekł Meir. — Ty dziś nie tak wyglądasz, jak tydzień temu!

— I ty, Meirze, nie tak wyglądasz! — odpowiedział kantor.

— Nad naszymi głowami jeden tylko tydzień przepłynął, ale czasem jeden tydzień to więcej jak dziesięć lat…

— Ja przez ten tydzień wiele przeniosłem[120] — szepnął kantor.

Meir nie skarżył się.

— Eliezer — rzekł — daj mi *Morę Nebuchim*[121]. Ja po tę książkę przyszedłem dziś do ciebie tak rano. Mnie tej książki bardzo teraz potrzeba!

Eliezer stał z pochyloną głową.

— U mnie tej książki nie ma już! — wyrzekł z cicha.

— A gdzież ona jest? — zapytał Meir.

— Książki tej, Meirze, którą my tutaj tyle razy czytaliśmy, z której głowy nasze piły światłość, a serca nadzieję, na całym świecie już nie ma! Ją ogień pożarł, a prochy jej na śmietnisko wyrzucono…

— Eliezer! Ty zląkłeś się i oddałeś ją na pożarcie ogniowi! — zawołał Meir.

— Moje ręce nie mogłyby popełnić takiego morderstwa; żeby nawet usta moje rozkazywały im uczynić to, one by ust moich nie posłuchały. Ale tydzień temu przyszedł tu ojciec mój i z wielkim gniewem rozkazał mi, ażebym oddał mu tę „przeklętą" książkę, którą my razem w sabat czytaliśmy na łące. Ja milczałem. On krzyczał: „Czy u ciebie jest ta książka?", powiedziałem: „U mnie", ale kiedy znowu zapytał się mnie: „Gdzie ona jest?", ja milczałem. Biłby mię, ale wspominając na mój urząd w synagodze i na wielką miłość, którą lud ma dla głosu mojego, lękał się dotykać ciała mego. Zaczął tylko

[119] *wyrzecz* — dziś popr. forma 2 os.lp trybu rozkazującego: wyrzeknij.

[120] *przenieść* (daw.) — doznać, przejść, przecierpieć.

[121] *Mora Nebuchim — Przewodnik błądzących*, dzieło Mojżesza Majmonidesa. [przypis autorski]

wszystko rozrzucać w izbie, a jak pościel rozrzucił, to i książkę znalazł. Chciał ją nieść do rabina, ale ja wtedy do nóg jemu upadłem i prosiłem, żeby on tego nie robił, bo nie pozwolono by mi za to śpiewać przed Panem i odebrano by mnie tę miłość, którą lud ma dla mnie za to śpiewanie moje. Ojciec sam tego zląkł się, bo on dumny bardzo z tego, że syn jego taki młody ma już wielki zaszczyt w synagodze, i on myśli, że za to, iż syn jego Panu śpiewa i ludowi słowa modlitwy podaje, Pan jemu powodzenie w interesach dawać będzie i grzechy jego przebaczać. Nie poniósł książki do rabina, ale ją sam w płomienie rzucił, a jak ona paliła się, śmiał się i skakał z radości...

— I ty, Eliezer, patrzałeś na to i nic nie robiłeś?... — drżącym głosem zapytał Meir.

— A co ja miałem zrobić? — odszepnął kantor.

— Ja bym książkę tę na piersi mojej położył... ja bym ją ramionami mymi do siebie przycisnął... ja bym powiedział ojcu: „Kiedy ty ją do ognia rzucać chcesz, rzućże razem i mnie!"...

Słowa te Meir mówił z iskrzącym się wzrokiem i płomieniem rumieńca na czole; Eliezer stał przed nim smutny, zawstydzony, z pochyloną twarzą i spuszczonym wzrokiem.

— Ja nie mogłem — szepnął — ja lękałem się, żeby mię od ołtarza Pana nie odepchnięto i przed ludem za bezbożnego nie ogłoszono... ale popatrz na mnie, Meir, i zobacz, czy pisania mistrza naszego ja nie kochałem tak, jako duszy mojej... odkąd jego nie ma już w izdebce mojej, twarz moja pobladła, a powieki zaczerwieniły się od łez...

— O, łzy, łzy, łzy twoje! — zawołał Meir, siadając gwałtownie na stołku i czoło ujmując w obie dłonie. — O! Te łzy, łzy, łzy twoje, Eliezer! — powtarzał szczególnym głosem, szyderskim niby, niby łzawym. — One przez wiekuistość płynąć mogą, a nic dobrego nie uczynią ani tobie, ani mnie, ani izraelskiemu ludowi! Eliezer! Ja ciebie kocham jak brata! Ty źrenica w oku moim! Ale ja łez twoich nie lubię i na powieki twoje od nich zaczerwienione patrzeć nie mogę! Eliezer! Nie pokazuj ty mi nigdy łez swoich, ale pokaż ty mi choć raz ogień w oczach swoich i siłę w tym głosie swoim, dla którego lud taką miłość czuje, że byłby jemu posłuszny jak dziecko matce...

Złorzecząc w ten sposób łzom przyjaciela, Meir sam oczy miał pełne łez. Nie chciał może ukazać ich, bo zakrył twarz dłońmi. Zakołysał też boleśnie postać swą i mówił dalej:

— Oj, oj, oj! Eliezer! Co ty zrobiłeś, książkę tę ojcu swemu na spalenie dając! Skąd my teraz drugie źródło mądrości dostaniemy! Gdzie my teraz głos jedynego mistrza naszego usłyszymy! Płomienie pożarły duszę dusz naszych, a prochy jej na śmietnisko wyrzucono... Rozniosą je wiatry na wszystkie strony, a jeżeli dusza mistrza naszego zobaczy je lecące tak na zginienie[122], zasmuci się i rozgniewa bardzo, i powie: „Oto drugi raz wyklęli mię ludzie!".

Mówiąc tak, nie mógł już utaić namiętnego płaczu, który go porywał. Łzy bujne i gęste, przenikając mu przez palce, spadały na chropowatą powierzchnię stołu. Nagle przestał wyrzekać i płakać. Umilkł i nie zmieniając postawy, pogrążył się w cichym żalu czy rozmyślaniu.

Eliezer otworzył okno.

Na piaszczystym gruncie rynku snuły się tu i ówdzie różowe i złotawe ścieżki. Były to pierwsze promienie słońca, które wschodzić zaczynało. Jedną ze świetlistych ścieżek tych postępował, ku domostwu Kamionkerów zmierzając, wysoki, barczysty, bosonogi człowiek. Ciężkie stąpania jego ozwały się wkrótce w bliskości okna, przy którym siedzieli dwaj młodzi ludzie. Meir podniósł twarz, a chociaż głowa idącego człowieka o rozczochranych włosach i nabrzmiałych ustach mignęła mu tylko przed oczami, poznał, że był to Jochel.

W parę minut potem tuż za otwartym oknem przeszli szybko dwaj ludzie czarno ubrani. Jeden wysoki był, poważny i błogo uśmiechniony[123], drugi niski, żwawy i ze zmarszczonym czołem pod gęstwiną popielatych od siwizny włosów. Byli to morejne Kalman i Abram Ezofowicz.

Dążyli tu znać oni nie przez plac, na którym widać ich wprzódy nie było, ale drogą jakąś uboczną, ukrytą za ścianami i podwórzami domostw, bo ukazali się nagle skądciś, zza węgła niskiego zajezdnego domu. Szli blisko obok siebie, lecz nie rozmawiając ze sobą,

[122] *zginienie* — dziś raczej: zginięcie; zgubę.
[123] *uśmiechniony* — dziś popr. forma: uśmiechnięty.

śpiesznie, a jednak cicho. Z chodu ich, milczenia i z samej twarzy Abrama, schmurzonej i niespokojnej, znać było, że życzyli sobie gorąco, aby nikt ich tu przybywających nie widział. Przebywszy elastyczny od nagromadzonego śmiecia grunt, który rozdzielał okna domostwa od podjazdowych słupów, zniknęli, jak przed chwilą Jochel, w sieni głębokiej, mrocznej jeszcze zupełnie i będącej zarazem stajnią.

Eliezer oderwał w tej chwili wzrok od nabożnej książki, którą czytać zaczął, i spojrzawszy na Meira, zawołał:

— Meir! Dlaczego twarz twoja zrobiła się taką srogą? Ja u ciebie takiej srogiej twarzy nie widziałem nigdy!

Mogło się zdawać, że Meir nie usłyszał nawet wykrzyku przyjaciela. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię szepnął on do siebie:

— Stryj mój Abram! Stryj mój Abram! Biada domowi naszemu! Wstyd i hańba domowi Ezofowiczów!

W izbie przyległej, cienkimi, niskimi drzwiami rozdzielonej z izdebką kantora, ozwały się teraz głośne i tłumne szmery. Naprzód Jankiel krzyknął tam na żonę, aby wyniosła i wyprowadziła dzieci, potem załopotało po podłodze przydeptane, płytkie obuwie Jenty: dzieci rozbudzone zapłakały, a gdy coraz przeraźliwszy wrzask oddalał się w głąb domu, tuż za ścianą ozwały się stąpania kilku ludzi, spieszne i głośne posuwanie drewnianych stołków i na koniec stłumiony, lecz dość głośny, bo gwałtowny, szept rozpoczynającej się rozmowy.

Meir wstał nagle ze stołka.

— Eliezer! — rzekł śpiesznie. — Idźmy stąd!

— Dlaczego my mamy stąd iść? — zapytał kantor, odrywając się znowu od nabożnego czytania swego.

— Bo ściana ta cienka jest... — zaczął Meir.

Nie dokończył i umilkł nagle, bo za ścianą dał się słyszeć gwałtowny wykrzyk stryja jego, Abrama:

— Ja o tym nic nie wiedziałem! Ty, Jankielu, nic mi o tym nie powiedziałeś.

Jednocześnie zabrzmiał żółciowy, przykry śmiech Jankiela.

— Bo u mnie rozum w głowie jest! — zawołał. — Ja wiedziałem, że u ciebie, Abramie, zgoda na interes taki trudna będzie! Ale jak ja sam interes ten załatwię...

— Sza! — syknął Kalman, a dwa głosy, które poniosły się były przed chwilą, zaczęły znowu szeptać.

— Eliezer! Idź ty stąd! — zawołał Meir.

Kantor nie rozumiał nic.

— Eliezer! Czy ty chcesz czcić ojca swego, jak przykazanym jest na górze Synaj?

Syn Kamionkera westchnął.

— Ja płacząc proszę Jehowę, abym mógł czcić ojca mego...

Meir rękę jego pochwycił.

— Nu, to idź stąd! Idź stąd! Bo jak zostaniesz tu jeszcze trochę, nigdy już... nigdy... nigdy czcić ojca swego nie będziesz...

Młody człowiek mówił to z takim uniesieniem, że Eliezer zbladł trochę i zmieszał się bardzo.

— A jak ja pójdę teraz stąd? — szepnął. — Jeżeli oni o wielkim sekrecie rozmawiają...

Tu znowu zabrzmiał za ścianą głośniejszy nieco wykrzyk Jankiela:

— Chajet Szmul, nędzarz, i furman Jochel, złodziej... oni obydwa grube pieniądze wezmą...

— A chłopi, co wódkę wieźli? — zwołał Abram.

Jankiel zaśmiał się.

— Oni u moich szynkarzy z ciałami, duszami i dobytkami swymi w kieszeniach siedzą...

— Szaa! — syknął znowu flegmatyczniejszy i ostrożniejszy od towarzyszy swych Kalman.

Tym razem Eliezer drżeć już począł. Przebłysk domysłu jakiegoś w umyśle jego zaświtał.

— Meir! Meir! — zaszeptał z niezwykłą sobie gwałtownością. — Ja chcę stąd iść, ale tamtędy, koło nich, lękam się... bo oni domyślą się, że ja z ich sekretu dowiedziałem się czegoś...

Meir blady był jak chusta.

— Eliezerze! Bracie mój — zwołał — ja nie chcę, aby serce twoje pękło od żałości.

Mówiąc to, jedną ręką odsunął stół przy oknie stojący, drugą popchnął przyjaciela ku otwartemu oknu.

— Okno niskie — szepnął. — Idź! Idź do szkoły! Padnij twarzą przed Panem, módl się i płacz!

W mgnieniu oka Eliezer zniknął z izdebki. Wtedy Meir wyprostował się i rzekł do siebie:

— Nu! Teraz ja im pokażę się! Niech wiedzą, że tu były uszy, które słyszeć mogły!

Mówiąc to, otworzył niskie drzwiczki i wszedł do sąsiedniej izby.

Tu pod ścianą na trzech blisko ku sobie przysuniętych stołkach siedzieli trzej ludzie. Rozdzielał ich mały stół z prostego białego drzewa. Jankiel i Abram wspierali się na nim łokciami i nisko pochylali ku sobie głowy. Kalman siedział wyprostowany, wspaniały, błyszczący od okrywających go sajet[124] i atłasów jak zwykle. Jankiel twarz miał płonącą od ceglastych, gorączkowych rumieńców, Abram był blady. Oczy pierwszego połyskiwały ostro, chciwie, złośliwie, wzrok drugiego spuszczał się ku ziemi, w trosce jakby i srogiej niepewności. Ale plastycznego spokoju Kalmana nic zachwiać nie mogło. Policzki jego rumieniły się zwykłą czerstwością, a na pulchnych wargach spoczywał wiekuisty miodowy uśmiech doskonałego zadowolenia.

Gdy Meir otwierał drzwiczki, do uszu jego doszły jeszcze wyraźnie słowa stryja jego, Abrama:

— A jeżeli cały dwór spali się razem z podwałem[125]?

— Aj, aj, aj! — odszepnął szyderczo Kamionker. — Wielka bieda! Jeden edomita więcej żebrakiem zrobi się!

Nagle mówiący umilkł i zatrząsł się cały od trwogi czy gniewu. Zobaczył otwierające się drzwiczki i wchodzącego przez nie Meira. Zobaczyli go też dwaj towarzysze jego. Uśmiechnięte usta Kalmana otworzyły się szeroko, czoło Abrama zmarszczyło się groźnie.

Meir widział wrażenie, które sprawiło wejście jego. Przestąpiwszy próg, zatrzymał się na chwilę i wzrok utkwił w twarzy stryja swego. Wzrok to był przenikliwy, śmiały, ale zarazem taki jakiś pokorny, smutny i błagalny, że spotkawszy się z nim, oczy Abrama niespokojnie zamigotały i spuściły się ku ziemi. Głowa jego, szarą siwizną okryta, pochyliła się także, a ręce opadły na kolana i drżeć zaczęły.

Meir z wolna przeszedł izbę i wnet znalazł się w innej, w której nikogo nie było oprócz stojącego pomiędzy ścianą a piecem Jochela. Stał on tam w wyczekującej jakby postawie, plecami łachmaniastego spencera wycierał nędzną pobiałę ściany, a bezmyślnymi oczami spoglądał na bose swe stopy.

Za odchodzącym ozwał się wykrzyk Jankiela:

— *A ferszołtener* (przeklęty).

Abram i Kalman milczeli długo.

— Dlaczego ty, Jankielu, w takie złe miejsce nas przyprowadził? — flegmatycznie zapytał potem Kalman.

— Dlaczego ty nas nie ostrzegłeś, że za tymi drzwiami może kto być i słyszeć? — gwałtownie zaszeptał Abram.

Jankiel tłumaczył się, że za drzwiami tymi była izdebka syna jego, kantora, który dla interesów zupełnie obojętny jest, wcale ich nie rozumie, a czytając zawsze i modląc się, nic wkoło siebie nie słyszy.

— Skąd ja mogłem wiedzieć, że ten przeklęty dzieciak tam był? Którędy on wszedł? Chyba przez okno, jak złodziej?

— Nu! — rzekł po chwili, namyślając się i ośmielając. — A co to szkodzi, że on słyszał? Izraelitą, jest! Naszym! On pary z ust przeciwko swoim wypuścić nie będzie śmiał!

[124]*sajeta* — cienki, kosztowny materiał sprowadzany z zagranicy.

[125]*podwał* — miejscowa nazwa składu spirytualnych napojów wyrobionych w gorzelni lub browarze. [przypis autorski]

— On może śmieć — zauważył Kalman. — Ale my na niego oko mieć będziem i jeżeli jego usta choć jedno słowo z siebie wypuszczą, zegniemy go w łęk…

Abram wstał.

— Róbcie, co chcecie — rzekł porywczo. — Ja do tego interesu należeć nie chcę…

Jankiel rzucił na niego zjadliwe spojrzenie.

— Nu — rzekł — i owszem. Dla mnie i dla Kalmana zarobek będzie większy… bo czyje ryzyko, tego i korzyść powinna być…

Abram usiadł. Ciężka walka malowała się na twarzy jego, wrażliwej, nerwowej, zbrużdżonej namiętnościami w różne kierunki.

Jankiel, który trzymał w ręce kawałek kredy, zaczął pisać nią na małej czarnej tabliczce.

— Osiem tysięcy wiader — mówił — po cztery ruble wiadro, trzydzieści dwa tysiące rubli. Trzy w trzydziestu dwóch tysiącach… dziesięć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć rubli sześćdziesiąt sześć kopiejek i jedna trzecia… Po sześćset rubli od każdego wezmą Jochel i Szmul, nu! dla nas będzie po dziesięć tysięcy sześćdziesiąt sześć rubli sześćdziesiąt sześć kopiejek i jedna trzecia.

Abram wstał znowu. Nic jednak nie mówił. Patrzał w ziemię i w obu rękach miął chustkę. Po chwili nie podnosząc oczu zapytał:

— A kiedy to nastąpi?

— To bardzo prędko nastąpi! — odpowiedział Jankiel.

Abram nic już więcej nie mówiąc i nie żegnając towarzyszy, szybkim krokiem wyszedł z izby.

Śród obszernego placu zaczynał się ruch, gwar i turkot przybywających na wielki targ wozów i ludzi. Ludność całego miasteczka stała już na nogach, gotując się do sprawiania w dniu tym licznych i najróżnorodniejszych interesów. W domu Ezofowiczów nikt też już nie spał; wstano tam także wcześniej niż zwykle.

W tej stronie domu, którą zamieszkiwali z rodzinami swymi Rafał i Ber, słychać było kilka głosów męskich, rozmawiających ze sobą żywo, głośno i wesoło. Wymieniano tam różne przedmioty handlu i przy każdym z nich stawiano liczne szeregi cyfr. W rozmowę tę mieszało się od czasu do czasu opowiadanie jakieś, śpiewnym głosem wypowiadane, a po nim następowały wykrzyki zdziwienia, tłumne zapytania albo wesołe śmiechy. Czuć tu było pokój i zadowolenie ludzi pracujących gorliwie około dobrobytu swego i rodzin swych, lecz troskę o sprawy życiowe osładzających sobie wzajemną otwartością, ufnością i przyjaźnią.

W dużej, widnej bawialnej izbie pachnącej jedliną, której gałązkami usypano dnia tego podłogę, staranniej jeszcze niż zwykle wymytą i wymiecioną, na starej, żółtej kanapie przed stołem zasłanym barwistą serwetą siedział Saul w odświętnym ubraniu z błyszczącej sajety, w aksamitnej czapeczce na srebrzystych włosach i z wolna szczerosrebrną łyżeczką popijał woniejącą, wyborną herbatę. Ogromny, błyszczący jak złoto samowar nie stał poranku tego, jak zwykle, na szafie, przez szyby której przeglądały dostatnie naczynia kuchenne i stołowe, lecz żarzył się węglami i buchał parą w sąsiedniej izbie wielkiej, czystej, ławami i stołami dokoła ostawionej, a jaskrawo oświetlonej szerokim płomieniem ogniska, roznieconym w wielkim kuchennym piecu. Nastawienie ogromnego samowaru tego, szerokość kuchennego ogniska, żwawe krzątanie się około niego niewiast i dość licznej służby domowej, a także odświętne ubranie Saula i niepokalana białość firanek ozdabiających okna bawialnej izby objawiały, że w domostwie bogatej rodziny kupieckiej spodziewano się dnia tego licznych gości i na przyjęcie ich czyniono wesołe i uprzejme przygotowania.

Teraz przecież ranek był wczesny jeszcze i stary Saul siedział sam jeden, lubując się widocznie atmosferą ładu i dostatku, która go otaczała, jak też odgłosami rozmów i krzątań się napełniających od szczytu do podstaw dom obszerny i ludny. Była to jedna z chwil dość częstych zresztą, które poważnemu patriarsze starożytnego rodu w całej pełni uczuć dawały wszystkie łaski i dostojeństwa obficie zlane przez Jehowę na błogosławioną starość jego.

Zaledwie jednak otworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wszedł do izby Meir, pierzchnęła błogość napełniająca przygasłe źrenice i rozjaśniająca zbrużdżone czoło Saula. Widok wnuka przywiódł mu znać na pamięć bolący cierń jakiś, o którym wśród wdzięcznego

rozpamiętywania kwiatów żywota swego zapomniał był przez chwilę. Pierwsze też spojrzenie na młodego człowieka sprawiało wrażenie fałszywej, a raczej smutnej i burzliwej nuty, wmieszanej w akord harmonijny i wesoły. Troska i niepokój malowały się na pobladłej twarzy jego, a w oczach płonął ogień wzburzonych uczuć i myśli. Wszedł do izby śmiało i prędko, ale gdy spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem dziada, pochylił twarz i zwolnił nieco kroku. Niegdyś zbliżał się on do dobroczyńcy i ojca ojca swego z ufnością i pieszczotą ulubionego dziecka. Teraz jednak czuł, że pomiędzy nim a starcem tym, który wypiastował dzieciństwo i młodość jego, wznosiła się coraz wyższa i twardsza zapora. Wiedział też, że zaporę tę wzniósł sam słowami i postępkami swymi; tęskno mu było za dawną czułością przygasłych oczu tych, które teraz patrzały nań surowo i gniewnie; toteż zbliżył się do dziada ze spuszczoną smutnie powieką, stanął przed nim w nieśmiałej postawie i proszącym, pokornym prawie głosem rzekł:

— Zejde! Ja bym chciał z tobą o jednej ważnej rzeczy pomówić!

Na widok nieśmiałości tej, z jaką ulubione mu niegdyś dziecko zbliżało się do niego, na przyciszony i proszący dźwięk jego głosu Saul mniej surowym stał się, a więcej smutnym.

— Mów! — odpowiedział krótko, lecz łagodnie.

— Zejde! Czy pozwolisz mi zamknąć drzwi i okno, aby nikt rozmowy naszej posłyszeć nie mógł?

— Zamknij! — odpowiedział Saul i z pewnym już niepokojem oczekiwał dalszej rozmowy z wnukiem.

Meir zamknął drzwi i okno, a blisko dziada stanąwszy, zaczął:

— Zejde! Ja wiem, że słowami moimi przyniosę tobie znowu zmartwienie i kłopot. Ale do kogóż udać się mam? Ty dla mnie byłeś ojcem i dobroczyńcą... do ciebie naprzód ciągnie mię serce w każdej zgryzocie mojej...

Głos jego zadrżał. Widać mu było z twarzy, że głęboka czułość serca ciągnęła go do kolan i w ramiona starca tego, który zmiękczony widocznie, z rozbłysłym nagle okiem, odpowiedział:

— Mów wszystko! Chociaż ja mam przyczyny gniewać się na ciebie, bo ty nie jesteś takim, jakim pragnie widzieć cię dusza moja, nie zapomnę ja nigdy o tym, że jesteś synem syna mego, który prędko bardzo z oczu moich zniknął... Jeżeli ty kłopot jaki masz, ja go z głowy twojej zdejmę, a jeżeli tobie kto krzywdę jaką wyrządził, ja stanę naprzeciw krzywdziciela twego i ukarzę go za ciebie...

Na Meira słowa te wywarły wpływ ośmielający i pocieszający.

— Zejde! — rzekł śmielszym już głosem — na głowie mojej, dzięki tobie, kłopotu żadnego nie ma i mnie nikt krzywdy żadnej nie wyrządził. Ale ja o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się i nie wiem sam, co z nim zrobić. Zataić go w sobie ja nie mogę, bo jeżeli ja go zataję, na świecie stanie się wielki jeden grzech, a na cały lud izraelski wielki wstyd spadnie. Więc ja sobie pomyślałem, że o sekrecie tym tobie, zejde, powiem, żebyś ty z siwymi włosami swymi i z powagą swoją, którą nad duszami ludzkimi masz, grzechowi i wstydowi na przeszkodzie stanął...

Teraz już Saul wpatrywał się w twarz wnuka wpół z ciekawością, wpół z niezadowoleniem.

— Nu! — rzekł. — Lepiej daleko tym ludziom jest, którzy żadnych sekretów strasznych nie przenikają i nigdy o nich ust swoich nie otwierają. Ale ja boję się, że kiedy ty nie otworzysz serca swego przede mną, otworzysz je przed innymi ludźmi i znowu z tego nieprzyjemności jakie wypadną... Mów! Jaki to jest ten straszny sekret?

Meir odpowiedział:

— Sekret ten jest taki: Jankiel Kamionker trzyma w posesji od Kamiońskiego dziedzica wielką gorzelnię jego... On w tej gorzelni wypędził sześć tysięcy wiader wódki, ale nie sprzedawał jej przez całe lato. On jej nie sprzedawał dlatego, że cena niska była. Teraz cena podskoczyła w górę i on ją sprzedać chce, ale podatku, który od niej rząd bierze, zapłacić nie chce...

— Mów ciszej! — przerwał nagle Saul, którego twarz zdradzała wzrastający niepokój.

Meir głos zniżył do szeptu prawie:

— Żeby podatku nie zapłacić, Kamionker wódkę tę wykradł ze dworu i przeszłej nocy przewiózł ją pod karaimskie wzgórze, gdzie ją szynkarze z różnych stron targowali i rozkupywali... Ale on pomyślał sobie: „A co będzie, jak urzędnik przyjedzie rewidować

podwał i wódki nie znajdzie?… Wielka będzie odpowiedzialność za to i wielki sąd”… Jak on tak pomyślał, to on dwóch ludzi najął… Zejde!! On dwóch nędzarzy pieniędzmi skusił…

— Sza! — zawołał nagle przyciszonym głosem Saul. — Milcz i niech żadne słowo więcej z ust twoich nie wyjdzie! Już ja końca twojej mowy domyśliłem się!

Ręce starca drżały, siwe brwi jego zsunęły się i zjeżyły. Meir umilkł i pełnymi niespokojnego oczekiwania oczami patrzał na dziada.

Saul milczał długo, potem nie podnosząc spuszczonych powiek, niepewnym głosem wymówił:

— Twoje usta kłamstwo wyrzekły. To nie może być!

— Zejde! — zaszeptał Meir. — To prawda jest taka, jak te słońce[126], co dziś na niebie świeci! A dlaczego to nie może być! Czy ty, zejde, nie słyszałeś, że wypadki takie przytrafiały się już zaprzeszłego roku i przeszłego roku w różnych stronach… Takie wypadki, zejde, przytrafiają się coraz częściej, a od nich każdemu prawemu Izraelicie serce ściska się od boleści, a czoło pali się od wstydu!…

— Skąd ty to wszystko możesz wiedzieć? Skąd ty to wszystko tak dobrze możesz rozumieć? Ja tobie nie wierzę!

— Skąd ja to wszystko mogę wiedzieć i rozumieć? Zejde! Ja w twoim domu chowałem się. A do twego domu wielu zawsze ludzi przychodziło i przyjeżdżało: Żydów i chrześcijan, kupców i panów, bogatych i biednych… Oni z tobą o interesach rozmawiali, a ja słuchałem i rozumiałem. Czemuż ja teraz nie mam rozumieć?…

Saul milczał znowu. Najsprzeczniejsze uczucia malowały się na twarzy jego, głęboko zaniepokojonej. Nagle gniew na wnuka wezbrał mu w piersi.

— Ty zanadto rozumiesz! — zawołał. — Ty zanadto ciekawy jesteś! Dusza twoja, pełna niespokojności, niespokojność wszędzie roznosi! Ty mnie spokój mojej starości trujesz! Ja dziś szczęśliwy byłem, dopóki ciebie oczy moje nie zobaczyły! Jak ty wszedłeś, weszła z tobą zgryzota!

Meir pochylił głowę.

— Zejde! — rzekł smutnie. — Za co ty mnie łajesz? Ja nie ze swoim interesem do ciebie przyszedłem…

— A na co tobie do cudzych interesów mieszać się? — z dziwnym jakimś wahaniem się w głosie zawołał znowu starzec.

— To nie jest cudzy interes! — żywiej już odparł Meir. — Kamionker Izraelitą jest… on nasz… a na co on brzydkimi postępkami swymi duszę Izraela psuje i sławę jego przed światem plami?… Zejde! I dla ciebie interes ten cudzym nie jest! Syn twój, Abram, do interesu tego należy!

Saul podniósł się nagle z kanapy i znowu na nią opadł.

— Syn mój, Abram! — zawołał.

Potem bystrym, przenikliwym spojrzeniem przeszył twarz Meira.

— Ty nie kłamiesz?

— Ja widziałem i słyszałem… — szepnął Meir.

Saul namyślał się długą chwilę.

— Nu! — rzekł z wolna. — Ty masz prawo skarżyć się przede mną na stryja swego! On brat twego ojca i z jego postępku spaść może wielkie nieszczęście i wielka hańba na ciebie i cały ród nasz. W rodzie Ezofowiczów takich paskudnych rzeczy nigdy nie bywało i ja synowi memu zabronię do interesu tego należeć…

— Zejde! Powiedz ty także Kamionkerowi i Kalmanowi, żeby oni tego nie robili!

— Ty głupi jesteś! — rzekł Saul. — Czy Kamionker i Kalman są synami mymi albo mężami moich córek? Oni mię nie posłuchają!

— Jeżeli oni nie posłuchają — zawołał Meir — to ty, zejde, oskarż ich przed dziedzicem Kamiońskim… oskarż ich przed sądem!

Saul podniósł na wnuka wzrok nagle roziskrzony.

— Twoje rady głupie są! — zawołał z wybuchem. — Twoje serce napojone żółcią i piołunem przeciw narodowi własnemu! Co to! Ty z dziada swego donosiciela chcesz

[126]*te słońce* — dziś popr. forma: to słońce.

zrobić! Ty chcesz, żeby dziad twój głowy braci swych, Izraelitów, niebezpieczeństwu poddawał!

Chciał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i do izby weszło kilku Izraelitów przybyłych z sąsiedztwa na targ szybowski. Byli to poważni i zamożni kupcy lub dzierżawcy sąsiednich dóbr wiejskich. Saul przypodniósł się nieco na ich powitanie, ale oni szybko ku niemu podeszli, za ręce go ściskali i wraz z uprzejmymi pozdrowieniami oświadczali, iż celem przybycia ich do Szybowa były mniej interesa[127], które tu dnia tego sprawić mieli, jak chęć odwiedzenia mądrego i wysoce przez nich szanowanego reba Saula. Reb Saul na grzeczności gości wzajemnymi grzecznościami odpowiadał, poważnym gestem wskazał im krzesła dokoła stołu stojące, a sam nie opuszczając poczestnego[128] miejsca swego na żółtej kanapie, w ręce chude i pomarszczone głośno klasnął. Hasło to wywołało z sąsiedniej izby hożą dziewkę, służącą, która na srebrnej tacy kilka szklanek herbaty wniosła i przed gośćmi je ustawiła. Oni za gościnność przyjęcia sędziwemu gospodarzowi z uśmiechami i ukłonami dziękowali, herbaty, której mocna woń rozeszła się po izbie, z wyraźną przyjemnością zakosztowali i wnet o interesach swych handlowych i sprawach familijnych żywe opowiadania i rozmowy wieść zaczęli.

Meir ujrzawszy, że daremnie oczekiwałby teraz na możność dalszego rozmawiania z dziadem, usunął się do wielkiej kuchennej izby, w której wrzało teraz jak w garnku. Tu także znajdowali się goście, całkiem tylko niepodobni do tych, których w bawialni ugaszczał naczelnik domu.

Na ławach u ścian stojących siedziało tu kilkunastu mężczyzn w ubogich, znoszonych ubraniach, a córka Saula, Sara, wraz z synową jego, żoną Rafała, uprzejmie z nimi rozmawiając, częstowały ich czarkami miodu, wielkimi, białymi chałami i dymiącym się w misach krupnikiem. Siedzący na ławach ludzie odpowiadali uprzejmym gospodyniom domu wesoło, ale trochę nieśmiało, a za ofiarowane im pożywienie pokornie bardzo dziękowali. Pochodzili oni bowiem z ubogiej klasy okolicznych pachciarzy, szynkarzy, faktorów, przekupniów trudniących się drobnym handlem. Ciemne twarze ich, chude ciała i zgrubiałe ręce objawiały życie ubóstwa, trosk i ciężkiej walki o byt. Najdrobniejszy pieniądz wydany za domem na konieczne pożywienie byłby dla nich wydatkiem i uszczerbkiem znacznym; przybywając też na targi do Szybowa, dążyli oni wprost ku domostwu Ezofowiczów, którego drzwi szeroko i gościnnie otwierały się przed nimi zawsze, a w którym ugaszczanie ich chętne i dostatnie zwyczajem było trwającym od paru już setek lat.

Dwie kobiety więc, w jedwabnych spódnicach wysoko podniesionych, w złotych kolcach i kwiecistych czepcach, z uśmiechami na rumianych ustach, krzątały się żwawo pomiędzy piecem kuchennym, z którego buchał jaskrawy blask ognia, a otwartymi oknami, u których obsiadali ławy pokorni i wdzięczni ich goście. Ale i za oknami jeszcze ukazywały się tłumnie tam nagromadzone twarze i wyciągające się ręce. Tam już był zbiór braci najuboższych, na targ przybyłych nie w celu handlów i zarobków, ale dla obudzenia miłosierdzia szczęśliwszych swych współwyznawców. Z łachmanów, które ich okrywały, poznać można było żebraków, różnymi kolejami losu w ostateczne ubóstwo wtrąconych, a których miłosierdzie publiczne, jakkolwiek w gminie szybowskiej dość szeroko rozwinięte, ogarnąć sobą nie zdołało. Ludziom tym dziewki służące rozdawały przez okna chleb, zsiadłe mleko i drobną miedzianą monetę. Gwar dziękczynień ich i błogosławieństw wnikał do izby i błogo znać rozlegał się w sercach dwóch gospodarujących kobiet, bo uśmiechały się one coraz weselej i dumniej i z głębokich kieszeni swych wyjmowały coraz nowe garście miedzianych monet.

Ale i w innej stronie izby kuchennej wesołe i gwarne odbywały się sceny. Gromadka dziatwy domowej, z kilkunastu chłopców i dziewcząt najróżniejszego wieku złożona, skupiła się tam pod ścianą, w odświętnych ubiorach i z odświętnymi łakociami przy ustach. Starsi chłopcy milcząc przypatrywali się przybyłym i przybywającym wciąż obcym ludziom i ciekawie rozmów ich słuchali; dziewczynki zdawały się, przeciwnie, nic nie widzieć dokoła siebie, tak zajęte były barwnymi spódniczkami, w które je przybrano, sznurami paciorek, które otaczały ich szyje, i długimi wstęgami, którymi związano im płowe lub czarne warkocze. Dziatwa najmłodsza pełzała po ziemi, wrzaskliwie śmiejąc

[127] *interesa* — dziś: interesy.
[128] *poczestny* (daw.) — wyrażający cześć, uczczenie kogoś; dziś: poczesny.

się albo płacząc, a wszystko to żarliwie zajadało złociste obwarzanki albo wielkie kawały chleba, błyszczące grubą warstwą miodu. Tuż obok gromadki tej pra- i praprawnuków siedziała na ławie prababka Frejda. Dnie dzisiejszemu podobne gwarem swym i tłumem napływających do domu obcych twarzy wstrząsały drzemiącym jej umysłem i budziły w nim wspomnienia dawnej przeszłości. W dniach takich przed pamięcią prastarej kobiety migotały obrazy własnej przeszłości jej, obrazy dni, w których, szczęśliwą małżonką ukochanego Hersza swego będąc, tradycje i zwyczaje domu jego przyjęła ona za swoje i do utrzymania ich w całej świetności przykładała się całą siłą serca swego, głowy i rąk. Toteż i dziś złotawe źrenice jej przytomniej niż zwykle spoglądały dokoła, a na wargach zaledwie widzialnych rozkwitał uśmiech doskonałego zadowolenia. Wnuczki obudziły ją wcześniej niż zawsze, podniosły z łoża, przyoblekły w najkosztowniejszą i najkwiecistszą szatę, a teraz przed wprowadzeniem jej do bawialni, gdzie zwykłe miejsce swe u okna na najparadniejszym w domu fotelu zająć miała, strój jej uzupełniały. Czarnooka Lijka spinała zawój prababki diamentową gwiazdą, jedna z młodszych sióstr jej wkładała w jej uszy olbrzymie kolce z brylantów, druga owijała pomarszczoną jej szyję sznurami pereł i ciężki złoty łańcuch układała na piersi, aby jak najpiękniejsze układał wzory wśród śnieżnej bieli fartucha. Czyniąc to wszystko, uśmiechały się młode dziewczyny, odchylały nieco głowy dla lepszego przyjrzenia się własnemu dziełu, niekiedy spoglądały figlarnie w złotawe źrenice prababki albo głośne całusy składały na pomarszczonym jej czole. Pachciarze, arendarze, ubodzy przekupnie spoglądali na grupę tę złożoną ze stuletniej rodzicielki rodu i strojących ją hożych dziewcząt, kołysali głowami w podziwie nad wielką starością jej, bogactwem jej klejnotów i otaczającą ją miłością; z ust ich wychodziły cmokania i wykrzyki zachwytu, a oczy pełne były rozrzewnienia i czci.

Druga za to strona domu, ta, w której przed kwadransem rozlegały się żywe i wesołe rozmowy dojrzałych członków rodziny, pustą teraz była i cichą zupełnie.

Meir przeszedł wąski korytarz i otworzywszy drzwi mieszkania stryja swego, Rafała, spotkał się w progu z wybiegającym stamtąd młodym swym bratem stryjecznym i przyjacielem, Chaimem. Dziecinna jeszcze prawie twarz Chaima, ocieniona kędzierzawymi, złotawymi włosy, ożywioną była i rozpromienioną niezmiernie.

— Gdzie stryj Rafał? — zapytał go śpiesznie Meir.

— Gdzie on ma być? — z nadzwyczajnym pośpiechem odpowiedział młody chłopak. — Poszedł z Berem woły na rynku kupować!

— A ty, Chaim, gdzie idziesz?

Chłopak zapytania tego nie usłyszał nawet. Niecierpliwie usunął z drogi brata i wkładając na głowę czepeczkę[129], z wesołym nuceniem wybiegł z domu. Jego także rozweselił gwar i ruch dnia tego i nęciły ku sobie tłumne widowiska i różnorodne targi miejskiego rynku.

Meir wyszedł na ganek i rozejrzał się po obszernym placu. Targ rozpoczynał się zaledwie, ale obok kilkudziesięciu wozów, które zebrały się po samym jego środku, zobaczył on Bera zawzięcie już rozprawiającego z gromadką wieśniaków, u której targował kilka rosłych, u wozów stojących wołów. Rafała Meir dostrzegł także. Stał on na ganku jednego z domów otaczających rynek wraz z kilku poważnymi kupcami przybyłymi z sąsiedztwa i toczył z nimi ożywioną rozmowę, której treść poznać można było po gestach żywych, którymi poruszały się ręce ich, liczące jakby na palcach przewidywane na dziś wydatki i zyski.

Zbliżać się do dwóch tych ludzi, najpoważniejszych po Saulu w rodzinie, i chcieć z nimi rozpoczynać rozmowę nietyczącą się bezpośrednio spraw dnia dzisiejszego daremnym by było. Meir wiedział o tym i daremnych prób nie czynił. Świat cały, tak pstro i ruchliwie otaczający go dnia tego, widział on jak przez mgłę lub sen. Dziwnym wydawało mu się, że nikt spomiędzy ludzi tylu nie myślał o tym, o czym on nie mógł przestać myśleć, choćby chciał.

„Co mi do tego?" — mówił sobie w duchu. „Co ja mogę?" — dodawał i smętnym wzrokiem spoglądał dokoła, a ktokolwiek by wtedy patrzał na niego, rzec by mógł, iż znudzonym on był albo zmęczonym. Lecz w głębi piersi wrzało mu i kipiało. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć swych, ale czuł, że czekać w milczeniu pory, w której wszystko

[129] *czepeczkę* — dziś: czapeczkę a. czepeczek.

w miasteczku uspokoi się i ucichnie, a za miasteczkiem błyśnie na niebie ognista łuna pożaru — niepodobna mu będzie.

— Co ten człowiek zawinił nam? — mówił do siebie.

Myślał o dziedzicu Kamiońskim.

Wzrok jego, niepewny, zwątpiały[130], błądząc dokoła rynku, padł na ganek przyozdabiający dom kupca Witebskiego. Na ganku tym stał sam właściciel domu w rozwartym z przodu, półkrótkim surducie, z błyszczącym łańcuchem na atłasowej kamizelce. Palił on cygaro i spoglądał na rozpoczynający się śród rynku ruch targowy ze spokojną miną człowieka, który w ruchu tym żadnego udziału brać nie zamierza. W istocie, handlując przeważnie drzewem, które w ogromnych ilościach skupował u właścicieli wiejskich kilku powiatów, Witebski spraw żadnych na targu szybowskim mieć nie mógł. Zbyt wytwornym był zresztą i przekonanym o ważności prowadzonych przez się interesów, aby w pstry motłoch ten, zajęty detaliczną sprzedażą zboża i bydła, mieszać się chciał.

Meir zbiegł ze wschodów ganku i szybko zmierzał ku Witebskiemu, który ujrzawszy go uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął doń szeroko roztwartą rękę.

— Aj, aj! — zawołał. — Rzadki gość! Miły gość! Nu! Ja wiem, że ty do tego czasu przyjść tu nie mogłeś, ażeby rodzicom narzeczonej swojej pokłon oddać! Srogi zejde w bet-ha-midraszu siedzieć kazał i *Talmud* czytać! Nu! Nic to nie znaczy! Zejde dobry jest, kochany staruszek! On nie ze złego serca ciebie ukarał i ty nie ze złego serca zgrzeszył! Zwyczajnie, młody… poswawolił trochę… Nu! Chodź do naszego salonu, a ja zaraz swojej żonie powiem, żeby przyszła i przyjmowała ciebie jak kochanego zięcia!

W ten sposób przemawiając, światowy kupiec uśmiechał się wesoło, poglądał na przyszłego zięcia przyjaźnie i za rękę trzymając wiódł go z sobą do salonu. Tam przed zieloną rypsową kanapą zatrzymując się, figlarnie spojrzał mu w oczy i dodał:

— Że ty, Meirze, skromny jesteś i narzeczonej swojej wstydzisz się, to dobrze! Ja to lubię! Ja sam taki byłem i nasi wszyscy młodzieńcy takimi powinni być! Ale moja córka edukowana jest i na wielkim świecie żyła, gdzie zwyczaje inne są. Ona bardzo dziwi się i płacze, że narzeczonego swego nie zna, wtedy gdy ślub i wesele za miesiąc już nastąpić mają. Nu! Ja pójdę, przyprowadzę ją tutaj! Okna pozamykam, żeby nikt nie widział, że wy tu razem jesteście. Pogadajcie z sobą trochę… poznajcie się…

Mówiąc to, chciał odejść, ale Meir przytrzymał go za rękaw surduta.

— Rebe! — rzekł. — Mnie teraz nie narzeczona i nie wesele w głowie siedzą! Ja do ciebie z innym zupełnie interesem przyszedłem…

Witebski spojrzał przenikliwie w poważną i pobladłą nieco twarz młodego człowieka i spochmurniał nieco.

— Nie ze swoim interesem ja do ciebie, rebe, przyszedłem… — mówił dalej Meir, ale Witebski mowę mu przebił:

— Jeżeli to nie twój i nie mój interes, to na co my mamy o nim mówić!

— Bywają na świecie takie interesy — odparł młody człowiek — które do wszystkich należą i wszyscy o nich mówić i myśleć powinni.

Mówiąc tak, miał zapewne na myśli to, co w cywilizowanym języku nosi imię spraw publicznych. Nazwy tej nie znał, ale głęboko i gorąco czuł rzecz, którą ona wyraża.

— Ja dziś o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się…

Witebski podskoczył z fotela, na którym usiadł był przed chwilą.

— Ja o żadnym strasznym sekrecie wiedzieć nie chcę! — zawołał. — Po co ty masz mi o nim mówić? Ja nie ciekawy!

— Po to, rebe, żebyś ty jemu na przeszkodzie stanął…

— A na co ja mam stawać? A co mnie do tego? A dlaczego ty do mnie z takim gadaniem przyszedł?

— Dlatego, rebe, że ty bogaty jesteś i pięknie mówić umiesz, i z całym światem zgodę trzymasz, nawet z samym wielkim rabinem, który aż uśmiecha się, jak ciebie zobaczy. Twoje słowo wiele może i żebyś ty chciał…

— Ja nie chcę! — przerwał Witebski ze stanowczością w głosie i chmurą na czole. — Ja bogaty jestem i zgodę ze wszystkimi trzymam, to prawda, ale ja tobie coś powiem, Meir.

[130]*zwątpiały* — dziś: pełen zwątpienia a. osłabiony.

Tu zniżył głos i dodał:
— Żebym ja w sekrety ludzkie wdawał się i interesom cudzym na przeszkodzie stawał, ja bym ani bogaty nie był, ani zgody z nikim nie znalazł i mnie by nie było tak dobrze na świecie, jak teraz jest...
— Rebe! — po chwili namysłu rzekł Meir. — Mnie bardzo miło słyszeć, że tobie na świecie dobrze jest, ale ja bym nie chciał, żeby mi dobrze było przez krzywdę ludzką...
— Nu! A kto mówi o krzywdzie? — uśmiechając się, rzekł Eli. — Ja nigdy nie krzywdzę nikogo... ja handluję uczciwie i wszyscy, z którymi handluję, kontenci ze mnie są i przyjaźń dla mnie mają... Ja, dziękować Bogu, wszystkim ludziom śmiało w oczy patrzeć mogę i na majątku, co go dla dzieci moich zbieram, nie ma łzy ani szkody cudzej...
Meir z uszanowaniem głowę przed mówiącym pochylił.
— Ja wiem, rebe, że tak jest, jak powiedziałeś. Ty interesy swoje uczciwie prowadzisz, a uczciwością swoją i tym rozumem, który ci Przedwieczny dał, honor domowi Izraela przynosisz. Ale mnie się zdaje, że kiedy człowiek sam uczciwym jest, to on na cudzą nikczemność obojętnie patrzeć nie powinien, bo kiedy on może przeszkodzić krzywdzie ludzkiej, a nie przeszkodzi, to tak jest, jakby on sam krzywdę tę sprawił. Ja dowiedziałem się, że człowiekowi niewinnemu przez jednego z braci naszych Izraelitów wielka krzywda stać się ma... Sam ja nic nie mogę, ale szukam ludzi takich, którzy mogą niewinnego od nieszczęścia ratować...
Tu najniespodzianiej w świecie przerwał mówiącemu głośny i wesoły śmiech Witebskiego, który wstał z fotelu i żartobliwie gościa swego po ramieniu poklepał.
— No, no! — rzekł. — Już ja widzę, że u ciebie, Meir, gorąca głowa! Ty chcesz z niej kłopot jakiś wyjąć i w moją głowę go włożyć! Nu! Ja tobie bardzo pięknie za prezent ten dziękuję, ale go od ciebie nie wezmę! Daj pokój! Po co my mamy życie sobie truć, kiedy dzisiejszy dzień może być dla nas bardzo wesoły? Ot, siadaj tu sobie na tym fotelu, a ja pójdę i narzeczoną twoją tobie przyprowadzę. Ty nie słyszałeś jeszcze jej muzyki!... Aj, aj! Jak ona gra! Dziś nie sabat i ona będzie mogła pograć sobie trochę, a ty posłuchasz...
Mówiąc to z ożywieniem i figlarnością w głosie i wzroku, odejść chciał, ale Meir przytrzymał go znowu za rękaw odzienia.
— Rebe! — zawołał. — Wysłuchaj ty mię przynajmniej...
Witebskiemu niecierpliwie trochę oczy błysnęły. Śmiejąc się jednak odpowiedział:
— Aj, aj! Meir! Jakim ty swawolnikiem jesteś! Ty chcesz starszych od siebie ludzi gwałtem przymuszać do tego, czego oni robić nie chcą. No! Ale ja ci to przebaczam i idę, żeby narzeczoną twoją tu zawołać...
Mówiąc to, posunął się znowu ku drzwiom, ale Meir raz jeszcze zastąpił mu drogę.
— Rebe! — zawołał. — Ja ciebie nie puszczę, póki ty mię nie wysłuchasz! Bo do kogóż ja więcej udam się? Dziś wszyscy zajęci gośćmi i interesami swymi... ty jeden, rebe, nic nie robisz i czas masz...
Umilkł, bo Witebski przestał uśmiechać się i z chmurą niezadowolenia na pogodnym zazwyczaj czole poważnym gestem dłoń mu na ramieniu położył.
— Słuchaj, Meir — rzekł — ja tobie coś powiem. Ty na niedobrą drogę wszedłeś. Wszyscy ludzie głośno o tym gadają i są tacy, co bardzo na ciebie za to gniewają się, ale ja tobie pobłażam. Pobłażam ja tobie dlatego, że sam nie zawsze tak myślę, jak wszyscy, i wiem, że niektóre rzeczy u nas, w Izraelu, inaczej być powinny, niż są! Nu! Ja tak myślę, ale ja tego nigdy nie mówię i po sobie nie okazuję! Na co ja mam mówić i okazywać? Co ja pomogę? Jeżeli Pan Bóg rzeczy te takimi zrobił, to ja sprzeciwiając się Jemu obróciłbym Go przeciw sobie, a jeżeli to ludzkie wymyślenia i omyłki są, to i beze mnie przyjdą ludzie tacy, co je przerobią. Moja rzecz siebie, swojej familii i swoich interesów patrzeć. Czy ja sędzia? Ja i nie rabin! Więc ja sobie milczę, Panu Bogu i ludziom dogadzam, nikomu w drogę nie włażę i spokojnie sobie żyję. Ot, jak ja robię i chciałbym, żebyś ty, Meirze, tak samo robił. Ja bym i tobie rad swoich nie dawał i pozwalałbym tobie żyć według swoich chęci, ale kiedy ty mężem mojej córki masz zostać, to ja na ciebie oko muszę już mieć...
— Rebe! — przerwał Meir, któremu w rozognionych źrenicach migotać zaczynały łzy rozdrażnienia. — Nie gniewaj się na mnie za zuchwałe słowo, które ja tobie powiem. Ja córki twojej za żonę swoją nie pojmę i mężem jej nigdy nie będę!...

Witebski osłupiał ze zdumienia.

— Nu! — zawołał po chwili. — A to znów jaką ja nowość słyszę? Czyż dziad twój nie umówił się ze mną o moją Merę, a potem czy nie przysłał od ciebie dla niej zaręczynowych prezentów?

— Dziad mój umówił się z tobą — drżącym głosem odpowiedział Meir — ale on to zrobił przeciw mojej woli.

— Nu! — z najwyższym już zdumieniem zawołał Witebski. — A dlaczego? Co ty masz przeciw córce mojej?

— Ja, rebe, przeciw niej nic nie mam, ale mnie serce do niej nie ciągnie. I ona także, rebe, nie chce mię... Ja, przechodząc koło waszych okien, słyszałem raz, jak ona płakała i skarżyła się, że ją chcą za prostego, ciemnego Żyda wydać. Nu! To prawda! Ja prosty, nieedukowany Żyd... ale jej edukacja mnie także nie w guście... Po co na nią i na mnie łańcuchy nakładać?... My już nie dzieci i wiemy, czego żąda dusza nasza, a czego nie żąda...

Witebski osłupiałym wciąż okiem na mówiącego patrzał. Obie ręce podniósł ku głowie i zawołał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały? Czy mój rozum dobrze słowa twoje zrozumiał? Ty nie chcesz mojej córki? Ty nie chcesz mojej pięknej i edukowanej Mery?

Rumieniec wytrysnął mu na czoło. Łagodny i dyplomatyczny światowiec zmienił się w obrażonego i rozgniewanego ojca. Lecz w tejże chwili ze stukiem i tuż przy rozmawiających roztworzyły się drzwi prowadzące do dalszych pokojów mieszkania i w progu, z twarzą w ogniu i płomiennymi oczami, zjawiła się pani Hana. Kończyła znać ona przed chwilą toaletę swą, ale nie skończyła jej jeszcze, nie miała bowiem na sobie zwykłej jedwabnej sukni, ale tylko krótką, czerwoną spódniczkę i luźny szary kaftan. Przednia część jej peruki starannie już była ufryzowaną i uczesaną, ale z tyłu wisiał niespleciony jeszcze i sznurkiem tylko u głowy związany warkocz. W progu zjawiła się i krzyknęła:

— Ja wszystko słyszałam!

I nie mogła mówić dalej, tak była wzburzoną. Pierś jej dyszała szybko, z oczów sypały się iskry. Poskoczyła na koniec ku Meirowi, ramiona szeroko roztworzyła i krzyknęła:

— Co to? Ty córki mojej nie chcesz? Ty, prosty, ciemny Żyd z Szybowa! Ty nie chcesz za żonę swoją wziąć takiej pięknej panny, z taką wielką edukacją! Pfuj! Głupiec, *miszugener*! Rozpustnik!

Witebski próbował miarkować uniesienie żony, przytrzymując ją za łokieć i sycząc jej w same prawie ucho[131]:

— Sza! Hana! Sza!

Ale cała dystynkcja układu, cała dbałość o estetyczne wyglądanie osoby własnej opuściły w tej chwili najzupełniej panią Hanę. Miotała się wciąż przed Meirem, ściśnioną[132] pięścią wygrażała mu przed samą prawie twarzą i krzyczała:

— Ty Mery nie chcesz? Ty córki mojej nie chcesz? Aj, aj! Jaka bieda! My przez to ze zgryzoty poumieramy! Ona sobie już męża nie znajdzie i po tobie oczy wypłacze! Oj, oj! Tyle biedy, że jej głupi, ciemny Żyd szybowski za żonę wziąć nie chce! Ja ją do Wilna powiozę i za jenerała, za grafa, za samego księcia ją wydam! Pfuj! Co ty sobie myślisz? Że dziad twój, Saul, bogaty kupiec jest i że ty sam po ojcu wielki majątek masz, to już ty wielki puryc i tobie wszystko można! Ja pokażę twemu dziadowi i twojej całej familii, że my o was tyle dbamy, co o stary pantofel!

Eli okna i drzwi starannie zamykał, a pani Hana ku komodzie jesionowej w pobliżu fortepianu stojącej poskoczyła, szufladę odsunęła i z niej pudełka różne z kosztownościami wyjmować zaczęła.

— Na! — krzyknęła, rzucając pudełka na ziemię. — Na! Masz nazad swoje prezenty! Zanieś je tej karaimskiej dziewczynie, z którą romans prowadzisz! Ona dla ciebie żoną będzie jak raz!

— Sza! — rozpaczliwie już syknął ku żonie Witebski i pudełka z kosztownościami z ziemi podnosić zaczął. Ale wyrwała mu je z rąk pani Hana.

— Ja to sama dziadowi jego odniosę i zaręczyny zerwę — mówiła.

[131]*w same (...) ucho* — dziś popr.: w samo ucho.
[132]*ściśniony* (daw.) — dziś popr.: ściśnięty.

— Hana! — perswadował mąż. — Ty głupstw tam narobisz… ja sam pójdę i rozmówię się z Saulem.

Ale pani Hana nie słyszała nawet słów męża.

— Pfuj! — krzyczała. — Ten głupiec, ten wariat, ten rozpustnik mojej córki nie chce! Jemu karaimska dziewczyna od mojej córki lepsza! Nu! To i chwała Bogu, że my jego pozbędziem się! Ja Merę do Wilna powiozę i za wielkiego barona wydam!

*

Było już koło południa, gdy Meir domostwo Witebskich opuścił, ścigany łajaniem i złorzeczeniami pani Hany, a cichymi wymówkami i pojednawczymi słowami Elego.

Na rynku wrzał już w całej pełni ruch targowy. Obszerna przestrzeń okrytą była wozami, ludźmi, końmi i bydłem tak ściśle, że najmniejszy choćby przedmiot nie pomieściłby się już w tłumie tym gęstym, pstrym, krzyczącym tysiącami głosów i mrowiącym się tysiącami głów ludzkich i zwierzęcych. Znajdował się wszakże w jednej stronie rynku kątek mniej nieco natłoczony. Wznosiła się tam dość wysoka ściana licho pobielonej budowy jakiejś, a pod białawą ścianą tą siedział na ziemi starzec przygarbiony, w szarym, podartym, długim ubraniu, z grubą czerwonawą chustką okręconą wkoło szyi. Nogi okryte obuwiem znoszonym i opylonym przykrywały całkiem prawie zgromadzone dokoła nich w znacznej ilości kosze i półkoszyki z łozy uplecione, słomiane kobiałki i tym podobne okazy koszykarskiej roboty.

Był to Abel karaim.

Jakkolwiek dzień był letni i słoneczny, głowę okrywała mu wielka czapka obłożona lisim futrem, żółtym i puszystym, spod niej spływały na plecy i ramiona jego gęste pasma białych włosów, a długa, żółtawa broda szerokim wachlarzem rozkładała się mu na piersiach. Promienie słońca padały na twarz jego, okrągłą, małą i zaledwie spod ogromnego zarostu widzialną; sierść lisiego futra opuszczała się mu na pomarszczone czoło, lecz od rażących blasków dnia nie chroniła oczu, których też nabrzmiałe i czerwone powieki mrużyły się, całkiem prawie zakrywając źrenice.

Obok starego Abla stała Gołda, wysmukła, prosta, poważna jak zawsze, z koralowym naszyjnikiem swym spuszczonym nisko na szarą koszulę i z opływającym plecy kruczym warkoczem.

O kilka kroków przed dwojgiem ludzi tych stały rzędy wozów obciążonych zbożem, drzewem i najrozmaitszymi przerobami drobnych produkcji wieśniaczych; pośród wozów ryczały woły i krowy, beczały cielęta, rżały konie, uwijali się drobni faktorzy i przekupnie, z krzykiem wielkim targowali się o ceny towarów swych barczyści i łokciami wkoło siebie tłum rozpychający wieśniacy. W tłumie tym nic więcej słychać nie było jak krzykliwe wymienianie cyfr różnych, zacięte targi, grube śmiechy, wszczynające się coraz kłótnie, wrzaskliwe płacze dzieci i piskliwe krzyki kobiet, a z całą wrzawą tą mieszał się stary, chrypiący głos Abla, prawiącego niezmordowanie prastare izraelskie powieści. Kipiąca dokoła niego wrzawa nie zastraszała go znać, ale owszem, podniecała, bo im głośniejszą stawała się, tym więcej on głos swój wysilał i podnosił, tak że słowa jego przez kipiątek[133] ten wzburzonych gwarów przepływały wyraźne, choć drżące.

— A kiedy Mojżesz zstąpił z góry Synaj — mówił, a raczej wyśpiewywał donośnie stary, drżący głos Abla — z oblicza jego biła światłość taka, że lud upadł na twarze i zawołał jako jeden człowiek: „Mojżeszu! Powtórz nam słowa Przedwiecznego!". I stała się wtedy na niebie i ziemi wielka cisza; grzmoty umilkły, błyskawice pogasły i wichry pokładły się na ziemię, a Mojżesz zawołał do siebie siedemdziesięciu izraelskich starców i kiedy oni otoczyli go, jak gwiazdy otaczają księżyc, powtarzać zaczął ludowi słowa Przedwiecznego.

W tej chwili wyłonili się z wrzaskliwego tłumu dwaj ludzie poważnie, choć dość ubogo wyglądający i przechodzili koło opowiadającego Abla. Szli śpiesznie, ale wymówione imię Mojżesza dosłyszawszy, stanęli i spojrzeli na Abla.

— On znów opowiada! — rzekł jeden.

— On zawsze opowiada! — dodał drugi.

[133]*kipiątek* — wrzątek; tu: wrzawa.

Uśmiechnęli się, ale dalej nie poszli, owszem, kobieta jakaś i dwóch czy trzech wyrostków obok nich stanęło. Kobieta stanęła w nasłuchującej postawie i zapytała:

— Co on takiego opowiada?

— Historię i Zakon[134] izraelskiego ludu — spokojnie odpowiedziała Gołda.

Wyrostki pootwierali usta, kobieta bliżej ku Ablowi pochyliła głowę, dojrzali mężczyźni uśmiechali się, ale stali i słuchali. Abel mówił dalej:

— Kiedy lud usłyszał rozkazania Pana, jednym głosem krzyknął: „Pełnić je będziemy!". Wtedy Mojżesz oparł o górę Synaj dwanaście kamieni, wypisał na nich rozkazania Pana, a do ludu powiedział: „Izraelskie pokolenia, wszyscy, starzy, młodzieńcy, kobiety i dzieci, i każdy człowiek z Izraelowego domu, i cudzoziemiec, co się pomiędzy wami znajduje, i ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę, przychodźcie wszyscy zawierać przymierze z Jehową, abyście zaprzysięgli pełnić rozkazania Jego, tak jak on przysiągł dotrzymać wam obietnic swoich!".

— Nu! — odezwał się pomiędzy otaczającymi głos jakiś. — On piękne rzeczy pięknie opowiada.

— I ten, co ścina drzewa, i ten, co czerpie wodę… — powtórzył człowiek jakiś w nędznym ubraniu, westchnął przy tym i rzucił okiem ku roziskrzonym obłokom.

Kobieta, z pochyloną ku Ablowi głową przysłuchująca się słowom jego uważnie, wydobyła z kieszeni bezbarwnej spódnicy brudną chustkę i rozwiązawszy węzełek znajdujący się u jednego z jej końców rzuciła na kolana Abla wielką miedzianą monetę.

Za kilku osobami tymi stanęło teraz już kilka innych. O kilka zaledwie kroków od nieruchomej gromadki tej zajadle kupczyli, kłócili się, krzyczeli ludzie żądni zarobku i zysku: Żydzi i chrześcijanie, niewiasty, mężowie i podrastające zaledwie dzieci, lecz tu, pod białawą ścianą wysokiego płotu, kilkanaście jednostek od szumiącego tłumu tego oderwanych, w milczeniu i skupieniu myśli, z uśmiechami na twarzach a westchnieniami w piersiach, mimo woli przerzucało się duchem w świat inny, duchowy, śród którego migotały obrazy i rozlegały się głosy prastarej, wspaniałej, świętej przeszłości.

Zdawać się mogło, że Abel czuł tę zwróconą na siebie uwagę otaczającej go gromadki i że mu wszystkie oczy te w jego twarz wlepione rozpalały serce i zapładniały pamięć. Zza czerwonych, mrużących się powiek źrenice jego błysnęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się w tył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę, żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły się aż na ramiona. Wyglądał wtedy jak stary, wpół ślepy lirnik, radujący i doskonalący pieśniami swymi duszę narodu. Śpiewnym też, przewlekłym a donośniejszym niż kiedykolwiek głosem mówić on zaczął znowu:

— Kiedy Izraelici przeszli Jordan, Jozue położył na miejscu tym dwa wielkie kamienie i wypisał na nich dziesięcioro rozkazań Jehowy. Jedna połowa ludu oparła się o górę Geryzim, a druga o górę Hebal, a wszyscy usłyszeli mocne głosy, które wołały tak, aby je każdy człowiek z izraelskiego domu uchem swoim słyszeć mógł: „Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto pokłon odda fałszywym bogom i kto czcić nie będzie ojca swego i matki swojej! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto zażąda majątku cudzego albo ślepego wprowadzi na drogę fałszywą! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto skrzywdzi cudzoziemca, sierotę i wdowę, kto kłamstwo włoży do ucha bliźniego, a o niewinnym powie: «Niech umrze!»". A kiedy mocne głosy do uszu Izraelitów wszystkich słowa te włożyły, lud cały odpowiedział tak, jakby wszystkie usta jednymi ustami i wszystkie głosy jednym głosem były: „Niech się tak stanie!".

— Niech się tak stanie! — zaszeptało wkoło Abla kilkanaście ust, które przed kwadransem jeszcze porwane wirem powszednich potrzeb i trosk zapamiętale walczyły o szeląg straty lub zysku.

Przez skupioną gromadkę przebiła się teraz chrześcijańska wieśniaczka. Podjęła z ziemi jeden z koszów nagromadzonych dokoła Abla i o cenę jego zapytała. Gołda udzieliła jej odpowiedź zwykłym swym, spokojnym głosem. Wieśniaczka targować się zaczęła, ale Gołda nie odpowiedziała już jej po raz drugi. Nie dlatego, aby odpowiadać nie chciała, ale dlatego, że słów jej, dość grubo jednak i krzykliwie wymawianych, nie słyszała nawet. Wzrok jej utkwił w jednym punkcie rynku, na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach poważnych rozkwitał uśmiech dziecięcy prawie i razem namiętny.

[134]*zakon* — tu: prawo, przepisy religijne.

O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którym znajdowali się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i swobodniejszym nieco przejściem szybko postępując, zmierzał prosto ku nim. Nie widział ich jednak; patrzał prosto przed siebie oczami, w których malowały się pośpiech i niepokój; minął Abla i Gołdę, nie spostrzegłszy ich nawet i wszedł w bramę synagogalnego dziedzińca.

Przez synagogalny dziedziniec niewiele łatwiej było przejść dnia tego jak przez plac targowy.

Meir dążył ku czarnej chatce rabina Todrosa, ku niej też parł się tłum ludzi różnego wieku i wyglądania. Im bliżej było chatki tej, tym większy panował ścisk i natłok, a wśród natłoku tego tym mniej rozmawiano i ciszej, ostrożniej stąpano. Nie było tu, jak na targowym rynku, krzyków, kłótni, śmiechów, roztrącań się wzajemnych, nie było też twarzy namiętnie rozognionych ani oczu połyskujących gorączką zysku, ani gestów porywczych i grubiańskich. Gęsty tłum płynął ku niskiej lepiance w uroczystym milczeniu, przerywanym nieśmiałymi tylko szeptami.

Meir wiedział, gdzie i po co dążył tłum ten i z jakich żywiołów był on złożonym. Stałych mieszkańców Szybowa nie było tu wcale albo było niewielu bardzo; posiadając bowiem w bezpośredniej bliskości swej wielkiego rabina, nie potrzebowali oni oczekiwać dni szczególnych, aby móc cieszyć się radami, naukami i samym widokiem jego. Lud zalegający teraz synagogalne podwórze składał się z mieszkańców bliskich, dalszych i dość nawet oddalonych okolic Szybowa. Zamożnych kupców, ludzi w ubraniach znamionujących dostatek i pewien wyższy stopień światowej ogłady znajdowała się tu ilość pewna, ale bardzo nieznaczna. Ogromną większość stanowiły ciała mizerne, obleczone w suknie zszarzałe i ubogie, twarze blade, ciężką walką o byt napiętnowane, cierpiące i cierpliwe. Była to zresztą prawdziwa mozaika twarzy starych, młodych, półdziecięcych, niewieścich i męskich.

W bliskości już chaty znajdując się, Meir zatrzymał się chwilę.

— Po co ja tam pójdę? — rzekł do siebie. — On mię teraz słuchać nie zechce!

— Nu — dodał zaraz — a do kogóż ja pójdę?

Po chwilowym namyśle zmieszał się znowu z tłumem i wkrótce znalazł się u roztwartych na oścież drzwi czarnej lepianki.

Za roztwartymi drzwiami w ciasnej, ciemnawej sionce stał istny mur z pleców ludzkich złożony i panowało najgłębsze już milczenie, przerywane tylko trudnym oddechem[135] kilkudziesięciu piersi. Meir śród muru tego torował sobie drogę, co przychodziło mu tym łatwiej, że większą część ludzi tłoczących się w sionce składali ubodzy i pokorni goście, tak uprzejmie przed parą godzinami częstowani w zamożnej kuchni Ezofowiczów. Spostrzgłszy członka rodziny, pod dachem której znajdowali częstą i chętną gościnność, rozstępowali się oni, jak mogli, aby mu przejście pomiędzy sobą umożebnić. Z pośpiechem to jednak czynili i roztargnieniem wielkim, gdyż wzroki ich skierowane były ku wnętrzu izby sąsiadującej z sionką. Ażeby dojrzeć i dosłyszeć, co się we wnętrzu izby tej działo, wspinali się oni na palce, wyciągali szyje i szeroko roztwierali oczy rozpromienione, zdumione, ciekawe, pożądliwe i zarazem trwożne. Ile razy uszu ich dosięgnął ułamek jaki rozmów tam wiedzionych, na ustach ich uwiędłych i bladych od biedy, choroby i pracy rozkwitały uśmiechy błogości niewymownej, tak jakby słowa i same nawet dźwięki głosu uwielbianego mędrca były wonną oliwą gojącą wszystkie rany ich życia.

Izba, w której drzwiach roztwartych także stanął teraz Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jej, na ławie umieszczonej pomiędzy ścianą a ciemnym od starości stołem, siedział Izaak Todros, w ubraniu i postawie którego nie znać było świąteczności żadnej. Miał on na sobie tę samą co zawsze długą suknię, zszarzaną[136] i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył głowy zsunięta w ten sposób, iż zmięty daszek jej sterczał mu nad czołem żółtym, ocienionym ogromną gęstwiną włosów kruczych, z lekka tylko przyprószonych siwizną. Przygarbiony jak zwykle, górną połową ciała naprzód podany, siedział on w nieruchomości zupełnej i tylko czarnymi oczami wodził po twarzach i postaciach kilkunastu istot ludzkich, które stłoczone u przeciwległej ściany podnosiły ku niemu wzroki nabożne, zlęknione, błagalne.

[135]*trudnym oddechem* — dziś raczej: ciężkim oddechem.

[136]*zszarzany* — dziś: zszarzały.

Pomiędzy szczupłym, zgarbionym, nieruchomym mędrcem siedzącym na ławie a kilkunastu istotami tymi, które dopuszczonymi już zostały przed obliczność jego, znajdowała się przestrzeń kilku kroków, której nikt bez wyraźnego wezwania przekroczyć nie śmiał, i krzyżowały się dwa odmienne rodzaje świateł. Jedno ze świateł tych, błękitne od pogodnych obłoków i złociste od słońca, wnikało tam przez otwarte okna, drugie, jaskrawe, rażące, dymne, buchało z komina, na którym paliło się szeroko rozniecone płomię[137].

U komina, na podłodze okrytej grubą warstwą brudu, siedział nieodstępny uczeń i sługa rabina — mełamed nad mełamedami, pobożny i mądry reb Mosze. W grubej koszuli swej, opasany powrozem, siedział on na nagich swych piętach i przykładając coraz drewek do ognia, sypał garście ziół suchych do wody gotującej się w kilku garnkach. Zajęty czynnością tą, jak się zdawało, aptekarską, pełnił on także urząd woźnego. Wywoływał spomiędzy ludu znajdującego się w izbie i sionkach tych, na których, według mniemania i woli jego, przypadała kolej zbliżenia się ku mistrzowi.

Teraz wyciągnął on gruby, ciemny swój palec ku cisnącym się do ściany ludzkim postaciom i ochrypłym głosem zawołał:

— Szymszel, arendarz!

Wezwany, noszący przeinaczone i zepsute z biegiem czasu imię Samsona, w najmniejszej mierze nie przypominał powierzchownością swą imiennika swego, poetycznego bohatera i potężnego atlety *Biblii*. Mały, suchy, ogniście rudy, wysunął się on z tłumu i stanąwszy na środku izby, pochylił białą, piegowatą twarz swą aż prawie do samej ziemi.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — zawołał jękliwym, drżącym głosem.

Nie tylko zresztą głos jego drżał, ale drżały mu także ręce i ramiona, a gdy podniósł nieco twarz swą, błękitne źrenice jego obiegać poczęły izbę z niepokojem i zmieszaniem bliskim obłędu.

Izaak Todros siedział jak skamieniały. Oczy tylko jego utkwiły w przerażoną twarz stojącego przed nim ryżego człowieczka i po chwili dopiero, gdy człowieczek, ten w przerażeniu swym do słowa przyjść nie mogąc, milczał ciągle, mędrzec wydobył z siebie dźwięk gardłowo-nosowy i przeciągle zawołał:

— Nuu!

Szymszel podniósł ramiona i ze wsuniętą w nie głową mówić zaczął:

— Nassi! Niech światłość twoja oświeci ciemności moje! Rabbi! ja wielki grzech popełniłem i serce moje drży od strachu, kiedy usta moje przed tobą grzech ten opowiedzieć mają! Nassi! Ja jestem bardzo nieszczęśliwy człowiek... żona moja, Ryfka, zgubiła duszę moją na wieki i chyba ty, rabbi, nauczysz mię, jak ja ją teraz od wielkiego grzechu tego oczyścić mam!

Zająknął się tu pokorny pokutnik i po chwili dopiero zebrał się na odwagę i siły nowe.

— Nassi! Ja i żona moja, Ryfka, i dzieci nasze siedliśmy przeszłego piątku do sabatowej uczty. Na jednym stole stała u nas misa z mięsem, a na drugim stole stał garnek z mlekiem, które żona moja, Ryfka, dla najmniejszych dzieci naszych zgotowała. Moja żona, Ryfka, czerpała mleko z garnka i łyżką nalewała je najmniejszym dzieciom na miski. A kiedy ona to robiła, u niej raz ręka zatrzęsła się i kropla mleka z łyżki upadła na te mięso, co było w misie... Aj, waj! Głupia kobieta! Co ona zrobiła! Ona mięso strefiła i zrobiła je nieczystym...

Znowu utknął w mowie swej trwożliwy Samson, a mędrzec bez najlżejszego poruszenia w postawie lub mrugnięcia okiem zapytał:

— Nu, a co ty z mięsem zrobiłeś?

Zapytany głowę swą znowu bardzo nisko pochylił i nie zmieniając postawy tej, wyjąkał:

— Rabbi! Ja z niego jadłem, i żona moja, i dzieci moje z niego jadły!

Tym razem z płomiennych oczu Todrosa posypały się iskry.

— A dlaczego ty nieczystości tej na śmietnisko nie wyrzucił? — krzyknął. — Dlaczego ty obrzydliwością tą usta swoje i dzieci swoich zanieczyścił?

Po chwili milczenia głos pokorny, drżący, po ziemi jakby czołgający się odpowiedział:

[137] *płomię* (daw.) — dziś r.m.: płomień.

— Nassi! Ja biedny bardzo jestem, lichą karczmę w arendzie trzymam i zarobku z niej mam niewiele! A u mnie w domu sześcioro dzieci jest i ojciec stary, który przy mnie mieszka, i dwoje wnuków sierot, którym ojciec i matka odumarli! Rabbi! Mnie trudno bardzo wyżywić siebie i familię moją i my raz w tydzień tylko, w święty wieczór sabatu, mięso jemy! Koszerne mięso drogie… więc ja go każdego piątku trzy funty kupuję, a z tych trzech funtów jedenaścioro nas je i siły swoje wzmacnia! Rabbi! Wiedziałem ja, że przez cały tydzień my już nic do ust naszych nie włożym prócz chleba, cebuli i ogórków… to ja tego mięsa pożałowałem i choć na nim była kropla mleka, jadłem z niego i jeść z niego pozwoliłem familii mojej…

W ten sposób żalił się i obwiniał zarazem mizerny Samson, a mistrz słuchał go z nachmurzonym i groźnym obliczem.

Potem mówić zaczął. Mówił z gniewem i oburzeniem zrazu, a jednak nieruchomy i sztywny pozostał. Szyję tylko ku wylękłemu i upokorzonemu Szymszelowi wyciągając, wpijał weń coraz ognistsze i groźniejsze wejrzenie. Długo, obszernie i subtelnie tłumaczył, skąd pochodzi zakaz mieszania potraw mięsnych z mlecznymi, co o zakazie tym pisali różni tanaici i rabini wielcy i jak pisanie ich tłumaczyli, objaśniali i komentowali późniejsi niezliczeni następcy ich; jak wielkim przestępcą jest człowiek taki, który z zakazem tym rozmijając się, do ust swych wkładać śmie kęs mięsa, na który upadła kropla mleka.

— Grzech twój ogromnym jest w obliczu Pana! — zagrzmiał na koniec ku stojącemu wciąż w kornej postawie pokutnikowi. — Ty dla łakomstwa swego zerwałeś przymierze, które Jehowa zawarł z wybranym ludem swoim, przekroczyłeś jedno z sześciuset trzynastu przykazań, które spełniać powinien każdy prawy Izraelita, i zasłużyłeś na to, aby na ciebie spadło przekleństwo, którym Elizeusz przeklął prześladujące go chłopięta i którym Jozue Nawin przeklinał miasto Jerychon! Ale za to, że ciało tylko twoje zgrzeszyło, a dusza pozostała wierzącą w świętość zakazu jedzenia mięsa z mlekiem, i za to, że ty z wielkim żalem do mnie przyszedłeś i przede mną upokorzyłeś się, ja ci ten ogromny grzech twój przebaczam i tylko rozkazuję, żebyście, ty i żona twoja, i dzieci twoje, przez cztery tygodnie ani mięsem, ani mlekiem ciał swoich nie karmili, a pieniądze, które wydajecie na mięso i mleko, ubogim rozdali. A kiedy cztery tygodnie przejdą, dusze wasze oczyszczone zostaną z wielkiego plugastwa, które na nich osiadło, i będziecie żyć w pokoju i pobożności razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami. Wołajcie: „Niech się tak stanie!".

— Niech się tak stanie! — zabrzmiały chórem głosy tych, którzy znajdowali się w izdebce, i tych, którzy napełniali sionkę, i tych jeszcze, którzy tłocząc się dokoła lepianki chciwymi oczami zaglądali do wnętrza jej przez otwarte okno.

Mały, rudy Samson, oswobodzony od ciężaru tłoczącego mu sumienie w sposób straszliwy, chociaż z innej strony obarczony pokutą czterotygodniowego postu, mającego do ostateczności obostrzyć i tak już wieczny post wszystkich dni jego, ze łzami rozrzewnienia w oczach, z dziękczynnym szeptem na ustach cofnął się ku sionce i zniknął w napełniającym ją tłumie.

Wtedy reb Mosze wyciągnął znowu ku stojącym pod ścianą ludziom wskazujący palec i zawołał:

— Reb Gerszon, mełamed!

Na wołanie to z tłumu wypłynął człowiek krępy i zgarbiony, z czarnym włosem rozrzuconym w nieładzie na wielkiej, schylonej głowie, z twarzą chmurną i zadumaną. Był to kolega reb Mosza, umysłowy przewodnik izraelskiej dziatwy, w miasteczku blisko Szybowa położonym żyjący i nauczający. Stanął on na środku izby z grubą księgą rozwartą w obu rękach i według zwyczaju pozdrowiwszy mistrza, zaczął w te słowa:

— Rabbi! Dusza moja znalazła się dwa dni temu w wielkim kłopocie. Bachory moje czytały w świętej księdze, że wieczorne szemy odmawiać rozkazanym jest do końca pierwszej straży. „Nu! — zapytały mię bachory moje — a co to takiego pierwsza straż? Kto przed kim i gdzie tę straż trzyma?". Jak oni tak zapytali się, usta moje oniemiały. A dlaczego one oniemiały? Dlatego, że ja nie wiedziałem, co im odpowiedzieć mam. Do ciebie, rabbi, przyszedłem, żeby na ciemny rozum mój spłynął promień twojej mądrości. Powiedz ty mi, rabbi, jakie to straże są, według których Izraelita każdy mierzyć powinien długość modlenia się swego, gdzie i przed kim one straż trzymają i co ja o tym powiedzieć mam bachorom moim?

Chmurny, zgarbiony człowiek mówić przestał, a zgromadzenie całe z ciekawością nadzwyczajną wlepiało oczy w zapytywanego mędrca i odpowiedzi jego czekało. Odpowiedź ta dała się słyszeć wkrótce. Nie zmieniając postawy swej, sztywnie naprzód podanej, najlżejszego nie czyniąc poruszenia, Izaak Todros mówić zaczął:

— A jakie mogą być straże te, o które ty mię zapytujesz? Anielskie to są straże. A gdzie aniołowie straże te trzymają? W niebie je one trzymają. A przed kim one je trzymają? Trzymają je one przed tronem Przedwiecznego! Kiedy dzień kończy się i mrok zapada, aniołowie dzielą się na trzy wielkie chóry. Pierwszy chór staje u tronu Przedwiecznego i straż przed Nim trzyma aż do północy, i wtedy jest pora odmawiania modlitw wieczornych. Drugi chór przychodzi o północy i trzyma straż aż do świtu, a o świcie, kiedy kolor biały od koloru bladobłękitnego odróżnić można, przychodzi chór trzeci i straż przed tronem Przedwiecznego trzymać zaczyna. Wtedy jest pora modlitw porannych…

Umilkł mędrzec. W tłumie ozwały się ciche cmokania i sykania objawiające podziw i zachwyt. Gerszon mełamed jednak nie ruszał się jeszcze z miejsca swego. Ze wzrokiem wlepionym w ciężką, rozwartą księgę ozwał się on znowu:

— Rabbi! Spuść na ciemny rozum mój jeden jeszcze promień swojej mądrości i rozprosz nim wątpienie, które ogarnęło duszę moją… Blisko miasteczka, w którym ja żyję, jest dwór bogatego jednego pana. Do dworu tego chodzą czasem niektóre bachory moje i różne rzeczy tam słyszą. Raz jeden bachor mój wróciwszy ze dworu opowiadał w miasteczku, że słyszał, jak we dworze mówiono, skąd pochodzi grzmot. Mówiono tam, że grzmot wylatuje z nieba wtedy, jak dwie chmury spotkają się ze sobą i wypuszczą z siebie siłę jakąś, która nazywa się *elektryczność*. Ja o takiej sile nigdy nie słyszałem i nie wiem, czy to prawda, że ona jest na świecie i że z niej wielkie grzmoty powstają…

W czasie mowy tej Gerszona nieruchomy dotąd mędrzec uczynił parę niecierpliwych poruszeń, a po wargach jego, wąskich i surowych, przesunęły się szyderskie uśmiechy.

— To nieprawda! — zawołał. — Takiej siły na świecie nie ma i z niej nie powstają grzmoty. Kiedy Izraelici mieszkali w Palestynie, a świątynia Salomonowa wznosiła się na górze Syjonu błyszcząca cała od diamentów i złota, grzmotów na świecie nie było. Ale kiedy rzymski cesarz świątynię zburzył[138] i lud izraelski rozproszył się po całej ziemi, na świecie ryknął pierwszy grzmot. A skąd on pochodził? On pochodził z piersi samego Boga, który nad gruzami świątyni swojej i nad niedolą swojego ludu głośno zapłakał. I teraz Pan Bóg często po wspaniałości świątyni swej i po minionym szczęściu ludu swego płacze, a kiedy On zapłacze, to łkanie Jego rozchodzi się po całym świecie wielkim grzmotem, a łzy Jego padają do morza i takie są ogromne, że morze od nich wzbiera i podnosi ziemię, która trzęsie się i ognie z siebie wypuszcza. Oto powiedziałem ci, skąd powstają grzmoty i te wielkie trzęsienia, które ziemia znosi. Idź w pokoju i nauczaj bachorów swoich słów, które ode mnie usłyszałeś!

Z kornym pokłonem i dziękczynnymi wyrazami oddalił się i w tłum wpłynął ponury mełamed z wielką swą księgą w rękach, a w tej samej chwili kędyś pod samą ścianą głośno zapłakało dziecię.

Reb Mosze zawołał:

— Chaim, pachciarz z Kamionki, i żona jego, Małka…

Z tłumu wyszli mężczyzna i niewiasta. Oboje mieli twarze zbolałe i zlęknione, niewiasta na ręku swym niosła blade, wynędzniałe dziecię. Rzucili się do kolan mędrca i wyciągając doń owinięte w bezbarwne szmaty, z cicha płaczące dziecko błagali go, aby udzielił leków na trapiącą ich z dawna chorobę syna. Todros pochylił się nad drobną, bladą twarzyczką i wpił w nią bystre, uważne spojrzenie. Reb Mosze zaś, u komina siedząc, wlepił wzrok w mistrza i mieszając łyżką gotujące się w garnkach zioła, oczekiwał jego rozkazów.

W ten sposób długo i z kolei zbliżali się do uwielbionego mędrca, nauczyciela, lekarza i niemal proroka swego ludzie najróżniejsi, zadający mu i znoszący doń najróżniejsze pytania i prośby. Był tam pomiędzy innymi strapiony małżonek jakiś, który wiodąc ze sobą żonę swą młodą i hożą, prosił wielkiego rabina, aby uczynił nad nią rodzaj *próby bożej* za pośrednictwem tak zwanej *wody zazdrości*, po wypiciu której niewiasta podejrzana

[138] *kiedy rzymski cesarz świątynię zburzył* — w odwecie za wzniecane przez Żydów powstania niepodległościowe Titus Flavius Vespasianus, cesarz rzymski (79–81 r. n.e.) zburzył Jerozolimę wraz ze sławną świątynią, głównym ośrodkiem kultu dla judaizmu, w r. 70 n.e.

o niewierność małżeńską umrzeć musi natychmiast, jeśli jest winną, a zdwojoną pięknością i zdrowiem rozkwitnie, jeśli podejrzewano ją niesłusznie. Ktoś inny zapytywał, co czynić trzeba, jeżeli pora modlenia się zaskoczy człowieka w podróży, a on ku wschodowi twarzy swej obrócić nie może, tak jak przykazanym jest, bo ze strony tej wiatr wielki wielką chmurę kurzawy w oczy mu niesie. Znaczna też była ilość takich, którzy, skarżąc się, płacząc i biadając nad nędzną dolą swoją, błagali mędrca, aby proroczym okiem swym rzucił w przyszłość i oznajmił: rychłoli nadejdzie radosny dzień Mesjaszowy, dzień wyzwolenia, spoczynku i obfitości?

Większość jednak ludzi zgromadzonych w chatce i dokoła niej niczego nie żądała, żadnych nie zanosiła próśb i nie zadawała pytań, lecz przybyła tu, stała i dusiła się w ciasnocie niezmiernej dlatego tylko, ażeby móc odetchnąć tym samym powietrzem, którym oddychała pierś uwielbionego mędrca, napoić uszy swe słowami wychodzącymi z ust jego, a oczy światłością bijącą z jego oblicza.

Widać też było, że Izaak Todros czuł i rozumiał wysokość stanowiska swego. Sprawował on czynności swe z powagą niezachwianą, z niezmordowaną gorliwością i cierpliwością niezmąconą. Nie odtrącał od siebie nikogo, nikomu niczego nie odmawiał. Gromił, objaśniał, tłumaczył, opowiadał, pokuty zadawał, leków udzielał, postawy swej nieruchomej ani na chwilę nie zmieniając i wpijał tylko w twarze zbliżających się doń ludzi oczy swe surowe lub zadumane. Parę razy, gdy w izdebce rozległy się najżałośniejsze skargi i prośby o prorocze przepowiedzenie dnia Mesjaszowego, czarne te jak noc i płomienne jak namiętność oczy zaświeciły wilgotną powłoką. Kochał znać lud ten, którego żałośliwe zwierzenia i jęki łzą oblewały mu surową źrenicę. Chwilami też bujne krople potu spływały po żółtym czole jego, a pierś strudzona długim mówieniem z trudnością oddychać zaczynała. Podartym rękawem odzieży ocierał pot z czoła, wzmagał się na siły nowe i wiódł dalej dzieło nauczania, karcenia i pocieszania ludu. Pracował ciężko myślą, pamięcią, wyobraźnią i piersią, z głębokim poczuciem obowiązku, z żarliwą wiarą w zbawienność i świętość trudu swego, z najwyższą bezinteresownością człowieka, który nie potrzebował dla siebie nic prócz czarnej lepianki odziedziczonej po przodkach, szczupłej strawy codziennej, dostarczanej mu rękami wiernych, i tej lichej, brudnej, podartej odzieży, która od dziesiątka lat już może osłaniała chude ciało jego.

Przez synagogalny dziedziniec tymczasem przechodził człowiek śpieszący się widocznie i kogoś w tłumie szukający. Był to Ber, zięć Saula. Przejrzał on bacznie mnogie twarze ludzi otaczających lepiankę rabina, wparł się do natłoczonej sionki i dostrzegłszy na koniec stojącego w progu izby Meira, pociągnął go za rękaw od surduta.

Młody człowiek obudzony z ołowianej zadumy, która pogrążała go w nieruchomość kamienną, obejrzał się i zamyślonym wzrokiem spojrzał na stojącego za nim krewnego.

— Chodź stąd! — szepnął mu Ber do ucha.

— Ja nie mogę stąd iść — również cicho odpowiedział Meir. — Ja mam ważny interes do rabina i czekać tu będę, aż ludzie ci wszyscy rozejdą się, ażeby z nim pomówić...

— Chodź! — powtórzył Ber i ujął za ramię opornego młodzieńca.

Meir targnął się niecierpliwie, ale Ber powtórzył raz jeszcze:

— Chodź! Jeżeli zechcesz, przyjdziesz potem, jak ci ludzie rozejdą się... ale ja wiem, że nie zechcesz...

Wyszli obaj z natłoczonej chaty. Ber spiesznie idąc i milcząc wiódł towarzysza swego w oddaloną stronę obszernego podwórza, kędy panowała samotność zupełna. Tu ścianą bet-ha-midraszu zakryci przed tłumem kupczącym na rynku i w znacznym oddaleniu od tego drugiego tłumu, który oblegał chatę rabina, pewnymi być mogli, że nikt rozmowy ich nie podsłucha.

Meir oparł się plecami o ścianę budowy, Ber stanął przed nim i milcząc jeszcze, wpatrywał się weń przez chwilę.

Powierzchowność Bera była jedną z tych, około których miliony ludzi obojętnych przejść by mogły, nie zauważywszy jej nawet, lecz w której oko bacznego i myślącego człowieka odkrywało cechy zaciekawiające i ciekawości godne. Czterdziestoletni, szczupły, ze staranną czystością, jakkolwiek ze ścisłą też wiernością starym przepisom i zwyczajom ubrany, z rzadkim, jasnopłowym zarostem i jasnymi, miękkimi włosy, nosił on na twarzy swej bladawej i delikatnie zarysowanej wyraz szczególnego zobojętnienia jakiegoś, lenistwa i senności, które znikały i ustępowały przed ruchliwym, nerwowym

ożywieniem wtedy tylko, gdy rzecz szła o kombinacje i działania interesowe. Poza zobojętnieniem jednak i sennością baczne oko odkryć by mogło utajone, spodnie niby, warstwy uczuć i charakteru. Było coś marzycielskiego i cierpiącego zarazem w oczach jego, wielkich, szeroko rozwartych, o błękitnej źrenicy obleczonej szklistą powłoką. Tęsknoty jakieś zaznane i stłumione przemocą, pragnienia jakieś niezaspokojone i w głębiny piersi zepchnięte malowały się w zarysie warg jego cienkich, pojętnych i noszących na sobie piętno kamiennej jakby rezygnacji. Niekiedy na czole białym i gładkim powstawały mu dwie poprzeczne bruzdy. Wywoływały je może wspomnienia jakieś odległe, lecz wiecznie bolące, bo w chwili, w której zjawiały się, Ber dotykał dłonią piersi swej i krótkie, urywane westchnienie podnosiło mu ramiona. Widać było, że w przeszłości człowieka tego odegrał się kiedyś dramat cichy, nikomu w całej swej pełni nieznany, lecz którego rozwiązanie, pogrążając w senność wolę i myśl jego, w piersi mu pozostawiło wiecznie zamierające i wiecznie odradzające się echa…

Teraz stał naprzeciw młodzieńca, którego przemocą prawie wyprowadził z tłumu, i długo wpatrywał się mu w twarz szklistym swym, cierpiącym okiem.

— Meir! — rzekł na koniec. — Dziad twój, Saul, miał godzinę temu długą rozmowę z synem swoim, Abramem. On gości swoich porzucił, ażeby z nim rozmawiać, i mnie rozmowy tej słuchać kazał, bo chciał, żeby słowa z ust jego wychodzące i słuchające ich sumienie syna jego świadka we mnie miały. Bądź już spokojny, Meir. Stryj twój do wielkiego grzechu tego i wstydu, które niezadługo staną się, należeć nie będzie…

— Staną się! — z uniesieniem przerwał Meir. — One nie staną się! Ja tak zrobię, że one nie staną się!

Uśmiech, niewesoły wcale, przeleciał po ustach Bera.

— Ty tak zrobisz? — zaśmiał się z cicha. — A jak ty to zrobisz? Ja domyśliłem się, że ty rabinowi o tym mówić chcesz, i szukałem ciebie, żeby ostrzec cię i nieszczęście od głowy twojej odwrócić. Ty myślałeś sobie, że jak ty rabinowi cały interes rozpowiesz, on zaraz zerwie się i krzyknie, aby nikt brzydkiej rzeczy takiej robić nie śmiał. Jeżeliby on tak zrobił, wszyscy byliby mu posłuszni, to jest prawda, ale on tego nie zrobi…

— Dlaczego on tego nie zrobi? — zawołał Meir.

— Dlatego, że on na interesach takich nie zna się — odparł Ber.

Uśmiechnął się znowu i mówił dalej:

— Żebyś ty jego spytał się, jakie jedzenie czyste jest, a jakie nieczyste, czy w sabat można świecę objaśniać i chustką do nosa biodra swoje opasywać, czy siadając do jedzenia błogosławić trzeba pierwej wino albo chleb, albo żebyś ty jego zapytał się, jak dusze ludzkie przechodzą z ciała do ciała i wiele Jehowa wypuścił z siebie sefirotów, i jak te sefiroty nazywają się, i jak układać trzeba litery imion boskich, żeby z nich słowa wielkich tajemnic ułożyły się, i kiedy nadejdzie dzień Mesjaszowy, i co w tym dniu dziać się będzie, on na te wszystkie zapytania twoje znalazłby odpowiedzi długie i uczone. Ale jak ty jemu opowiadać zaczniesz o gorzelniach, podatkach, o dworach pańskich i tych zamiarach, które na nie źli ludzie mają, on wytrzeszczy na ciebie oczy i będzie ciebie słuchał, jak słucha człowiek głuchy, bo on wszystkiego tego nie rozumie i dla niego za księgami tymi, z których on mądrość swoją czerpie, cały świat jest jako pustynia okryta ciemną nocą!…

Meir pochylił głowę.

— Ja czuję, że ty prawdę mówisz — rzekł — a jednak, żebym ja zapytał się jego: „Czy wolno jest dla własnej korzyści krzywdzić niewinnego człowieka?".

Ber odpowiedział:

— On by ciebie zapytał się: „A kto jest ten niewinny człowiek — Izraelita czy edomita?".

— Edomita! — echowym głosem powtórzył Meir.

Spojrzał w górę, jakby namyślał się, wzruszył ramionami, jakby czemuś dziwił się wewnętrznie, a potem zatopił wzrok w twarzy Bera.

— Ber! — wyrzekł. — Czy ty edomitów nienawidzisz?

Zapytany wstrząsnął przecząco głową.

— Nienawiść przykra jest sercu — odpowiedział. — Kiedyś… jak ja młody byłem… ja chciałem nawet pójść do nich i zawołać: „Ratujcie!". Teraz ja kontent jestem, że nie

zrobiłem tego i ze swoimi zostałem, ale nienawiści żadnej w sercu moim dla nich nie mam...

— I ja nie mam — żywo potwierdził Meir. — A czy ty myślisz — zapytał — że Kamionker ich nienawidzi?

— Nie — zaprzeczył Ber — on tylko doi ich jak krowy i ma dla nich wzgardę za to, że oni interesów swoich nie pilnują i pozwalają, żeby on ich oszukiwał.

— A Todros czy ich nienawidzi? — zapytał jeszcze Meir.

— Tak — energiczniej niż kiedy potwierdził Ber. — Todros ich nienawidzi. A dlaczego on ich nienawidzi? Bo on nie żyje w tym samym czasie, co my wszyscy... on żyje ciągle w tym czasie, w którym rzymski cesarz świątynię jerozolimską zburzył i lud izraelski z Palestyny wygnał i w którym Żydów palili na stosach i po całej ziemi gnali. On oddycha, je i chodzi teraz, ale myśli i czuje tak, jak gdyby żył dwa tysiące i tysiąc lat temu. On nic nie wie o tym, że od śmierci przodka jego, Todrosa, co z Hiszpanii tu przybył, mnóstwo lat upłynęło ciągle, jak wielka i bystra rzeka, i że na tej rzece przypływali mądrzy i dobrzy ludzie przynoszący światu mądre i dobre rzeczy, i że od tego dalekiego czasu świat zmienił się, a ludzie, którzy nienawidzili i prześladowali jeden drugiego, rękę sobie do zgody podali... On nic nie wie, co na świecie dzieje się... Nu! Jak on ma wiedzieć? On od urodzenia swego nigdy z Szybowa nie wyjeżdżał, a oczy jego nie widziały innej książki, jak te, które mu po dziadach, pradziadach zostały, i żadnego człowieka z innego narodu, jak tylko z jednego narodu izraelskiego...

Meir słuchał i głową z lekka wstrząsał, jakby w myśli swej potwierdzał słowa towarzysza.

— To mnie nie ma po co do niego iść... — rzekł po chwili namysłu.

— Ja dlatego szukałem cię, ażeby ci to powiedzieć — odparł Ber. — On nie zabroni Kamionkerowi krzywdzić Kamiońskiego dziedzica, bo jemu będzie zdawać się, że Kamioński dziedzic pochodzi z narodu Idumejczyków, który wojował z Jozuem, albo z narodu rzymskiego, który bałwanom kłaniał się i świątynię jerozolimską zburzył, albo z narodu hiszpańskiego, który pięćset lat temu bardzo Żydów udręczał... On nawet z tobą rozmawiać nie zechce, bo ty w jego oczach kofrimem, niedowiarkiem jesteś, i on do tego czasu na głowie twojej rozgniewanej ręki swej nie opiera przez uważanie tylko dla wielkiej familii twojej i tej miłości, którą lud dla dziada twego, Saula, ma. Ale żebyś ty Kamionkera przed nim oskarżył, Kamionker popchnąłby jego do zemsty nad tobą, tak jak go już popycha reb Mosze. Meir! Bądź ty ostrożny! Zguba twoja niedaleko! Uciekaj ty od niej!

Meir na przestrogę tę nic nie odpowiedział.

— Ber! — wymówił. — Ja temu sam bardzo dziwuję się, ale mnie się zdaje, że w człowieku tym, głupim, złym i mściwym, mieszka wielka dusza... On bardzo cierpliwy, dni i noce siedzi nad księgami swymi... On litościwy! Oczy jego łzami zachodzą, jak przed nim ludzie biedni skarżą się i płaczą... On wszystkim do siebie przystęp daje, naucza i pociesza każdego... dla siebie nic nie chce i tak mocno... Ber! On tak mocno wierzy...

Słuchając tych słów, Ber uśmiechał się i szklistym wzrokiem swym spoglądał ku obłokom.

— Ty, Meir, tak o rabinie mówisz — odparł z wolna — a co ty powiesz o tym biednym narodzie, którego ciało wyschło od głodu, a głowy od kłopotów bolące i od pogardy, co na niego przez dwa tysiące lat pada, nisko pochylone, a który, jak spragniony do zdroju, biegnie do rzeki mądrości, żeby z niej pić? Ty nie pytaj się o to, czy mądrość ta prawdziwa jest albo fałszywa, ale ty patrz na to, jak on w brudzie, w nędzy, w małych, lichych interesach żyjąc, mądrości tej pragnie... i jak on mędrców swoich czci, a tego, co za święte przykazanie ma, wiernie trzyma się. Czy tobie zdaje się, że naród ten, głupi i chciwy, i brudny, wielką ma w sobie duszę?

Meir podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu czoło, jak zwykle, gdy bywał wzruszonym.

— Izrael wielką duszę ma w sobie i ja jego kocham nad spokojność moją, nad szczęście moje i nad życie moje... Nu!...

Tu zatrzymał się przez chwilę, porywczym gestem pochwycił ramię Bera i zawołał:

— I ja wiem, czego Todrosowi brakuje, żeby on ze swoją wielką duszą wielkim człowiekiem był, i czego ludowi izraelskiemu brakuje, ażeby on wielkość swoją przed światem

pokazał... Trzeba, ażeby myśli ich i pamięci wyszły z tych dawnych czasów, w których one zawsze mieszkają, a zamieszkały w nowych czasach, co teraz na świat przypłynęły, i trzeba, żeby o głowy ich uderzył skrzydłami swymi Sar-ha-Olam, ten anioł poznania, który jest książęciem świata!

Kiedy młody człowiek, z czołem i wzrokiem w ogniu, słowa te mówił, Ber wpatrywał się w niego głębokim, radosnym i zarazem smutnym spojrzeniem.

Po chwili odezwał się:

— Kiedy ja na ciebie patrzę, Meir, i kiedy ja ciebie słucham, mnie się zdaje, że ja widzę siebie samego... wtedy, kiedy mi tyle lat było, ile tobie jest teraz... Ja także, tak jak ty teraz, gniewałem się bardzo i smuciłem się... ja także chciałem...

Umilkł i dotknął dłonią piersi, bo na czole powstały mu owe dwie głębokie zmarszczki, a źrenice jego zza szklistej swej powłoki spojrzały kędyś daleko... w świat czy w przeszłość...

W ten sposób rozmawiali ze sobą dwaj ci ludzie, jeden o ścianę bet-midraszu wsparty, drugi blisko przed nim stojący. Rozmawiali z ożywieniem, z gwałtownymi niekiedy gestami. Meira oczy płomienne były, a twarz bladą, Bera czoło fałdowało się zmarszczkami, a wargi drżały lekko. I ktokolwiek by z ludzi obcych światu temu, śród którego żyli, czuli i myśleli oni, patrzał teraz na nich, a treść rozmowy ich odgadywać chciał, rzekłby: „Kupują, sprzedają, targują się, o handlu mówią! Alboż ludzie tacy, jak oni, o czym innym myśleć, mówić, nad czym innym cierpieć mogą?".

Mogą. Myślą, mówią, cierpią, tylko nikt w mowy ich nie wsłuchuje się, myśli nie rozumie, cierpień odgadnąć nie pragnie. Morze to jest ogromne i tajemnicze, niebadane przez tych nawet, którzy w nim toną!

— Chodź do domu! — rzekł Ber do towarzysza swego. — Dziad twój, Saul, wkrótce z gośćmi swymi do stołu zasiądzie i rozgniewa się, jeżeli ciebie tam nie zobaczy. I tak już wielka burza nad głową twoją wisi. Hana Witebska odniosła prezenty zaręczynowe, które dziad od ciebie córce jej posłał, nagadała jemu przy gościach wiele nieprzyjemności i zaręczyny zerwała.

Meir uczynił niedbały ruch ręką.

— Ja tego chciałem — rzekł — dziada ja przeproszę... Moja głowa tym tylko zajęta, do kogo mnie teraz iść...

Ber z rodzajem zdziwienia spojrzał na mówiącego.

— Jaki ty uparty jesteś! — zauważył.

Zmierzali już teraz obaj ku bramie podwórza. Ber stanął nagle.

— Meir! — rzekł. — Ty tylko do urzędników nie idź!

Meir powiódł dłonią po czole.

— Ja poszedłbym do nich — rzekł — ale mnie strach zdejmuje! Jeżeli prawdę wykryją, to Kamionkera srogo karać będą, a z Kamionkerem i tych nieszczęśliwych ludzi, których on skusił... Biedni ludzie! Głupi ludzie! Ja ich żałuję...

Umilkł nagle i wpatrzył się w punkt jeden. Rynkiem, na wpół już opustoszałym, przejeżdżała zgrabna najtyczanka czterema dzielnymi końmi ciągnięta, a na niej siedział mężczyzna młody, przystojny, w wykwintnym ubraniu.

Meir wskazał palcem najtyczankę, która zatrzymała się przed domostwem Kamionkera, i z oczami szeroko rozwartymi od myśli jakiejś, która mu nagle w głowie zawrzała, drżącym głosem zawołał:

— Ber! Czy ty widzisz? To dziedzic Kamioński!

*

Słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy na ganku domostwa Ezofowiczów ukazała się gromadka ludzi żywo, uprzejmie i wesoło z sobą rozmawiających. Byli to dzisiejsi goście Saula, którzy uczęstowani przy gościnnym stole jego uściśnieniami rąk żegnali stojącego pośród nich starca, za łaskę, którą okazał on im, dziękowali i z kolei po dwóch lub trzech na oczekujące ich wozy siadając, długo jeszcze zwracali się twarzami ku stojącym na ganku gospodarzom opuszczanego przez nich domu.

W bawialnej izbie niewiasty domowe z pomocą dziewek służebnych sprzątały z długiego stołu liczne naczynia stołowe, chowały do szaf resztki pozostałych jadeł i napojów i zwijały starannie grubą, lecz dostatnią i czystą bieliznę.

Na rynku tymczasem targ miał się ku końcowi; przerzedzona znaczna ilość wozów i ludzi zajmowała jeszcze pewną część przestrzeni, ale zmniejszała się z każdą chwilą. W zamian dwa czy trzy domostwa zajezdne znajdujące się tuż przy placu wrzały gwarem i hałasem. Ciemne, przepaściste sienie domostw tych natłoczone były wozami i końmi wieśniaków, którzy pili, tańczyli, kłócili się i bawili w wielkich szynkowniach.

W szynkowni Kamionkera najtłumniej było i najhałaśliwiej. Nie dziw. Obrotny handlarz trzymał w dzierżawie kilka okolicznych gorzelni i kilkanaście karczem, kierował czynnościami i rozporządzał losami całej armii swoich znowu dzierżawców i szynkarzy. Kilkudziesięciu ludzi podobnych Samsonowi owemu, który raz w tydzień kupował trzy funty mięsa, a jedenaście osób familię jego składających jadło z nich i siły swoje wzmacniało (Samsonowe iście musiały być siły te!), kilkudziesięciu tedy biedaków takich zostawało w zupełnej od Kamionkera zależności. Wspaniałomyślnym władcą nie był on dla nich, oni też nawzajem wspaniałomyślnymi nie byli dla tych tłumów wieśniaczych, które topiły rozum swój i dobrobyt swych rodzin w rozlewanym rękami ich morzu alkoholu. W ten więc sposób Kamionker trzymał w ręku swym losy setek, tysięcy może rodzin wieśniaczych, których [to rąk] nicie obmotywały rozdwojone u końców kredki dzierżawców jego i szynkarzy, z kolei oczekujących od przedsiębiorcy głównego polepszenia albo ostatecznego zniweczenia nędznych swych, brudnych, mozolnych istnień.

Nic więc dziwnego, że dokoła domostwa Kamionkera cisnął się tłum największy wozów i koni, a w szynkowni jego piła i hałasowała największa ilość wieśniaków. Kamionker przecież nie ukazywał się tłumowi temu i sam go nie ugaszczał. Gospodarowała tam żona jego, Jenta, rozstawiając na stołach dzbany, butelki i czarki, a dopomagały jej dwie brzydkie, barczyste córki jej, sprzedające u końca jednego ze stołów obwarzanki, chały i śledzie. I ktokolwiek by patrzał wtedy na postać Jenty, chudą, podaną naprzód, obleczoną w luźną, spłowiałą suknię, i na twarz jej uwiędłą, zgorzkniałą, żółto odbijającą od sterczącej u rudego czepka czerwonej róży, ktokolwiek by widział postać tę i twarz, leniwo przesuwające się w atmosferze dusznej od tłumnych oddechów ludzkich i odurzającej wyziewami alkoholicznych napojów, przypuścić nie mógłby, że była to żona handlarza i przedsiębiercy[139] na wielką skalę, właściciela jednej z największych w prowincji fortun pieniężnych.

Trudno by też było odgadnąć przedsiębiorcę na wielką skalę i posiadacza kapitałów znacznych w rudym, małym człowieczku, który w wyszarzanym, długim aż do ziemi surducie, z szyją ukrytą w zwojach czerwonawej chusty, stał teraz w jednym z gościnnych pokojów domu swego, o kilka kroków zaledwie od progu.

Był to ten pokój właśnie, w którym świetniały żółte, odwieczne sprzęty z podartym i brudnym obiciem, a także stojące na oknach w glinianych wazonach czarne i karłowate monstra roślinne.

Reb Jankiel Kamionker stał o kilka kroków od progu, a gość jego, dziedzic Kamioński, siedział na żółtym fotelu, paląc cygaro i pół żartobliwym, pół zamyślonym wzrokiem spoglądając na reba Jankla.

Młody pan był wysoki, słusznej i silnej postaci; ciemne włosy miał nad otwartym czołem, a na całej twarzy, delikatnej, choć pozłoconej z lekka od skwarów letnich, wyraz łagodny, trochę dobroduszny i dość myślący.

Wesoła żartobliwość, która od chwili do chwili świeciła w szafirowych oczach szlachcica, obudzaną znać była widokiem niepozornej postaci, piegowatej twarzy i długich, ognistych pejsów reba Jankla. Zamyślał się zaś on chwilami dlatego zapewne, że niepozorny rebe z długimi pejsami rozmawiał z nim o ważnym dlań interesie.

Młody pan zresztą, z otwartym, myślącym czołem i łagodnymi usty[140], nic a nic nie wiedział o tym, z kim właściwie rozmawia. Stał przed nim Żyd, dzierżawca jego gorzelni, i koniec na tym. Kimże mógłby on być więcej jak Żydem i dzierżawcą gorzelni?

Że mógł on być jeszcze czynnym i wpływowym członkiem pewnego silnie i odrębnie zorganizowanego społeczeństwa, doskonałym pobożnym zostającym u prawowiernej części społeczeństwa tego we czci wysokiej, mistykiem oczekującym nadejścia dnia Mesjaszowego z wiarą taką, z jaką oczekiwali go ludzie plemienia jego przed kilkunastu wie-

[139]*przedsiębierca* — dziś popr.: przedsiębiorca.
[140]*łagodnymi usty* — dziś popr. forma N.lm: (…) ustami.

kami; że był on uczonym i bogaczem, przed którym powstawali z głębokim szacunkiem wszyscy biedacy i prostacy narodu jego, że na koniec około niekształtnych, piegowatych, niedoskonale umytych rąk jego obmotywały się nicie licznych losów ludzkich: żydowskich i chrześcijańskich — o tym dziedzic Kamioński, z myślącym czołem i łagodnymi usty, najlżejszego nie miał wyobrażenia.

Toteż na myśl mu nawet nie przyszło zachęcić piegowatego, rudego Żyda, aby zbliżył się doń o parę kroków więcej i usiadł w obecności jego. Reb Jankiel także o zbliżaniu się i siadaniu w obecności szlachcica nie myślał. Nie myślał o tym, bo w okolicznościach podobnych stanie pokorne było mu zwyczajem po ojcach i dziadach odziedziczonym, a jednak bladobłękitne oczy jego połyskiwały niechętnie i złośliwie, ile razy młody pan zwrócił wzrok w inną stronę i wyrazu ich widzieć nie mógł. Być może, iż reb Jankiel, nie myśląc wcale o tym i sprawy sobie z uczucia swego nie zdając, czuł przecież, jak od stojących w pokorze nóg jego ku sercu, które w codziennym życiu w wielkiej nurzało się dumie, płynął gryzący jad otrzymywanej i wzajem oddawanej wzgardy, wzgardy, która, gdy na grunt złego serca upadnie, zasiewa nienawiść i zbrodnię.

— Nudzisz mnie, mój Janklu, z tymi wiecznymi targami i kontraktami swymi! — niedbale i paląc cygaro mówił dziedzic Kamioński. — Wstąpiłem do ciebie na chwilę tylko, ażeby mi konie odpoczęły trochę, a ty mię tu już na dobre złapałeś…

Reb Jankiel ukłonił się szybko i giętko.

— Ja za śmiałość mają bardzo wielmożnego pana przepraszam — rzekł z uśmiechem — ale gorzelnia pańska otworzy się za miesiąc, i ja chciałbym pierwszeństwo u pana mieć…

— Dobrze, dobrze! — odparł szlachcic. — Dlaczegóż nie miałbym dać ci pierwszeństwa, skoro od trzech lat dzierżawisz już gorzelnię moją… ale po co tak śpieszyć… miesiąc czasu jeszcze…

— A co to szkodzi zawczasu o interesie pomyśleć? Ja woły już skupuję, a przy gorzelni wielmożnego pana sto wołów postawić trzeba. Sto wołów! Czy to żart! Ja takich dużych pieniędzy wydawać nie mogę, nie mając jeszcze od wielmożnego pana żadnej pewności. Jeżeli wielmożny pan pozwoli, ja jutro do dworu przyjadę i kontrakt napiszem…

Młody pan wstał z fotela.

— Dobrze — rzekł — przyjedź… nie wcześniej jednak jak po południu, bo z rana mię w domu nie znajdziesz.

— Wielmożny pan nocować będzie w sąsiedztwie? — zapytał Jankiel i powieki drgnęły mu nerwowo.

— W bliskim sąsiedztwie — odpowiedział szlachcic i chciał coś jeszcze mówić, ale za plecami reba Jankla z wolna i nieśmiałą widocznie ręką poruszone drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł młody Żyd, wysmukły, kształtny, czysto ubrany, z twarzą bladą i bardzo zmieszaną, a okiem gorejącym i śmiałym.

Na widok wchodzącego reb Jankiel instynktownym ruchem odskoczył w tył parę kroków. Po białej i piegowatej twarzy jego przebiegły drgnienia przestrachu.

— Czego ty tu przyszedł… — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Młody pan za to z obojętnym na przybyłego spojrzeniem zapytał:

— A czego chcesz, mój kochany? Czy interes jaki do mnie?

— Do wielmożnego pana — odpowiedział młody człowiek głosem zniżonym prawie do szeptu.

Uczynił z wolna kilka kroków naprzód, ale Jankiel zagrodził mu sobą drogę.

— Niech wielmożny pan nie pozwoli jemu rozmawiać ze sobą! — krzyknął. — Niech wielmożny pan ust jemu otwierać nie pozwoli! To bardzo zły człowiek jest… on wtrąca się do wszystkiego…

Dziedzic Kamioński wyciągnął rękę i usunął sprzed siebie gorączkowo gestykulującego człowieczka.

— Pozwól mu mówić — rzekł. — Jeżeli ma interes jaki do mnie, czemużbym porozmawiać z nim nie miał.

Mówiąc to, patrzał uważnie na przybyłego, którego twarz o pięknych, wyrazistych rysach, bladością wzruszenia powleczona, zaciekawiła go widocznie. Przy tym obrażała go i rozśmieszała zarazem nagle powstała gwałtowność gestów i mowy Jankiela.

— Wielmożny pan mnie nie zna, ale ja wielmożnego pana znam... — zaczął przybyły cichym wciąż, ciężkim głosem.

— Po co wielmożny pan znać ma łajdaka takiego jak ty... — spróbował znowu wpaść mu w mowę Jankiel, ale Kamioński uczynił ku niemu gest nakazujący milczenie.

— Ja wielmożnego pana widziałem kilka razy u dziada mego, Saula Ezofowicza, którego syn, Rafał, u wielmożnego pana zboże zawsze kupuje...

— Więc jesteś wnukiem starego Saula?

— Tak, ja jestem jego wnukiem.

— A Rafał Ezofowicz to twój ojciec?...

— Nie; ja jestem synem Beniamina, najmłodszego z synów Saula, który dawno już temu umarł.

Meir wyrażał się polszczyzną łamaną nieco, lecz dość znośną. W domu dziada swego słyszał on często rozmowy prowadzone w tym języku przez przybywających tam za interesami dziedziców dóbr sąsiednich, a stary edomita, który uczył go czytania i pisania innego jak hebrajskie, tym samym językiem mówił.

— Czy Rafał przysłał cię do mnie? — zapytał szlachcic.

— Nie; ja sam przyszedłem...

Milczał chwilę, jakby wzmagał się na siły i odwagę. Wzmógł się, podniósł głowę i śmielszym już nieco głosem zaczął:

— Ja przyszedłem, żeby wielmożnego pana ostrzec przed wielkim nieszczęściem, które źli ludzie dla pana przygotowują...

Jankiel poskoczył znowu i rozpościerając ramiona zasłonił go przed Kamiońskim.

— Czy ty będziesz milczał? — krzyknął. — Po co ty masz wielmożnemu panu głowę turbować swoim głupim gadaniem...

A zwracając się do szlachcica, rozpaczliwie mówił:

— To wariat jest, *miszugener*, łajdak...

Tym razem jednak nie Kamioński usunął już go sprzed siebie, ale uczynił to Meir. Ze zdwojoną gorączką w oczach, z przyśpieszonym oddechem odepchnął Jankla i śpiesznie mówić zaczął:

— Ten człowiek mówić mi nie pozwala, dlatego ja wielmożnemu panu prędko wszystko powiem. Niech wielmożny pan jemu nie ufa, on jest bardzo złym człowiekiem i nieprzyjacielem pana... on panu wielkie nieszczęście zrobi... niech pan jego strzeże się i niech pan domu swego strzeże jak oka w swojej głowie... Ja donosicielem nie jestem i dlatego przyszedłem tu, aby wielmożnemu panu powiedzieć to przy nim... On będzie mścił się nade mną, ale niech mści się... ja musiałem zrobić to, co każdy prawy Izraelita zrobić powinien... bo napisane u nas jest: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzon z potomków Izraelowych", a w drugim miejscu napisanym jest: „Jeżeli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!".

Przestał mówić, bo w piersi głosu mu nie stało. Widać było, że drżał cały i że kipiący zapał boleśnie walczył w nim z tajemną, dojmującą trwogą.

Kamioński spoglądał na mówiącego z zajęciem, ze zdziwieniem i — uśmiechem. Tak przywykł uśmiechać się, patrząc na Żydów, że i teraz drżąca postawa Meira, zagadkowe słowa jego, a szczególniej uczynione przezeń biblijne cytaty, piękne same w sobie, ale dziwnie brzmiące w niewprawnej i łamanej mowie Żyda, bardziej śmieszyły go, niż zadziwiały i zaciekawiały.

— Jak widzę — zaczął — stary Saul ma wnuka uczonego w Piśmie Świętym i obdarzonego darem proroczym. Powiedzże mi jednak, mój młody proroku, jaśniej i wyraźniej, jakie to nieszczęście grozi mi i dlaczego ten poczciwy Jankiel, który od trzech lat jest moim dobrym znajomym, powziął nagle taką nieprzyjaźń dla mnie?

Jankiel stał teraz już przy fotelu, na którym siedział dziedzic, i schylony trochę ku niemu, ze słodkim uśmiechem na ustach szeptał:

— To wariat! Jemu zdaje się ciągle, że on prorokiem jest i on wszystkim ludziom różne rzeczy zawsze przepowiada, a na mnie on zły za to, że ja z niego bardzo śmieję się i drwię...

— No, to już ja śmiać się ani żartować nie będę, żeby on i na mnie zły nie był — wesoło odparł szlachcic, a zwracając się ku Meirowi z pewną jednak ciekawością zapytał:

— Jakież to nieszczęście spotkać mię może? Powiedz jasno i wyraźnie, a jeżeli powiesz prawdę, zrobisz dobry uczynek, i wdzięcznym ci za to będę...

Meir odpowiedział:

— Wielmożny pan żąda ode mnie rzeczy bardzo trudnej... ja myślałem, że wielmożny pan zrozumie wszystko z kilku słów... mnie ciężko o tym mówić...

Powiódł dłonią po czole, na które wystąpiło kilka kropel potu.

— Czy wielmożny pan przyrzecze mi, że kiedy ja powiem straszne słowo, ono wpadnie w ucho pana, jak kamień wpada w wodę, i że pan nie powtórzy słowa tego przed sądem, tylko sam użytek z niego zrobi? Czy wielmożny pan mnie da na to swoje słowo?

Bladość mówiącego zwiększała się i głos drżał.

Młody pan walczył widocznie pomiędzy ciekawością a wesołym śmiechem, który go napastował.

— Daję ci słowo honoru — rzekł uśmiechając się — że słowa twoje wpadną do ucha mego jak kamień do wody.

Gorejące oczy Meira zwróciły się ku Janklowi. Otworzył usta, ażeby coś powiedzieć, lecz drżały one gwałtownie i żadnego dźwięku wydać nie mogły. Jankiel, korzystając z gwałtownego wzruszenia, które, zda się, odebrało na chwilę młodemu człowiekowi siłę i przytomność, nagłym i sprężystym ruchem rzucił się ku niemu, pochwycił za przednie klapy surduta jego i z całej siły popychać go ku drzwiom zaczął. Przy tym krzyczał:

— Co ty do domu mego przychodzisz, żeby memu gościowi głupim gadaniem swoim głowę turbować? To jaśnie wielmożny gość jest... wielki pan, z którym ja już trzy lata handluję i przyjaźń trzymam... Idź stąd! Idź stąd! Idź!

Meir usiłował wyzwolić się z rąk targających go i popychających, ale jakkolwiek wyższym i silniejszym był od Jankla, Jankiel posiadał większą giętkość i sprężystość ciała, a przy tym dokonywał wysileń rozpaczliwych. W ten sposób obaj posuwali się ku drzwiom, a młody pan spoglądał na zapasy te z uśmiechem. Nad głową i ramionami miotającego się Jankla podnosiła się bledsza coraz twarz Meira. Nagle oblał ją płomienny rumieniec.

— Niech wielmożny pan nie śmieje się — zawołał przerywanym głosem — wielmożny pan nie wie, jak mnie trudno mówić... Niech wielmożny pan domu swego od ognia strzeże...

Przy ostatnim wyrazie zniknął z progu, a Jankiel zdyszany, zmęczony, z drgającą twarzą drzwi za nim zatrzasnął.

Kamioński uśmiechał się ciągle. Nie dziw. Zapasy małego, rudego Jankla z wysokim i silnym, lecz zbyt wzruszonym, aby dostatecznie bronić się mógł, młodym Żydkiem rozśmieszający miały pozór. Śród zapasów tych długa odzież obydwóch zapaśników rozwiewała się szeroko; Jankiel z uniesienia i wysilenia wielkiego podskakiwał i przysiadał. Meir drżał cały, tak jakby się bardzo lękał, i niezgrabnymi ruchy odpychał napastnika. Tworzyło to obraz śmieszny, tym śmieszniejszy, iż składali go ludzie, z których śmiać się ogólnym jest i odwiecznym zwyczajem.

Jakimże zresztą sposobem młody szlachcic zrozumieć mógł tajemny, a bynajmniej nie komiczny sens odgrywającej się przed nim sceny? Kiedy rozmawiał z Meirem, czy wiedział, kto właściwie stał przed nim? Młody to Żydek był, łamanym i zabawnym językiem mówiący, wnuk kupca i sam przyszły kupiec zapewne. Kimże by innym mógł być jak młodym, dość zabawnym Żydkiem i przyszłym zapewne kupcem? Że był on duchem szlachetnym, zbuntowanym przeciw głupotom i nieprawościom wszelkim, duchem aż do rozpaczy stęsknionym za swobodą i wiedzą, że przychodząc tu dokonywał aktu wielkiej odwagi i krokiem tym gubił całą przyszłość swoją, młody pan najlżejszego o tym nie miał wyobrażenia. Alboż istnieją pomiędzy Żydami duchy szlachetne, zbuntowane przeciw złemu, wysoką tęsknotą rozebrane, odważne?

Po chwili jednak dziedzic Kamioński przestał uśmiechać się i patrząc na Jankla zapytał:

— Wytłumaczże mi teraz, co to takiego było i co to za człowiek?

— At! Co to było i co to za człowiek? — powtórzył Jankiel, który w mgnieniu oka pozór spokojności odzyskać zdołał. — Było to głupstwo, za które ja wielmożnego pana bardzo przepraszam, że ono wielmożnego pana w domu moim spotkało, a ten człowiek jest wariat... On bardzo zły był i ze złości zwariował...

— Hm — rzekł Kamioński — nie wygląda jednak całkiem na wariata. Ładną ma twarz i wcale roztropną...

— On bo i niezupełny wariat... — zaczął Jankiel, ale przerwał mu Kamioński:

— Wnuk to Saula Ezofowicza?... — zapytał z zamyśleniem.

— On wnuk Saula, ale dziadek bardzo jego nie lubi...

— Lubi czy nie lubi, ale rodzonego dziada pytać się o niego darmo...

— I owszem, niech wielmożny pan zapyta się... — wykrzyknął Kamionker, a oczy świeciły mu triumfem. — Niech pan i stryjów jego zapyta się... Ot, ja zaraz pobiegnę i stryja jego, Abrama, tu przyprowadzę...

— Nie trzeba — rzekł krótko szlachcic.

Wstał i zamyślił się. Spojrzał potem na Jankla bystro i uważnie. Jankiel spotkał spojrzenie to śmiałym okiem. Milczeli obaj chwilę.

— Słuchaj, Janklu — rzekł Kamioński — jesteś człowiekiem niemłodym, zamożnym kupcem, ojcem rodziny, powinienem więc ufać ci więcej niż młokosowi, którego pierwszy raz w życiu widziałem i który zresztą naprawdę wariatem być może... Jednak w tym coś być musi... ja o młodego człowieka tego rozpytać się muszę...

— Niech wielmożny pan rozpytuje się — ze wzgardliwym wzruszeniem ramion rzekł Jankiel.

Kamioński po dość długiej chwili namysłu zapytał:

— Czy wasz sławny rabin jest teraz w miasteczku?

— A gdzie on ma być? On od urodzenia swego nigdy z miasteczka nie wyjeżdżał.

— Stateczny człowiek — uśmiechnął się znowu Kamioński i wziął ze stołu zgrabną swą czapeczkę.

— No, Janklu — rzekł — prowadź mię do rabina... Jeżeli i nie dowiem się nic ciekawego, zyskam przynajmniej to, że choć raz w życiu rabina waszego zobaczę...

Jankiel z pośpiechem drzwi przed wychodzącym gościem swym otworzył i wraz z nim na plac zupełnie już prawie pusty wyszedł.

Przez plac przechodził w tej chwili Eli Witebski i spostrzegłszy Kamińskiego pana z uśmiechem pełnym uprzejmości ku niemu pośpieszył. Kamioński też powitał go grzecznie. Zewnętrznym wyglądaniem swym przynajmniej światowy kupiec bardziej od innych mieszkańców miejsca tego zbliżonym był do tej odmiany rodu ludzkiego, która nosi nazwę ucywilizowanej.

— Wielmożny pan do miasteczka naszego zawitał! Czy za interesem jakim?

— Nie, przejazdem tylko.

— A dokąd wielmożny pan teraz dąży?

— Do rabina waszego, panie Witebski.

Witebski zdziwił się.

— Do rabina? A czego wielmożny pan od niego chce?

— Śmieszna historia, mój Witebski! Ot! Powiedz mi, czy znasz wnuka Saula Ezofowicza?

— Którego? Saul ma wielu wnuków!

— Jak mu na imię? — przez ramię ku Janklowi rzucił pan.

— Meir! Meir! Ten niegodziwiec! — zakrzyczał Kamionker.

Witebski skinął głową w znak zrozumienia.

— Nu! — zaczął z łagodnym i ugodliwym uśmiechem — niegodziwcem on nie jest. Młody jeszcze, poprawić się może... Ale niespokojną głowę on ma... to jest prawda...

— Cóż? *Miszugener* trochę? — zaśmiał się pan, żartobliwym gestem palec do czoła swego przykładając.

— Nu! — odpowiedział Eli. — Wariatem on także nie jest... młody, porozumnieje jeszcze... ale teraz on wielkie głupstwa wyrabia... to prawda! On i mnie dziś nieprzyjemności wielkich narobił... Aj, aj! Co ja przez niego zmartwienia i kłopotu miałem i będę jeszcze miał!...

— Tak więc — rzekł Kamioński — rodzaj to jest półgłówka i złośnika, który sam nie wie, czego chce, i wszystkim przykrości sprawia?

— Pan zgadł! — odpowiedział Witebski i zaraz dodał: — Ale on młody jeszcze, z niego kiedyś porządny człowiek może być...

— Co znaczy, że teraz nie jest on porządnym człowiekiem…

— Proszę wielmożnego pana, tędy — rzekł w tej chwili Jankiel, wskazując dziedzicowi bramę synagogalnego dziedzińca.

— A gdzież jest mieszkanie waszego rabina?

Kamionker wyciągnął palec ku przytulonej do ściany świątyni ciemnej lepiance.

— Jak to! — zawołał szlachcic — w tej chacie?

I zmierzał ku chacie, ale z Jankielem już tylko, Witebski bowiem spostrzegłszy, że zanosi się na jakąś sprawę ważną może i przykrą, z ukłonami i uśmiechami szybko synagogalny dziedziniec opuścił.

Drzwi chaty rabina zamkniętymi już były, ale u otwartego jej okna stało jeszcze ludzi kilkunastu, z cicha pomiędzy sobą rozmawiających i od czasu do czasu we wnętrze chaty rzucających nieśmiałe spojrzenia. Ale we wnętrzu chaty panowało już milczenie głębokie i ktokolwiek by widział wprzódy, jak mozolnie i niezmordowanie Izaak Todros pracował przez długi szereg godzin, przypuściłby niezawodnie, iż teraz używał on spoczynku w śnie lub bezczynności zupełnej. Przypuszczenie takie byłoby grubą omyłką. Z wyjątkiem kilku krótkich godzin nocnych, w których sypiał on snem tak przerywanym i trudnym, jakim bywa zazwyczaj sen ludzi o wytężającym się wciąż umyśle i rozdrażnionych nerwach, Izaak Todros nie spoczywał nigdy. Było to żyjące wcielenie pracy niezmordowanej, namiętnej, nieznającej, co to zniechęcenie płynące ze zwątpienia jakiegokolwiek albo trwożliwej o własne zdrowie i życie dbałości. I teraz także po całodziennym przenoszeniu upalnej i dusznej atmosfery sprawionej w ciasnej chacie jego ogromnym natłokiem ludzi, po długim wysilaniu myśli, pamięci i piersi, szybowski rabin nie legł na twarde łoże swe ani wyszedł za miasteczko, kędy świeżość i cisza owiać by mogły czoło jego oblane potem i zmięte bruzdami mozołu, ale pozostał na tej samej ławie, na której siedział od wczesnego ranka, i tylko księgę wielką przed sobą rozwarłszy, wczytał się w nią pilnie, nabożnie, bezpamiętnie. Księgę tę zresztą, jak wszystkie inne, które posiadał, przeczytał on już tyle razy, że umiał ją na pamięć prawie od początku do końca. Czytał ją jednak ciągle, bo zza wyrazów jej błyskały mu coraz nowe sensy i tajemnice, a on ku ostatecznemu pojęciu sensów tych i odkryciu tajemnic dążył wszystkimi siłami ducha swego, palącego się w ogniu mistycznych wiar, marzeń i pragnień.

Reb Mosze za to spoczywał, choć także niezupełnie. Siedział on w kątku izby na ziemi, łokcie opierał na podniesionych kolanach, brodę chował w dłonie, a wzrok zatapiał nieruchomo w twarzy mistrza schylonej nad księgą. Była to kontemplacja taka, z jaką mnich chrześcijański wpatruje się w obraz świętego patrona zakonu swego, z jaką wpółdziki Murzyn przygląda się fetyszowi wystruganemu z drzewa, z jaką miłośnik i badacz natury spogląda w przestrzeń usianą miriadem[141] świecących ciał niebieskich. W oczach reb Mosza wlepionych w twarz wielkiego rabina malowały się: uwielbienie, podziw i miłość.

Nagle otworzyły się drzwi izdebki i za progiem jej ukazał się dziedzic Kamioński. Zatrzymał się tam chwilę i rzekł do idącego za nim Jankla.

— Zostań tu, panie Janklu, ja sam rozmówię się z panem rabinem.

Rzekłszy to, pochylił nisko głowę, aby przestąpić próg drzwiczek zbyt niskich dla wysokiej i okazałej jego postaci.

Przestąpił próg i pytającym okiem powiódł dokoła.

Naprzeciw niego, u czarnej od pyłu i brudu ściany, siedział na ławie człowiek w nędznym odzieniu, z czarnymi jak noc włosami i brodą, z twarzą pomarańczowego prawie koloru, którą podniósł przy wejściu jego znad księgi o zżółkłych, odwiecznych kartach. Nad czołem człowieka tego, niskim i przerżniętym kilku grubymi poprzecznymi zmarszczkami sterczał w półkole zmięty daszek czapki na tył głowy zsuniętej, a oczy jego, czarne i gorejące, z osłupieniem zdumienia utkwiły w twarzy przybysza.

W kącie izby, nisko przy ziemi, szarzała druga jeszcze postać ludzka, ale na nią młody pan przelotne tylko rzucił spojrzenie. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby człowiek siedzący na ławie, z dziurami na rękawach odzieży i osłupiałym wyrazem w oczach, był tym właśnie rabinem szybowskim, którego sława, rozchodząc się po świecie żydowskim na wiele mil dokoła, oderwanymi, niewyraźnymi echami wnikała i w świat chrześcijański.

[141] *miriad* — dziś r.ż.: miriada.

Zbliżył się tedy do człowieka tego i dość grzecznie jednak zapytał, czy może widzieć się z szybowskim rabinem.

Odpowiedzi nie było żadnej.

Siedzący na ławie człowiek wyciągnął tylko ku niemu długą, żółtą szyję i szerzej jeszcze otworzył oczy i usta. Osłupienie, a może i inne też nagle doznane uczucie rzuciło na całą powierzchowność jego wyraz ogłupiałości, do idiotyzmu niemal posuniętej. I nie dziw wcale, że Izaak Todros podobnie piorunującego doświadczył wrażenia na widok stojącego przed nim szlachcica. Pierwszy to był edomita, który progi jego przestąpił, odkąd on sam w progach tych żył, pierwszy, którego z bliska ujrzały oczy jego i który przemówił doń dźwiękami rozlegającymi się w uszach jego obco zupełnie, niezrozumiale a nieledwie dziko. Gdyby anioł Metatron, niebieski patron i obrońca Izraela, albo nawet wódz i naczelnik szatanów zjawili się byli przed nim, byłby on mniej zdumionym i przerażonym; z nadprzyrodzonymi bowiem jestestwami tymi wiązały go ścisłe, jakkolwiek niebezpośrednie stosunki. Badał i znał pochodzenie ich, naturę, właściwości i czynności wszelkie. Ale ten okazały, wysoki człowiek, w obrzydliwym ubraniu, które do kolan nie sięgało mu nawet, z białym jak u niewiasty czołem swoim i niezrozumiałą swą mową, z jakich stron przybywał? Po co przychodził? Czego chciał? Idumejczykiemże był on? Filistynem? Srogim Rzymianinem, który zwyciężył mężnego Barkobeka[142]? Albo co najmniej Hiszpanem, który mordował słynną rodzinę Abrabanelów[143], a i przodka jego, Todrosa, bezecnie z kraju swego wygnał?

Kamioński oczekiwał chwilę odpowiedzi na pytanie swe, a nie doczekawszy się jej, zapytał powtórnie:

— Czy mogę widzieć się z szybowskim rabinem?

Tym razem na dźwięk podniesionego nieco głosu jego postać ludzka szarzejąca w kącie izby poruszyła się i powstała z wolna. Reb Mosze z otwartymi od zdziwienia usty i osłupiałym, w twarz przybysza utkwionym wzrokiem wysunął się na światło i gardłowo, przeciągle wymówił:

— Ha?

Na widok człowieka tego, odzianego z pierwotną i niesłychaną już gdzie indziej prostotą, po całej twarzy Kamiońskiego dziedzica drgnęły i rozbiegły się, szybko jednak powstrzymane, uśmiechy.

— Mój panie! — zwrócił się do reb Mosza — czy człowiek ten głuchy jest i niemy? Dwa razy pytałem go już o szybowskiego rabina, a odpowiedzi żadnej nie otrzymałem.

Mówiąc to, wskazywał Todrosa, który teraz z wolna zwrócił się ku mełamedowi i wyciągając ku niemu szyję, zapytał:

— *Wos sagt er*? *Wos wil er*? (Co on mówi? Czego on chce?)

Reb Mosze zamiast odpowiedzi szerzej jeszcze otworzył usta, a w tejże chwili za otwartym okienkiem ozwały się szmery i szepty. Kamioński spojrzał ku okienku i zobaczył, że było ono całe napełnione twarzami spoglądającymi w głąb izby z zewnątrz. Twarze te były ciekawe i nieco przelęknione. Kamioński zwrócił się ku nim z zapytaniem:

— Czy tu mieszka rabin szybowski?

— Tu! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

— A gdzie on?

Kilkanaście palców wskazało człowieka siedzącego na ławie.

— Jak to! — zawołał szlachcic. — Człowiek ten jest tym waszym sławnym i mądrym rabinem?

Twarze zapełniające okno rozpromieniły się szczególną błogością jakąś i oczami dawały znaki twierdzenia.

Widać było, że Kamiońskiego ogarniała wielka chęć śmiechu, którą jednak powstrzymywał jeszcze.

---

[142]*Barkobek* właśc. *Szymon Bar-Kochba* (zm. 135 r. n.e.) — przywódca ostatniego powstania narodowego (132–135 r.) przeciw władzy Cesarstwa Rzymskiego nad Judeą; utworzył niepodległe państwo izraelskie, sprawując w nim władzę jako *nasi* (książę), które ostatecznie zostało podbite przez Rzymian po dwóch latach wojny; przez sławnego rabina Akibę został ogłoszony mesjaszem, od niego też otrzymał przydomek Bar Kochba, co oznacza po aramejsku „Syn Gwiazdy" i stanowi odniesienie do biblijnej Księgi Liczb (Lb 17, 24 o wschodzącej Gwieździe Jakuba).

[143]*Abrabanel* a. *Abravanel* — jedna z najstarszych i najznakomitszych rodzin żydowskich w Hiszpanii.

— A to kto? — zapytał wskazując reb Mosza.

— Nu — odpowiedziało mu z okna parę głosów — to jest mełamed, bardzo mądry i pobożny człowiek.

Kamioński zwrócił się znowu do Todrosa.

— Szanowny panie rabinie — rzekł — chciałbym chwil kilka pomówić z panem bez świadków.

Todros milczał grobowo. Oddech jego tylko stawał się coraz śpieszniejszym, a oczy coraz płomienniejszymi.

— Panie mełamedzie! — rzekł szlachcic do bosonogiego człowieka w grubej koszuli. — Czy to może u was dzień taki, że rabinowi waszemu mówić nie wolno?

— Ha? — przeciągle zapytał reb Mosze.

Kamioński wpół śmiejąc się, wpół z gniewem zawołał ku stojącym za oknem ludziom:

— Dlaczego oni nie odpowiadają?

Długie nastąpiło milczenie. Twarze napełniające okno spoglądały ku sobie z widocznym zakłopotaniem.

— Nu! — ozwał się ktoś śmielszy. — Oni nie rozumieją tego języka, którym pan gada!

— A jakiż język, do licha, rozumieć oni mogą? — zawołał szlachcic.

— Nu — odpowiedział ten sam co wprzódy głos. — Oni umieją tylko po żydowsku!

Kamioński szeroko roztworzył oczy. Nie chciał wierzyć uszom własnym. Śmiech go ogarniał, ale zarazem też i nieokreślony gniew jakiś.

— Jak to! — zawołał. — Oni nie rozumieją języka kraju, w którym żyją?

Milczenie.

— Nu — rzekł na koniec ktoś z okna — nie rozumieją!

W głosie, który krótki wyraz ten wymówił, dźwięczała też głucha jakaś niechęć.

W tejże chwili Izaak Todros porwał się z siedzenia swego, stanął, wyprostował się, podniósł obie ręce nad głową i spiesznie bardzo mówić zaczął:

— Przyjdzie taki dzień, że Mesjasz w ptasim gnieździe, które w raju zawieszonym jest, obudzi się i na ziemię zejdzie. Wtedy na całym świecie rozpostrze się wojna ogromna, Izrael stanie naprzeciw Edomu i Izmaela, a Edom i Izmael, zwyciężone, u nóg jego położą się jako ścięte cedry.

Wymawiając wyrazy: Edom i Izmael, mówiący wyciągnął wskazujący palec swój ku stojącemu na środku izby edomicie. Gest ten jego groźny był i uroczysty; groźnie i namiętnie płonęły mu oczy, piersią pochwycił szybko powietrze i z wybuchem głosu powtórzył raz jeszcze:

— Edom i Izmael położą się u nóg Izraela jako złamane cedry, a grom pomsty Pańskiej spadnie na nich i zetrze ich w proch.

Teraz kolej niezrozumienia przyszła na stojącego pośrodku izby edomitę. Podobnym on był wprawdzie do smukłego i silnego cedru, ale nie do takiego wcale, który wkrótce ulec ma katastrofie rozsypania się w proch. Przeciwnie, był on bliższym coraz katastrofie homerycznego śmiania się[144], której szczęśliwie, choć z niemałym wysileniem, unikał dotąd.

— Co on mówi? — zapytał ludzi tłoczących się w oknie.

Odpowiedzi nie było. Wszyscy stali z oczami wlepionymi w mówiącego mędrca, a na ciemnej, okrągłej twarzy mełameda rozlewał się już wyraz niewysłowionego zachwytu.

— Moi kochani! — zawołał Kamioński. — Powiedzcie mi, co on mówił?

Głos jakiś z okna, gruby i chropowaty, ale dziwnym jakby szyderstwem, dziwną jakby żądzą odwetu nabrzmiały, odpowiedział pytaniem:

— Jasny pan nie zrozumiał?

Pytanie to naiwne, dziwaczne, niesłychane, położyło kres silnej woli młodego pana. Szafirowe oczy jego zaświeciły nieposkromioną wesołością, a z piersi wybuchnęła długa, głośna gama śmiechu.

Ze śmiechem tym zwrócił się ku wyjściu.

— Dzicy ludzie! — zawołał we drzwiach.

[144]*homeryczny śmiech* — głośny i szczery.

Idąc synagogalnym dziedzińcem, śmiał się wciąż i coraz więcej, a ludzie, którzy cisnęli się ku oknu rabina, poodwracali teraz głowy i ścigali go wejrzeniami pełnymi zdumienia i dotkliwej, głębokiej obrazy.

Nie dziw. Młody pan śmiał się, a pomimo śmiechu w głębi piersi czuł głuchy gniew i urazę, bo mędrcy izraelscy, których widział przed chwilą, wydali się mu ludźmi dzikimi i wysoce komicznymi, a nie rozumieli nawet języka ziemi tej, której powietrzem oddychali, a płodami żywili się od wieków. Ludzie zaś cisnący się do chaty rabina ścigali go wzrokiem niechętnym, aż do nienawiści prawie, bo śmiechem swym zbluźnił on temu, co oni najgoręcej miłowali i czcili najwyżej.

Biedni mędrcy izraelscy i czciciele ich, którzy ścigali edomitę nienawistnymi spojrzeniami! Biedny edomita śmiejący się z izraelskich mędrców i ich czcicieli! Lecz najbiedniejsza, o! najbiedniejsza ziemia, której synowie po wspólnej wiekowej podróży nie rozumieją wzajem mowy ani ust, ani serc swoich! W bramie synagogalnego dziedzińca Jankiel Kamionker znalazł się obok młodego dziedzica.

— No, panie Jankiel — zawołał dziedzic — mądrego i uczonego rzeczywiście macie rabina!

Jankiel nie odpowiedział na to nic i zaczął zaraz mówić o przyszłorocznej dzierżawie kamiońskiej gorzelni. Zdawałoby się, że tak lekceważył wszystko, co zaszło, iż zapomniał już nawet o tym. Kamioński nie zapomniał, ale jedynym wrażeniem, które pozostawiło mu wszystko, co słyszał i widział, było zdziwienie połączone z wesołością. Młody prorok, rozgniewany na proroka Jankiel z długimi pejsami, rabin nieznający żadnego innego języka jak żydowski i towarzysz jego ubrany z pierwotną prostotą — wydawali mu się na przemian to niezrozumiałymi, to oburzającymi, to śmiesznymi. Pilno mu było o doświadczonej w żydowskim miasteczku awanturze opowiedzieć krewnym i przyjaciołom, do których jechał. Jakże głośno i serdecznie śmiać się będzie z opowiadania jego rumiany i dobroduszny pan Andrzej! Z jak wdzięcznym uśmiechem na różanych ustach wysłucha go córka pana Andrzeja, prześliczna Jadzia, o której wdzięcznych uśmiechach od wielu już tygodni i miesięcy dziedzic Kamioński marzył jak wierny o raju!

Myśląc o uśmiechu prześlicznej Jadzi, młody pan wskoczył na najtyczankę swą, a spojrzawszy ku zachodniej stronie nieba, zawołał:

— O! Jakżeście mię długo tu zatrzymali!

Skinął potem głową ku Janklowi i krzyknął na furmana:

— Ruszaj!

Dzielna czwórka siwców porwała zgrabny kawalerski powozik, który jak błyskawica przemknął przez plac miasteczka i zniknął w złotych kłębach kurzawy.

*

Na zachodniej stronie nieba gasły z wolna jaskrawe obłoki, przezroczysty zmrok sierpniowego wieczoru spuszczał się na miasteczko i szarawym cieniem napełniać zaczynał bawialną izbę domostwa Ezofowiczów. W izbie tej rozlegały się przed chwilą zgiełkliwe krzyki i kłótnie, wśród których wzbijał się najgłośniejszy i najzapamiętalej mówiący głos reba Jankla. W sposób rozmaity: poważnie i gwałtownie, gniewnie i ugodliwie odpowiadali mu liczni członkowie rodziny, którą rudy Jankiel osypywał skargami, wyrzutami i groźbami. Po czym skarżący się i grożący człowiek, drżąc cały od gniewu, a może i trwogi, wypadł z domostwa i pędem wielkim pobiegł ku mieszkaniu rabina, a kilku ludzi w izbie pozostałych siedziało i stało długo w milczeniu i nieruchomości zupełnej, tak jakby gniewne lub kłopotliwe myśli w głowach ich powstałe każdego z nich przykuły do miejsca.

Saul siedział na żółtej kanapie z głową schyloną i rękami nieruchomo złożonymi na kolanach, oddychał ciężko i głośno wzdychał. Dokoła niego otrząsłszy się na koniec z zadumy i wzruszenia zasiedli na stołkach: Rafał, Abram i Ber. Przysunęły się też i cicho za mężami swymi usiadły żony Rafała i Bera, niewiasty lubione i poważane w rodzinie. W kącie izby szarzała jedna jeszcze postać ludzka. Był to młodziutki Chaim, syn Abrama a serdeczny przyjaciel Meira, którego obecności nikt nie spostrzegł.

Saul pierwszy przerwał milczenie.

— Gdzie on poszedł? — zapytał.

— Do rabina na skargę — odpowiedział Abram.
— On Meira przed sąd duchowny powoła... — zauważył Rafał.
Saul zakołysał się i jęknął:
— Aj, aj! Biedna głowa moja! Tegoż ja doczekałem się na starość moją, ażeby wnuk mój przed sądem stawiony był jak rozbójnik jaki albo oszust!
— On jako donosiciel przed sądem stanie! — z uniesieniem zawołał Abram i prędko, gwałtownie mówił dalej:
— Tate, z Meirem coś zrobić trzeba. Ty myśl i rozkazuj, co z nim zrobić. Tak dłużej nie może być. On siebie i synów naszych zgubi, a całej familii naszej wstydu i szkód wielkich narobi. Tate! Ludzie i tak już gadają, że ród Ezofowiczów ciągle wydaje z siebie ludzi takich, którzy Zakon izraelski rękami swymi podkopywać chcą i do domu izraelowego wprowadzać fałszywe bogi!
Po chwili milczenia Rafał poważnie i posępnie nieco głos zabrał:
— To jest prawda. Ja sam słyszałem takich ludzi, którzy mówili, że ród Todrosów i ród Ezofowiczów są jak dwie rzeki, z których jedna płynie w tył, a druga naprzód. One ciągle spotykają się z sobą i walczą, która którą pod ziemię zepchnąć ma. Gadanie to ucichło było i zapomnieli o nim ludzie. Teraz ono znowu zaczęło rozchodzić się po świecie. Winien temu Meir. Tak dłużej być nie może. Trzeba z nim coś zrobić. Ty, tate, myśl o tym i rozkazuj, a my rozkazania twoje do skutku przyprowadzimy.
Wśród niepewnych świateł szarej godziny widać było, jak na pomarszczone policzki Saula wybijały się ceglaste rumieńce.
— Co z nim zrobić? — zapytał po długiej chwili milczenia, a głos jego podobnym był do stłumionego łkania.
— Trzeba jego bardzo srogo ukarać! — zawołał Abram.
Rafał wyrzekł:
— Trzeba jego jak najprędzej ożenić!
Ber, który milczał dotąd, ozwał się:
— Trzeba jego stąd wysłać.
Saul namyślał się długo, potem odpowiedział:
— Wszystkie wasze rady niedobre są. Karać bardzo srogo ja jego nie mogę. A co by na to powiedziała dusza ojca mego, Hersza, którego drogami on chce chodzić, a którego sądzić mnie nie wolno? Ożenić jego prędko ja także nie mogę, bo dziecko to nie takie jest jak wszystkie. Harde i zuchwałe ono jest i w kajdany okuć się nie da. On już zresztą taki splamiony i srogimi naganami cały okryty, że jemu żaden bogaty i uczony Izraelita córki swojej za żonę nie da...
Tu głos Saula zadrżał znowu upokorzeniem wielkim. Tegoż doczekał się, że wnuka jego, najulubieńszego niegdyś ze wszystkich, żadna już z dostojniejszych rodzin izraelskich za syna swego przyjąć nie zechce!
— Wysłać jego stąd! — mówił dalej — ...ja także nie mogę... bo mnie strach, żeby on na szerokim świecie nie rozproszył do reszty z serca i głowy swojej wiary swoich ojców... Ja jestem teraz tak, jak ten wielki i uczony rabin, o którym takie pisanie jest, że miał on syna bezbożnego bardzo, który pod sekretem od niego chazar (wieprzowinę) jadł. Ludzie radzili jemu, żeby on syna tego w świat wysłał i biedzie a tułaczce srogiej w ręce oddał. Ale on powiedział: „Niech syn mój przy mnie zostanie i na zmartwioną postępowaniem jego twarz moją patrzy ciągle, bo widok ten serce jego miękkim i posłusznym zrobić może, a sroga bieda przemieni je w twardy kamień”...
Umilkł Saul i wszyscy milczeli. Milczenie to przerywały tylko od czasu do czasu westchnienia dwóch niewiast siedzących za mężami swymi. W izbie ciemniało coraz.
Po chwili przyciszonym nieco i nieśmiałym jakby głosem Ber mówić zaczął:
— Pozwólcie, ażebym ja dziś otworzył przed wami serce moje. Ja rzadko mówię, bo ile razy mówić ja chciałem, na mnie spadały dawne przypomnienia z mojej młodości, a głos mój odzywał się spod nich jak spod ziemi i najcichszym był ze wszystkich głosów w familii naszej. Ja i przestałem mówić i doradzać, i patrzałem tylko żony mojej, dzieci i interesów moich. Ale teraz ja znów mówić muszę. Na co tu tak długo myśleć, co z Meirem zrobić? Dajcie jemu swobodę. Pozwólcie mu iść w świat, a gniewem waszym ani wtrącaniem go w biedę srogą nie karzcie go! Co on zrobił? On wszystkie przykazania synajowe wiernie pełnił i nauki świętej pilnie uczył się, a wszyscy bracia i wszystkie siostry w całej familii

jego i nawet ubogi, prosty lud, co w nędzy i ciemnocie żyje, kochają jego jak duszę własną. Czego wy od niego chcecie? Za co wy jego karać macie? Co on złego zrobił?

Przemówienie to Bera, wypowiedziane wpół leniwym, a wpół nieśmiałym głosem, wywarło na wszystkich obecnych silne wrażenie. Żona jego, Sara, przelękniona widocznie, ciągnęła go za rękaw od surduta i szeptała mu w ucho:

— Szaa! Szaa! Ber! Na ciebie będą gniewać się za zuchwałe słowa twoje!

Saul kilka razy podniósł głowę i kilka razy pochylił ją znowu. Można by rzec, że wdzięczność dla Bera walczyła w nim z obrazą i gniewem. Porywczy Abram zawołał:

— Ber! Twoje własne grzechy przez usta twoje przemówiły! Ty ujmujesz się za Meirem, bo sam byłeś taki, jaki on teraz jest!

Rafał wyrzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Ty, Berze, mówiłeś o przykazaniach synajowych i powiedziałeś, że Meir przeciw nich[145] nie zgrzeszył. To jest prawda. Tylko ty zapomniałeś, że Zakon izraelski nie tylko na tych dziesięciu przykazaniach stoi, co je Mojżesz na górze Synaj od Pana usłyszał, ale jeszcze i na sześciuset trzynastu, które wielcy tanaici, amoraici[146], gaonowie[147] i rabini w Talmudzie zapisali. My posłuszni powinniśmy być nie dziesięciu, ale sześciuset trzynastu przykazaniom, a Meir talmudowych przykazań wiele naruszył…

— On wiele grzechów popełnił! — zawołał Abram. — Ale największy grzech jego jest ten, którego on dopuścił się dzisiaj. On brata swego, Izraelitę, przed cudzym człowiekiem oskarżył, głowę jego wielkim niebezpieczeństwom poddał i naruszył jedność i przymierze izraelskiego ludu! A co z nami stanie się, jeżeli my jeden drugiego przed cudzymi ludźmi skarżyć będziem? A kogoż my kochać i bronić będziem, jeżeli nie braci naszych, co są kością naszych kości i krwią naszej krwi? On więcej pożałował cudzego człowieka jak brata swego, Izraelitę, niechże jemu za to…

Nagle namiętny i zapalczywy człowiek ten mowę swą urwał, umilkł i z otwartymi jeszcze usty nieruchomym jak posąg pozostał. Siedział on naprzeciw okna i w okno to wpatrzył się sztywnym wzrokiem.

— Co to jest? — zawołał na koniec drżącym głosem.

— Co to jest? — powtórzyli za nim i wszyscy obecni z wyjątkiem Saula powstali z miejsc swoich.

W izbie, ciemnej przed chwilą, widno zrobiło się tak, jak gdyby na placu miejskim zapłonęło tysiąc pochodni i światło swe do wnętrza domostwa obfitymi strugami wlewało. Pochodnie to były w istocie, ale nie na placu miejskim, tylko kędyś o parę wiorst dalej płonące, i nie wnętrze domostwa Ezofowiczów tylko, ale całą firmamentu połowę oblewające morzem jaskrawych światłości.

Wśród nagle rozbłysłego wkoło nich oświetlenia trzej mężczyźni stali pośrodku izby nieruchomi, oniemiali, wpatrzeni w słupy ogniste rozpływające się po niebie coraz szerzej… coraz wyżej…

— Jak on prędko zamiaru swego dokonał! — wyrzekł Abram.

Nikt nie odpowiedział. W miasteczku, cichym przed chwilą, ozywać się zaczęły gwary i hałasy. Żadna w świecie ludność tak łatwo i prędko, jak izraelska, nie daje się porywać wrażeniom wszelkiego rodzaju. Tym razem wrażenie silnym być musiało. Budził je żywioł potężny, roznoszący po ziemi zniszczenie, a po niebie prześwietne blaski. Toteż słychać było, jak ze wszystkich ulic i uliczek miasteczka, z tętentem stóp śpiesznie biegnących, z szumami wzburzonych jakby strumieni, tysiączna ludność płynęła ku zamiejskim polom. Za oknami Ezofowiczów plac czerniał cały od płynącego w jednym kierunku tłumu tego i wrzał gwarem najrozmaitszych zapytań i przypuszczeń. Lecz ponad gwarem tym rozległo się kilka donośniejszych głosów:

— Kamionka! Kamionka! — zawołali ludzie lepiej od innych z miejscowością oznajomieni.

— *Herste*, *herste*[148]! Kamioński dwór! — pochwycił cały chór głosów.

---

[145]*przeciw nich* — dziś popr.: przeciw nim.

[146]*amoraici* — uczeni żydowscy, kontynuatorzy *tannaitów*, działający między 219 a 500 r. n.e. w dwóch ośrodkach: w Erec Jisrael i Babilonii, zajmujący się objaśnianiem *Miszny*; z ich prac powstała *Gemara* (w dwóch wersjach: babilońskiej i jerozolimskiej).

[147]*gaon* — uczony, geniusz.

[148]*herste* (jid.) — słyszycie, słyszcie.

— Aj, aj! Taki wielki dwór! Taki piękny dwór!

Były to ostatnie wykrzyki, które nad tłumem szumiącym za oknami wzbijając się, wniknęły do wnętrza domu Ezofowiczów.

Potem tłum ten przepłynął plac, oddalił się ku krańcowi miasteczka, a odgłosy stąpań i rozmów jego ozywały się z dala już tylko i niewyraźnie.

Wtedy stary Saul powstał z kanapy i z twarzą zwróconą ku oknu stał długo nieruchomy i milczący.

Z wolna potem podniósł ręce, które drżały trochę, i drżącym też głosem wymówił:

— Za czasów ojca mego, Hersza, i za czasów moich nie działy się rzeczy takie na świecie i grzechów takich pośród Izraela nie było… z rąk naszych płynęły na kraj ten srebro i złoto, ale nie ogień i łzy…

Po chwili milczenia, w głębokiej jakby zadumie pogrążony, ze wzrokiem wciąż wpatrzonym w ogniste niebo, rzekł jeszcze:

— Ojciec mój, Hersz, z dziadem *jego* w wielkiej przyjaźni żył… oni często rozmawiali ze sobą o ważnych interesach, a Kamioński pan, co jeszcze opasywał się pasem złocistym i długą szablę u pasa nosił, do ojca mego, Hersza, mówił: „Ezofowicz! Ty wielkie serce w sobie masz i jak nasza strona górę weźmie, my ciebie na sejmie szlachcicem zrobim!”… Syn jego nie taki już był jak ojciec, ale ze mną grzecznie on zawsze rozmawiał; ja w majątku jego wszystkie zboże przez trzydzieści lat zakupywałem i w każdej jego potrzebie kieszeń swoją jemu otwierałem, bo do niej z ziemi tej, co własnością jego była, wiele zysków płynęło… Kamiońska pani… ona i teraz jeszcze żyje… lubiła bardzo matkę moją, Frejdę, i raz jej powiedziała: „Pani Frejda ma w domu swoim wiele brylantów, a u mnie jest tylko jeden”… Ona brylantem syna swego nazywała, który jeden u niej był jak w oku źrenica… tego samego syna swego, którego dom teraz w płomieniu stoi…

Wskazujący palec wyciągnął ku ognistej łunie i grozą czy żalem, czy zdumieniem jakimś zdjęty umilkł, a stojący za nim Rafał z kolei przemówił:

— Kiedy ja ostatni raz w kamiońskim dworze byłem, stara pani siedziała z synem swoim na ganku i jak ja o interesie mówić zacząłem, ona do niego powiedziała: „Pamiętaj, Zygmunt, żebyś ty nikomu zboża swego nie sprzedawał, tylko Ezofowiczom, bo oni są ze wszystkich Żydów najuczciwsi i najlepiej nam sprzyjają”. A potem ona mię zapytała się: „Czy stara Frejda żyje jeszcze, a syn jej, Saul, czy zdrów i dużo już wnuków doczekał się?”. Potem patrzała ona na syna swego i powiedziała do mnie: „Panie Rafał! A ja żadnego jeszcze wnuka nie mam!”. Ja jej grzecznie pokłoniłem się i powiedziałem: „Niech wielmożna pani sto lat żyje i prawnuków doczeka się!”. Ja kłamstwa w ucho jej nie wkładałem. Ja jej szczerze tego życzyłem. A dlaczego ja bym miał jej źle życzyć?

Przestał mówić Rafał, a po chwili Saul, nie odwracając twarzy, zapytał krótko:

— Rafał! Wiele ty lat z młodym Kamiońskim handlujesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i gospodarzem zrobił się… on innego kupca jak tylko mnie jedynego znać nie chce…

— Rafał! Czy ty od niego krzywdę jaką miałeś?

Rafał po namyśle chwilowym odpowiedział:

— Nie; ja od niego krzywdy żadnej nigdy nie miałem. On trochę pyszny jest, to prawda, i interesów swoich nie bardzo pilnować umie… pohulać on sobie lubi, a kiedy Izraelita kłania się jemu, on głową z wysoka kiwa i za przyjaciela swego mieć go nie chce… ale u niego serce dobre jest, a słowo rzetelne i w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, jak sam kogo skrzywdzi…

Stojąca za mężem Sara splotła ręce i wzdychając a głową kołysząc, jęknęła:

— Aj, aj! Taki młody pan, a takie już nieszczęście na głowę jego zwaliło się!

— Taki piękny pan i z taką piękną panną żenić się miał! — zawtórowała żona Rafała.

— A jak on ożeni się teraz, kiedy dom jego płomienie pożrą! — rzekł Saul i dodał ciszej:

— Na duszę Izraela spadł dziś wielki grzech!

Odpowiadając jakby słowom ojca, Rafał wymówił poważnie i z cicha:

— Na głowę Izraela spadła dziś wielka hańba!

Z kąta izby, do którego najmniej dochodziły płynące z zewnątrz jaskrawe światła, wyszedł, wysunął się raczej Abram. Przygarbiony, z głową schyloną, zbliżył się on do ojca, drżąc na całym ciele, rękę jego pochwycił i do ust ją swoich przycisnął.

— Tate! — rzekł. — Ja tobie dziękuję za to, że ty mnie do tego należeć nie pozwoliłeś!

Saul podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu pomarszczone czoło, energia błysnęła w przygasłych oczach.

— Abram! — rzekł głosem, który brzmiał rozkazująco. — Niech tobie w ten moment dwa konie do wozu zaprzęgą. Siadaj ty na wóz i jedź prędko do tych państwa, u których Kamioński gości... Stamtąd pożaru nie widać... Jedź prędko i powiedz jemu, żeby on jechał matkę swoją i dom swój ratować...

Zwrócił się do Rafała:

— Rafał! Idź ty do karczmy Jankla Lejzora... tam kamiońscy chłopi bawią się i piją... Popędź ich, żeby jechali prędko i dom dziedzica swego ratowali...

Posłuszni jak małe dzieci, dwaj synowie Saula śpiesznie opuścili izbę, kobiety wybiegły na ganek domu, a wtedy Ber zapytał Saula:

— Tate! A co ty teraz myślisz o Meirze? Czy on źle zrobił, że Kamiońskiego ostrzegał?

Saul pochylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Tate! — mówił Ber. — Ratuj ty Meira. Idź do rabina i do dajonów (sędziów), i do kahalnych i proś, żeby nad nim sądu nie czynili...

Saul długo nie odpowiadał.

— Ciężko mi do nich iść — odrzekł na koniec — a najciężej siwą głowę moją przed Todrosem pochylać... Nu — dodał po chwili — pójdę jutro... dziecka bronić trzeba... choć ono zuchwałe jest, a wiarę i obyczaj ojców swoich za mało szanuje i lubi...

*

Kiedy tak działo się w domu Ezofowiczów, małą łąkę zamiejską pokrywał całkiem stłoczony, czarny, falujący i szemrzący tłum. Z miejsca tego najlepiej można było oglądać widowisko straszne a świetne. Tutaj też zgromadziła się, ciekawością i żądzą wrażeń wiedziona, cała ludność miasteczka.

Łuna pożaru podnosiła się zza sosnowego boru. Oświetlony przez nią, stał teraz różowy cały, a tak przezroczysty, iż, zda się, można by było policzyć wszystkie gałęzie wieńczące wierzchołki gładkich drzew jego. Szeroko w półokrąg rozlana łuna ta, szkarłatna u dołu, przechodziła wyżej wszystkie odcienie złocistości, aż u szczytu samego rąbkiem bladożółtym przerzynała na połowę sklepienie niebios i zlewała się z bladym jego błękitem. Wobec gorejących, przeraźliwych blasków tych gwiazdy świeciły mdło, jak pozłacane blaszki, a odpowiadał im tylko na drugiej stronie widnokręgu wysuwający się zza gaju ogromny, czerwony księżyc.

Wśród ludu zalegającego łąkę toczyły się liczne zmieszane rozmowy. Opowiadano tam, że Jankiel Kamionker przy pierwszym zaraz błysku pożaru wielkim pędem poleciał do gorejącego dworu, biadając i rozpaczając głośno nad prawdopodobną stratą wódki swej, której tam ilość wielką posiadał. Znaczna ilość ludzi opowiadania tego słuchających uśmiechała się dwuznacznie, inni wstrząsali głową z pożałowaniem nad przypuszczalnymi a ogromnymi stratami Jankla. Większość zachowywała o Janklu i wódce zagrożonej zniszczeniem milczenie zupełne. Domyślano się znać prawdy; tu i ówdzie wiedziano nawet o niej na pewno, ale wtrącać się w sprawę brzemienną wszechstronnymi niebezpieczeństwami jednym choćby słowem nieostrożnym nikt nie śmiał i nie chciał.

W dobrą godzinę po pierwszym błyśnięciu na niebie ognistej łuny zaturkotały w uliczce przytykającej do łąki z szybkością nadzwyczajną toczące się koła i na łąkę wpadła najtyczanka czterema końmi w pełnym galopie unoszona. Nie była to zwyczajna droga do Kamionki, nie było tu nawet żadnej drogi, ale jadąc tędy dziedzic gorejącego dworu skracał sobie znacznie przestrzeń, którą miał do przebycia. Nie siedział on w zgrabnym powoziku swoim, ale stał; ręką trzymał się poręczy kozła i pochylony naprzód oczy wlepiał w różowy od świateł bór, za którym matka jego przebywała w ogarniętym płomieńmi[149] domu jego ojców. Gdy jednak konie jego wpadły na łąkę, spostrzegł on tłoczącą się tam gęsto ludność i krzyknął na stangreta:

— Ostrożnie! Ludzi nie rozjedź!

[149]*płomieńmi* — dziś: płomieniami.

— Dobry człowiek! — rzekł ktoś w tłumie. — W nieszczęściu takim myślał jeszcze o tym, żeby ludziom nieszczęścia nie zrobić!

Ktoś inny westchnął głośno.

Kilka głów nachyliło się blisko ku sobie i zaszeptało. W szepcie tym ozwało się imię Jankla, wmówione cicho... bardzo cicho...

Było jednak miejsce jedno nie na łące, ale śród przytykającej do niej uliczki, gdzie rozmawiano głośno. U chaty krawca Szmula na stojącej pod oknami ławie stał Meir. Patrzał on stamtąd na łąkę czarną od ludu i na gorejącą za łąką łunę. Poniżej otaczało go kilkunastu młodych ludzi, zwykłych towarzyszy jego. Z twarzy ich odgadnąć można było, że byli oni wzburzonymi do głębi. Chaim, syn Abrama, który całą przedgodzinną rozmowę Saula i synów jego usłyszał z kątka, w którym był ukryty, opowiadał ją przyjaciołom. W uniesieniu swym nie hamował on głosu swego. Powtarzał każde słowo, które zamieniali pomiędzy sobą starsi członkowie rodziny, głośno i dobitnie, a towarzysze jego głośno też i dobitnie im przytwierdzali. Młode i nieśmiałe zwykle serca te oburzenie i wstyd uczyniły śmielszymi nieco... W chórze tym nie słychać było jednego tylko głosu, który jednak zazwyczaj odzywał się śród niego pełnymi słodyczy i mądrości słowami. Eliezer nie stał wśród towarzyszy swych skupionych dokoła Meira, ale siedział dalej nieco na ziemi, plecami oparty o czarną ścianę chaty. Łokcie wspierał on na kolanach i z nisko pochyloną głową twarz ukrywał w dłoniach. Zdawać się mogło, że skamieniał w postawie tej, pełnej żalu i wstydu. Czasem tylko zakołysał się w obie strony... Widać było, że miękki, marzący, trwożliwy duch ten tonął teraz cały w morzu gorzkich, rozpaczliwych, a może i wzmacniających rozmyślań.

Nagle brzegiem uliczki pod cieniem chat i parkanów przesunął się z szybkością nadzwyczajną wysoki i cienki cień ludzki; obok gromadki skupionej u drzwi Szmula dał się słyszeć oddech strasznie zmęczonej piersi jakiejś, głośny i połączony z powstrzymywanymi jękami.

— Szmul! — wymówili młodzi ludzie.

— Cicho! — stłumionym głosem zawołał Meir i z ławki na ziemię zeskoczył. — Niech usta wasze nie wymawiają imienia nędzarza tego, ażeby głowy jego niebezpieczeństwu nie poddać... Ja tu stałem, powrotu jego czekając... rozejdźcie się stąd i pamiętajcie o tym, że oczy wasze Szmula wracającego z ognistej strony tamtej nie widziały...

— Ty prawdę mówisz — szepnął Ariel — to jest biedny nasz brat!

— Biedny! Biedny! Biedny! — powtórzono dokoła.

Rozeszli się. Przy chacie nędzarza został tylko Meir, który u progu jej stanął, i Eliezer, którego nic ze skamieniałości, w jaką popadł, obudzić nie mogło.

Szmul wbiegłszy do izby, z której prócz najmniejszych dzieci i ślepej matki powychodzili wszyscy, na brudną podłogę upadł, czołem o nią uderzył i wzdychając, łkając, jęcząc przerywanymi wyrazami mówił:

— Ja nie winien! Ja nie winien! Ja nie winien! Ja nie podpalał i naczynia z oliwą tą w ręku moim nie trzymał! On... Jochel... wszystko zrobił... ja stał na polu i pilnował... ale kiedy przed oczami mymi ogień błysnął... Aj waj! Aj waj! Ja wtedy poznał, do czego ja należał...

— Cicho! — ozwał się przy biadającym nieprzytomnie człowieku głos przyciszony i smutkiem nabrzmiały. — Zamknij usta swoje, Szmulu, a ja okno twojej chaty zamknę...

Szmul podniósł twarz i wnet ją znowu do ziemi przyłożył.

— Morejne! — zajęczał. — Morejne! Córki moje więcej jak po szesnaście lat mają, trzeba było za mąż je wydać! Podatków ja za cały rok nie miałem już czym zapłacić!...

— Wstań i ucisz się! — rzekł Meir.

Szmul nie usłuchał. Ustami zmiatając pył z brudnej podłogi, zajęczał jeszcze:

— Morejne! Ratuj mię! Ja ze wszystkim już ciało i duszę moją zgubiłem!

— Ty duszy swojej nie zgubisz i Przedwieczny na szali grzechów twoich położy nędzę twoją, jeżeli ty pieniędzy tych, którymi skusili cię źli ludzie, nie weźmiesz...

Tym razem Szmul twarz oderwał od ziemi. Twarz ta, wychudła, blada śmiertelnie, nerwowymi drganiami targana, objawiała sobą wszechstronną, do ostatnich granic posuniętą nędzę człowieka.

Spojrzał na Meira oczami, w których malowały się na przemian rozdzierający ból i śmiertelny przestrach, a trzęsącą się dłonią wskazując dokoła izbę swą, wyjęknął:

— Morejne! A jak ja bez pieniędzy tych dłużej żyć będę?

Dobre pół godziny upłynęło, zanim Meir opuścił izbę, w której coraz ciszej już obwiniał się, wyrzekał i rozpaczał Szmul. Wnikający z ulicy szeroki pas jaskrawego światła oświetlał w pełni jeden z kątów ciasnej sionki. W kącie tym pod czarną, chylącą się ścianą bielały dwie kozy, z których jedna stała, a druga leżała. Pomiędzy kozami, na więzi zmiętej słomy, z rękami wsuniętymi w podarte rękawy szarej surduciny, z głową ozłoconą światłem pożaru a wspartą o deskę wystającą ostro spośród ściany, spał Lejbele. Ani krzyk i wrzawa, ani rażące światłości niebios, ani jęki i wyrzekania ojca nie przerwały snu niewinności, którym wśród dwóch kóz, przyjaciółek swych, usypiało dziecię to nędzy, ciemnoty i występku…

III

Nazajutrz w miasteczku całym panował ruch niezwykły. O niczym więcej nie mówiono tam, jak o pożarze, który do szczętu prawie zniszczył dwór kamioński, o chorobie starej pani, którą przewieziono naprędce do dworu sąsiadów jakichś czy krewnych, i o ogromnych stratach Kamiońskiego pana, któremu oprócz zabudowań dworskich spłonęła stodoła napełniona zdjętym z pól zbożem.

Ażeby rozmawiać o wypadku tym, ludzie schodzili się w gromadki na placu, pośród uliczek, u progów domostw, a gdyby kto podsłuchiwał rozmowy ciche, choć żwawe, toczące się pośród gromadek owych, dosłyszałby tu i ówdzie formułowane pytanie:

— A co z *nim* stanie się?

Pytanie to tyczyło się nie Kamiońskiego, lecz Kamionkera. Kamiońskiego żałowano tu i ówdzie, jak tu i ówdzie naganiano Jankla — lecz był to człowiek całkowicie dla ludności szybowskiej obcy, nieznający jej i przez nią wzajem z twarzy tylko znany; Kamionker zaś zżył się z ludnością tą od pierwszych dni swego istnienia, posiadał wśród niej szeroką sieć stosunków interesowych i przyjaznych, a w dodatku wobec niższej jej warstwy obleczony był aureolą bogactwa i prawowiernej, żarliwej pobożności. Nie dziw też, iż przyganiający mu nawet lękali się o niego.

— Czy jego będą podejrzewać? — zapytywano tu i ówdzie.

Ten i ów odpowiadał:

— Na niego żadne nie padłoby podejrzenie, gdyby Meir Ezofowicz purycowi złych myśli w głowę nie włożył…

— On zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu…

— On głowę brata swego niebezpieczeństwu poddał…

— A co to dziwnego? On *kofrim* jest… niedowiarek…

— On na reb Mosza rękę swoją śmiał podnieść…

— On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma…

I ci, co to mówili, niechętne, groźne czasem spojrzenia rzucali na okna domostwa Ezofowiczów.

Domostwo to stało dnia tego milczące i martwe jak nigdy. Okien nawet na plac wychodzących nie otworzono, choć zwykle przez wiosnę i lato całe bywały one otwieranymi tak ciągle i szeroko, że ktokolwiek by chciał tylko, mógłby od rana do wieczora patrzeć przez nie na życie licznej rodziny, która nic nigdy do ukrywania nie miała.

Dnia tego jednak nikt w domu tym nie pomyślał o otworzeniu okien ani uprzątnieniu[150] wielkiej izby bawialnej, starannie zwykle uprzątanej. Kobiety chodziły z kąta w kąt jak nieswoje, w czepcach zmiętych nieco od częstego chwytania się rękami za głowę, stawały przed ogniskiem kuchennym z twarzami opartymi na dłoniach i w zamyśleniu wzdychały. Sara miała nawet oczy zapłakane. Nie dziw: mąż jej, Ber, przez cały ranek nosił na czole swym owe dwie grube zmarszczki, w których ona odgadywała nieznane i niepojęte dla niej cierpienie, a do niej słowa nie przemówił i siedział teraz w izbie bawialnej, z głową opartą na dłoni, milcząc i szklistym wzrokiem spoglądając z kolei na dwu braci jej, Rafała i Abrama. Rafał pochylał wprawdzie twarz nad rachunkową księgą, ale widać było, że nie rachował, lecz o czymś ważnym bardzo głęboko myślał. Od chwili do chwili podnosił oczy znad książki i spoglądał na Bera i Abrama. Stary Saul, na żółtej

[150]*uprzątnienie* — dziś: uprzątnięcie.

kanapie siedząc, zdawał się także zatopionym w czytaniu grubej nabożnej księgi. W rzeczywistości zaś mniej jeszcze niż zwykle czytaną rzecz rozumiał, a z twarzy jego poznać można było, iż dolegało mu coś srodze i głęboko.

U okna, na zwykłym swym miejscu, więc w poręczowym, głębokim fotelu, siedziała prababka Frejda. Spośród rodziny całej na niej jednej nie znać było zmiany żadnej. Senny uśmiech z warg jej nie znikał. Przymrużała powieki i podnosiła je, budząc się, to usypiając znowu.

Zaraz po południu kobiety zasłały stół białym obrusem i poczęły ustawiać na nim stołowe naczynia.

Do izby wszedł Meir. Wchodząc otwierał on drzwi cicho i powoli, a potem stanął u ściany i spojrzeniem powiódł po wszystkich twarzach. Spojrzenie to było niespokojne, trwożne niemal i pełne głębokiego żalu… Obecne w izbie osoby podniosły nań oczy i wnet je spuściły, ale przez to jedno mgnienie oka na młodego człowieka nieśmiało stojącego u ściany spadł tłoczący ciężar niemych wyrzutów. W wyrzutach tych była uraza gorzka za doświadczane przezeń troski, trwoga istnień spokojnych, których spokojowi on zagroził, była głęboka litość nad nim, ale także i daleka, niewypowiedziana jeszcze groźba odrzucenia… Jedna tylko prababka na widok wchodzącego podniosła całkiem mrużące się wprzódy powieki, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem i szepnęła:

— *Kleiniskind*!

Do jej też twarzy przylgnęły oczy Meira, a błysnęła w nich myśl jakaś paląca i niecierpliwa.

W tej chwili rozległ się po izbie brzęk i stuk. Spośród gromadek ludzi czerniejących tu i ówdzie na placu i ku domowi Ezofowiczów niechętnie spoglądających ktoś w jedno okno domu tego rzucił spory kamyk, który rozbił szybę na drobne kawałki i przeleciawszy tuż przed czołem Frejdy, upadł pośrodku izby.

Twarz Saula oblał ceglasty rumieniec, kobiety nakrywające do stołu krzyknęły, Rafał, Abram i Ber powstawali z miejsc swych jak poruszeni sprężyną. Wszyscy utkwili zrazu wzroki w rozbitej szybie, lecz wkrótce przenieśli je na prababkę Frejdę, która wyprostowała się nagle i patrząc na kamyk leżący pośrodku izby bezdźwięcznym, lecz głośnym szeptem swym zawołała:

— Nu! To jest ten sam kamień! Oni jego rzucali w okno domu naszego, kiedy mój Hersz z rebem Nochimem kłócił się i z cudzymi ludźmi przyjaźń chciał trzymać… to jest ten sam kamień… Na kogo oni teraz jego rzucili?…

Kiedy mówiła to, wszystkie zmarszczki na twarzy jej drżały, oczy jej po raz pierwszy od lat wielu rozwarły się szeroko.

— Na kogo oni teraz znów kamień rzucili? — zapytała i zatoczyła dokoła źrenicą, która pociemniała i błysnęła.

— Na mnie, *alte bobe*[151]! — odpowiedział spod przeciwległej ściany głos drżący niewysłowionym żalem.

— Meir! — krzyknęła prababka nie bezdźwięcznym już szeptem jak zwykle, ale donośnym, przeraźliwym niemal głosem.

Meir przeszedł izbę, stanął przed nią i obie jej małe, pomarszczone ręce ujął w swoje dłonie. Spuszczał ku twarzy jej wejrzenie pełne czułości i zarazem pytań, i próśb jakichś niewymawianych ustami, a ona podnosiła ku niemu złotawe swe źrenice, które niespokojnie migotać zaczęły.

Saul wstał z kanapy.

— Rafał! — rzekł. — Podaj mnie płaszcz mój i kapelusz.

— Dokąd ty pójdziesz, tate? — zapytali jednogłośnie obaj synowie.

Stary, z rumieńcami na twarzy, drżącym głosem odpowiedział:

— Pójdę, ażeby głowę moją przed Todrosem pochylić… Niech on nad zuchwałym dzieckiem tym sądu nie czyni, dopóki nie zgaśnie ogień gniewu, który zapalił się w duszy ludu…

Po chwili siwy patriarcha najdostojniejszej w gminie rodziny, długim, czarnym płaszczem okryty i w wysokim, świecącym kapeluszu na głowie, kroczył przez plac z wolna

[151] *alte bobe* (jid.) — prababka.

i poważnie. Stojące na placu czarne gromadki rozstępowały się przed nim, a składający je ludzie kłaniali się mu nisko. Ktoś jednak wyrzekł głośno:

— Biedny ty jesteś, rebe Saulu, że masz takiego wnuka...

Saul na zaczepkę tę nie odpowiedział, tylko wąskie wargi jego zacisnęły się silniej.

Dobra godzina upłynęła, zanim Saul z odwiedzin swych powrócił. Znalazł on wszystkich starszych członków rodziny swej zgromadzonych w izbie bawialnej. Meir był tam także; siedział on tuż przy fotelu prababki, której mała, sucha dłoń ściskała mocno połę odzieży jego.

Sara zdjęła płaszcz z ramion ojca.

— A co ty, tate, przyniosłeś nam stamtąd? — zapytał Rafał.

Saul oddychał ciężko i ponuro patrzał w ziemię.

— Co ja stamtąd przyniosłem? — odpowiedział po chwili milczenia. — Wstyd i gniew wielki przyniosłem. Serce Todrosa raduje się nieszczęściem, które przytrafiło się domowi Ezofowiczów... Uśmiechy jak węże pełzają po żółtej twarzy jego.

— A co on powiedział? — zapytało parę głosów.

— On powiedzal, że bezbożnemu i zuchwałemu wnukowi memu za długo pobłażał... Reb Mosze i Kamionker, i cały lud proszą jego, żeby on nad Meirem sąd uczynił... Na prośby moje on sąd ten do jutrzejszego wieczora odłożył i powiedział, że jeżeli Meir upokorzy się przed nim, a cały lud o przebaczenie grzechów swoich prosić będzie... na głowę jego lżejszy wyrok spadnie...

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Meirowi.

— A co ty, Meir, powiesz na to? — zapytano chórem.

Meir myślał chwilę.

— Dajcie mnie trochę czasu — odpowiedział — może ja sobie do jutrzejszego wieczora ratunek jaki znajdę.

— A skąd ty ratunek ten mieć możesz? — zawołano.

— Pozwólcie, żebym ja wam do jutrzejszego ranka nie odpowiadał — powtórzył Meir.

Wstrząsając głowami, umilkli wszyscy. Oznaczało to milczące przyzwolenie.

W sercach wszystkich obecnych uczucia obawy i gniewu walczyły z uczuciem dumy. Gniewali się na Meira, lękali się o niego i o spokój a pomyślność całego domu swego, ale zarazem przykrą im była myśl, że jeden z członków rodziny ich upokorzyć się ma przed rabinem i ludem.

— Co to można wiedzieć? — rzekł Rafał do brata. — Może on sobie radę jaką znajdzie...

— Może matka jego pokaże się jemu w nocy i nauczy go, jak on ma czynić... — z cicha westchnęła Sara.

Spóźniony obiad zszedł w głuchym milczeniu przerywanym tylko westchnieniami kobiet i płaczem dzieci, którym matki zabraniały szczebiotać i śmiać się. Stroskani i posępnie wyglądający członkowie rodziny z zadziwieniem spoglądali od chwili do chwili na starą Frejdę, objawiającą wciąż szczególną jakąś niespokojność. Wprawdzie nie mówiła ona nic, ale nie zadrzemała w ciągu obiadu ani razu, owszem, poruszała się wciąż na krześle swym, spoglądając to na stłuczoną szybę, to na Meira, to na miejsce pośrodku izby, na które przed paru godzinami upadł był kamyk rzucony z ulicy.

— Co jej jest? — zapytywali siebie obecni z cicha i z niepokojem.

— Ona sobie coś przypomina — odpowiadano.

— Ona czegoś lęka się!

— Ona chce coś powiedzieć, ale nie może...

Gdy powstano od stołu, dwie prawnuczki chciały, według zwyczaju, wyprowadzić Frejdę do sąsiedniej izby i do spoczynku ułożyć, ale ona silnie stopami o podłogę wsparła się i palcem wskazała fotel swój przy oknie stojący.

Po chwili osoby napełniające obszerną izbę wysuwać się z niej zaczęły jedna za drugą. Rafał i Ber wyjechali na resztę dnia do sąsiedniego dworu jakiegoś, w którym mieli do załatwienia ważny dla nich i pilny interes. Abram zamknął się w izbie swej, ażeby oddać się rachunkom albo może i nabożnemu czytaniu. Saul rozkazał córkom, aby w domu cicho było, i wzdychając ciężko legł na łożu swym. Kobiety zgasiły ogień na kuchni, zamknęły z cicha drzwi bawialnej izby i wyszły na dziedziniec, gdzie naglądały bawiące się dzieci, szyły i wiodły ze sobą ciche rozmowy.

Prababka pozostała w izbie bawialnej i — dziwna rzecz! — choć zapanowała wkoło niej cisza głęboka, nie usnęła, nie zadrzemała nawet ani na chwilę. Siedząc w głębokim fotelu swym, patrzała ona na szybę rozbitą i poruszała wciąż ustami, jakby coś do samej siebie mówiła. Czasem też zakołysała głową obciążoną barwistym zawojem, wtedy diamentowe spięcie zawoju zdawało się osypywać zżółkłe jej czoło potokiem iskier, a długie kolce dzwoniły po ogniwach złotego łańcucha. Poruszała wciąż ustami, a wkrótce i rękami też poruszać zaczęła. Mogło się zdawać, że z kimś niewidzialnym, z widmami może wyłaniającymi się z własnej pamięci jej, toczyła żywą jakąś a trudną rozmowę. Nagle wstrząsnęła głową i wymówiła:

— Tak samo było, kiedy mój Hersz pisanie Seniora znalazł... Na niego wtedy źli ludzie kamieniami rzucali...

Umilkła, lecz natomiast wielkie perły i złote ogniwa łańcucha zadzwoniły na piersi jej, która podniosła się westchnieniem i zajęczała płaczliwym jakimś jękiem, a łzy duże, szkliste opłynęły złotawe źrenice jej i nieruchome stanęły pod zmarszczoną, drgającą powieką.

Wtedy z ławy umieszczonej pod przeciwległą ścianą wstał Meir i szybko przeszedłszy izbę usiadł na niskim stołku, o który stara kobieta nogi swe wspierała, a składając na kolanach jej splecione swe ręce, zapytał:

— Bobe! Gdzie jest pisanie Seniora?

Na dźwięk głosu tego, który zapewne, tak jak i twarz Meira, przypominał jej człowieka gorąco umiłowanego w dniach młodości i szczęścia, Frejda uśmiechnęła się. Nie spuściła jednak spojrzenia ku siedzącemu u kolan jej wnukowi, lecz zza łez nieruchomo wciąż w oczach jej stojących patrzała w przestrzeń i szeptać poczęła:

— Kiedy on pierwszy raz pokłócił się z reb Nochimem i całym ludem, przyszedł on do domu swego, usiadł na ławie smutny bardzo i zawołał do siebie żony swej, Frejdy. Frejda była wtedy młoda i bardzo piękna; na głowie swej nosiła zawój biały jak śnieg, a przy ogniu stojąc, który w kuchni palił się, dzieci i sług swoich naglądała. Ale kiedy usłyszała ona wołanie swego męża, poszła zaraz do niego, stanęła przed nim i przemówienia jego czekała. A on wtedy zapytał się: „Frejda! gdzie jest pisanie Seniora?"...

Szept starej kobiety umilkł. Natomiast młody mężczyzna u kolan jej siedzący, zaciskając mocniej splecione swe ręce, zapytał znowu:

— Bobe! Gdzie jest pisanie Seniora?

Głowa kobiety obciążona barwistym zawojem zakołysała się z lekka, a wąskie, żółte wargi szeptać znowu zaczęły:

— On pytał się: „Gdzie to pisanie jest? Czy je Senior pod ziemię schował?" „Nie; on go pod ziemię nie schował, bo ono by tam zgniło i zjadłyby je robaki". „Czy on je w ściany domu schował?" „Nu! on wiedział, że ściany te ogień pożreć może". „To gdzie on je schował?"... Tak pytał się Hersz, a żona jego, Frejda, myślała długo nad słowami jego, a potem palcem pokazała szafę, w której były stare, stare książki Seniora, i powiedziała: „Hersz! Mój Hersz! Pisanie to tam jest!"... Kiedy Frejda to powiedziała, Hersz uradował się bardzo, a usta jego wymówiły: „Ty, Frejdo, rozum w głowie swojej masz, a dusza twoja taka sama piękna, jak twoje oczy!"...

Przy ostatnich wyrazach łzy, nieruchome dotąd, zsunęły się z jej źrenic i po zmarszczkach twarzy jej spłynęły na usta, które uśmiechając się do sennych wspomnień młodości i szczęścia szepnęły jeszcze:

— I powiedział on: „Dobra i mądra żona droższą jest nad złoto i perły, przy niej serce męża spokojne!".

Młody mężczyzna u kolan jej siedzący i w twarz jej patrzący wzrokiem pełnym prośb i pragnienia zapytał znowu:

— Bobe! A co Hersz z pisaniem tym zrobił?

Stara kobieta nie odpowiadała, chwilę poruszając ustami, tak jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, potem znowu opowiadać zaczęła:

— Hersz wrócił raz z dalekiej podróży, usiadł znów na ławie bardzo smutny i do Frejdy powiedział: „Wszystko przepadło! Pisanie Seniora trzeba schować, bo ono teraz na nic nie przyda się". Frejda zapytała się: „Hersz! A gdzie ty pisanie to schowasz?". Hersz odpowiedział: „Ja schowam je tam, gdzie ono wprzódy było, a ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz"...

Meira oczy zaiskrzyły się radośnie.

— Bobe! To pisanie tam jest!

I wskazywał na szafę ze starymi, pamiątkowymi w rodzinie księgami. Ale Frejda nie odpowiedziała mu, tylko szeptała dalej:

— On powiedział: „Ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz, a kiedy dusza twoja rozwodzić się będzie z ciałem twoim, ty powiedz o nim temu synowi albo wnukowi twemu, który do męża twego, Hersza, najpodobniejszym będzie"... A kto z synów i wnuków Frejdy najpodobniejszym jest do męża jej, Hersza? Najpodobniejszy do niego jest Meir, syn Beniamina... on do niego taki podobny, jak podobne do siebie dwa ziarnka piasku... To moje *kleiniskind*! To moje najulubieńsze! Frejda jemu o sekrecie tym powie!

Meir trzymał teraz w dłoniach swych obie ręce prababki i okrywał je pocałunkami.

— Bobe! — szeptał, wskazując szafę z księgami. — Czy tam jest pisanie Seniora?

Ale stara kobieta i teraz jeszcze nie odpowiedziała mu bezpośrednio, tylko zaszeptała dalej:

— Hersz powiedział Frejdzie: „Jeżeli na syna albo wnuka twego najulubieńszego starsi w familii ręce podnosić zaczną i jeżeli na niego lud kamienie rzucać będzie, ty, Frejdo, jemu o sekrecie naszym powiedz! Niech on pisanie Seniora weźmie, na sercu swoim położy, familię swoją i majątek swój rzuci, a z nim w świat idzie, bo pisanie to jest droższe nad złoto i perły: ono jest przymierzem Izraela z czasem, co mu nad głową wielką rzeką płynie, i z ludami, co piętrzą się wkoło niego jak wielkie góry"...

— Bobe! Na mnie starsi w familii naszej ręce swe podnosić zaczęli... ode mnie odwrócił lud rozgniewaną twarz swoją... ja jestem ten wnuk twój najulubieńszy, o którym tobie mąż twój, Hersz, mówił... powiedz ty mnie: czy tam, między księgami tymi, jest pisanie Seniora?

Szeroki, można by rzec, iż tryumfujący, uśmiech roztworzył żółte wargi Frejdy. Wstrząsnęła głową z uczuciem tajemnej radości jakiejś i szeptała:

— Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła... ona jego przed wszystkimi jak duszy swojej broniła... Kiedy ona wdową została, przychodził do domu jej reb Nochim Todros i starą szafę ze starymi książkami chciał ogniu na pożarcie dać... Przychodził potem syn reba Nochima, reb Baruch Todros, i chciał starą szafę ze starymi książkami ogniu na pożarcie dać... Ale wiele razy oni przyszli, Frejda starą szafę ciałem swym zasłaniała i mówiła: „To dom mój i wszystko, co w nim jest, moje jest". A jak Frejda przed starą szafą stawała, przed Frejdą stawali synowie i synowie synów jej i mówili: „To matka nasza, my jej krzywdy uczynić nie damy!". Reb Nochim gniewał się i poszedł sobie... Reb Baruch gniewał się i poszedł sobie... A reb Izaak nigdy już nie przychodził, bo wiedział od ojców swoich, że dopóki Frejda żyje... starej szafy nie poruszy nikt... Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła i on leży sobie do tego czasu tam... i śpi sobie...

Przy ostatnich wyrazach stara kobieta wyciągnęła ku szafie oszklonej, o kilka kroków przed nią stojącej, pomarszczony palec swój, a śmiech cichy, śmiech wewnętrznej radości jakiejś, jakiegoś dziecinnego prawie tryumfu piersią jej zatrząsł.

Meir jednym skokiem znalazł się przy szafie i silniejszą niż kiedy, bo zgorączkowaną dłonią targnął zamek jej skruszony starością i rdzą. Drzwi szafy roztwarły się na oścież, a z głębin jej buchnęła chmura pyłu i jak niegdyś biały zawój Frejdy i złote włosy Hersza okryła szarą powłoką odzież i głowę prawnuka ich...

Ale on na to nie zważał i chciwie ręce zatopił pomiędzy księgi te, z których czerpali mądrość swą dwaj przodkowie jego, a wśród których krył się namiętnie dlań upragniony drogowskaz życia...

Ale na widok rozwartej szafy i wylatującej z niej chmury pyłu Frejda pochyliła się też naprzód, ręce przed się wyciągnęła i zawołała:

— Hersz! Hersz! Mój Hersz!

Nie był to już zwykły szept jej bezdźwięczny, ale okrzyk głośny, wyrywający się z piersi, na wskroś przeszytej radością i bólem wspomnienia.

Zapomniała o prawnuku... Zdawało się jej zapewne, że urodziwy młodzieniec ten ze złotymi włosami osypanymi kurzawą był cudownym, z nieznanych światów przybyłym do niej zjawiskiem jej męża...

Meir zwrócił ku niej bladą twarz i gorejące swe oczy.

— Bobe! — pytał dyszącym głosem. — Gdzie ono jest? U góry? W dole? W tej książce? W tej? W tej?

— W tej! — zawołała kobieta palcem wskazując księgę, na której z kolei Meir dłoń swą położył.

Po chwili zżółkłe od starości, lecz bujnym i wyraźnym jeszcze pismem okryte arkusze zaszeleściły pod grubą pergaminową okładką księgi. Trzymając je w dłoni, Meir upadł do nóg prababki, całował stopy jej, kolana i ręce, co chwilę też chwytał się za głowę, a niewyraźne jakieś jęki i śmiechy drżały mu w piersiach.

Frejda uśmiechała się też i drżącymi rękami dotykała głowy prawnuka, lecz powieki jej z wolna przymykać się zaczęły, na twarz całą wracał zwykły od lat wielu wyraz cichej senności. Zmęczoną mówieniem i wspominaniem długim, wpatrzoną jeszcze w jasne widmo młodości, które stało przed nią w srebrzystych blaskach [łzy??] — stuletnią tę niewiastę ogarniało znowu ciche, słodkie drzemanie — pierwsza niby łagodna fala wiekuistego snu.

Namiętne dziękczynienia i pieszczoty prawnuka budzić ją przestały. Meir schował na piersi zżółkłe arkusze i wkrótce słychać było szybki bieg jego po wschodach prowadzących do izby u szczytu domu umieszczonej, a zamieszkiwanej przez Meira i młodych jego braci.

Przez cały wieczór potem i przez noc całą w sporym oknie znajdującym się pod samym już wysokim i spiczastym dachem domostwa błyszczało mdławe światełko świecy i widać było przesuwające się za szybami, wchodzące do izby i wychodzące z niej ludzkie postacie. Z rana, o świcie jeszcze, bocznymi drzwiami domu wyszło na dziedziniec kilku młodych ludzi, którzy wnet rozproszyli się w różne strony miasteczka.

Po miasteczku też od samego już nieledwie wschodu słońca obiegać poczęły wieści niewyraźne, niepewne, rozmaicie opowiadane i tłumaczone, ale zaciekawiające i wzruszające żywo wszystkie warstwy miejscowej ludności. Zajęcia powszednie zdawały się na pozór iść zwykłym trybem, a jednak na uboższych szczególniej uliczkach słychać było nieustanny szmer ludzkich rozmów, który łącząc się ze stukiem, zgrzytaniem i szelestem rzemieślniczych narzędzi wydawał się głuchym jakby wrzeniem szemrzącym na dnie mrowiska.

Nie wiadomo skąd, z jakiej strony i z jakich ust, wypływały i po wszystkich podwórzach, zakątkach, izbach i izdebkach rozpływały się wiadomości, domysły i przypuszczenia...

— Dziś, kiedy słońce zajdzie, a zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zgromadzi się w bet-ha-kahole wielki sąd dajonów i kahalnych z rabinem Izaakiem na czele i sądzić będzie młodego Meira Ezofowicza.

— Jak on go sądzić będzie? Jaki wyrok spadnie na głowę jego? Co z nim stanie się?

— Nie, wielki sąd nie zasiądzie już dziś w bet-kahole, bo kiedy słońce zajdzie i zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zuchwały wnuk bogatego Saula przyjdzie do bet-midraszu, aby w obecności ludu całego upokorzyć się przed wielkim rabinem, grzechy swe wyznać i tych, których obraził, rozgniewał lub zgorszył, o przebaczenie prosić.

— Nie, upokarzać się przed rabinem i grzechów swych wyznawać w pokorze przed ludem całym on nie będzie.

— Dlaczego nie będzie?

— Ach, ach! To wielki sekret, ale o nim już wszyscy wiedzą. To taki wielki sekret, że słysząc o nim wszystkie oczy pałają ciekawością gorączkową, wszystkie piersi drżą, aby co prędzej wchłonąć go w siebie.

— Młody Meir skarb znalazł.

— Co to za skarb? Skarb to taki, który od trzystu, od pięciuset, od tysiąca może lat, nu! od tego czasu może, jak Żydzi do kraju tego przyszli, w familii Ezofowiczów ukrywa się! Skarb ten to pisanie jakiegoś przodka ich, które on przed śmiercią swoją zrobił i dalekiemu potomstwu w dziedzictwie zostawił.

— A co w pisaniu tym jest?

— Nikt o tym z pewnością nie wie.

Wszyscy mieszkańcy ubogich uliczek o pisaniu tym słyszeli od ojców, dziadów i babek swoich, ale każdy z nich słyszał o nim inaczej. I teraz jeszcze żyli starzy ludzie tacy, którzy o pisaniu tym coś wiedzieli, ale każdy z nich wiedział co innego. Jedni mówili, że pisanie to pochodziło od mądrego i świętego Izraelity, który żył bardzo dawno temu,

a przez całe życie o tym tylko myślał, jak naród swój bogatym, mądrym i szczęśliwym zrobić. Inni przeciwnie utrzymywali, że ów dawno temu żyjący przodek Ezofowiczów bezbożnikiem był, odszczepieńcem przez gojów przekupionym, ażeby imię Izraela i Zakon jego z powierzchni ziemi zetrzeć.

— W pisaniu tym stoi nauka: jak piasek w złoto zamieniać można i co biedni ludzie robić powinni, żeby od razu wielkimi bogaczami stać się.

— Nie, w pisaniu tym powiedziane jest, jakim sposobem człowiek może odpędzać od siebie diabłów, ażeby oni jego nie dotykali się nigdy, a z liter imienia boskiego ułożyć taki wyraz, że kto go wymówi, ten będzie już mógł spojrzenie oczu swoich zapuścić wskroś nieba i wskroś ziemi…

— Nie, w pisaniu tym powiedziane jest, co Izraelici czynić mają, ażeby nieprzyjaciół swoich w przyjaciół zamienić i z ludami wszystkimi, co im wrogie są, przymierze zgody zawrzeć.

A ktoś jeszcze słyszał o tym, że w pisaniu tym stoi nauka, jak wskrzesić Mojżesza i wezwać jego, aby on przyszedł znowu i lud swój z niedoli, ciemności i upokorzenia wywiódł, a do krainy płynącej złotem, mądrością i chwałą zaprowadził.

— Dlaczego oni to do tego czasu nie szukali i nie ogłaszali ludowi pisania tego?

— Oni bali się, bo kto pisania tego dotknie się, tego ręce zapalą się wielkim ogniem i rozsypią się w proch.

— Nie, kto pisania tego dotknie się, temu wkoło serca okręcają się jadowite węże…

— Temu czoło poczernieje jak od sadzy…

— Od tego szczęście i spokój odbiegną…

— Na tego posypie się grad kamieni…

— Ten na czole swym nosić będzie krwawą kresę…

— Kiedyś… starzy ludzie żyjący jeszcze coś o tym pamiętają… ojciec bogatego Saula, wielki kupiec Hersz, pisania tego dotknął się.

— A co się jemu stało?

— Starzy ludzie mówią, że jak on tego pisania dotknął się, jadowite węże okręciły się koło serca jego i tak go we środku kąsały, że on od tego młodo bardzo umarł…

— A teraz pisanie to znalazł młody Meir?

— Tak, on jego znalazł i czytać go będzie w bet-ha-midraszu przed ludem całym, jak tylko słońce zajdzie, a zmrok wieczoru ziemię okryje…

Pomiędzy ludźmi w ten sposób rozmawiającymi uwijał się reb Mosze, mełamed; zjawiał się tu lub ówdzie, znikał wkrótce i znowu ukazywał się na innej uliczce jakiejś, śród innego podwórka, pod otwartym oknem innej chaty. Nadstawiał ucha, przysłuchiwał się, uśmiechy przelatywały po wypukłych jego ustach, ostre błyski strzelały mu z burych, okrągłych oczu. Nie mówił przecież nic. Pokornie, a czasem i natarczywie zapytywany przez ludzi, do których się zbliżał, milczał albo odpowiadał niewyraźnym tylko mruczeniem i posępnym wstrząsaniem głową. Nie mógł mówić, bo o wypadkach i wieściach, które tak silnie wstrząsały umysłem publicznym, nie rozmawiał jeszcze dnia tego z mistrzem swoim, z tym, któremu przez cześć najwyższą, przez wiarę fanatyczną, przez miłość namiętną i mistyczną, ciało i duszę swą w niewolnictwo oddał. Bez wyraźnego rozkazu uwielbionego i ukochanego mistrza tego nie mógł on ani sądów swych wydawać, ani haseł wykrzykiwać, ani nawet we własnej myśli swej o czymkolwiek rozstrzygać. A nuż słowo albo czyn jego rozminęłyby się z wolą mistrza? Nuż popełniłby błąd jaki przeciw jakiemukolwiek z tysiącznych przepisów, które wszystkie na pamięć umiał, ale z których nie tylko wyraz każdy, lecz każda litera coraz innym tłumaczeniom i zastosowaniom ulegać mogła! Wiedział wprawdzie o tym reb Mosze, że uczonym był bardzo, cóż jednak znaczyła uczoność ta jego wobec uczoności wielkiego rabina, której jasność oświecała cały świat ziemski i wnikała nawet aż do samego nieba, a Jehowa lubował się, patrząc na nią, i sam siebie podziwiał za to, że mógł stworzyć dzieło tak doskonałe, jakim był rabbi Izaak Todros.

Około południa tedy reb Mosze, z głową i uszami napełnionymi wszystkim, co słyszał, wsunął się cicho do czarnej chaty rabina. Nie zaraz jednak mógł rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze starcem jakimś, opylona odzież którego objawiała, że przybywał z daleka, a który wspierając się na kiju stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten prosił rabina o udzielenie mu szczypty ziemi z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jerozolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy u mnie na drogę nie ma. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku stamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza moja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie, a prawdąż to jest, że do tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciał ich nie jedzą?

— To jest prawdą — odpowiedział poważnie rabin i wyjąwszy garstkę białego piasku z worka, w którym drogocenny przedmiot staranie owiniętym był i obwiązanym, owinął ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął dar trzęsącą się od radości dłonią, złożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmaniastej, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł. — Ja nie mam czym zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swą i przerwał szybko:

— Z daleka widać przybywasz, jeżeli o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nic zapłaty żadnej nie biorę, a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której niesyta nigdy dusza moja.

Starzec chwiejnym krokiem o kiju przybliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łaknącego mądrości.

— Rabbi — westchnął pobożnie — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoją...

— Pocałuj — łagodnie odpowiedział mistrz, ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął on w obie dłonie głowę jego, białymi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął na sfałdowanej i zeschłej skórze jego czoła.

— Rabbi — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty — odrzekł Todros — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności Zakonowi Pana i miłość dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydawała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością.

Reb Mosze, który oczekując na skończenie rozmowy, usiadł na ziemi przy czarnym otworze komina, miał także łzy w oczach i po chwili dopiero, gdy Todros pozostał sam jeden, przemówił zniżonym głosem:

— Nassi...

— Haa? — zapytał mistrz, pogrążony już w zwykłej swej zadumie.

— U nas w mieście wielkie dziś nowiny są!

— Jakie to nowiny?

— Meir Ezofowicz pisanie przodka swego, Seniora, znalazł i dziś je przed całym ludem czytać będzie...

Zaduma Todrosa pierzchnęła[152] bez śladu. Wyciągnął ku mówiącemu szyję i zawołał:

— Skąd ty to wiesz?

— Nu! Cały świat o tym gada. Przyjaciele Meira od samego rana po mieście chodzą i wiadomość tę pomiędzy lud puszczają.

Todros nie odpowiedział. Oczy błyskały mu ostro, niemal dziko. Namyślał się.

— Nassi! Czy ty jemu zrobić to pozwolisz?

Todros milczał jeszcze chwilę, potem odpowiedział stanowczym głosem:

— Pozwolę!

Reb Mosze aż drgnął cały.

— Rabbi! — zawołał. — Ty jesteś najmędrszym ze wszystkich ludzi, którzy na tym świecie żyli, żyją i będą żyć... ale czy mądrość twoja pomyślała o tym, że pisanie to odwrócić może duszę ludu od ciebie i świętego Zakonu naszego?...

Todros groźnie na mówiącego spojrzał.

[152]*pierzchnęła* — dziś popr. forma: pierzchła.

— Ty nie znasz duszy ludu mego, kiedy tak myśleć i mówić możesz. Nie na to pradziad mój i dziad, i ojciec, i ja sam nad duszą tą z całych sił naszych pracowaliśmy, aby ją łatwo było od nas odwrócić...

— Niech on pisanie to przeczyta — dodał po chwili — niech obrzydliwość ta wyjdzie raz spod ziemi, gdzie ukrywała się dotąd, ażeby można było ją ogniem gniewu spalić, a prochy jej kamieniem pogardy przycisnąć... Niechaj on pisanie to czyta... on dopełni tym miary grzechów swoich i spocznie wtedy na nim mściwa ręka moja!

Przez chwilę panowało milczenie. Mistrz myślał, wielbiciel jego patrzał mu w twarz jak w tęczę.

— Mosze!...

— Co, nassi?

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

— Nassi! A jak je trzeba odebrać?

Rabin stanowczo i mrukliwie powtórzył:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

Człowiek skurczony u komina lękliwiej już nieco zapytał jeszcze:

— Nassi! A kto pisanie to z rąk jego wyrwać ma?

Todros wlepił w pytającego rozognione oczy i po raz trzeci wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Mosze pochylił głowę.

— Rabbi — szepnął — już ja zrozumiałem wolę twoją. Bądź ty spokojny. Jak on obrzydliwość tę przed ludem całym przeczyta, nad głową jego zaszumi taka burza, że on od niej złamie się i w proch upadnie.

Milczeli potem obaj długą chwilę. Rabin ozwał się znowu pierwszy:

— Mosze!

— Co, nassi?

— Kiedy on i gdzie obrzydliwość tę czytać będzie?

— On ją czytać będzie w bet-ha-midraszu, kiedy słońce zajdzie, a zmrok ziemię okryje...

— Mosze, idź ty zaraz do szamosza (posłańca synagogi) i powiedz mu, że rozkazanie moje jest, ażeby on szedł zaraz do dajonów i do kahalnych i ogłosił im, że kiedy słońce zajdzie i zmrok ziemię okryje, oni wszyscy zebrać się powinni w bet-ha-kahole na wielki sąd...

Mosze powstał i zmierzał ku drzwiom, a rabin wstrząsnął kilka razy głową i podnosząc rękę zawołał:

— Biada zuchwałemu, silnemu i nieposłusznemu! Biada temu, którego naruszył trąd, i temu, który roznosi zarazę! Biada mu!

Kiedy to mówił, po całej twarzy jego rozlało się morze ciemnej, zawziętej, nieubłaganej nienawiści. A jednak przed kwadransem jeszcze twarz ta pełna była tkliwej, braterskiej miłości, usta te wymawiały słowa łagodne i pocieszające, w oczach tych stały łzy rozrzewnienia!

Tak w jednym sercu tym mieścić się mogły zarazem łagodność i gniew, dobroć i mściwość, bezbrzeżna miłość i nieubłagana nienawiść; tak z jednego źródła tego płynąć mogły wzniosłe cnoty i posępne zbrodnie...

Tajemnic podobnych, zagadek podobnych spotka wiele ten, kto uważnie wpatrzy się w dzieje ludzkości. W ich to łonie wyraz miłosierdzie dziwacznie plącze się z wyrazem zemsta, wyraz bliźni — z wyrazem wróg. One to po wielokroć dały światu widok mężów jedną ręką litościwie gojących rany ludzkie, a drugą rozpalających ogniste stosy i obracających koła tortur... Skąd pochodzą tajemnice i zagadki szerokich serc i ognistych umysłów tych, tak srodze rozdwojonych i zbłąkanych? O, czytelniku! Gdyby nie istniały na ziemi żywioły pewne, wwodzące w obłędy straszliwe serca i umysły ludzkie, rabin Izaak Todros byłby może wielkim człowiekiem...

Bądźmy sprawiedliwi! Rabbi Izaak Todros byłby najpewniej wielkim człowiekiem, gdyby nigdy nie istnieli byli ci, którzy, posługując się ogniem, torturą i stokroć sroższą jeszcze od nich — pogardą, zbudowali dla plemienia jego, aż do dalekich, dalekich w przyszłości pokoleń, ciasne, ciemne, trwóg i niechęci pełne — moralne i umysłowe getto!

*

Słońce zaszło i na ziemię spływał mrok wieczora. Wielkie synagogalne podwórze mrowiło się ludnością czarną, gęstą, szemrzącą. W łonie ludności tej wrzało coś i kipiało...

Wnętrze bet-ha-midraszu czerniało całe takąż masą stłoczonej ludności. Widać tam było siwe głowy starców i płowe kędziory dzieci, długie brody, czarne jak krucze pióra, jasne jak len i ogniste jak wypolerowana miedź. Głowy te poruszały się i falowały, szyje wyciągały się i podnosiły się brody, oczy pałały ciekawością i żądzą wrażeń. Wszystko to ukazywało się w półzmroku. Ogromna sala bet-midraszu oświeconą była jedną tylko lampką zawieszoną u drzwi wchodowych i jedną łojową świeczką palącą się w mosiężnym lichtarzu na stole z białego drzewa, za którym, tuż pod wysoką, nagą ścianą, stał drewniany stołek. Było to miejsce, z którego przemawiali zazwyczaj do ludu wszyscy, którzy kiedykolwiek przemawiać doń chcieli. W Izraelu bowiem człowiek każdy, od najdostojniejszego i najstarszego do najniższego i najmłodszego, prawo głosu posiada, a bet-ha-midrasz jest niestartym śladem wysoce demokratycznego ducha przenikającego niegdyś starożytne ustawy Izraela. Każdy, ktokolwiek tylko pochodzi z domu Izraelowego, posiada prawo wchodzić w progi te, modlić się wśród nich, czytać, przemawiać i nauczać.

Ludzie, którzy nie wewnątrz budowy, ale dokoła ścian jej gromadnie stali, oglądali się często ku stojącemu naprzeciw bet-kahołowi. W miejscu tym posiedzeń administracyjnych i sądowych władz gminy połyskiwać też zaczęły mdłe i nieliczne światła. Nad wchodowymi drzwiami zapalono tam lampkę, a na długim stole szarzejącym niewyraźnie za dużymi szybami okien ustawiono parę świec żółtych i dymiących. Po chwili na ganek bet-kahołu wstępować zaczęli ludzie całej ludności szybowskiej dobrze znani a budzący pośród niej szacunek głęboki. Pojedynczo albo parami przybywali tam sędziowie gminy, siwi całkiem lub siwiejący, poważni ojcowie rodzin licznych, zamożni kupcy lub właściciele posiadłości miejskich. Liczba ich powinna była dosięgać dwunastu, tym razem przecież jedenastu ich tylko naliczono. Dwunastym dajonem w Szybowie był Rafał Ezofowicz. Pomiędzy ludem szeptano, iż stryj obwinionego należeć do składu sądu nie mógł; niektórzy mówili: „nie chciał". Po dajonach przybywali kahalni, pośród których znajdowali się morejne Kalman, z rękami w kieszeniach sajetowego chałatu i z wiekuistym uśmiechem miodowej błogości na ustach, i Kamionker, którego twarz zżółkła i skurczyła się w dniach ostatnich, a wejrzenie posiadało trwożliwe i ostre błyski człowieka zagrożonego niebezpieczeństwem. Ostatni ze wszystkich ukazał się Izaak Todros. Wysunął się z niskich drzwiczek swej chatki i szczupły, przygarbiony przemknął w cieniu ścian okrążających podwórze tak szybko i cicho, że z tłumu nikt go prawie nie dostrzegł.

W tej samej prawie chwili w głębi bet-ha-midraszu nad głuchym szmerem falującego ludu rozległ się czysty i silny głos męski:

— W imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakubów, słuchaj, Izraelu!

Szmer ludu wzmógł się i przeszedł w gwar, nieledwie we wrzawę. Czuć w tym było niechęci trochę, a więcej jeszcze obawy walczącej z ciekawością. Toteż przez długą chwilę głos człowieka mówiącego we wnętrzu napełnionej ludźmi budowy mocował się z pochłaniającym go gwarem, a spomiędzy słów jego nieliczne tylko wzbijały się nadeń i brzmiały wyraźnie.

Nagle ktoś z tłumu zawołał donośnie:

— Uciszcie się i słuchajcie! Albowiem powiedzianym jest: „Słuchajcie mowy wszelkiej czynionej w imię Jehowy!".

— To jest prawda! — zaszemrano. — On mówić zaczął w imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakubów!

I stała się cisza wielka, przerywana tylko poruszeniami tych, którzy u drzwi i za oknami stojąc, wspinali się na palce, aby zobaczyć tego, który przemawiał.

Żaden widok niezwykły oczu ich nie uderzył. Za białym stołem, więc na tym samym miejscu, z którego często przemawiano do ludu, Meir Ezofowicz stał w postawie spokojnej i ze spokojną również twarzą.

Bledszym był wprawdzie niż zwykle i w oczach miał blask gorącego wzruszenia, ale widać było, że wzruszenie to brało źródło nie w trwodze ni wątpliwości najlżejszej, lecz przeciwnie — w uczuciu potężnej wiary jakiejś i równie wielkiej, uszczęśliwiającej nadziei.

W rękach trzymał on kilka zżółkłych i bardzo starych arkuszy papieru, z których czytał i które podnosił niekiedy wysoko, jakby chciał ukazać oczom wszystkich, skąd brał słowa swoje.

— „Izraelu! — zawołał w chwili, gdy gwar ustąpił przed powszechną i głęboką ciszą — ty jesteś wielkim narodem! Ty pierwszy spomiędzy narodów wszystkich zobaczyłeś w niebie Boga jedynego, a na ziemi usłyszałeś, w huku gromów i blasku błyskawic, dziesięć ogromnych słów, na których, jak na dziesięciu opokach, inne ludy przez pokolenia wszystkie budują wschody do słońca doskonałości! Izraelu! Ślepe od urodzenia albo pieprzem złości oślepione jest oko tego, kto patrząc na oblicze twoje nie zobaczy starej twej dostojności! Suchą od urodzenia albo wichrem z piekieł wiejącym wysuszoną jest źrenica ta, która na wielkie cierpienia, jakie ty przeniosłeś, nie wypuści z siebie łzy! Nieszczęsny jest ten, kto ustami swymi rzeknie na ciebie: «Nikczemny!». Niech ulituje się nad nim i przebaczy mu Pan, albowiem nie ma w nim tej szali sprawiedliwości, na której ważą się zasługi i winy narodów, ani tego światła mądrości, które pokazuje, jak z bólu i nędzy rodzą się grzechy! Izraelu! Z ciebie urodził się Mojżesz z sercem gorejącym miłością jako krzak ognisty, Dawid ze złotą harfą, piękna Ester płacząca nad biedą ludu swego, Machabeusze z potężnymi mieczami z ciebie powstali, prorocy idący na śmierć z ochotą dla prawdy serc swoich. Ty, kiedy w ziemi ojców swoich żyłeś szczęśliwy, brzydziłeś się niewolą brata, na polu swym dziesiąty snop zostawiałeś łaknącym, a głos dawałeś każdemu, co przemawiać do ludu chciał, i przed Jehową jednym korząc się mówiłeś: «My wszyscy równi w obliczu Ojca naszego!». A kiedy ty potem, nieszczęsny i zwyciężony, oblany krwią synów swoich, co ziemi przodków bronili, w łzach i prochu cały pomiędzy obcymi narodami stanąłeś, ty wszystkie boleści i wszystkie pogardy przeniosłeś, a jedynemu Bogu swemu wiernym pozostałeś, a pamięci o przodkach swych nie straciłeś i wszystkie ludy, które kiedykolwiek gnębione i w łzach topione były, uczyłeś, jako bez broni obronić się można! Rozumnym, czystym i miłosiernym stworzył cię Pan, ludu mój, ale oto drugi tysiąc lat już przemija, odkąd nie stało ci jednej rzeczy ważnej — ojczyzny!"...

Tu głos mówiącego zadrżał i umilkł na chwilę, drżenie też przebiegło po zgromadzeniu całym, a potem rozległ się szept głosów stłumionych:

— Słuchajmy! Słuchajmy! Pisanie to jest mądrego i dobrego Izraelity, który opowiada chwałę ludu swego.

Słuchali, a Meir Ezofowicz czytał dalej:

— „Biada ludowi temu, któremu zabraknie ojczyzny! «I zejdą z okrętów wszyscy robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu — i przylgną do ziemi». Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki, i od niej bierze pokarm swój i zdrowie swoje, i lekarstwa na swoje choroby. Tak chciał i tak uczynił Pan. Ale ludzie poszli przeciw woli Jego. Duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako żebrak pukałeś ty do wrót cudzych domostw i tych, którzy plwali na cię, o zmiłowanie prosić musiałeś, głowa twoja chyliła się pod rozkazami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja, język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze, podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które piłeś, oblicze twe czerniało od gniewu i upokorzań się[153], a w piersiach twych serce kurczyło się od strachu, ażeby nie zniknęło z powierzchni ziemi imię Izraela i jedynego Boga jego, Jehowy. Aż w udręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie stara wspaniałość twoja i rozmnożyły się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twe, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie zapytuje z gniewem: «Jestże to ten sam lud mój wybrany, którego zaręczyłem z Sobą w prawdzie i łasce? Azaliż on Zakonu mego inaczej strzec nie umie, jak słowami ust, które sprzeciwiają się uczynkom rąk jego? Azaliż Zakon ten widzi on tylko w ofiarach, śpiewach, modłach i kadzidłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą objawiłem we śnie słudze memu, Jakubowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tym, jako wstępować trzeba do mnie, który jestem poznaniem i doskonałością?»".

W tym miejscu głos czytającego pochłoniętym znowu został głuchym gwarem słuchaczów.

— Co on takiego czyta? — zapytywano siebie wzajem. — Pisanie to złego Izraelity jest, który na lud swój brzydkie słowa rzuca! A jakież są grzechy te i nieprawości, które

[153]*upokorzań się* — dziś popr. lp: upokarzania się a. lm bez zaimka zwrotnego: upokorzeń.

rozmnożyły się pomiędzy nami jako gwiazdy na niebie? A jakoż my Pana świata chwalić mamy, jeżeli śpiewy i modlitwy nasze nic w oczach Jego nie znaczą?

Bladość Meira zwiększyła się nieco, gdy uczuł on, że głos jego ginąć zaczyna znowu we wzdymającej się fali głosów mrukliwych lub strwożonych. Umilknąć nie było przecież w mocy jego. Czytał więc dalej, a w ludzie szemrzącym ciekawość przemogła wkrótce inne uczucia; uciszono się i słuchano.

Słuchano opowieści Michała Seniora, jako z rozkazu królewskiego i dla miłości tej, którą lud dla niego zrazu miał, stanął on na czele spraw jego i chciał wprowadzać go na drogę nową, u końca której widział świtające słońce nowego dnia; jako przeszkodzono mu w dziele tym, odwrócono odeń duszę narodu, okryto go sadzą potwarzy, obrócono go w proch mizerny, po którym deptały stopy nieprzyjaciół jego.

— „Szumiały w głowie mojej myśli, których język mój wypowiadać nie miał już komu, bo opuścili mię wszyscy dawni przyjaciele i uczniowie moi! W piersi mej palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał, bo włożono w uszy ludu mego, że roznieciły go we mnie ręce szatana! Zmieniła się twarz moja, a oczy moje były jak te smutne gwiazdy, które na świat patrzą zza grubej chmury! Członki moje rozpadły się od niemocy, sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki: «Panie świata! Nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić on mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze; bo ci, którzy żyją, słuchać mię już nie chcą!»"

Otworzyłem księgę świętą i przeczytałem w niej: «Jeżeli ramię twoje opadnie w niemocy, walczyć będziesz jeszcze za prawdę świętą głosem swoim, miłością swoją i łzami swoimi!».

Prawnuku mój! który pisma tego szukać będziesz i znajdziesz je, ogłoś ludowi mojemu, czego ja dla niego żądałem.

Pierwszą rzeczą, której ja dla niego żądałem, było: zapomnienie. Czy żądałem ja, żeby zapomniał on o Bogu swoim, Jehowie, i o tym, że on Izraelem jest — ludem, który swoją duszę ma i który w przeszłości swej wielkich mężów rodził i wielkie myśli z siebie wydawał? Nie, ja nie mogłem żądać, ażeby Izrael zapomniał o tym, bo mnie samemu wspominania te miód kładną na podniebienie, a serce rozdymają szeroko. Ale ja żądałem, żeby Izrael zapomniał krzywd i boleści, których doznał on od cudzych narodów. «Krzywd nie pamiętaj» «Nie mów: Odpłacę złym za złe». Mar Zutra idąc spać mówił co dzień: «Przebaczam wszystkim tym, którzy mię zasmucili». Mar Zutra był wielkim człowiekiem.

«Kiedy zapomnisz ty, Izraelu, wtedy zbliżysz się do płomieni tych, które ty cudzymi nazywasz, a które do wszystkich ludzi należą. Cudze płomienie, te, od których ty uciekasz w zawziętym pamiętaniu swoim, roznieca ręką swoją Sar-ha-Olam, anioł poznania, który aniołem nad aniołami jest i książęciem świata. Święta jest nauka religii, ale i inne nauki któż stworzył, jeżeli nie Ten, w którym mieszka doskonałość poznania? Smacznym owocem jest rajskie jabłko, lecz czyliż innymi płodami ziemi żywić się nam nie potrzeba? Przyjdzie taki czas, że świat cały pełen będzie wiedzy, jak pełną wody jest otchłań morza!». Słowa te powiedział mędrzec twój, którego wyklęli fałszywi mędrcy twoi. Jak nazywał się mędrzec ten? On nazywał się Mojżesz Majmonides, on był prawdziwym prorokiem, który «oczy miał nie z tyłu głowy, lecz z przodu», a patrzył nie na to, co było, ale na to, co będzie, i lud swój do cudzych płomieni pędził, bo wiedział, że przyjdzie czas, w którym ten, co płomieni tych w siebie nie weźmie, w proch i błoto upadnie, a imię jego pośmiewiskiem i wzgardą stanie się dla wszystkich narodów... On był drugim Mojżeszem... on był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie radości i boleści moje...".

Tu czytający opuścił na stół ręce trzymające zżółkłe arkusze, a podnosząc twarz okrytą wyrazem niewysłowionego zachwytu, powtórzył:

— On był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie boleści i radości moje...

Dziwna rzecz! Mistrz przodka zmarłego przed trzystu laty był jeszcze mistrzem żyjącego dziś młodego potomka! Z jednego źródła spłynęły na obu boleści ich i radości. W sercach obu rozniecił on tę heroiczną i męczeńską miłość — najwyższą ze wszystkich miłości ziemskich — miłość dla idei. Tylko że potomek, czytając słowa przodka, słowa, które rozpraszały i oświecały wszystkie dotychczasowe wątpliwości i niepewności jego,

czuł samą tylko radość. Smutku ni bólu nie było w tej chwili ani śladu w sercu jego wezbranym potężną, bo młodzieńczą, wiarą i nadzieją.

Lecz w tłumie chrapliwy i zanoszący się głos jakiś zawołał:

— *Herste*! *Herste*! On cudze płomienie wychwala! On wyklętego kacerza drugim Mojżeszem nazywa!

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć, kto słowa te wymówił. Był to reb Mosze, który u drzwi wchodowych na ławie stojąc, całą postacią swą wyniesiony nad tłum falujący u bosych stóp jego, trząsł głową, śmiał się szydersko, a wzrok rozpłomieniony wpijał w Meira. Ale ciekawość ludu nie była jeszcze nasycona; pod łachmaniastą odzieżą wiele serc biło przyśpieszonym tętnem nieokreślonego, niepojętego im samym wzruszenia.

— On ustami prawnuka swego z grobu do nas przemawia! Słuchajmy tego, którego dusza mieszka już pomiędzy sefirotami! — ozwało się głosów kilka.

A starzec jakiś, zgarbiony i wspierający się na kiju, podniósł siwą głowę, mrużące się oczy zwrócił na Meira i jękliwym nieco głosem mówić zaczął:

— Jakże Izrael miał grzać się przy słońcu poznania, kiedy odpędzali go odeń nieprzyjaciele jego? Mieliśmy, rebe, niegdyś sławnych doktorów naszych i mędrców takich, którzy ministrami przy potężnych królach byli… ale kiedy nas potem odepchnięto od bram mądrości, myśmy odeszli i powiedzieli: „Oto Izrael rozwód czyni z narodami cudzymi i stać będzie pośród nich osobno, jak starszy brat, którego młodsi bracia obrazili”…

Meir patrzał na przemawiającego doń starca z wpół łagodnym, wpół tryumfującym uśmiechem na ustach.

— Rebe! — odpowiedział. — W pisaniu przodka mojego znajduje się odpowiedź na mowę twoją:

„«Znikną grzechy z powierzchni ziemi». «I grzeszników już nie będzie». A kiedy znikną grzechy, a przed wami otworzą się bramy mądrości, wchodźcie w nie prędkim krokiem i z wesołym sercem, bo nauka jest największym orężem Pana, który rządzi światem według wiecznych praw rozumu. «Na dzieła Stwórcy patrzeć nie chcą». O takich powiedzianym jest w piśmie: «Głupcy nienawidzą poznania!».

Drugą rzeczą, której ja dla ludu mego żądałem, jest: pamiętanie. Rawa zapytał Rabę, syna Mory: «Skąd wzięło się u ludzi przysłowie: W studnię, z której pijesz, nie rzucaj błota?». Raba odpowiedział: «Stąd, że w Piśmie powiedzianym jest: Nie odpychaj Egipcjanina, albowiem gościem byłeś na ziemi jego». Eliezer, syn Azarii, mówił: «Egipcjanie przyjęli Izraelitów dla własnej swojej korzyści, a przetoż Przedwieczny dał im za to nagrodę». A jeżeli kraj ten, z którego studzien pijesz ty wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię nie jako bydlę robocze, ażeby mu ziemię orało, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty jemu nagrodę dasz, Izraelu?

Nie powiedzianym jest: «Będziecie odzierać cudzoziemca z dobra jego», ale: «Będziecie dzielić się z cudzoziemcem dobrem waszym». Nie powiedzianym jest: «Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami jak pomiędzy szarańczą, która zboże objada z niw jego», ale: «Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzon z potomków Izraelowych»!

Kiedy ja urząd mój, przez samego króla mnie dany, w mocnym ręku trzymałem, znalazło się dwóch niecnych Izraelitów, którzy, do nieprzyjacielskiego obozu uciekłszy, sekrety królewskiego wojska ponieśli tam z sobą i wydali, przez co wielkie szkody i trudności zrządzili królowi w wojnie. Co ja z tymi niecnymi podwładnymi mymi uczyniłem? Ja rozkazałem po kraju całym przy dźwiękach trąb ogłaszać, że są oni zdrajcami względem Boga i Zakonu Jego i że odpycha ich od siebie na wieki wieków łono Izraelowe! Ja tak zrobiłem, bo gdy gniew na nich wezbrał w sercu moim, zobaczyłem ja we śnie drugiego Mojżesza, który powiedział do mnie: «Odepchnij ich od łona Izraelowego, albowiem odepchnęli oni od siebie tych, na których ziemi gośćmi i przybylcami[154] są!».

Nie tylko dla świętości dusz waszych żądałem ja od was, ażebyście pełnili rozkazania wdzięczności, ale i dla szczęśliwości żywotów waszych na tej ziemi.

Kiedy zasiadałem ja w wielkim synodzie izraelskim, który z pozwolenia króla i wszystkich wielce możnych panów tego kraju zebrał się w pięknym i bogatym mieście Lublinie,

[154]*przybylec* — dziś: przybysz.

namówiłem wszystkich mądrych i uczciwych ludzi, którzy zasiadali ze mną, abyśmy pomiędzy Izraelitów puścili taką odezwę, która by rozumami i sercami ich zatrząść mogła tak, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadały.

Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci naszych: «Bądźcie pożytecznymi ziemi tej, na której mieszkacie, a będą was szanować». Oto jest pierwszy krok do szczęśliwości, bo wzgarda gorzką, a szacunek słodkim jest sercu ludzkiemu.

Ale są jeszcze inne rzeczy, które ja w myśli mojej mam. «Kto jest sługą ziemi swojej, ten naje się chleba do syta»! A jakże do syta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią obchodzić się będziecie nie jak wierne i pracowite sługi, ale jak przechodnie, o dzisiejszy tylko dzień dbający?

Kiedy Abraham przybył nad granicę Tyru i ujrzał, jako tam ludzie usiewali ziemię i zasadzali drzewa, zawołał on: «O! Gdyby mi daną była cząstka tej ziemi!». A Pan rzekł: «Potomstwu twemu ziemię tę ja oddam!». I ziemię oddał on synom człowieczym.

Rabbi Papa powiedział: «Nie prowadź handlu, ale uprawiaj ziemię, bo choć jedna i druga robota dobrą jest, ale pierwszą błogosławią ludzie!». «Kiedy przyjdziecie na ziemię tę, zasadźcie w niej wszelkie drzewo owoc rodzące!».

Przyjdzie pora taka, w której znikną grzechy, a ludy świata zawołają do synów Izraela: «Bierzcie w ręce wasze pługi i idźcie uprawiać rolę, abyście żyli na niej spokojnie i chleb spożywali do syta z synami i wnukami waszymi!». Ale fałszywi mędrcy wasi powiedzą wam: «Nie będą ręce nasze prowadzić pługów po ziemi wygnania». Prawnuku mój! który to czytać będziesz, powiedz ludowi twemu, aby zamknął on uszy przed głosem fałszywych mędrców! Napełnij pierś twoją wielkim głosem i krzyknij: «Fałszywi mędrcy twoi gubią cię, Izraelu!»".

Widać było, że czytający spełniał przekazane mu rozkazy przodka z wiarą, zapałem i radością niewysłowioną. Czyliż sam od dawna już w głębi duszy swej nie uczuwał wstrętu i żalu do mędrców fałszywych? Dlaczego fałszywymi mędrcami byli oni? — powiedzieć nie umiał. Język jego skrępowany był niewiedzą, a oko gorejące żądzą poznania tłukło się o ściany ciemnicy, w której go zamknięto. Teraz wiedział już — widział — rozumiał. Toteż z głębi piersi głosem donośnym zawołał:

— Fałszywym mędrcom swym nie wierz, Izraelu!

Tłum zawrzał:

— O kim on mówi?

— Gdzież są w Izraelu fałszywi prorocy i mędrcy?

— On o wielkich rabinach naszych i uczonych mówi, usta jego wypuszczają z siebie obrzydliwe bluźnierstwa.

— On same tylko nagany rzuca w oczy izraelskiego ludu!

— On żąda, abyśmy uprawiali rękami naszymi ziemię wygnania!

— Rabbi Nochim, dziad rabbi Izaaka, mówił dziadom naszym: „Nie prowadźcie pługów po ziemi wygnania!"

— A rabbi Nochim był mędrcem nad mędrcami, światłość mądrości jego oświecała ziemię całą!

— Hersz Ezofowicz kłócił się o to bardzo z reb Nochimem!

— Hersz Ezofowicz był wielkim grzesznikiem!

— Dlaczego nie przeczytał on nam, jak nędzarze czynić mają, żeby bogaczami stać się?

— Napisał on, żebyśmy byli sługami ziemi tej, na której mieszkamy! A kiedy Mesjasz przyjdzie i zabierze nas stąd do ziemi ojców naszych, my kraj ten porzucim! Na co nam być jego sługami?

— Gadali ludzie, że w pisaniu tym napisane stoi, jak piasek w złoto zamieniać...

— I jak diabłów odpędzać...

— I jak Mojżesza wskrzesić...

— Ludzie nieprawdę gadali! W pisaniu tym nie ma żadnych rzeczy mądrych i miłych Bogu!

Pytania te, sarkania i mnóstwo im podobnych krzyżowały się w tłumie wraz z szyderskimi uśmiechami ludzi zawiedzionych w ciekawości swej i nadziejach. Mełamed z ławy, na której stał, górując nad zgromadzeniem całym, rzucał w nie wciąż słowa obelżywe lub wybuchy grubego śmiechu, w którym czuć było jad nienawiści. Pod drugą ścianą,

tuż naprzeciw mełameda, widać było stojącego też na podwyższeniu Bera. Dwaj ludzie ci stojący naprzeciw siebie i górujący nad ruchliwym tłumem przedstawiali sobą dwie krańcowe sprzeczności. Mełamed trząsł głową, rozmachiwał rękami, przysiadał, podskakiwał, śmiał się i krzyczał. Ber stał niemy i nieruchomy; głowę odchylił nieco w tył i oparł o ścianę, a z oczu jego szklistych i w daleką jakąś dal zapatrzonych, po twarzy okrytej wyrazem cierpienia zmieszanego z zachwytem spływały, jedna za drugą, ciche, grube łzy. W pewnym oddaleniu od tłumu, a bardzo blisko Meira stała ściśle z sobą zwarta grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy wpatrywali się w twarz czytającego jak w tęczę. Oddychali oni szybko, uśmiechali się błogimi jakimiś uśmiechy, to znowu wzdychali albo ręce wznosili w górę i dotykali nimi to głów swych, to czół, to oczu. Zdawać się mogło, że nie widzieli oni ani nie słyszeli falującego i szemrzącego tłumu, że duchy ich, dawno tęskniące za prawdą i omackiem szukające jej pośród ciemności, rzucały się teraz całe w ognisty krąg głoszonych przed nimi idei… W głębi tłumu, kędyś po samym środku sali, bardzo stary i trzęsący się głos jakiś mówił:

— O wszystkim tym dużo gadali ludzie… dawno, dawno temu… w dniach młodości mojej!…

Głośnemu westchnieniu, które towarzyszyło słowom tym zgrzybiałego starca, będącego — któż wie? — jednym może z dawnych przyjaciół Hersza, odpowiedziały stłumione chichoty. Byli to chłopcy podrostki, którzy tu i ówdzie wspinając się na ławy, odrzwia i gzymsy wychylali spośród ramion starszych kędzierzawe głowy w przekrzywionych jarmułkach, a potem zsuwali się z wysokości swych i znikali ze stłumionymi śmiechami.

W ręku Meira zżółkłe, stare arkusze drżeć zaczęły. Na bladą dotąd twarz jego wybiły się ogniste rumieńce. Spod przymrużonej nieco powieki cisnął on na tłum spojrzenie, w którym były gniew i prośba, litość i niecierpliwość.

— Uciszcie się! — zawołał. — Pozwólcie, aby wielki mąż, który leży w grobie, powiedział wam przez usta moje wszystkie słowa swoje… aż do końca. On mię wybrał za posłańca swego przed wami… ja wierny muszę być rozkazaniom jego…

Głos jego brzmiał przenikliwie, rozkazująco. Siła odwagi i przekonania malowała się w postawie jego i geście, jakim wyciągnął rękę ku burzącemu się dokoła niego żywiołowi.

Mełamed krzyknął:

— *Sztyl*[155]! Niech czyta! Niech obrzydliwość ta wychodzi spod ziemi, gdzie ukrywała się do tego czasu, ażeby łatwiej było spalić ją ogniem gniewu i przycisnąć kamieniem pogardy.

— „Izraelu! — zaczął znowu wśród przycichającego gwaru głos młodzieńczy i silny. — Izraelu! Trzecią rzeczą, której ja żądałem dla ciebie, jest: rozpoznanie.

Byli u nas kiedyś mędrcy wielcy, których nazwanie było Baale-Trêssim, uzbrojeni. Czym oni uzbroili się? Uzbroili się oni wielkim poznaniem Izraelowego Zakonu. A przeciw czemu oni uzbroili się? Przeciw zgubie imienia Izraelowego. Oni powiedzieli: «Nie zniknie z powierzchni ziemi dom Izraelowy, albowiem damy mu mocny opłot z wielkiego mnóstwa praw, które z Zakonu Mojżeszowego wywiedziemy, a które odgrodzą go od narodów innych, tak że stanie on pomiędzy nimi osobno i nie przepadnie śród nich, jak przepada rzeka, kiedy wpływa do wielkiego morza».

Tak powiedzieli sobie tanaici nasi, a sanhedryn[156], w którym zasiadali, i szkoły, w których nauczali oni, podobnymi stały się do wojennego pola, na którym leją kule i ostrzą oręże. Gamaliel, Eliezer, Jozue, Akiba, Jehuda świecą pomiędzy nimi jak słońca pomiędzy gwiazdami; i następowali oni jedni po drugich przez całe pięćset lat i przez całe pięćset lat układali, tłumaczyli i pisali tę ogromną księgę, której dali imię *Talmud*, a która przez długie wieki była dla synów Izraelowych opłotem przeciw morzu, co ich pochłonąć chciało. Z niej synowie Izraelowi przez długie wieki brali wszystką pociechę i wszystką

[155]*sztyl* (jid.) — cicho.

[156]*Sanhedryn* (z gr.: trybunał sądowy) — zw. też Wysoką Radą a. Wielkim Sanhedrynem; najwyższa instytucja sądownicza i religijna starożytnego Izraela, trzy tytuły w kolejności ich znaczenia zarezerwowane dla najważniejszych członków sanhedrynu to *nasi* (książę), *chacham* (mędrzec) i *aw beit-din* (przewodniczący Izby Sądowej); zgodnie z tradycją rabiniczną sanhedryn istniał nieprzerwanie od czasów Mojżeszowych do IV w. n.e., jednak pierwsze pisemne potwierdzenie istnienia sanhedrynu pochodzi z 203 r. p.n.e.; sanhedryn zbierał się w Jerozolimie na Wzgórzu Świątynnym, przewodniczył mu arcykapłan; w czasie diaspory miejsce, w którym zbierał się sanhedryn, ulegało zmianom.

światłość swoją, a w ciężkim rozproszeniu swym nie byli rozłączeni, bo myśli ich i westchnienia dokoła niej zbiegały się, jak zbiegają się dokoła matki swej myśli i westchnienia rozproszonych po świecie jej dzieci.

Księga, którą przez całe lat pięćset układali i pisali ludzie, co kochali bardzo i wiele uczyli się, i która narodowi całemu przez długie wieki dawała pociechę, nadzieję i jedność, nie może być księgą głupią i złą. Temu, kto o niej tak mówić będzie, powiedzcie: «Oczyść naprzód serce swe ze wszelkiej złości, a potem otwórz ją i przeczytaj!».

Lecz czyliż wszystko, co jest dobre, doskonałym być musi? Po niebie samym chodzą ciemne chmury, a w sercu, by najczystszym, wszechwiedzące oko Pana odkrywa skazy. Azaliż Jehowa sam pisał księgę praw naszych? Azaliż pisali ją aniołowie? Ludzie ją pisali. Jestże jeden człowiek na ziemi całej i we wiekach wszystkich, który by nie znał, co to błąd? Jestże jedno dzieło ludzkie, które by dla wszystkich czasów i pokoleń uczynionym było? Zwalił się tron faraonowy, położyła się w gruzy Niniwa, padł Rzym, który świata połową władał, grecka mądrość ustąpiła przed inną mądrością. Pustynie leżą tam, gdzie ludne miasta kwitły, a miasta wznoszą się na dawnych pustyniach. Kruszą się dzieła ludzkie, by największe, a na ich miejsce wyrastają inne. Tak idzie świat. Izraelu! W pokarmie, który żywił duszę twoją przez długie wieki, są ziarna i jest plewa, w bogactwie twoim są brylanty i jest piasek. Księga wiary twej jest jako te jabłko granatu, które człowiek głupi jadł z łupiną, od której wielki niesmak miał na podniebieniu i srogie we wnętrznościach bóle. Ale kiedy rabbi Meir głupiego człowieka tego zobaczył, zerwał on z drzewa jabłko granatu, twardą i gorzką łupinę odrzucił, a soczyste i słodkie jądro zjadł. Ja pragnąłem uczyć was tak, jak uczył rabbi Meir człowieka, który jadł z łupiną jabłko granatu. Ja chciałem, żebyście osiągnęli dar rozpoznawania i dla księgi wiary naszej zrobili z rozumu waszego sito takie, które wyrzuciłoby plewy i piasek, a zostawiło wam ziarna i brylanty. Odtrąciłeś mnie od siebie za to żądanie, ludu mój, znienawidziło mię serce twoje, bo strach i nienawiść wielka zamieszkały w tobie przeciw rzeczom nowym. A przecież powiedzianym jest: «Nie patrz na naczynie, ale na to, co ono w sobie zawiera. Bywają dzbany nowe napełnione winem mocnym i stare, w których nie ma ani kropli»".

Lud, który uciszył się był przez chwilę i słuchać zaczął z rozbudzoną na nowo ciekawością, zawrzał znowu. Ber zeskoczył z ławy, na której stał, i przesunął się szybko ku Meirowi. Młodzi ludzie stojący dotąd w ściśle zwartej gromadce przybliżyli się też ku niemu.

— Meir! — szepnął Ber. — Rzuć ty okiem na lud!

I ciszej jeszcze dodał.

— Idź stąd! Idź prędzej!

Meir powiódł wzrokiem po falującej i wrzącej czarnej masie ludu. Uśmiech smutny na wpół, a na wpół gniewny przewinął się mu po ustach.

— Nie tego ja spodziewałem się! Spodziewałem się ja zupełnie czego innego — rzekł z cicha i pochylił głowę.

Wnet jednak podniósł ją i zawołał:

— Ja jestem posłańcem przodka mojego! On wybrał mnie na czytelnika ostatnich myśli swoich! Ja woli jego posłusznym muszę być!...

Odetchnął głęboko i dodał głośniej jeszcze:

— On przeniknął pytania te, które szumieć miały w głowie prawnuka jego, i odpowiedzi na nie dał! On przeniknął skrytości dusz, które łakną prawdy, i przysłał im przez ręce moje pociechę i naukę. Ja kocham go tak, jak żeby wyhodował on mnie na kolanach swoich! Ja pokłon składam wielkiej duszy jego, która zarobiła sobie na nieśmiertelność i mieszka teraz w światłości Jehowy! Ja tak myślę, jak on myślał! Tego żądam, czego on żądał! Ja taki sam jak on, ja syn duszy jego!

Głos jego dźwięczny i donośny drżał westchnieniami i dziwniejszymi nad nie zachwyconymi uśmiechami jakimiś, w oczach płomiennych i głębokich stanęły wielkie łzy, a usta mu drżały i czoło bladło coraz więcej, i ręce mimo woli jakby wznosiły się w górę.

— W pisaniu przodka mego — wołał — napisanym jest, że my stoim na miejscu, kiedy wszystkie narody naprzód idą ku poznaniu i szczęśliwości; że głowy nasze napełnione są takim mnóstwem małych rzeczy, że wielkie pomieścić się już w nich nie mogą; że nauka ta, która nazywa się Kabałą, a którą wy za świętą macie, jest nauką przeklętą,

bo topią się w niej rozumy synów Izraelowych i odprowadza ich ona od prawdziwego poznania… Napisane tam jest…

Tu głos mówiącego zmieszał się tak bardzo z krzykami, śmiechami i jękami ludu, że pojedyncze tylko wyrazy dochodzić mogły uszu tych, którzy słuchać jeszcze chcieli. Nie przestawał jednak mówić; owszem, mówił prędko, coraz prędzej, z piersią dyszącą, z oczami, które to przymrużały się, to otwierały szeroko. Zdawałoby się, że widząc bezskuteczność wysileń swych, pragnął on przynajmniej spełniać jak najdłużej to, co za posłannictwo swe uważał; że zawiedziony w oczekiwaniach swych zachował jeszcze jedną jakąś iskrę nadziei…

— Biada! Biada! — wołali ludzie różnymi głosy — Odszczepieństwo i zgorszenie nawiedziły dom Izraelowy! Usta dzieci plują bluźnierstwa na rzeczy święte!

— Słuchajcie! Słuchajcie! Słowa przodka mego dalekimi są jeszcze do końca…

— Zamknijmy mu usta i odpędźmy go od miejsca, z którego przemawiają do ludu mędrcy Izraelowi!

— Słuchajcie! W pisaniu tym napisanym jest, ażeby Izrael przestał spodziewać się Mesjasza z ciała i ze krwi…

— Biada! Biada! Odbierać on chce sercu Izraelowemu pociechę i nadzieję jego!

— Albowiem nie przyjdzie on na świat pod postacią człowieczą, ale spłynie jako czas, niosący ludom wszystkim poznanie, nasycenie, miłość i pokój…

— Meir! Meir! Co ty robisz? Ty gubisz siebie! Patrz na lud! Uciekaj! — rozlegały się w pobliżu mówiącego stłumione szepty.

Ber stał tuż przy jego boku; Eliezer, Ariel, Chaim i kilku innych otoczyli go ścisłym kołem, ale on nie widział ich ani słyszał. Krople potu wypływały na czoło jego blade jak chusta, lecz wysoko wzniesione, a w oczach błyskały mu na przemian łzy rozpaczy i płomienie gniewu.

Nagle w bliskości drzwi wchodowych rozległ się głuchy stuk. Mełamed zeskoczył z ławy, na której stał, i bosymi stopami swymi po kilkakroć o podłogę uderzył. Potem w kilku poskokach przesadził salę wśród tłumu, który rozstąpił się przed nim, i gwałtownym gestem ramienia okrytego płóciennym rękawem zrzucił ze stołu mosiężny lichtarz z żółtą świecą, której płomień zadeptali wnet inni. Jednocześnie ktoś wspiął się na ławę i zdmuchnął lampkę palącą się u drzwi. Gruby zmrok, tu i ówdzie tylko rozwidniony bladymi smugami księżyca wnikającymi przez okna, ogarnął wielką salę, w której zagotowało się i zakipiało teraz tak, jak gdyby napełniały ją rozszalałe jakieś wichrem żywioły.

Najbystrzejsze ucho nie rozróżniłoby już teraz wyrazów, które sypały się tam jak grad i mieszały się z sobą w chaos nierozwikłany. Z brzmień tylko pojedynczych wykrzyków wzbijających się nad ten szum ogromny rozpoznać można było: groźby, wyrzekania, przekleństwa i prośby. Na koniec z drzwi bet-midraszu, na oścież rozwartych, wypłynęła na synagogalny dziedziniec gęsta, czarna fala ludzi i spotkała się tu z falą drugą, która stała dotąd na zewnątrz budowy, spokojniejszą nieco była, choć także wzruszoną i szemrzącą. Tu rozlewała się już na przestrzeni szerokiej powódź jasnych księżycowych świateł, a śród niej wznosił się bet-ha-kahoł z zamkniętymi szczelnie drzwiami i okiennicami. Na wschodach gankowych tylko siedział tam szamosz z łokciami na kolanach i brodą w dłoni, nieruchomy jak posąg, oczekujący rozkazów mających wyjść z wnętrza budowy tej, która wśród wrzawy wzburzonego ludu stała niema i zamknięta jak grób.

Tłum rozproszył się na grup wiele, z których jedna przekroczyła wrota synagogalnego dziedzińca i z gwarem niezmiernym, niby olbrzymi i szamoczący się ptak czarny, sunęła po białym od księżyca placu. Liczną była grupa ta. Składali ją ludzie w nędznych ubiorach, z długimi brodami i oczami rozpalonymi złością, dzieci różnego wieku nachylające się wciąż dla podnoszenia kamieni lub garści piasku i błota, a po samym środku jej cisnęła się ku sobie i człowieka wśród niej znajdującego się osłaniała gromadka dorosłych lub dorastających zaledwie młodzieńców. Rozpychani i potrącani, walczyli oni chwilę jeszcze całą siłą piersi i ramion swoich, aż obezsileni czy zlęknięci, pierzchnęli i zmieszali się z tłumem. Wtedy na plecy człowieka, którego osłaniali dotąd, posypał się grad kamieni, dziesiątki rąk chwytały odzież jego i darły ją w szmaty, na odkrytą głowę jego padały garście żwiru i zlepki błota zaczerpniętego z kałuży. W uszach jego brzmiały chóralne, namiętne okrzyki, przed oczami migały twarze rozognione, podnoszące się i opadające ramiona, a za tym wszystkim, jak za mgłą ognistą, milczący i zamknięty ukazywał

się dom jego rodzinny. Ku domowi też temu, niby ku portowi zbawienia, biegł on tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to ręce szarpiące go za odzież i plączące się mu przed stopami ruchliwe gromady dzieci. Z zaciśniętych ust jego nie wydzierał się jęk najlżejszy ani wychodziło słowo żadne prośby lub skargi; można by rzec, iż nie czuł on wcale bólu spadających nań razów ani trwogi przed tymi gwiżdżącymi w powietrzu kamieniami, z których jeden lada chwilę ugodzić weń mógł śmiertelnie. Piersią i ramionami odpychał on wprawdzie z rozpaczną siłą tłoczący go tłum, lecz zdawało się, że nie siebie bronił, ale skarbu, który unosił z sobą, bo co chwilę dotykał dłonią piersi, jakby chciał przekonać się, że posiada go jeszcze przy sobie.

Nagle drogę zastąpił mu człowiek w długiej, grubej koszuli i wywijając grubym kijem, który trzymał w ręku, z iskrzącymi się oczami zawołał do ludu:

— Głupcy! Co wy robicie! Dlaczego wy jemu obrzydliwego pisania tego nie odbieracie? Rabbi Izaak przykazał, abyście pisanie to wydarli mu i w ręce jego oddali! On je na piersi swej schował!

W mgnieniu oka młody człowiek, którego dotąd otaczano z tyłu tylko i z boków, ujrzał się zaskoczonym z przodu. Kilkanaście rąk ciemnych, grubych sięgnęło ku jego piersi, rozgięło ramiona jego, które on zwarł był z siły całej, i targać go poczęło za przednią część odzieży.

Wtedy podniósł on ku niebu wyiskrzonemu księżycowym światłem twarz śmiertelnie bladą i z głębi piersi krzyknął:

— Jehowa!

W tej chwili uczuł u nóg swych prześlizgujące się szczupłe, zwinne ciało jakieś, a gorące jakieś usta przylgnęły do jednej z opuszczonych rąk jego długim pocałunkiem. Dziwnie odbić się musiał w sercu jego pocałunek ten wmieszany w zadawane mu ciosy — ten objaw miłości wśród wrzących dokoła niego przekleństw i gróźb…

Ostatkiem sił odepchnął od siebie napastników i pochylił się ku ziemi, a zanim zdołali oni przyskoczyć znowu ku niemu i podnieść nań ręce, wyprostował się i w ramionach swych podniósł dziecię, którym zasłonił się jak puklerzem, a ono przylgnęło piersią do piersi jego, oba ramiona zarzuciło mu na szyję i ku ludziom groźnie podnoszącym ręce zwróciło twarz zalaną rzęsistymi łzami. Zza łez czarne, ogromne oczy dziecka patrzały ze szczególnym, przejmującym wyrazem gniewu połączonego z błaganiem i strachem.

— To moje dziecko! To mój Lejbele! Nie czyńcie mu nic złego! — ozwał się spośród tłumu jękliwy i trwogi pełen głos krawca Szmula.

— Rebe! — zawołało kilka grubych głosów do mełameda uwijającego się wciąż przed tłumem z kijem w ręku. — Rebe! On zasłonił się dzieckiem! Dziecko to bardzo go kocha!

— Odbierzcie mu dziecko to! Zabijcie je! Wydrzyjcie mu przeklęte pisanie! — krzyczał rebe.

Ale nie usłuchał go nikt! Szarpano jeszcze Meira z tyłu i z boków, kamień jeszcze jeden i drugi ugodził go w ramię i nad głową jego przeleciał, ale przed sobą ujrzał on już przejście wolne i kilku poskokami znalazł się na ganku rodzinnego domu, którego drzwi otworzył przed nim ktoś niewidzialny i wnet je za nim zamknął.

Meir postawił dziecię na ziemi w ciemnym korytarzu, a sam wbiegł do bawialnej izby, w której przy świetle lampy palącej się przed żółtą kanapą zgromadzoną znalazł całą rodzinę. Wbiegł i stanął nieruchomo u ściany. Oddychał prędko, wodził dokoła mętnym wzrokiem i milczał. Milczeli też przez chwilę wszyscy obecni. Nigdy, odkąd ród Ezofowiczów istniał na świecie, żaden członek rodu tego nie wyglądał tak, jak wyglądał teraz blady i zdyszany młodzieniec ten, w odzieży opadającej zeń łachmanami, z głową osypaną prochem ulicy. Czoło jego zroszone potem śmiertelnego zmęczenia przerzynała ukośnie czerwona kresa — ślad chropowatego kamienia może, który się po nim prześliznął, albo, kto wie? — ostrego narzędzia jakiegoś, które podniosła nań ręka czyjaś w ciemnej sali bet-midraszu! Miał on pozór ściganego przestępcy, miałby też pozór żebrzącego nędzarza, gdyby nie duma jakaś, która patrzała z uznojonego i zranionego czoła jego, i nie gorący blask w oczach, w których obok niewysłowionego bólu malował się upór niepokonanej woli.

Saul zakrył twarz obu dłońmi. Kilka kobiet zaszlochało głośno, Rafał, Abram i inni dojrzali członkowie rodziny podnieśli się z miejsc swych rozpłomienieni, groźni i jednym głosem zawołali:

— Nieszczęsny!

Chcieli otoczyć go i mówić coś do niego, ale nie mieli czasu, rozwarły się bowiem z trzaskiem wielkim okiennice z zewnątrz zamknięte, zadzwoniły i w drobne odłamy posypały się szyby okien, kilkanaście kamieni wpadło do izby, uderzając ze stukiem w ściany i sprzęty, a za oknami zakipiała wrzawa namiętna, groźna, śród której najgroźniejszy i najnamiętniejszy brzmiał gruby głos mełameda. Dopominano się o Meira i o pisanie Seniora, łajano ród cały, domostwo to zamieszkujący, odgrażano się pomstą boską i ludzką, krzyczano na znieważenie Zakonu i bluźnienie rzeczom dla Izraela świętym.

Ezofowiczowie stali jak przykuci do miejsc swych, strachem, żalem i wstydem zdjęci.

Saul tylko odkrył twarz, wyprostował się dumnie i krokiem szybkim zmierzać zaczął ku drzwiom...

— Tate! Gdzie ty idziesz? — z przestrachem krzyknęli za nim mężczyźni i kobiety.

Wyciągnął ku oknom wskazujący palec i drżącymi ustami rzekł:

— Stanę na ganku domu mego i powiem głupiej zgrai tej, żeby milczała i szła precz!

Zastąpiono mu drogę. Kobiety oplotły ramionami kolana jego.

— Oni cię zabiją! — jęczano.

Nagle w jednej chwili wrzawa umilkła i za oknami rozległ się tylko szept mnóstwem ust powtarzany.

— Szamosz! Szamosz! Szamosz!

W istocie, z bramy synagogalnego dziedzińca wyszedł i przez plac ku domowi Ezofowiczów szybko posuwał się człowiek, który przed kilku minutami stróżował nieruchomo u drzwi niemego jak grób bet-kaholu. Grób otworzył się znać i wypowiedział słowa zapadłego wyroku, a sługa synagogalny śpieszył, aby ogłosić go obwinionemu i jego rodzinie. Ale i lud także brzmienia wyroku ciekawym był namiętnie. Dlatego uciszył się i stał jak mur czarny, przyparty do okien, w których żadnej już prawie szyby nie było. I ci wszyscy także, którzy pozostali byli na synagogalnym dziedzińcu albo rozsypani śród placu bezczynnie przypatrywali się burzliwej scenie, złączyli się w jedną ogromną masę i zalegli znaczną przestrzeń przed domem Ezofowiczów. Drzwi domu tego otworzono znowu i wnet zamknięto. Szamosz wszedł do bawialnej izby.

Wszedł, niespokojne trochę i nieufne spojrzenie rzucił dokoła, a potem nisko pokłonił się Saulowi.

— *Szolem alejchem*! (pokój tobie) — rzekł z cicha, jakby czuł sam, iż zwykłe pozdrowienie to mieściło w sobie tym razem srogą ironię.

Nikt nie odpowiedział.

— Rebe Saulu! — zaczął znowu pewniejszym już nieco głosem. — Nie miej za złe słudze swemu, że przynosi w dom twój nieszczęście i wstyd. Spełniam rozkazy wielkiego rabina naszego i wszystkich dajonów i kahalnych naszych, którzy dziś na wnuka twego, Meira, sąd składali, a wyrok zapadły ogłosić mi kazali jemu i wam wszystkim.

Słowom tym odpowiedziało znowu głębokie milczenie. Po chwili dopiero Saul, który stał wsparty o ramię syna swego, Rafała, rzekł przyciszonym głosem:

— Czytaj!

Szamosz rozwinął papier, który trzymał w ręku, i donośnym głosem czytać, a raczej wyśpiewywać zaczął:

— „Izaak Todros, syn Barucha, rabin szybowski, wraz z dajonami i kahalnymi, trzymającymi sąd i rządy nad gminą izraelską miasta Szybowa, przyjąwszy do wiadomości i mając to stwierdzonym przez mnogich świadków i dowody niepodlegające żadnemu wątpieniu, że silny, zuchwały i nieposłuszny Meir Ezofowicz, syn Beniamina, dopuścił się srogich przestępstw i nigdy niesłychanych w Izraelu zbrodni następujących:

1) iż pomieniony Meir, syn Beniamina, zaniedbywał strzec sabatu wedle praw i ustanowień izraelskiego Zakonu i, zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu Izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów *Talmudu* i niezgłębionych tajemnic *Kabały*, ośmielał się strzec i bronić mieszkania odszczepieńcy karaima, na dzieci izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przeklęte księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać;

2) iż Meir Ezofowicz, syn Beniamina, księgę przeklętą: *More Nebuchim* Mojżesza Majmonidesa, fałszywego mędrca, wyklętego przez mnogich a świętych rabinów i uczo-

nych naszych, nie tylko sam czytał, ale do czytania jej i rozważania zawartych w niej kacerstw i obrzydliwości towarzyszów i przyjaciół swych zachęcał;

3) iż Meir Ezofowicz, syn Beniamina, przed towarzyszami swymi i przyjaciółmi buntownicze mowy przeciw Zakonowi i mędrcom izraelskim z ust swych wypuszczał, przez co dusze młodzieńców izraelskich psuł i trądem niewiary zarażał;

4) iż pod pozorem litości nad nędzą i utrapieniami ludu dawał on jemu rady zbrodnicze i głupie mówiąc, żeby baczyli na to, co kahalni czynią z odbieranymi od nich pieniędzmi, żeby rozróżniali w Zakonie rzeczy boskie od rzeczy ludzkich, żeby rozsypali się po szerokich polach i prowadzili po nich pługi, tak jak to czynią ciemni i niscy chłopi chrześcijańscy;

5) iż mając już na twarzy swej i brodzie wyrosłe od dawna włosy, nie chciał on pojąć sobie żony, sprzeciwiał się w tym woli i rozkazaniu starszych, a przyrzeczoną sobie dziewczynę izraelską, Merę, córkę Elego, zuchwale odrzucił, przez co objawił wszetecznie swe postanowienie unikania prawych związków małżeńskich;

6) iż nieczystą przyjaźń trzymał z Gołdą, karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć pozwalają, albowiem karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości *Talmudu* i *Kabały* uznać nie chcący, niegodni są, aby ich ziemia na powierzchni swej nosiła — Meir Ezofowicz, syn Beniamina, obcował często z nimi, z Gołdą karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jej ręki przyjmować śmiał i głos swój dawał za towarzysza jej głosowi, razem z nią świeckie pieśni w sabat śpiewając;

7) iż nie oddawał on czci przynależnej uczonym izraelskim, otwierał usta swe do zuchwałych sprzeczek z reb Moszem, ulubieńcem i uczniem rabina Izaaka, i na tegoż reb Mosza zbrodniczą rękę podnieść śmiał, tak iż ręką tą popchnięty reb Mosze przewrócił się na podłogę chederu, a na niego przewrócił się stół i powstały z tego wielkie szamotania się i stukania, dla reb Mosza strach i ból, a dla całego Izraela żałość i zgorszenie;

8) iż w niepojętej złości swej oskarżył on przed cudzym człowiekiem rebe Jankla Kamionkera o zły względem tegoż cudzego człowieka zamiar, przez co zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu i głowę brata swego srogiemu niebezpieczeństwu poddał, które ażeby odepchnąć od siebie, musi teraz reb Jankiel wiele nieprzyjemności doświadczyć, trudów dokonać i pieniędzy utracić;

9) iż nie znając granic dla zuchwałości i bezbożności swej wydobył on pismo przodka swego, Michała Seniora, z ukrycia, w którym oby było zgniło i rozsypało się w proch! — a nabrawszy do serca swego zbrodniczej śmiałości przyszedł do bet-midraszu, aby pismo to w obliczu ludu całego czytać, a przez to trząść srodze wiarą jego w stare prawa i obyczaje izraelskie; a że, jak nam o tym mówią świadkowie, których przyzwaliśmy, pismo to napełnionym jest najzłośliwszymi radami i najsroższymi bluźnierstwami, jakie ucho Izraela słyszało kiedykolwiek, czytanie to, przez Meira, syna Ezofowicza, dokonane, uważamy za największą zbrodnię spomiędzy wszystkich wielkich zbrodni, których się on dopuścił, i na podstawie praw w świętych księgach naszych zawartych i władzy, która nam, wedle tychże praw, nad wszelkim synem domu Izraelowego udzieloną jest, stanowimy:

Jako jutro w wieczór rzuconym będzie na silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Beniamina, ustami rabina Izaaka, syna Barucha, herem, wielka i przeraźliwa klątwa, dla wysłuchania której zwołanym będzie przez szamoszów naród cały z miasta Szybowa i okolic, a która gdy na głowę jego spadnie, odtrąconym on zostanie od łona Izraelowego i z domu Izraela sromotnie wypchniętym. Wy zaś wszyscy, którzy trzymacie się waszego Boga i Zakonu Jego, żyjcie w pokoju i szczęśliwości wraz ze wszystkimi braćmi Izraelitami!".

Skończył czytać szamosz, papier, z którego czytał, za pierś włożył, schylił się niskim ukłonem i szybko izbę opuścił.

Nastąpiło parę minut grobowego milczenia, nieprzerwanego najlżejszym choćby szmerem ludu, który za oknami czarnym murem stojąc, grobowo też milczał.

Nagle Meir, który stał dotąd nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w miejsce, na którym przed chwilą szamosz odczytywał wyrok, podniósł w górę obie ręce, objął nimi swą głowę i krzyknął:

— Odtrącony od łona Izraelowego! Z domu Izraela sromotnie wypchnięty!

Głos jego skonał w łkaniu ogromnym, które pierś mu rozdarło. Gwałtownym ruchem odwrócił się od obecnych, twarz ukrył w dłoniach, czoło oparł o ścianę i płakał głośnym, namiętnym, rozdzierającym płaczem. Dość było usłyszeć jedno tylko z łkań jego, aby poznać, że ugodzonym został on w samo serce, że rozwód ten, który uczynić z nim miał lud jego, targał i rwał w nim najmocniejsze, najgłębsze struny uczucia.

Wtedy zbliżyli się doń stryjowie jego, żony ich i córki i różnymi głosy: gniewu i litości, groźby i prośby, wołać nań zaczęli, aby upamiętał się on, upokorzył, pismo Seniora na publiczne spalenie oddał, a może przebłaganym zostanie gniew starszyzny i wyrok wydany przez nią odwołanym. Cisnęli się ku niemu mężczyźni, kobiety obejmowały go ramionami i do łajań i wyrzekań mieszały się łzy i pocałunki.

On nie przestawał płakać, nie odwracał twarzy i nie odrywał czoła od ściany, a na rozlegające się dokoła niego krzyki i prośby odpowiadał tylko przeczącym wstrząsaniem głową i krótkim wyrazem:

— Nie! Nie! Nie!

Wyraz ten, pośpiesznie wyrzucany z ust dławionych łkaniem, wymowniejszym był nad wszelkie długie mowy, bo przechodził wszystkie możliwe intonacje ludzkiego głosu: rozpaczy, żałości, woli, gniewu, błagania i miłości.

— Tate! — zawołał Rafał, zwracając się do Saula, który odosobniony i nieruchomy siedział na stołku. — Tate! Dlaczego ty nie powiesz jemu, dlaczego ty nie rozkażesz jemu, aby upokorzył się on i upamiętał, nieszczęsne to pisanie w ręce nasze oddał, a my je rabinowi zaniesiemy i o zlitowanie nad nim prosić będziem!...

Kiedy Rafał to mówił, Meir odkrył twarz i zwrócił ją ku dziadowi.

Saul podniósł też głowę, wyciągnął ręce, jakby szukał przed sobą punktu oparcia się jakiegoś, i powstał ze stołka. Szklisty dotąd wzrok jego stał się dziwnie ruchliwym i niespokojnym, aż spotkał się z utkwionym w twarz jego spojrzeniem wnuka. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Mów, tate, mów! Rozkazuj mu! — wołało głosów kilka.

Starzec zachwiał się na nogach. Okropna walka jakaś, srogie wahanie się ducha pociąganego w dwa przeciwne kierunki odbiły się na drgającej jego twarzy. Kilka razy próbował przemówić... nie mógł... aż na koniec ciężkim szeptem zawołał:

— On jeszcze nie wyklęty... mnie jeszcze wolno... W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba błogosławię cię, synu syna mego!...

I drżący cały, z brwiami zjeżonymi a oczami pełnymi łez, osunął się na stołek.

Obecni zamienili się spojrzeniami pełnymi zdumienia i wzruszenia; Meir poskoczył, upadł na ziemię przed dziadem swym, stopy i kolana jego całował i śpiesznie, gorąco, cicho szeptał mu coś o miłości swej dla niego, o pisaniu Seniora, o tym, że pójdzie on sobie stąd i że wróci kiedyś... Podniósł się potem z klęczek i wybiegł z izby.

W tej chwili przed oknami domostwa nie było już nikogo. Czarna masa ludu odpłynęła na środek placu i stała tam nieruchoma prawie i z cicha tylko, bardzo z cicha szemrząca. Dziwna rzecz! Zaledwie szamosz odczytał słowa srogiego wyroku, gdy fala gniewu niemal wściekłego, wzdymająca dotąd pierś tłumu, opadła nagle. Coś się w nim stało. Natura jego, wrażliwa i gotowa zawsze, na kształt harfy mnogostrunnej, odpowiedzieć dźwiękiem na dotknienie[157] każde, drgnęła pod spadłym na nią nowym jakimś uczuciem. Byłoż to uszanowanie dla nieszczęścia i wstydu, które nawiedziły rodzinę starożytną, możną a dobroczynną? Byłaż to spokojność następująca po nasyceniu się pomstą, groza czy litość, czy wszystko to razem?

Tłum, który przed chwilą kipiał cały, przeklinał, groził i gotów był burzyć wszystko, co gniewowi jego na drodze stawało, umilkł nagle, usunął się i posmutniał. Tu i ówdzie tylko dawały się jeszcze słyszeć śmiechy mściwej radości albo słowa obelgi i potępienia, lecz w grupach rozsianych po placu i wpływających w boczne uliczki płynęły ciche, oderwane szepty:

— Jednak... dobry on był i miłosierny...

— On dumny nie był...

— On głupie dziecko moje karmił i całował...

[157]*dotknienie* — dziś: dotknięcie.

— On starego ojca mego spod woza, który na niego przewrócił się, rękami swymi wydobył...

— On nam jak prosty robotnik drzewo piłować pomagał...

— Twarz jego świeciła pięknością i rozumem...

— I cieszyły się wszystkie oczy, które na młodość jego patrzały...

— Herem! herem! herem! — powtarzało ust mnóstwo. Przy tym głowy kołysały się w podziwie, twarze bladły od grozy, a z piersi wychodziły westchnienia...

*

Na pustych gruntach rozdzielających miasteczko z karaimskim wzgórzem, po srebrnym tle księżycowego światła sunęły się szybko cienie trzech ludzkich postaci. Pierwszy z nich należał do wysokiego, kształtnego młodzieńca, drugi — do dziecka trzymającego ręce w rękawach odzieży; dwa cienie te znajdowały się tak blisko siebie, że łączyły się z sobą niekiedy, ale cień trzeci, rysujący kształty człowieka niskiego i krępego, sunął się z dala od dwóch pierwszych, przystawał, garbił się, a chwilami znikał całkiem za płotem jakimś, krzakiem lub drzewem. Przystawanie to i ukrywania się objawiało ostrożność człowieka, który spostrzeżonym zostać nie chciał. Podpatrywanie to było jakieś, podsłuchiwanie, czyhanie na coś lub na kogoś...

U otwartego okna karaimskiej chaty rozległo się ciche wołanie:

— Gołda! Gołda!

Z okna wychyliła się twarz ubielona księżycem i opłynięta strugą czarnych włosów. W cichym powietrzu popłynął szept namiętny:

— Meir! Meir! Ja wielką wrzawę i okropne krzyki słyszałam! Serce moje drżało od strachu. Ale to nic! Ty przyszedłeś!

Dwoje ramion okrytych rękawami grubej koszuli wyciągało się ku nadchodzącemu gestem trwogi i radości; korale dzwoniły na piersi, w której łkanie mieszało się ze śmiechem.

Nagle z ust dziewczyny wyrwał się krzyk przeciągły. Meir stanął teraz tuż przed nią. Zobaczyła odzież jego podartą i krwawą kresę przerzynającą mu czoło.

— Och! — jęknęła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku swemu czołu, a potem opuściła je i schylona ku człowiekowi, który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymanym oddechem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś wodzić poczęła dłońmi po opylonych włosach jego i zranionym czole. W namiętnej pieszczocie tej było także coś z uczucia macierzyńskiego, pragnącego uspakajać, goić i pocieszać.

On siedział chwilę w postawie człowieka, który spoczywa po śmiertelnym znużeniu. Oparł głowę o ramę okna, wpółotwartymi usty z trudnością wciągał w pierś powietrze chłodnej nocy, a światło księżyca odbijało się w suchych źrenicach jego, które z wyrazem posępnych pytań jakichś tkwiły w osrebrzonych obłokach.

Po chwili wyprostował się i śpiesznie, półgłosem mówić zaczął:

— Gołda! Ludzie szukać mię może będą, a jak znajdą, to skarb mój ode mnie odbiorą. Ja skarb ten mój tobie, Gołdo, dam do schowania, a sam na całą noc pójdę w pola i lasy, aby tam głośno do Jehowy krzyczeć o zlitowanie.

Dziewczyna, która stała teraz wyprostowana już, poważna i uważna, odpowiedziała:

— Daj!

W ręku Meira zaszeleściły arkusze papieru. Podawał je dziewczynie mówiąc:

— Schowaj ty to na pierś swoją i strzeż skarbu mego jak źrenicy swojej. To przedśmiertne pisanie przodka mego, które zdjęło do reszty ślepotę z oczu moich. To paszport mój, z którym ja pójdę w świat i który przede mną drzwi i serca mądrych ludzi otworzy. Tu cicho i bezpiecznie... nikt nie widzi i nie domyśli się... jak ja w świat iść będę, wtedy pisanie to od ciebie wezmę...

Gołda wzięła podawany jej przedmiot.

— Bądź ty spokojny o skarb swój! — rzekła. — Prędzej ja rozstanę się z życiem, niż go w ręce inne jak w twoje oddam. U mnie on bezpieczny... tu cicho i nikt nie domyśli się...

Meir wstał z ławy.

— Śpij spokojnie! — rzekł. — Ja pójdę... We mnie szumi taka burza płaczu... że ja muszę iść... iść... iść... Pójdę ja... pomiędzy drzewami leśnymi twarzą na ziemię padnę i z wiatrami, które tam szumią, posyłać będę Jehowie głośne krzyki moje... Ja muszę przed Nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę o wiele rzeczy jego zapytywać się... Pełną jest pierś moja krzyków mojej duszy... ja muszę je z siebie wydać... bo one za gardło mię chwytają i duszą...

Chciał odejść, ale pochwyciła go Gołda za rękaw odzieży.

— Meir! — zaszeptała. — Powiedz ty mi jeszcze... co tam stało się?... Za co ciebie ludzie bili i kaleczyli? Dlaczego ty w świat musisz iść?

Meir z posępnym błyskiem oczów odpowiedział:

— Bili mię i kaleczyli ludzie za to, że ja przeciw prawdzie mojej iść nie chciałem i na wszystko, na co lud mówi: „Zgoda!", nie mówiłem: „Zgoda!". W świat ja iść muszę dlatego, że jutro rzuconą na mnie będzie wielka i przeraźliwa klątwa i sromotnie wypchniętym ja zostanę z domu Izraelowego!

— Herem! — krzyknęła dziewczyna i splecione ręce swe gestem grozy na głowę swą zarzuciła. Tak stała chwilę, potem jednak zamyślony, lecz łagodny uśmiech rozlał się po jej twarzy.

— Meir! — szepnęła — zejde mój wyklęty jest... i ja wyklęta... ale miłosierdzie Pana większe jak największa góra, a sprawiedliwość Jego głębsza od najgłębszego morza. Tak stoi w Piśmie. Kiedy zejde mój to czyta, przestaje smucić się i mówi: „Przeklęty szczęśliwszym jest od przeklinającego... bo przyjdzie czas, że sprawiedliwość Pańska wejdzie w serca ludzi i błogosławić oni będą imiona przeklętych"...

Meir patrzał długo na dziewczynę mówiącą słowa te z ogniem zapału w zapadłych oczach, z twarzą jaśniejącą blaskiem natchnienia.

— Gołda! — rzekł z cicha. — Ty jesteś połową duszy mojej, idź ze mną w świat... ja cię za żonę pojmę i trzymając się za ręce będziemy razem znosić przekleństwo ludzkie i starać się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo...

Gołda stanęła cała w ogniu i w płomieniach uszczęśliwienia niewysłowionego.

— O! Meir! Meir! — krzyknęła.

Chciała jeszcze coś powiedzieć — nie mogła. W radości bezprzytomnej, z piersią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymawianymi dziękczynieniami, pochyliła się nisko i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisła na jego ramieniu. On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistej gęszczy[158] jej włosów...

Była to chwila... mgnienie oka. Dziewczyna wyprostowała się szybko i oblana szkarłatem, z ustami drżącymi i piersią dyszącą wymówiła z cicha:

— A zejde?

Meir patrzał na nią jak człowiek nagle zbudzony ze snu. Ona szeptała dalej:

— Nogi jego za słabe, ażeby mógł on pójść z nami, i on od grobów ojców swoich odejść nie zechce! A jak ja jego porzucę? Jak on będzie mógł żyć beze mnie? On mię na rękach swych kołysał, prząść i czytać w *Biblii* uczył, on duszę moją oświecał i serce radował tymi pięknymi historiami, które opowiadał mi ciągle... ciągle... Jeżeli odejdę, któż usta jego karmić i poić będzie?... Kto w ciemne zimowe noce położy się u nóg jego, aby ciałem swym zziębłe stopy jego ogrzewać? A kiedy dusza jego rozwód brać będzie z ciałem, kto na rękach swych siwą głowę jego zakołysze do snu wiecznego? Meir! Meir! I ty masz dziada, którego włosy białe są jak śnieg i który po tobie szaty swe w żalu rozedrze. Ale twój zejde ma synów i córki, synowe i zięciów, wnuków i prawnuków, domostwo bogate i wielkie znaczenie u ludzi... Mój zejde na świecie całym ma tylko biedną chatę swoją, starą *Biblię* i wnuczkę swą, Gołdę...

Meir westchnął.

— Ty prawdę mówisz, Gołdo — rzekł — ale cóż ty uczynisz? Co z tobą stanie się, kiedy oczy dziada twego zamkną się do snu wiecznego, a ty zostaniesz tu sama jedna pośród wzgardy ludzkiej i ubóstwa swego?

Gołda usiadła, bo nogi drżały pod nią. Obu dłońmi powiodła po rozpalonej twarzy, a po chwili ze wzniesionymi w górę oczami z wolna odpowiedziała:

[158]*gęszcz* — dziś: gąszcz a. gęstwina.

— Przed drzwiami chaty tej usiądę, prząść wełnę i kozy moje paść będę i patrzeć na drogę tę, którą ty kiedyś powrócisz…

Był to ustęp z historii Akiby i pięknej Racheli.

Meir w rozmarzonej zadumie zapytał jeszcze:

— A jakże ty zrobisz, kiedy ludzie przyjdą, śmiać się z ciebie będą i powiedzą: „Akiba pije u źródła mądrości, a twoje ciało pożera nędza i oczy twoje gasną od łez"?…

Przytłumiony namiętnym wzruszeniem, lecz poważny głos odpowiedział:

— Ja im odpowiem: „Niech ciało moje pożera nędza, a oczy wypływają ze łzami, ja wiary mężowi memu strzec będę… I żeby stanął on teraz przede mną i rzekł: «Wróciłem, bo nie chciałem, żebyś płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem», powiedziałabym mu: «Idź i pij jeszcze!»".

Meir wstał. Nie rozpacz już, ale siła i odwaga malowały się na twarzy i w postawie jego.

— Ja wrócę, Rachelo! — zawołał. — Jehowa ujmie się za mną i podadzą mi rękę pomocy ludzie, którym pokażę serce moje spragnione poznania i pisanie przodka mego, które zaręcza lud izraelski z innymi ludami przymierzem zgody… Ja długo, długo, chciwie pić będę ze źródła mądrości, a potem tu powrócę, biedny lud mój nauczać będę, a na twoją głowę za wszystką nędzę i wzgardę, którą ty dla mnie przeniesiesz, złotą koronę włożę…

Gołda wstrząsnęła głową. Z twarzy jej można było poznać, że czuła się ogarnięta jakby snem cudownym. Śniło się jej, że była piękną Rachelą witającą z długiej podróży męża swego, Akibę. Z marzącym uśmiechem na ustach a ogniem namiętnym w oczach szepnęła:

— Ja wtedy kolana twoje obejmę i oczami, które znowu tak pięknymi staną się, jak przed wielu laty, w światłość twoją spojrzę i powiem: „Mistrzu! Chwała twoja jest moją koroną!".

Patrzali na siebie długo przez łzy. Miłość gorejąca na dnie ich źrenic wyglądała zza tej srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystymi i bohaterskimi były ich serca.

Wtem o uszy ich obił się przyciszony, dźwięczny jednak śmiech dziecięcy. Zdziwieni, spojrzeli oboje w stronę, w której zabrzmiał. Na progu otwartych drzwi chaty siedział Lejbele i trzymał w objęciu małe, białe jak śnieg koźlę. Koźlę to było kupione na targu za pieniądze zebrane przez Gołdę ze sprzedaży koszów. Ujrzało je dziecię w głębi sionki oświetlonej księżycem, wzięło je w ramiona, wyniosło na próg chaty, a teraz tuląc twarz swą do miękkiej jego sierści, śmiało się swawolnie i pieszczotliwie.

— Dziecko to zawsze przychodzi tu za tobą — rzekła Gołda.

— Ono dziś całowało mię, kiedy wszyscy mię bili, i ja nim od rąk silnych skarb mój zasłoniłem — odpowiedział Meir.

Gołda zniknęła z okna i wnet zjawiła się w progu chaty. Pochyliła się nad dzieckiem tak, że rozplecione jej włosy opłynęły mu na głowę i ramiona. Przy tym ustami przylgnęła do czoła jego. Lejbele nie przeląkł się wcale. Czuł się tu znać bezpiecznym. Widział już nieraz tę kobietę, której ogniste oczy wpatrywały się w twarz jego z wyrazem niewysłowionej słodyczy. Podniósł na nią spojrzenie jasne, wdzięczne, pojętne prawie.

— Pozwól mi pobawić się z koźlęciem — szepnął.

— Czy chcesz mleka? — zapytała.

— Chcę — odpowiedział — daj.

Wyniosła z sionki gliniany kubek napełniony mlekiem i sama poiła nim dziecię. Potem usiadła przy nim na progu i zapytała:

— Dlaczego ty porzucasz ojca i matkę, a idziesz za Meirem?

Dziecię zakołysało głową i odpowiedziało:

— On lepszy jak tatele i lepszy jak mamele. On mię karmił i po głowie mię gładził, i z rąk reb Mosza mię wyrwał…

— Czyj ty syn? — zapytała Gołda.

Lejbele milczał chwilę, podnosił w górę oczy i kołysał głową. Widocznym było, że bił się z nieposłuszną, bo zgnębioną swą myślą. Nagle wyciągnął palec w kierunku, w którym odszedł Meir, i głośno zawołał:

— Jego!…

Zaśmiał się przy tym, ale nie był to śmiech idioty. Był to objaw radości, którą uczuła biedna, biedna dusza dziecięcia, gdy z wysileniem wielkim udało się jej ująć w wyraz miłość swą i gorące swe, lubo[159] nieokreślone żądanie.

Ale Gołda spojrzała w stronę, w którą poszedł Meir, i westchnęła ciężko. Wstała potem, owinęła się starą jakąś chustą i wstąpiwszy ku połowie wzgórza usiadła pod karłowato rosnącą tam sośniną. Chciała może z wysokości tej obejmować okiem szerszą przestrzeń i ujrzeć go, jak wracać on będzie z dalekich pól i lasów. Oparła łokcie na kolanach, twarz zakryła dłońmi i siedziała tak nieruchoma jak posąg zadumy i smutku, a tylko po kruczych włosach jej, które ogromnym płaszczem zakryły ją całą i spłynęły aż na wilgotną trawę, księżyc rozsypywał miliony ruchliwych iskier.

W drzwiach chaty Lejbele usnął wkrótce, w śnie jeszcze trzymając przy piersi białe koźlę, które spało także.

*

W tej samej prawie chwili otwierały się z cicha niskie drzwi chaty rabina i wchodził przez nie reb Mosze, przygarbiony, zawstydzony, znękany. Przysiadł na ziemi u komina i lękliwie patrzał na Todrosa, który siedząc u otwartego okna opierał twarz na obu dłoniach, a wzrok wlepiał w księżyc.

— Rabbi! — szepnął nieśmiało.

— Rabbi! — powtórzył głośniej nieco — sługa twój winien jest w oczach twoich... obrzydliwego pisania nie przynosi on tobie, rabbi! Burza była sroga, ale bronili go przyjaciele jego, potem on sam bronił się, a potem obroniło go małe dziecko... Głupi lud szarpał go, bił, łajał i kamienował, ale pisania obrzydliwego z rąk mu nie wydarł. Nassi! Sługa twój pełen wstydu jest i bojaźni, ale ty zlituj się nad nim i nie karz go piorunem wzroku swego...

Todros, nie spuszczając wzroku podniesionego ku księżycowi, wyrzekł:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wydrzeć i w moje ręce je oddać!

— Nassi! Pisanie to nie jest już w rękach jego!...

— A gdzie ono jest? — nie odwracając twarzy, lecz podniesionym głosem zawołał Todros.

— Rabbi! Ja przed obliczem twoim nie śmiałbym stanąć, gdybym nie wiedział, co z nim stało się... Ja szedłem za nim... cała dusza moja weszła w oczy i uszy moje... ja widziałem, jak on pisanie to karaimskiej dziewczynie do schowania dawał, i słyszałem, jak on je skarbem swoim nazywał... On mówił, że to paszport jest, z którym on w świat pójdzie i który przed nim serca ludzkie otwierać będzie...

Todros drgnął.

— To jest prawda! To jest prawda! — zaszeptał gwałtownie. — Pisanie to będzie mu tarczą i orężem, o które stępią się narzędzia pomsty naszej... Mosze!... — dodał podniesionym głosem. — Obrzydliwość tę trzeba z rąk karaimskiej dziewczyny wydrzeć...

Mełamed przypełzł do samych kolan mistrza i podnosząc ku niemu twarz wyrzekł z cicha:

— Rabbi! Dziewczyna ta powiedziała, że prędzej pozwoli sobie wydrzeć życie swoje niż to pisanie...

Todros milczał chwilę, potem wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jej wydrzeć...

Mełamed długo milczał i myślał.

— Rabbi! — ozwał się potem cichym bardzo szeptem. — A jeżeli jej co bardzo złego stanie się?

Todros nie odpowiadał chwilę, potem rzekł:

— Błogosławiona ręka, która z domu Izraelowego wymiata śmiecie...

Mełamed chciwie pochwycił krótkie te wyrazy i długo wyrozumiewał tajemny sens ich. Uśmiechnął się.

— Rabbi! — rzekł. — Już ja rozumiem wolę twoją... spuść się na sługę swego... on znajdzie ludzi, których ręce uzbrojone będą w siłę, a serca w nieubłagalność... Rabbi! —

[159] *lubo* (daw.) — choć, chociaż.

dodał błagalnie. — Spuść ty na głowę moją łagodny promień twego oka… niech ja widzę, że gniew na sługę twego dalekim jest od ciebie… Dusza moja bez łaski i miłości twojej jest jako studnia bez wody albo ciemnica, nad którą nie świeci słońce…

Todros odpowiedział:

— Łagodny promień nie powstanie w oczach moich ani gniew i smutek z serca mego wyjdą, dopóki obrzydliwe pisanie to będzie w ręku przeklętych…

Mosze jęknął.

— Rabbi! Pisanie to jutro w nocy będzie w rękach twoich!

Księżyc oświecał obie twarze ludzi tych, z których jeden patrzał w niebo, a drugi w oblicze mistrza swego. Mistrz gorejącym wzrokiem szukał po niebie smug świetlistych, które oznaczają drogi aniołów wiodących gwiazdy w wiecznej ich po przestrzeniach podróży, uczeń odbicia nadprzyrodzonych świateł tych szukał w źrenicach mistrza.

W obu głowach ich szumiało imię anioła śmierci, którego na pomoc sobie wzywali, a piersi obu pełnymi były jednak miłości i uwielbienia bez granic.

IV

Wzruszenie nadzwyczajne panowało wśród ludności miasteczka. Ze wszystkich stron gromadami lub sznurem ciągnęli ludzie ku wielkiej, brunatnej świątyni, pod trzypiętrowym, omszonym dachem której w oknach, podobnych do starożytnych strzelnic, błyskać poczynały długie i wąskie smugi światła. Na niebo występowały też gwiazdy, ale bladły przed świetnym blaskiem wschodzącego w pełni księżyca.

Wnętrze świątyni było salą ogromną, pomieścić w sobie mogącą kilkutysięczną ludność, a wysokością swą dorównywającą budowie o dwóch wielkich piętrach. Ściany jej, zakreślające prawidłowy czworogran, gładkie zupełnie i białe jak śnieg, przerzynała tylko u góry ciężka galeria, o głębokich, sklepionych niszach, tworzących rodzaj lóż, osłonionych przeźroczystą, lecz wysoką barierą. W dole ławy drewniane stały gęsto jedna za drugą, od drzwi wchodowych aż ku miejscu wyniesionemu nad poziom o kilka stopni i otoczonemu też drewnianą, ozdobną barierą. Na wyniesieniu tym był stół przeznaczony do rozwijania olbrzymiego arkusza *Tory* (*Pięcioksięgu*) w dniach, w których ustępy z niej obrządek nakazywał czytać ludowi; ono służyło za kazalnicę, z której w dnie uroczyste rozlegały się religijne mowy i nauki; na nim stawały też chóry złożone z dorastających dzieci i dorosłych młodzieńców, a łączące głosy swe z głosem kantora intonującego modlitwy. Wyniesienie to kilkunastu krokami tylko rozdzielonym było z głównym punktem świątyni, z punktem, który uderzał powagą kształtów i świetnością barw, a był ołtarzem — jeżeli nazwę tę użyć można dla miejsca wszelkiego, w którym przechowują się świętości nad świętościami i które ściąga ku sobie najnabożniejsze spojrzenia i westchnienia wiernych. Szczyt ołtarza tego sięgał sufitu, a złożony był z dwu ogromnych tablic, których tło z najczystszego lazuru zakreślonym było zgłoskami białymi, krętymi, podobnymi z dala do sznurów arabesek wschodnich o bogatym i fantastycznym rysunku, a w których oko umiejętne wyczytywało dziesięć przykazań synajskich. Lazurowe tablice, okryte białym, krętym pismem, dźwigane były przez dwa lwy z pozłacanego brązu, które w ogromnych rozmiarach i wspaniałych postawach siedziały na dwu grubych, ciężkich słupach jaśniejących najjaskrawszym szafirem, owiniętych śnieżnymi i misternie rzeźbionymi wieńcami z liści i gron winnych, a wspierających się mocno o kamienną podstawę, której szeroka powierzchnia zakreśloną była aż do samej już ziemi mnogimi ustępami Pisma. Słupy owe na kształt potężnych i silnych strażników stały z dwu stron głębokiej niszy osłoniętej od góry do dołu oponą ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotymi haftowaniami z bogactwem olśniewającym oko. Za oponą tą, spuszczoną zazwyczaj, a podnoszącą się w odpowiednich tylko okolicznościach, chroniła się świętość nad świętościami, *Tora* — olbrzymi zwój pergaminu owinięty cenną materią, a związany wstęgą, ciężką i sztywną od haftów srebrnych i złotych.

Z szarego i mizernego pozoru miasteczka wnosząc, nikt nie mógłby domyślać się wspaniałości obrazu, jaki przedstawiało wnętrze starożytnej, przez wieki pobożnie przyozdabianej świątyni tej, w chwili gdy o dość późnej wieczornej godzinie zapłonęła ona cała oświetleniem rzęsistym i po brzegi napełniła się ludem.

Siedem świeczników stupłomiennych, spuszczając się od sufitu na szczerosrebrnych sznurach, rzucało powódź światła w sklepiste głębie galerii, zza przezroczystych krat której wyglądała prawdziwa mozaika twarzy i szat niewieścich, i na gęste rzędy ustawionych poniżej ław, które obsiadywali mężowie dojrzali, brodaci, okryci cali miękką, wełnistą draperią białych płaszczów (tałesów), skraje których w wieczny jakby i rozrzewniający znak żałoby po utraconej niegdyś ojczyźnie otoczone były czarnymi szlakami; tu i ówdzie zaś u szyi bogaczów i dostojników gminy połyskiwały szerokie taśmy srebrne o wydatnych liściastych deseniach. Lecz największy ze świeczników pałał i bogatymi wisiorami od chwili do chwili srebrzyście dzwonił przed niszą zamkniętą pomiędzy dwoma potężnymi słupami. Tam iskrzyły się złote hafty i frędzle szkarłatnej opony, spod stóp wspaniałych lwów sypać się zdawały delikatne liście i ciężkie grona winne, tam, u samej góry, wydatnie od lazurowego tła odstawały białe szlaki krętych zgłosek, a w dole, przed cisową podstawą pełną napisów ciągnących się nierównymi liniami, stał kantor i z głową okrytą białym kapturem tałesa[160] śpiewał te stare psalmy, których bezbrzeżna, zda się, melodia płynie pełną gamą ludzkich zachwytów, uwielbień, pragnień, błagań i mąk.

Nigdy jednak prześliczny głos Eliezera nie wyrażał wszystkich uczuć tych z taką siłą i wyraźnością jak wieczoru tego, nigdy nie miał on takich wybuchów potężnych, takiego uroczystego brzmienia i takich drżeń głębokich, łkających, które, opadając i cichnąc stopniowo, zdawały się tonąć i konać w morzu bezbrzeżnej jakiejś boleści czy prośby. Zdawać się mogło, że wieczoru tego w pierś jego weszła nadludzka prawie siła skargi i błagania, że u ramion wyrastały mu skrzydła, na których usiłował wznieść się aż do samych stóp Pana nad pany, aby tam ciało i duszę swoją złożyć w ofierze za zbawienie czegoś lub kogoś. Olbrzymia sala od brzegu do brzegu i od szczytu do podstaw pełną była brzmień płynących z piersi jego nieprzerwanym strumieniem; chóry stojące na wyniesieniu rzucały w nie od chwili do chwili potężne akordy, a zgromadzenie całe, porwane rozkoszą zachwytu, milczało grobowo z oczami wlepionymi w wyiskrzoną złotem, szkarłatną oponę.

Ten i ów tylko, wskazując głową zachwyconego i zachwycającego piewcę szeptał:

— To jest anioł Sandalfon, który podaje Panu wieńce splecione ze wszystkich modlitw ludzkich.

Ten i ów także smutnie wstrząsał głową i wzdychał:

— On tak modli się za przyjaciela swego, którego głowę wykląć dziś mają!...

Nagle w cudowny śpiew kantora i uroczyste milczenie ludu wmieszał się stuk głuchy, lecz silny i powtarzający się kilka razy. Głos Eliezera zerwał się jak złota struna targnięta grubiańską ręką; oczy ludu przeniosły się z ołtarza ku miejscu, w którym rozlegały się gwałtowne stukania.

Z wyniesienia otoczonego drewnianą barierą zniknął chór młodych śpiewaków, a na miejscu ich stał jeden tylko człowiek, szczupły, przygarbiony, z długą szyją żółtą, podaną naprzód, z ciemną twarzą obrosłą czarnym jak noc włosem i posępnie rozświeconą gorejącymi jak żużle oczami. Trzymał on w obu rękach ogromną księgę i z całej siły uderzał nią o stół, dając przez to rozkaz powszechnego milczenia. Milczenie też zupełne zapanowało w sali całej, a tylko w przedsionku słychać było szmery jakieś i stłumione wykrzyki. Tam gromadka kilkudziesięciu ludzi różnego wieku i stanu otaczała człowieka, który z bladą bardzo twarzą, zaciśniętymi usty i suchym, palącym się okiem stał ramieniem wsparty o odrzwia świątyni. Był to Meir. W uszach jego rozlegały się szepty:

— Jeszcze pora! Jeszcze czas! Zlituj się nad sobą i nad familią swoją; upokorz się! Biegnij prędko, prędko, i padnij do nóg rabina! O, herem! Herem! Herem!

On zdawał się nie słyszeć. Silnie zwarł na piersi ramiona. Ściągnięte brwi nadawały czołu jego przerżniętemu czerwoną kresą wyraz ponurej boleści i niezłomnej woli.

— W imię Boga ojców naszych! — zabrzmiał basowy a silny głos Izaaka Todrosa.

Po zgromadzeniu całym przebiegł szmer przytłumiony, dreszcz niby przebiegający całe zbiorowe ciało to — i wnet skonał w ciszy głębokiej.

Izaak Todros z wolna, wyraźnie, oddzielając wyraz od wyrazu, mówić zaczął:

— Siłą i potęgą świata, w imię świętego Zakonu naszego i sześciuset trzynastu praw w Zakonie tym zawartych, heremem, którym Jozue Nawin przeklął miasto Jerychon,

[160]*tałesa* — dziś popr. forma: tałesu.

przekleństwem, którym Elizeusz przeklął prześladujące go chłopięta, szamtą, która używaną była przez wielkie sanhedryny i sobory nasze, wszystkimi heremami, przekleństwami, wypędzeniami i unicestwieniami, które używanymi były od czasów Mojżesza aż po dzisiejszy dzień — w imię Boga Przedwiecznego, Pana świata i Twórcy wspaniałości jego, w imię Matatrona, który jest aniołem stróżem i obrońcą Izraela, w imię anioła Sandalfona, który z modlitw ludzkich splata wieńce dla tronu Pańskiego — w imię archanioła Michała, potężnego wodza niebieskich wojsk — w imię aniołów ognia, wichru i błyskawic, siłą imion wszystkich aniołów prowadzących gwiazdy i jeżdżących na niebieskich rydwanach i wszystkich archaniołów rozwijających skrzydła swe nad tronem Wszechpotężnego — imieniem tym, które ukazało się Mojżeszowi w krzaku ognistym, i tym, którym Mojżesz rozdzielił wody na dwie połowy — imieniem ręki, która nakreśliła tablice świętego prawa... niszczymy, wypędzamy, hańbimy, unicestwiamy i przeklinamy silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Beniaminowego...

Zatrzymał się na chwilę i gwałtownym ruchem podniósł ręce nad głową. Potem śród ciszy takiej, że słyszalnym byłby śród niej szelest przelatującej muchy, coraz spieszniej i coraz bardziej śpiewnym i zanoszącym się głosem mówić, a raczej wołać zaczął:

— Przeklętym niech będzie on przez Boga Izraelowego! Przeklętym niech będzie on przez silnego i strasznego Boga, którego imię z trwogą wygłaszają ludzie w dniu sądnym! Przeklętym niech będzie on przez niebo i ziemię! Przeklętym niech będzie on przez Matatrona, Sandalfona, Michała, archaniołów, aniołów i wszystkich mieszkańców nieba! Przeklętym niech będzie on przez wszystkich czystych i świętych służących Bogu! Przeklętym niech będzie on przez każdą siłę wyższą na ziemi i niebie! Boże Stwórco, wytęp i zniszcz go na wieki! Boże Podnosicielu, upokorz go! Gniew Twój, Boże, niech rozpiorunuje się nad głową jego! Szatani niech idą na jego spotkanie! Złorzeczenia i jęki niech otaczają go wszędzie, gdzie się tylko obróci! Własnym mieczem niech on pierś swą przeszyje i niech skruszą się wszystkie strzały jego, a anioły Boże niech gnają go wciąż z miejsca na miejsce, aby nigdzie na spoczynek nie stanęła stopa jego! Drogi jego niech będą niebezpieczne i okryte grubą ciemnością, a śród nich towarzyszką niech mu będzie rozpacz nadzwyczajna! Niech smutki i nieszczęścia trapią go ciągle, a on niech własnymi oczami patrzy na uderzające weń ciosy i nasyca się ogniem Bożego gniewu! Niech nie przebaczy mu Pan! Przeciwnie! Gniew i pomsta Boża niech spłyną na człowieka tego, wpiją się weń i przenikną go aż do szpiku kości! Przekleństwem tym jako szatą niech owinie się on cały, ażeby zniknął sprzed oblicza światłości, a imię jego aby startym zostało z podniebieskiej przestrzeni.

Tu Todros umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza w pierś zmęczoną krzykami, które stawały się coraz bardziej urywane, głuche i ciężkie. Twarz miał w ogniu całą, a ręce jego gwałtownymi ruchy miotały się nad głową.

— Od tego momentu — krzyknął znowu — w którym przekleństwo to na głowę jego spadło, niech nie waży się on przystąpić do żadnej izraelskiej świątyni na całym świecie bliżej jak o cztery łokcie odległości! Pod karą klątwy i odrzucenia od łona Izraelowego, niech Izraelita żaden nie przybliża się do niego bliżej jak o cztery łokcie odległości i niech nie waży się otworzyć przed nim drzwi domu swego ani chleba, wody i ognia mu podać, chociażby widział go zesłabłego, upadającego i zgiętego w łęk od tułactwa, głodu, choroby i nędzy! Przeciwnie! Niechaj każdy, kto spotka go, pluje na twarz jego śliną ust swoich i przed stopy jego rzuca kamienie, aby potykał się on i upadał. Majątku żadnego niechaj on nie używa. Wszystko, co prawem dziedzictwa spada na niego z ojca jego i matki jego, i wszystko, co on własnymi rękami dla siebie zebrał, niech oddanym zostanie pod rozporządzenie kahału, aby z mienia nieprawego uczynił on pociechę i podporę prawych! O pomście tej i klątwie, która nań spadła, niech dowie się Izrael cały. Wy wszyscy, którzyście ją własnymi uszami słyszeli, głoście słowa i przykazania jej na każdym miejscu, na które zaniosą was stopy wasze, a my wiadomość o niej roześlemy do wszystkich miast i gmin, w których mieszkają bracia nasi, od końca do końca świata. Tak niech się stanie! A wy wszyscy, którzy wierni zostaliście Panu waszemu i Zakonowi Jego, żyjcie szczęśliwi! Żyjcie!

Skończył, a w tejże chwili działaniem mechaniki umiejętnie stosowanej przyćmiły się rzęsiste światła gorejące w siedmiu olbrzymich świecznikach i w czterech rogach sali rozgłośnie dźwięknęły i zawyły trąby. Z urywanym tym lub przeciągłym i ponurym wyciem

mosiężnych instrumentów złączył się olbrzymi chór ludzkich szlochów, jęków i krzyków. Najgłośniejszy krzyk dał się słyszeć w przedsionku, a był tym przeraźliwszy, że wychodził z piersi męskiej i silnej. Ruch się też tam zrobił wielki; słychać było szamotanie się jakieś, wypędzanie jakby, to przywoływanie. Meir zniknął z progu świątyni. Bliżej ołtarza, pomiędzy ławkami, kilku dojrzałych ludzi z chrzęstem rozdzieranych sukien upadło twarzami na ziemię.

— W prochu leżą możni Ezofowiczowie! — wskazując na nich wołano skądinąd.

W górze galeria rozlegała się cała szlochaniem i płaczliwym zawodzeniem niewiast, a w głębi sali gromada ludzi licho ubranych, bez srebrnych u tałesów tasiem, wznosiła w górę twarde, czarne, spracowane ręce i załamywała je nad głowami.

Todros podartym rękawem odzieży ocierał opływający mu czoło pot kroplisty, potem obu rękami wsparł się o drewnianą barierę i pochylony naprzód, z piersią dyszącą i drgającymi wargami patrzał na kantora. Nie zstępował on z wyniesienia i na kantora patrzał dlatego, iż wedle obrządku po wyrazach strasznej klątwy rzuconych na jednego człowieka nastąpić powinny były słowa błogosławieństwa zlewanego na lud cały. Słowa te, błogosławiące lud, wygłosić powinien był kantor. Todros oczekiwał na to dokończenie spełniającego się aktu. Dlaczego kantor milczał tak długo i powinności swej nie spełnił? Dlaczego nie podchwycił ostatnich słów jego: „Żyjcie szczęśliwi! Żyjcie!" i nie wysnuł z nich natychmiast modlitwy błogosławiącej?

Eliezer stał twarzą zwrócony ku ołtarzowi. Kiedy rabin wykrzykiwał słowa klątwy, widać było, jak ramiona jego drżały pod okrywającym je tałesem. Potem jednak drżeć przestał, znieruchomiał i z podniesioną głową patrzał kędyś wysoko. Na koniec wyciągnął w górę obie ręce. Znak to był, że wzywa lud do milczenia i modlitwy. Trąby, które dotąd dzwoniły wciąż i wyły, umilkły; ustały też krzyki i jęczenia ludzkie. Przyćmione światła zagorzały znowu, a wśród pełnego blasku ich i ciszy, przerywanej tylko tu i ówdzie odzywającym się szlochaniem, głos dźwięczny jak srebro i czysty jak kryształ z wolna, z powagą jakąś wielką, z wewnętrznymi łzami, które nadawały mu niezmierną moc błagania, mówić zaczął:

— Ten, który błogosławił praojców naszych: Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza, Aarona, Dawida, proroków Izraela i wszystkich sprawiedliwych świata... On niechaj spuści łaskę i błogosławieństwo swe na człowieka tego, którego niesprawiedliwy herem ten naruszył! Bóg przez miłosierdzie swe niech uratuje i osłoni go od wszelkiego złego i nieszczęścia, niech przedłuży czasy i lata jego, niech pobłogosławi wszelkiemu dziełu jego rąk i niech go od utrapień ciemności i kajdan oswobodzi razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami! Niech taką będzie wola Jego!... Wołajcie: Amen!

Umilkł; w sali panowała przez kilka sekund cisza osłupienia, a potem rozległ się wielki, z kilkuset piersi wydobyty okrzyk: Amen!

— Amen! — zawołali Ezofowiczowie, powstając z ziemi, na którą runęli byli przed chwilą, i z rozdartych sukien swych pył otrząsając.

— Amen! — krzyknęła gromada ludzi nędznie odzianych i spracowane dłonie załamujących nad głowami.

— Amen! — rozległo się na galerii pełnej płaczących niewiast.

— Amen! — powtórzył na koniec w bliskości ołtarza chór głosów młodzieńczych.

Rabin oderwał ręce swe od poręczy bariery, wyprostował się, zdumionymi oczami powiódł dokoła i krzyknął:

— Co to jest? Co to znaczy?

Wtedy Eliezer zwrócił się twarzą ku niemu i zgromadzeniu całemu. Kaptur tałesu opadł mu z głowy na ramiona. Białą twarz jego okrywały rumieńce zapału, a błękitne oczy świeciły gniewem i odwagą. Podniósł rękę i zawołał donośnie:

— Rabbi! Znaczy to, że uszy i serca nasze przekleństw takich słyszeć więcej nie chcą!

Słowa te były jakby hasłem bojowym. Zaledwie wymówił je Eliezer, gdy po obu stronach jego stanęło tłumnym szeregiem kilkudziesięciu ludzi młodych i zaledwie dorastających. Byli wśród nich wszyscy najbliżsi towarzysze i przyjaciele wyklętego, ale i tacy także, którzy dawniej z rzadka tylko i z dala go widywali, i tacy nawet, którzy przed kilku dniami jeszcze uporowi jego i zuchwałości dziwili się, wcale ich nie rozumiejąc.

— Rabbi! — rozległy się wołania. — My przekleństw takich więcej słuchać nie chcemy!

— Rabbi! Klątwa twoja zrodziła w duszach naszych miłość dla wyklętego!

— Rabbi! Heremem tym obciążyłeś ty człowieka, który miłym był oczom ludzi i Boga!

Todros gwałtownym wysiłkiem wyrwał się ze stanu skamieniałości, w jaki rzuciło go zrazu zdumienie.

— Czego wy chcecie? — krzyknął. — Co wy gadacie? Czy szatan opętał duchy wasze? Azaliż nie wiecie, że prawa nasze nakazują pomstę i klątwę na zuchwałych, którzy buntują się przeciw Zakonowi?

Nie spośród młodzieńców już, ale ze środka sali wyszedł głos poważny, który wymówił:

— Rabbi! Azaliż nie wiesz, że kiedy w starożytnym sanhedrynie naszym wiódł się spór srogi o to, czy Izrael przyjąć ma za swoją naukę Szammaja lub naukę Hillela, ozwał się nad zgromadzonymi Bat-Kohl, głos tajemniczy, głos przez samego Boga posłany, który powiedział: „Słuchajcie praw Hillela, albowiem łagodność w nich jest i miłosierdzie!".

Podnoszono głowy i wspinano się na palce nóg, aby ujrzeć, kto słowa te wymówił. Wymówił je Rafał, stryj wyklętego. W tejże chwili przez tłum przecisnął się Ber i stając wśród młodzieży zawołał:

— Rabbi! Czy ty liczyłeś kiedy rozumy wszystkie, które zgniotła srogość twoja i ojców twoich, Todrosów... i wszystkie dusze te, które napełnione były wielkimi pragnieniami, a które wy twardą ręką waszą strąciliście na zawsze w ciemności i potajemne cierpienia?

— Rabbi! — zawołał głos jakiś młodzieńczy, dziecięcy jeszcze prawie. — Czy ty i wszyscy, którzy z tobą stoją, będziecie zawsze odpychać nas od tych cudzych płomieni, bez światłości których schną ze smutku serca nasze, a podłym prochem czernią się nasze ręce...

— Dlaczego ty, rabbi, nie nauczysz ludu, aby z rozumu swego czynił sito takie, które by oddzielać mogło ziarno od plewy i perły od piasku?

— Rabbi! Ty i wszyscy, co z tobą stoją, zjadacie i nam jeść każecie jabłko granatu razem z twardą i gorzką łupiną. Ale przyszedł już taki czas, że uczuliśmy gorycz na podniebieniu naszym, a we wnętrznościach naszych powstał srogi ból...

— Nieszczęśni! Głupi! Opętani! Potępieni! — z całej piersi swej krzyczeć zaczął Todros. — Alboż nie widzieliście oczami własnymi, że lud cały nienawidził człowieka tego, gonił go po drogach jego, kładł mu na plecy silne swe ręce, kamienował go i krwawą kresą naznaczył mu czoło!

Śmiechy dumne, oburzone, wzgardliwe rozległy się tu i ówdzie.

— Nie mów: „Zgoda!" na wszystko, na co lud mówi: „Zgoda!" — zawołało głosów mnóstwo, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Przekleństwo, które wyrzekłeś, rabbi, zmiękczyło serce niejednego i ślepotę zdjęło z óczu wielu! Usta złośliwe rozdmuchały w sercach naszych gniew przeciw niewinnemu, ale dziś z oczów naszych płyną nad nim łzy, bo ty, rabbi, klątwą swoją zadałeś śmierć młodości!...

— Gorszą, rabbi, od śmierci jest klątwa ta, którą ty na niego rzuciłeś, bo on z nią pośród żyjących będzie jako umarły!

— A czyliż nie napisanym jest w ustawach wielkich sanhedrynów naszych: „Sąd, który raz przez lat siedemdziesiąt wyda jeden wyrok śmierci, nazywany będzie sądem morderców!".

— W sanhedrynach nie zasiadali ludzie bezdzietni i twardego serca!

— Kto sieje nienawiść, zbiera żal.

Wołania te i mnóstwo im podobnych wychodziły spośród gromadki stłoczonej u ołtarza. Mieszały się tam głosy, podnosiły się twarze, błyskały oczy rozognione, a rozgorączkowane ramiona rzucały na rabina i zgromadzenie całe wyzywające, zuchwałe gesta[161].

Todros nie odpowiadał już. Znieruchomiał całkiem, skamieniał. Z otwartymi usty i wysoko podniesioną powieką pozór miał człowieka, który przestał rozumieć to, co się wkoło niego dzieje. Ale z tłumu wyskoczył i przed barierą, oko w oko ze zbuntowaną gromadką, stanął mełamed. Trzęsący się cały, rozsrożony, rozpostarł grube ramiona swe, jakby stojącego na wyniesieniu mistrza osłaniać nimi pragnął, i krzyknął:

[161]*gesta* (daw.) — dziś popr. forma M.lm: gesty.

— Biada! Biada! Biada zuchwalcom nie oddającym czci temu, który zajęty jest oddawaniem posług Panu świata!

Eliezer odpowiedział:

— Żadem mur nie wznosi się pomiędzy nami a Panem naszym! Ustanowiliśmy pomiędzy sobą ludzi takich, którzy uczyć się powinni Zakonu i tłumaczyć go nieumiejętnym. Ale nie powiedzieliśmy im: „Oddajemy wam w niewolę dusze nasze", albowiem każdemu synowi Izraela wolno jest szukać Pana w sercu swoim i słowa Jego tłumaczyć wedle rozumu własnego!

Inni zawołali:

— Nie ma pomiędzy Izraelem wyższego i niższego! Jesteśmy wszyscy bracia równi przed Panem, Stwórcą naszym, i nikomu nie jest danym prawo okuwania w kajdany rozumów i woli naszej. Fałszywi mędrcy zgubili nas, bo uczynili oni rozwód pomiędzy Izraelem a ludami innymi, tak że jesteśmy jako więźniowie w ciemnicy, których nikt nie nawiedza...

— Ale przychodzi czas, w którym wstrząśnie Izrael kajdanami swymi i pospadają z wysokości swych duchy pyszne i ślepe, a duchy więzione wyjdą na wolność...

Teraz Izaak Todros powolnym ruchem wzniósł w górę obie ręce i powiódł nimi sobie po twarzy jak człowiek, który usiłuje obudzić się ze snu. Potem oparł się znowu o barierę i z oczami utkwionymi w górze wydobył z piersi ogromne westchnienie:

— En-Sof! — wymówił ciężkim, sennym jakby szeptem.

Była to kabalistyczna nazwa Boga, która zawirowała w tej chwili w mózgu jego przenikanym głuchą jakąś rozpaczą. Ale wnet, na kształt głośnego protestu przeciw naleciałościom przez czas przyniesionym, na kształt tęsknego wracania do najpierwotniejszego źródła izraelskiej wiary, rozległ się kilkudziesięciu usty wydany okrzyk:

— Jehowa!

Mełamed trząsł się cały jak w febrze. Gwałtownym ruchem zwrócił się ku zgromadzeniu i wielkim głosem, śpiesznymi wyrazy nawoływać je począł do obrony znieważonego mistrza, a ukarania zuchwalców. Lecz im dłużej i zawzięciej przemawiał, tym większe i widoczniejsze ogarniało go zdumienie. Nikt nie poruszał się. Bogacze i dostojnicy gminy siedzieli na ławach swych z czołami w dłoniach i spuszczonymi wzrokami, w pochłaniającej zadumie pogrążeni, a lud ubogi stał nieruchomy jak mur i jak grób milczał. Tu i ówdzie widać było ludzi kręto a szybko prześlizgujących się śród tłumu i usiłujących w nim zniknąć. O czym dumali ci, dlaczego milczeli tamci, a umykali i kryli się inni — któż odgadnie? A raczej któż przeliczy wszystkie wewnętrzne drgania i chwiania się tłumu, żywiołu tego, do którego zastosować można, w zmienionej nieco formie, słowa poety: „Falo tak wierna, a jednak — niewierna"!

Zrozumiał na koniec mełamed, że wołania jego próżnymi były. Umilkł, lecz w zdumieniu najwyższym oczy roztwierał, bo dlaczego nie słuchano go? — zrozumieć nie mógł. Ale przez zmąconą myśl Todrosa przemknął promień światłości, a w nim ujrzał on przelotny obraz strasznej dla niego prawdy. Szepnęło mu coś do ucha, że w młodych piersiach tych, które z zuchwałością dlań niepojętą stanęły przeciw niemu, przebudziły się i krzyknęły wszystkie uśpione żądze i opory, których człowiek przez niego wyklęty przedstawicielem był i ofiarą! Więc nie on jeden takim był w Izraelu, ale istniało wielu, wielu podobnych mu, a tylko tamten śmielszym był od tych, do walki pochopniejszym, bardziej porywczym i dumnym! I słyszał on jeszcze głos jakiś szepczący mu do ucha, że nad młodymi głowami tymi, których zuchwalstwo wprawiało go w odrętwienie, przeleciały i otarły się skrzydła anioła wieku — wieku, który — jak mu z dala, z dala bardzo i mglisto wiadomym było — buntem i burzą tchnął i obalał wszystko, cokolwiek stawać usiłowało pomiędzy ludźmi a najwyższą Prawdą! I słyszał on jeszcze szept jakiś mówiący mu do ucha, że lud milczał i nie ujmował się za nim, i nie druzgotał tych, którzy przeciw niemu powstali, bo anioł wieku razem z burzą i walką roznosił nad światem litość i przebaczenie, a klątwy i nienawiść zmiatał skrzydłem swym ognistym i zarazem miękkim...

Wszystko to niewyraźnie, chaotycznie, mglisto, mglisto bardzo słyszał i widział Todros, ale dosyć było tego, aby serce pełne kamiennej wiary i niezmiernej pychy zdrętwiało mu w piersi.

„Bat-Kohl!" — pomyślał.

Szepty własnej myśli, splątanej i przerażonej, wziął za szepcący mu do ucha głos nadprzyrodzony, głos tajemniczy i od samego Boga przysłany, który niegdyś, w uroczystych i krytycznych momentach ich życia, słyszeć się dawał starożytnym kapłanom i prawodawcom Izraela.

— Bat-Kohl! — powtórzył drżącymi wargami i zbladłą twarz powolnym ruchem zwracać począł we wszystkie strony.

Sala synagogi była już na wpół pustą. Lud odpływał, odpływał z wolna, a milczał wciąż tak, jakby ogarnęła go bezdenna i nieprzezwyciężona zaduma, jakby milczeniem swoim dawał znak smutku ogromnego i wahania się ducha, który na żadną stronę przechylić się nie chciał lub nie mógł...

Odeszli ubodzy i bogaci, wierni dotąd wielbiciele rabina i ci, którzy zawsze z dala się odeń trzymali, galeria tętniła od chwili do chwili pod szybkim stąpaniem spóźnionej niewiasty i u ołtarza nie było już nikogo...

*

Jak niegdyś Józef Akiba, w jasną noc miesięczną wracając z długiej podróży, ze drżeniem szedł ku niskiej chacie swej pasterskiej, tak teraz ku rodzinnemu domowi swemu drżący i blady przybliżał się Meir.

Przychodził on do rodzinnego domu swego, ale bez myśli wracania. Wiedział, że trzeba mu iść stąd, iść i po świecie, śród tułaczki, odrzucenia i nędzy, ścigać cel ten, do którego tęsknił od dawna, ale który tak dalekim, tak dalekim był i do osiągnięcia trudnym.

Chciał spojrzeniem pożegnać się ze ścianami domu, który był kolebką jego młodości... przestępować progu ich nie myślał.

Ale wśród rzędu okien ciemnych i cichych zobaczył jedno, w którym połyskiwały migotliwe światełka. Stanął i patrzał chwilę. Za szybami rysowała się wyraźnie ciężka i nieruchoma postać prababki Frejdy śpiącej w głębokim fotelu. Spływała na nią szeroka smuga księżycowego światła i tysiące iskier rozpalała w okrywających ją klejnotach.

Meir wstąpił z wolna na wysoki ganek i położył dłoń na klamce drzwi. Wbrew zwyczajowi wszelkiemu drzwi były otwarte. Przeszedł wąski, długi korytarz i stanął w roztwartych też na oścież drzwiach bawialnej izby.

Dom cały zalegała cisza grobowa. Czy spano tam tak głęboko? Było to niepodobnym. Ale najlżejszy szelest nie powinien był przeszkodzić ostatniemu żegnaniu prawnuka z prababką ani odegnać go od jej kolan.

Meir ukląkł przed tą uśpioną i uśmiechającą się przez sen postacią niewieścią i na kolanach jej złożył swoją głowę. Po raz ostatni spoczywał pod dachem tym.

— Bobe! — rzekł z cicha. — Elte bobe!

Frejda spała cicho jak dziecię. Na pomarszczonym czole jej, niby ulotne sny dziecięcia, igrały srebrne ogniki księżyca.

— Już ja ciebie nie zobaczę nigdy... nigdy...

Przycisnął do ust drobne, suche jej ręce, które tyle razy kołysały go i pieściły, a potem go od wszelkich ciosów osłaniały i skarb ten mu oddały, który był zbawieniem i zgubą, życiem i śmiercią jego. Poruszyła się lekko głowa Frejdy, diamentowe kolce jej zadzwoniły o perły i roznieciły w księżycowym świetle ognisko iskier.

— *Kleiniskind*! — szepnęła, nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Meir utonął w myślach. Z czołem opartym o kolana prababki żegnał duchem wszystkich i wszystko... Powstał na koniec i powoli bardzo opuścił bawialną izbę... W korytarzu ciemnym zupełnie ktoś objął go nagle silnymi ramionami, a zarazem uczuł, że ręka czyjaś wkładała mu za odzież ciężki jakiś przedmiot.

— To ja, Meir! Ja, Ber. Dziad twój szukał w familii swojej człowieka odważnego, który by tobie garść pieniędzy na drogę dał, i znalazł mnie. Wszyscy w domu żałują ciebie... Kobiety płaczą w łóżkach swoich leżąc. Stryjowie gniewają się na rabina i kahalnych... Dziad mało nie umiera z żałości... ale ciebie widzieć nikt już nie chce... U nas tak!... Rozum ciągnie w jedną stronę, a stara wiara w drugą... A przy tym strach! Ale ty, Meir, nie martw się bardzo! Ty szczęśliwy! Ja tobie zazdroszczę! Ty nie zląkłeś się tego, czego ja zląkłem się, i wyjdziesz na światłość! Dziś przyjaciele twoi ujęli się za tobą, a lud milczał i za rabinem nie ujął się! To początek, ale koniec jeszcze daleko! Żebyś ty jutro pokazał się

tutejszym ludziom, oni by znowu złości przeciw tobie do serc swych nabrali! Idź ty! Idź w świat! Młodość masz, wielką śmiałość masz! Życie przed tobą! Kiedyś ty może powrócisz do nas i koniec położysz ciemnocie i grzechom naszym! U nas bo wiele brylantów jest, tylko je trzeba z piasku oczyścić, i wiele u nas ziarna urodzajnego, tylko je trzeba wysiać z plewy! Ty to kiedyś zrobisz, gdy tam, na świecie, uczonym i silnym staniesz się! Teraz idź na wielką wojnę ze wszystkimi przeszkodami, których mnóstwo stanie przed tobą! Walcz ty z nimi! Bądź Bâal-Trêssim, uzbrojonym, jako byli dawni wielcy mężowie nasi, i niech w każdym dniu twoim będą z tobą błogosławieństwa moje i wszystkich ludzi, którzy, tak jak ja, chcieli, a nie mogli, pragnęli, a nie otrzymali, szli, a nie doszli...

Uścisnęli się. Ber zniknął za drzwiami jakimiś, z cicha otwartymi i zamkniętymi. Zresztą nic w domu nie ozwało się i nie poruszyło. Grobowo milczące ściany rodzinnego domu wołać zdawały się ku wyklętemu: „Wychodź, wychodź!".

Wyszedł. Na świecie dniało. Place i uliczki miasteczka spały owinięte szarą mgłą jesiennego prawie poranku. Mgły też opuszczały już się na puste grunta, po których szedł Meir śpiesznym już i pewnym krokiem.

Pilno mu było iść stąd, iść, iść, a chciał pożegnać się z tą, która przyrzekła mu być wierną Rachelą, i odebrać od niej swój skarb.

Drzwi i okno karaimskiej chaty stały otworem.

— Gołdo! — zawołał z cicha — Gołdo!

Nikt i nic nie odpowiedziało.

Powtórzył wołanie. We wnętrzu chaty panowała cisza nieskazitelna. Zbliżył się, spojrzał ku miejscu, na którym zwykle siadywał stary Abel. Nie było tam nikogo.

Wówczas zdjęła go trwoga jakaś, z której przyczyny nie zdawał sobie sprawy.

Spojrzał dokoła, po wzgórzu, po pustych gruntach, daleko i pełnym głosem już zawołał:

— Gołda!

Szelest dość głośny dał się słyszeć w pobliżu. Pochodził on z wielkiego głogowego krzaku, który rósł o kilka kroków od chaty, a spośród zwikłanych gałęzi którego podniósł się teraz, wilgotną mgłą zroszony cały, z mrużącą się jeszcze od snu powieką, mały Lejbele.

Meir żywo przybliżył się ku niemu. Dziecię wydobyło się do reszty z uplotów głogu i wnet za surducik ręką sięgnęło.

— Gdzie Gołda? — zapytał Meir.

Lejbele nie odpowiedział, tylko podał mu wydobyty zza odzieży żółty zwój papierów.

Meir pochylił się ku dziecku.

— Kto ci to dał? — zapytał śpiesznie.

— Ona! — wskazując chatę odparł Lejbele.

— A kiedy ona ci to dała? Dlaczego ona ci to oddała?

Dziecko odpowiedziało:

— Kiedy ludzie szli, ona z chaty wybiegła... obudziła mnie... za surducik mi to wsunęła i powiedziała: „Oddaj to Meirowi, jak on tu przyjdzie".

Meir drżeć zaczął.

— A potem? — pytał. — Potem?

— Potem, morejne, ona mnie w ten krzak schowała, a sama do chaty swojej pobiegła...

— A wielu było ludzi tych?

— Dwóch, morejne... trzech... dziesięciu... nie wiem!

— A co ci ludzie zrobili? Co oni zrobili?

— Ludzie przyszli, morejne, i krzyczeli na nią, żeby ona pisanie jakieś dała... długo krzyczeli... a ona krzyczała, że nie da! nie da! nie da!... a koza w sieni tak biegała... biegała i meczała...

Meir coraz więcej drżał, ale dłoń łagodnie opierał na głowie dziecka i pytał ciągle:

— A potem co było? Co było?

— Morejne! Ona potem prząśnicę swoją do rąk wzięła i przed zejdem swoim stanęła... ja z krzaku widziałem... Ona była taka biała, i prząśnica była biała, a ludzie byli czarni... i pomiędzy nimi koza biała biegała, i coraz gorzej krzyczała...

— A potem... a potem...

Łzy nabiegły do oczu dziecka.

— Potem, morejne, już ja nie patrzałem i w krzak schowałem się, i bardzo trząsłem się od strachu, bo w chacie był taki szum… taki szum i takie jęczenie… Potem ludzi poszli… i ją ponieśli… i dziada jej ponieśli, a koza pobiegła na górę mecząc, i nie wiem, gdzie podziała się…

Meir wyprostował się i spojrzał w niebo zmartwiałym prawie okiem. Wiedział już wszystko.

— Gdzie ich ponieśli? — zapytał jeszcze głuchym głosem.

— Tam!

Wyciągnięte ramię dziecka wskazywało stronę, w której z oddali widać było łączkę zieloną i liliową śród niej sadzawkę… a za sadzawką były błota, moczary, giętkie, ruchome grunta, w których tak łatwo pogrążyć się i utonąć może martwe, sztywne ciało.

Tam, za tą sadzawką, z której na wiosnę wydobywała ona wodną lilię, podając mu ją spośród gęstwiny trzcin… Tam, za tą łączką, śród której po raz pierwszy wyznała mu swą miłość świeżą a płomienną jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie… tam… w głębiach gaju tego, w którego gęszczach[162] chórem wnet zaśpiewają ptaki swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych miłości pełnych… tam… kędyś… ukryta przed wszelkim okiem ludzkim — leżała ona u nóg dziada swego, owinięta cała płaszczem swych czarnych włosów…

Przed chatą rozległ się trzykrotnie głos wołający Jehowę, a potem u otwartych drzwi stał już tylko Lejbele i w podniesionej nieco ręce trzymał nieruchomo zwój papierów.

Meir wbiegł do wnętrza chaty.

Co mu tam opowiedziały źdźbła słomy wyrzucone z nędznego posłania Abla i usypujące podłogę i rozsypane śród słomy tej a czerwieniejące niby krwi krople korale Gołdy? Co opowiadała mu leżąca na ziemi i na dwoje złamana prząśnica dziewczyny i stara, bardzo stara *Biblia* starca na szmaty podarta? Była to długa, bolesna, krwawa opowieść, której młodzieniec słuchał z czołem przyciśniętym do zimnej, dziurawej ściany i z rękami załamanymi nad głową — była to opowieść tak długa, że godziny płynęły, a on słuchał jej jeszcze i wtórował słowom jej rozpaczliwymi tętnami serca i głuchymi jękami, które od chwili do chwili wyrywały się z zaciśniętych i zsiniałych ust jego… Kiedy stanął znowu w otwartych drzwiach chaty, słońce ozłacało już część widnokręgu. Jakże zmienionym ukazał się on przy świetle dnia! Czoło jego, przerznięte czerwoną kresą, zmięte było i sfałdowane, tak jak gdyby przez noc tę i ten poranek przesunęły się po nim i zorały je długie, ciężkie, cierniste lata. Ponuro i rozpacznie gorzały oczy jego spod wpół spuszczonych powiek, a ramiona zwisły mu bezwładnie w zniechęceniu jakby czy obezsileniu śmiertelnym… Tak stał chwilę i znać było, że wyobraźnią i pamięcią słuchał dźwięków głosu tego, który nigdy już doń przemówić nie miał, aż uczuł, że słaba ręka jakaś ciągnęła go za odzież i usłyszał cichy głos mówiący:

— Morejne!

Lejbele stał przed nim, oczy swe ogromne, czarne, smutne ku twarzy jego podnosił i wyciągał doń rękę trzymającą żółty zwój papierów.

Zdawać się mogło, że widok podawanego mu przedmiotu obudził go ze snu, przypomniał mu coś ważnego, przywoływał go do czegoś, co dlań świętym i koniecznym było. Powiódł po czole obu dłońmi, a potem wziął z ręki dziecka przedśmiertne pisanie Seniora i gdy uczuł je w dłoni swej, podniósł głowę, a oko błysnęło mu znowu odwagą i wolą.

Patrzał na miasteczko budzące się ze snu i długo coś mówił cicho, myślą bardziej niż słowami. Mówił coś o domu Izraela, o starej wielkości jego i o wielkich jego grzechach, o tym, że nie opuści go nigdy i przekleństwa za przekleństwo nie odda, że poniesie do cudzych narodów przymierze zgody, że ze zdroju mądrości pić będzie i że wróci tu kiedyś…

— Kiedyś… kiedyś — powtarzał długo, myśląc o dalekiej, dalekiej zapewne przyszłości, a wzrokiem ogarniał ściany niskiej chaty, jakby żegnał w duchu na zawsze przelotny, gorący i czysty, a tak straszliwie przerwany sen swój o miłości.

Potem zaczął powoli wstępować na wzgórze.

Dziecię pozostałe u drzwi chaty stało chwilę nieruchome, patrząc za odchodzącym. Po chwili oczy dziecka, szeroko rozwarte, zachodzić poczęły łzami, a gdy Meir znalazł się

[162]*w gęszczach* — dziś: w gąszczach a. w gąszczu.

u połowy wzgórza, załkało głośno, ale raz tylko, po czym iść także zaczęło. Szło zrazu śpiesznie, a znalazłszy się o kilkanaście kroków od odchodzącego zwolniło chodu i z rękami wsuniętymi w rękawy odzieży postępowało dalej z wolna i poważnie.

Tak jedno za drugim idąc: wyklęty młodzieniec i dziecię nędzarza, zniknęli za wzgórzem, kędy rozesłał się przed nimi szlak drogi piaszczystej, wiodącej w świat szeroki i nieznany.

*

Czy znieważony, wyklęty i ze wszystkiego odarty człowiek ten doścignął celu, którego tak namiętnie pożądał? Czy na szerokim, nieznanym świecie znalazł on ludzi takich, którzy by przed nim drzwi i serce swe otworzyli na oścież, a drogę mu utorowali ku zdrojowi mądrości? Czy wrócił lub wróci kiedykolwiek do rodzinnego miejsca swego, aby przynieść tam wraz z przebaczeniem swym światło to, mocą którego „cedr Libanu" powstanie tam, gdzie ściele się „niska tarnina"? Nie wiem. Zbyt niedawna to historia, aby koniec swój mieć już mogła. Lecz dlatego właśnie, że historia ta i liczne, liczne historie podobne dalekimi są do końców swych — czytelniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakimkolwiek miejscu tej ziemi cześć oddajesz Bogu — jeżeli kiedy śród drogi swej spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerą, prędką, braterską dłoń przyjaźni i pomocy!

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/meir-ezofowicz

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Meir Ezofowicz, Czytelnik, Warszawa 1988.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiórek, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Bruno Ribeiro, CC BY 2.0